



CZEGO DUSZA ZAPRAGNIE



- Danuta Awolusi •
- Przemek Corso •
- Jakub Ćwiek •
- Grzegorz Gajek •
- Joanna Gajzler •
- Aneta Jadowska •
- Magdalena Kubasiewicz •
- Jacek Łukawski •
- Jakub Małecki •
- Marcin Mortka •
- Paweł Radziszewski •
- Magdalena Świerczek-Gryboś •
- Milena Wójtowicz •
- Tomasz Żak •



Spis treści

[Okładka](#)

[Lubiłem \(Jakub Małecki\)](#)

[Czego dusza zapragnie? \(Aneta Jadowska\)](#)

[Śnieg na plaży \(Magdalena Świerczek-Gryboś\)](#)

[Mariusz, Zbrodniciel i Kolorowa Dziewczyna \(Jacek Łukawski\)](#)

[Dzień, w którym odeszło lato \(Magdalena Kubasiewicz\)](#)

[Popiół i formalina \(Joanna Gajzler\)](#)

[Potworne szczęście \(Przemek Corso\)](#)

[Odmieniec \(Grzegorz Gajek\)](#)

[Osobliwy przypadek Anny Nowak \(Tomasz Żak\)](#)

[Zagraniczna \(Paweł Radziszewski\)](#)

[A wasza nagroda wielką będzie \(Jakub Ćwiek\)](#)

[Psi urok \(Milena Wójtowicz\)](#)

[Ostatni pocałunek Lary \(Danuta Awolusi\)](#)

[Babski wieczór \(Marcin Mortka\)](#)

[Strona redakcyjna](#)

Jakub Małecki

Lubięm

Przygotowywać kawę, najlepiej nie dla siebie, wykonywać zawsze te same ruchy, wyjmować z szafek przedmioty o znajomym kształcie i zapachu, mieć ziarna, rozkładać papierowy filtr, czasami lekko zlepiony przy górze, sypać, zalewać i czekać.

Być budzonym przez psa. Widzieć, jak się w sobie nie mieści na widok kolejnego rozpoczętego dnia, z ogonem w postaci roztrzepanej w powietrzu smugi, z ulubioną zieloną poduszką w zaciśniętych zębach. Poklepywać łóżko i czekać na uderzenie trzydziestu kilogramów w brzuch, nogi i głowę, obserwować potem w lustrze zadrapania po czworonożnej czułości.

Jeździć autostradami, drogami ekspresowymi, krajowymi, z kawą w dwóch jednorazowych kubkach, z wyłączonym radiem, docierać do celu w zmęczeniu i z niejasnym poczuciem, że coś się właśnie przegapiło, a potem wymyślać, rozważać, planować kolejne punkty na mapie, które pozwolą znowu przez wiele godzin tkwić w aucie i w złudzeniu, że chodzi o to, aby gdzieś dojechać.

Spędzać noce na polach poza miastem, rozstawiać w błocie i w śniegu wyższy ode mnie teleskop, kalibrować go, korygować, szukać właściwych skrawków nieba, a później czekać godzinami, aż przykręcony do tuby aparat wykona kilka tysięcy zdjęć. Wracać nad ranem do domu i sprasowywać wszystkie te zdjęcia w jedno, a potem patrzeć na kolorowe mgławice i galaktyki, o których się niby wiedziało, że są, ale które mieć tak na własność to jednak coś innego.

Piec chleb. Pszenny, żytni, razowy. Okrągły, podłużny, w foremce. Z ziarnami lub czarnuszką, niekiedy z zakalcem, i siedzieć później w mieszkaniu wypełnionym takim chlebem od ściany do ściany, siedzieć i nie robić nic.

Palić papierosa w drodze z centrum miasta do domu, zawsze w tym samym miejscu, na murku przy Muzeum Narodowym, przed sobą mając

ruchliwą ulicę i ludzi spieszących ku swoim sprawom, a za sobą kilometry kwadratowe płótna pokrytego kolorami.

Wyjeżdżać do dalekich miejsc i nie zwiedzać niczego. Przez całe tygodnie siedzieć w lokalnych parkach i kawiarniach, czytać, słuchać, podróżować po rysach twarzy mieszkańców. Wędrować po ich włosach, ramionach i szyjach, przyglądać się uśmiechom, próbować zrozumieć złości i zdumienia, odgadywać, jak długo ci dwoje są ze sobą, a jak długo tamci, kto komu ufa, kto kogo zdradza i kto się kimś właśnie odrobinę rozczarował.

Leżeć w bezsenne noce i słuchać oddechów. Najbliższego i tych dalszych, zwierzęcych. Wyobrażać sobie, o czym oni wszyscy śnią, rozwijać w głowie te sny, zmieniać je, dopowiadać ich końcówki, a później, nad ranem, przez moment śnić też własne.

Spacerować ulicą Chmielną, udając przed samym sobą, że się wcale nie idzie po raz kolejny w tym miesiącu do straganu ze starymi książkami. Podchodzić ostrożnie, lekko wychylać głowę i niby iść dalej, ale jednak zostawać, wsuwać się pomiędzy drewniane stoły, wyciągać dłoń ku starym grzbietom i otwierać w przypadkowych miejscach, wyobrażać sobie, jak to będzie zabrać któryś z tych światów do domu.

Zabierać je do domu.

Przeżywać niepewność pierwszej strony i wśród rozczarowań znajdować czasem zachwyty, a potem rzucać się na jedno nazwisko, łowić na internetowych aukcjach wszystko, co się znajdzie, z podpisem tej czy owego, i dalej wśród zawodów szukać urzeczeń, wiedząc, że im więcej przeczytanych stron, tym te drugie pojawiać się będą rzadziej, że nałóg działa tylko w jednym kierunku.

Sadzić drzewa na kawałku własnej ziemi na wsi, w starym sadzie, rozkopywać glebę nieruszaną od kilkadziesiąt lat, dociskać korzenie dłońmi, podlewać, a potem, z nadejściem kolejnych pór roku, stawać obok i sprawdzać, jak bardzo mnie te jabłonie, grusze, kasztanowce i wiśnie japońskie przerosły. Zrywać owoce z chwiejnych gałęzi i zjadać z zamkniętymi oczami, kwaśne, karłowate, cierpkie i najlepsze na świecie. Wracać zmęczony do mieszkania w wielkim mieście, z czernią za paznokciami, z jakąś dławiącą pewnością, że to wszystko skończy się zaraz, że trzeba było jednak przez chwilę jeszcze cieszyć się widokiem sadu, kwaśnymi owocami, zapachem, brudem na palcach.

W samolotach, pociągach, taksówkach i hotelach doświadczać podróży bezdomności, nosić wszystkie niezbędne przedmioty w walizce, budzić się i nie wiedzieć czasem, gdzie się budzę, patrzeć w oczy ludziom, którzy wymyślone przeze mnie historie poznają w swoich domach, w kawiarniach i tramwajach, czasami za pośrednictwem języków, których nie znam. Zawieszony pomiędzy uściskami dłoni, z piórem zawsze w kieszeni i z palcami brudnymi od atramentu, zastanawiać się, jak to wszystko właściwie się stało.

Pić piwo z tymi samymi od lat kolegami, oglądać wspólnie filmy akcji o zawsze tej samej fabule, grać w gry komputerowe, jeść przy tym najbardziej niezdrowe z niezdrowych rzeczy i starzeć się ze spotkania na spotkanie, śmiać się z tego starzenia śmiechem lęklwym i pustym.

Jeździć do centrum miasta rowerem, na moście Poniatowskiego zatrzymywać się i robić z oddali zdjęcie kormoranom przesiadującym zawsze w tym samym miejscu, na tej samej wysepce przy filarze.

Jeść lody w fotelu, z zamkniętymi oczami, skupiając się wyłącznie na jedzeniu lodów.

Liczyć myszołowy siedzące na słupkach wzdłuż autostrady A2.

Planować zakup drogiego teleskopu.

Chodzić do kina na wszystko.

Układać puzzle.

Biegać z psem.

Zasypiać.

Ale coraz trudniej jest lubić.

Spróbuj lubić, kiedy w okularach pozwalających widzieć na odległość dokładnie jednego ja ludzkość pali właśnie to, co pozostało, aby sobie na ogniu upiec kupioną w promocji kiełbasę.

Jak lubić, kiedy się wie, że w odległości kilku godzin jazdy autem od twojego mieszkania ludzie torturują, gwałcą i mordują innych ludzi, a większość z siedmiu miliardów dziewięciuset milionów widzów na trybunach myśli w tym czasie o upalnym lecie, cenie benzyny, mistrzostwach świata w czymś tam. Nie da się lubić ze świadomością, że nawet najgorsze, co jedna osoba może zrobić drugiej osobie, prawdopodobnie gdzieś na świecie jest właśnie robione.

Ćwiczę lubienie, powtarzam sobie, że lubię nadal, że lubić nie przestałem, ale prawda jest taka, że zanika we mnie ta umiejętność, że to

mięsień, który przez długie nieużywanie w końcu stracę zupełnie, i być może ostatnia przyjemność, która mi pozostanie, to pisać o tym, co się kiedyś lubiło.



Jakub Małecki – pisarz, autor m.in. *Dygotu*, *Saturnina* i *Horyzontu*.

Był nominowany do Nagrody Literackiej Nike, Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus”, nagrody im. Stanisława Barańczaka i Odkrycia Empiku. Jest laureatem stypendium „Młoda Polska” Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz polsko-niemieckiego stypendium im. Albrechta Lemppa. Magazyn Literacki KSIĄŻKI uznał *Horyzont* Książką Roku 2019.

Jego książki tłumaczone są aktualnie na języki: niemiecki, rosyjski, niderlandzki, fiński, słoweński, macedoński i hebrajski. Na podstawie

Horyzontu powstanie film w reżyserii Bodo Koxa, a najnowsza powieść, *Święto ognia*, zostanie zekranizowana przez Kingę Dębską (produkcja Opus Film).

Aneta Jadowska

Czego dusza zapragnie?

Dziwne to było lato w Zielonym Jarze. Mówiono, że lato cudów, bo rzeczy, które się działy, wykraczały daleko poza normę czy rachunek prawdopodobieństwa. Bardziej niż zwykle, bo nasze miasteczko niejedno wcześniej widziało i do tego, że rzeczy dziwne się przydarzały, byliśmy raczej przyzwyczajeni.

Ale nie do takiej kumulacji.

Zresztą nie od razu zauważyliśmy, że coś odbiega od naszej chwiejnej normy. Bo przecież nie wtedy, kiedy pan Konopka wygrał w totka – owszem, to było niesamowite, ale wszak co jakiś czas ktoś wygrywał i widać trafiło akurat na mieszkańca Zielonego Jaru. A pan Konopka znany był z tego, że od dobrych trzydziestu lat wysyłał kupony i skreślał zawsze te same liczby, więc może po prostu przyszła jego kolej na wygraną? Może po tylu latach musiały paść jego typy? 15, 1, 23, 7, 12, 11 – żadnej w nich magii nie było, wszyscy wiedzieli, że to daty urodzin jego, jego żony i ich jedynej córki. Ludzie mu pogratulowali, a kolektura, w której puszczał totka, przeżyła małe obłęzenie, gdy kolejni mieszkańcy, zachęceni jego fartem, rzucili się do kuszenia losu, bo może wystarczy szczęściu dopomóc i zainwestować we własne powodzenie?

Trochę więcej głów się obracało, kiedy pani Marysia Szczerba, nauczycielka z podstawówki, nagle zaczęła rozbijać się po ulicach Zielonego Jaru żółtym i bardzo sportowym ferrari. I to rozbijała się dosłownie, bo rzeczywiście nie miała wielkiego doświadczenia jako kierowca, dotąd prowadziła tylko sporadycznie stareńkie tico, o ile akurat jej mąż popił na rodzinnej imprezie i łaskawie pozwalał jej się za kierownicą. Żółte ferrari faktycznie zwróciło na siebie uwagę mieszkańców.

Przebiło nawet to, że Stefek Szczerba, małżonek pani Marysi, zniknął z Zielonego Jaru kilka tygodni wcześniej. Tu zresztą wielkiej tajemnicy nie stwierdzono, bo ostatniej nocy przed zniknięciem w domu Szczerbów rozpętała się awantura sromotna, w trakcie której na jaw wyszły fakty

z tych prawdziwie szokujących. Otóż Stefek od lat miał kochankę na boku, młodszą od żony o dwie dekady, a teraz mocno przy nadziei, więc nadszedł czas wielkich decyzji. Sąsiedzi wszystko słyszeli, a wkrótce słyszeli właściwie wszyscy. Nikt specjalnie za nim nie płakał, kiedy spakował się w swoje tico i opuścił żonę i miasto.

Jedyną tajemnicę, której mieszkańcy nijak nie potrafili rozwikłać, stanowiło to, co, u diaska, młoda kobieta mogła widzieć w Stefku, bo to pijanica i byle co. Pani Marysi nikt też specjalnie nie współczuł, bo i nie było czego. Widać było, że w gruncie rzeczy odetchnęła, za mężem oczu nie wypłakiwała i przyjęła rozstanie właściwie z ulgą, szybko składając pozew rozwodowy. Mówiono, że szybko, na wypadek gdyby się miał rozmyślić i chciał wracać. Przez kilka tygodni faktycznie plotkowano, ale bez złośliwości czy jadu, ot – dobrze, że kobieta się uwolniła od byle jakiego męża, a tamta nieznana miejscowym kochanka zrobiła jej właściwie przysługę.

Śmieć dla jednej, skarb dla drugiej, jak to podsumowały panie Alina, Marta i Karolina z Nieoficjalnego Klubu Swatek, które omawiały sytuację obszernie przy stoliku w kawiarni StarBunny.

A potem nieoczekiwanie pani Marysia pojawiła się na parkingu szkolnym w żółtym ferrari, robiąc wrażenie piorunujące. Oczywiście miejscowi szybko dopytali ją, skąd taki środek transportu, i wkrótce wszyscy już wiedzieli, że zapomniany wuj ze strony matki zmarł w Ameryce bezpotomnie i cały swój majątek zapisał Marysi. I – co Zielony Jar przyjął z ulgą – spadek był wyłączną własnością Marysi i nawet gdyby Stefek naraz zapragnął powrócić na małżeństwa łono, nic a nic by mu się nie należało.

– Jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie – skwitowała pani Klementyna, popijając swoje ulubione cappuccino i zerkając przez okno na zaparkowane przed sklepikiem naprzeciwko kawiarni, nieco krzywo, auto pani Marysi. Nikt jej specjalnie nie zazdrościł, bo wiadomo, że skoro przez tyle lat uczyła w szkole, a jeszcze wracała do domu do Stefka, to jej się punktów karmy musiało zbierać solidnie.

Tajemnicą w całej historii pozostawało tylko to, jakim cudem żółte ferrari, mimo fatalnych umiejętności pani Marysi w zakresie prowadzenia, a już zwłaszcza parkowania pojazdu, było nieskazitelne i nawet rysy na zderzaku się nie dorobiło.

Bywały też mniej szczęśliwe przypadki. I po jednym z nich Klon zawitał do kawiarni. Usiadł przy kontuarze, wyraźnie wzburzony. Niosłam akurat tacę z zamówieniem do ogródka, więc tylko przywitałam go uśmiechem i nie odrywałam się od swoich obowiązków. Gdy wróciłam za kontuar może sześć minut później, bluszczik rosnący w doniczce obok kasy podwoił swoje rozmiary i sięgał właśnie gałązkami do mojego chłopaka, by go nieco pocieszyć. Skutek uboczny jego zielonej magii – rośliny po prostu wyczuwały jego emocje. Nie zdziwię się, jeśli kiedyś coś naprawdę go zdenerwuje i nasze miasteczko będzie się mierzyło z marszem wkurzonych roślin, które będą żądały sprawiedliwości dla swojego ulubionego człowieka. Na szczęście dla wszystkich Klon był zwykle nad wyraz spokojnym i pogodnym człowiekiem. Nie dziś jednak. Gładził listki bluszczu, Ignące do jego ręki jak małe kocięta, i dumał z ponurym wyrazem twarzy.

– Co jest? – zapytałam, opierając się łokciami o kontuar naprzeciwko niego.

– Zmarł dąb na Podhalańskiej – powiedział tonem poważnym, ale pod smutkiem wyraźnie wyczuwałam nuty gniewu.

Przywykłam już, że dla zielonego kciuka strata drzewa była powodem do żałoby i każdą jedną traktował bardzo osobiście. Nie raz i nie dwa nasze randkowe spacerki przemieniały się w zaimprovizowane sesje lecznicze zieleni miejskiej, bo nie był w stanie opuścić rośliny, która potrzebowała odrobiny troski czy opieki. Nie tylko mi to nie przeszkadzało, ale wręcz uważałam, że to jedna z najsłodszych cech jego charakteru.

– Chorował? – zapytałam z troską.

– Był zdrowy, silny i rósł w tym miejscu niezmiennie od sześćdziesięciu trzech lat. I nie było przeszkód, by rósł drugie tyle i więcej. A dziś dzwoni Józek Bartnik, że potrzebuje zamówić transport, bo mu drzewo padło. Tak po prostu. Było drzewo, nie ma drzewa. – Zgrzytnął zębami, a bluszczik desperacko owijał mu się wokół nadgarstka, jakby łapał go za rękę.

– Już tam byliście, zabraliście je? – zapytałam. Rodzina Drzewieckich miała nie tylko zieloną szkółkę, lecz także największą firmę architektury zieleni w okolicy, więc nie zdziwiło mnie, że akurat do nich dzwonił ktoś w sprawie powalonego drzewa.

Pokręcił głową.

– Tata zabrał ciężarówkę na zlecenie w Grobli. Dzwoniłem, przed szóstą nie wróci. Ciągłe sadi platanów wokół ryneczku, w ramach rewitalizacji idą

w „miniaturowy Paryż”.

– Za godzinę kończę tutaj, jeśli chcesz, możemy pojechać tam razem, może odkryjesz, co mu się stało? – zaproponowałam, wyłapując wahanie w jego głosie. Mógł jechać sam, a jednak przyszedł tutaj, a teraz z wyraźną ulgą uśmiechnął się blado i powiedział:

– Dobry pomysł, Malinko, zdrowe drzewa tak po prostu nie padają. To się nie powinno wydarzyć!

I jakby dopiero zauważył prawie metrowe pnącze, które wykiełkowało, by go nieco pocieszyć, pogłaskał drżące z emocji listki.

– Chyba poczekam na ciebie w parku. Czy zabrać tego łobuziaka, czy masz gdzie zawiesić nagle podrośnięty bluszczyk? – zapytał nieco zawstydzony tym, że nie kontrolował magii, która wyciekała z niego każdym porem.

– Jeśli go zawieszę, będę musiała codziennie włączyć na krzesło, by go podlać. Zaadoptuj tego małego historyka, a jutro przyniosę znów coś mniejszego do postawienia koło kasy.

To była stała część naszego związku – ja kupowałam małe roślinki, nieraz na granicy życia i śmierci, a on doprowadzał je do rozkwitu. A że nie miał wyczucia, często przekarmił je magią, jak nienażarte kocięta. Nagle roślina była za wielka, by zmieścić się na moim biurku czy parapecie, więc zabierał ją do siebie, by żyła szczęśliwie w jego bardzo zielonym domu, a ja przynosiłam sobie kolejną. Głównie dlatego, że sprawiało mu naprawdę ogromną radość ratowanie każdego usychającego krzaczka czy rachitycznego badyłka. Kupowanie ich było więc poniekąd moim językiem miłości. Aczkolwiek strata starego dębu, który znał i kochał (jak większość drzew w miasteczku), wymagałaby chyba wykupienia wszystkich przecenionych roślin doniczkowych z Biedronki.

*

Im bliżej byliśmy adresu, który wklepałam w GPS, tym cichszy był Klon, jakbyśmy jechali na pogrzeb, a on w duchu gotował się na ostatnie pożegnanie bliskiego przyjaciela. Dopiero kiedy zaczęliśmy się spotykać i mogłam go obserwować naprawdę z bliska, zaczęłam rozumieć, jak intensywna jest więź zielonego kciuka ze wszystkim, co żyje, kiełkuje i zapuszcza korzonki. I jak druzgoczące są ciosy, kiedy roślinom dzieje się

coś złego. Już przy uschniętym kwiatku doniczkowym Klon czuł dyskomfort. Martwe drzewo, stare i potężne, raniło go do żywego.

Zaparkowałam przed domem Bartników, typowym dla tej dzielnicy – z niskim płotem i krótkim podjazdem, za to ze sporym podwórkiem na tyłach. Ceglany dworek, z obowiązkowymi kolumnkami na ganku, a nawet dwoma kamiennymi lwami na schodach, wyglądał na zadbany dom rodzinny.

Klon wyskoczył z samochodu, zanim zgasiałam silnik. Nie zawracał sobie głowy dzwonieniem do drzwi, po prostu minął dom i poszedł prosto na tylne podwórko. Przez chwilę się zastanawiałam, czy powinnam dać znać właścicielom, ale ostatecznie ruszyłam za Klonem, nie chcąc go zostawiać samego.

Już z daleka było widać problem. Potężne drzewo, które do niedawna rośnie nieopodal granicy między działką Bartników a tą ich sąsiadów, teraz leżało powalone, z korzeniami sterczącymi desperacko w niebo. Upadając, przygniotło szopę na narzędzia, druzgocząc dach siłą zderzenia.

Klon klęczał, obie dłonie zanurzając w odsłoniętej bryle korzeniowej, po policzkach spływały mu łzy jak grochy. A do mnie dotarły dwie rzeczy. Po pierwsze, drzewo z całą pewnością nie wyglądało na zdrowe – wszystkie liście były pokurczone i uschnięte, a jego kora była dziwnie poczerniała i odłaziła od pnia płatami, jakby cierpiało na dendrologiczną odmianę łuszczycy. Po drugie – nie było w tej chorobie nic naturalnego – nawet z odległości dwóch metrów, nie dotykając go, wyczuwałam ślady magii. Kręciła mnie w nosie, drażniła zmysły i wyciągała z pamięci konkretne obrazy.

Usłyszałam za nami kroki i odwróciłam się gwałtownie. Pan Bartnik przeciął trawnik i kroczył w naszą stronę, wyraźnie rozdrażniony. Odruchowo przesunęłam się tak, by stanąć między nim a Klonem. Mogłam mieć metr pięćdziesiąt i niewielką masę uderzeniową, ale gdyby zaszła taka potrzeba, z nas dwojga to ja mogłam walnąć Bartnika bez żadnych konsekwencji ze strony mojej magii. Zielona magia była dużo bardziej wrażliwa na przemoc.

– Jak to się mogło stać? Mówiłeś, że jest zdrowy! Silny! Moje wnuki miały przesiadywać w jego cieniu! Jak mogłeś do tego dopuścić! – wykrzyczał Bartnik.

Wyciągnęłam przed siebie ostrzegawczo rękę.

– Radzę panu uważać na słowa – powiedziałam spokojnie.

– Bo co? – warknął.

– Bo wkurzanie zielonego maga, gdy stoi pan w intensywnie zarośniętym ogrodzie, nie jest najrozsądniejsze – rzuciłam.

Bartnik rozejrzył się zdezorientowany i sapnął, widząc wybujałe nagle rumianki, rudbekie i różowe echinacee z pobliskiej rabaty, sięgające w stronę Klona pnącza kudzu i naginające się w jego stronę gałęzie krzewów i brzózek, rosnących z drugiej strony zawalonej szopki.

– Czemu nie dzwonił pan wcześniej, kiedy zaczął chorować? – zapytałam.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? Wczoraj jeszcze stał i nic mu nie dolegało! – odpowiedział Bartnik.

– Wkurzył pan kogoś? Ktoś miał problem z tym dębem lub panem? – dopytywałam.

Zamrugnął i spojrzał na mnie uważnie.

– Możliwe... Mój sąsiad, Michalik, zawsze się pieklił, że korzenie sięgają za jego stronę płotu i przeszkadzają mu kosić trawnik. Groził, że je wykopie i wytnie, choć to zabiłoby drzewo. Przecież po to wezwałem Drzewieckich. Przekonali dąb, by puścił korzenie głębiej, tak by ta stara zręda nie miała się do czego przyczepić. Chyba nie sugerujesz, że jakoś mi otrul mój dąb? Mój pradziadek zasadził go w tym miejscu w dniu, kiedy urodził się mój ojciec, nie wybaczę draniowi, jeśli to przez niego... – pieklił się Bartnik.

– Jaką magię ma pana sąsiad? – zapytałam.

– Żadną. Jest w pełni człowiekiem. Jego żona też – odpowiedział.

Uklęknęłam koło Klona.

– Czujesz to? – zapytałam cichutko.

Kiwnął głową.

– Ktoś go zabił. Brutalnie, szybko i magią. Ale nie rozumiem jak, nie znam tej magii – odpowiedział, a głos mu się łamał.

Ja znałam. Nie wróżyła nic dobrego.

Pomogłam mu wstać.

– Jutro Drzewiecki senior przyjedzie z ciężarówką i zabierze drzewo – powiedziałam do Bartnika. – Lepiej niech się pan trzyma z daleka od sąsiada – dodałam.

– Nogi mu z dupy powyrywam – warknął Bartnik.

– Naprawdę nie radzę. Bawi się magią, która nie wyszłaby pana rodzinie na dobre. Czy z kimś ma jeszcze na pieńku? – zapytałam.

– Z połową ulicy, stary zrzęda.

– Niech pan podpyta sąsiadów, czy nie mieli równie nieprzyjemnych niespodzianek, i do mnie zadzwoni – poprosiłam. – I niech wszyscy lepiej pilnują dzieci – dodałam.

Może byłam przewrażliwiona, rodzaj rodzinnej traumy, ale gdy czułam ten lekki siarkowy swądek, miałam ochotę przeliczyć małe Koźlaczki, by upewnić się, że nadal jest ich dokładnie tyle, ile powinno.

*

Kiedy jechaliśmy do domu, Klon powiedział mi, że jest absolutnie pewien, że drzewo nie zmarło z przyczyn naturalnych, było całkiem zdrowe i powinno przetrwać jeszcze wiele lat. A ja przyznałam, że wyczułam na nim demoniczną magię czy esencję, więc nie mam najmniejszych problemów z uwierzeniem w nienaturalność przyczyn tego zgonu.

– Ale przecież żaden demon nie wpadłby do Zielonego Jaru tylko po to, by ubić dąb, prawda? Fantastyczny okaz, ale w żaden sposób niewyróżniający się na tle innych dębów – zauważył Klon.

I miał rację. Z tego, co czytałam o demonach i ich magii (a czytałam sporo, bo moja babka próbowała sprzedać demonowi moją mamę jako młodocianą pannę młodą, a wiele lat później moja ciotka Glicynia wplątała całą rodzinę w piekielną awanturę, która prawie zmiotła cały ród z powierzchni ziemi), wynikało, że pomiot piekielny rzadko kiedy interesowała skala mikro. Działali z rozmachem i mając w zanadrzu większy plan.

Więc musiałam założyć dwie rzeczy. Raz – dąb to tylko początek lub jeden z objawów problemu, a dwa – Aronia nie będzie zachwycona. Mama z zasady na demoniczną esencję reagowała nerwowo i poza ekstremalnie nielicznymi przypadkami (jak nasz rodzinny prawnik czy demon poniekąd spokrewniony na skutek machinacji Glicynii) miała odruch zrzucania na demoniczne problemy magiczne odpowiedniki atomówek i nie traciła czasu na zadawanie pytań.

A najgorsze, że nawet niewielki kontakt z magią demoniczną odchorowywała. Nie fizycznie, ale bardzo łatwo odpalało się jej PTSD z młodości, coś, o czym nie lubiła mówić. Zresztą chyba niewielu znało szczegóły przeprawy, którą zafundowała jej Delfina, ale to wracało do niej w koszmarach i długo do siebie dochodziła, włącząc się całymi nocami po

domu albo czyszcząc piekarnik o czwartej nad ranem, byle tylko nie kłaść się spać. Bo tam czekało na nią coś, co ją przerażało. Moja matka była najtwardszą, najsilniejszą i najbardziej kompetentną kobietą, jaką znałam, ale to stanowiło jej piętę achillesową i jeśli mogłam rozwiązać problem, zanim wybuchnie jej w twarz, do cholery, zamierzałam spróbować.

Potrzebowałam zrobić mały wywiad. Nic tak nie rozjaśnia sytuacji jak lista – przynajmniej to zawsze powtarzała Jagoda, moja szokująco poukładana siostra. Dlatego zamiast do domu wróciliśmy do StarBunny. Był wtorek i dochodziła już siedemnasta, co wiązało się z tym, że za chwilę kończyły się zajęcia plastyczne klubu seniora w domu kultury, a to oznaczało, że pani Klementyna z koleżankami zawita do kawiarni i nad ciasteczkami i kawką przeciągną jeszcze przyjemność spotkania. To nie tak, że widywały się tylko we wtorki. W poniedziałki miały zajęcia taneczne, w środę kółko filmowe, w czwartek wolontariat w schronisku dla zwierząt, w piątek w kawiarni zbierało się kółko robótek ręcznych, a w weekendy wpadały z rozpędu. Właściwie nie było dnia, by choć jeden stolik nie był zajęty przez dziarskie i świetnie poinformowane emerytki. Były nieco wścibskie i złośliwe do potęgi, ale też całkiem przyjazne i stosunkowo niegroźne (choć niewykluczone, że moja prababcia Narcyza i jej Harpie trochę mi zaburzają skalę).

Wystarczyło, że przysiadłam się do ich stolika i rzuciłam:

– Czy to nie jest zastanawiające, ile naprawdę dziwnych rzeczy dzieje się ostatnio w Zielonym Jarze?

– Właśnie o tym rozmawiamy, duszko – oświadczyła pani Klementyna. – Nawet zaczęłyśmy robić na szybko listę, bo widzisz, sporo się tego uzbierało, a pamięć już nie ta...

Pamięci pani Klementyny nic nie można było zarzucić, a jej umysł wciąż był jasny i w kojarzeniu odległych faktów mało kto jej dorównywał. Zanim przeszła na emeryturę, pracowała w urzędzie skarbowym, w dziale kontroli i rewizji, i wciąż była jak terier – drobna, zawzięta i z węchem wyczulonym na wszelkie nieprawidłowości.

I naprawdę musiała poświęcić sporo uwagi temu, co się działo w miasteczku, bo po tych jej słowach nastąpiła obszerna wyliczanka.

Wiedziała może o połowie z rzeczy, które wymieniały... O pani Marysi, jej aucie, o wygranej w totka – bo to były największe historie ostatnich tygodni. Podobnie słyszałam o pani Jemiołuszce, która w czasie przekopywania rabaty w sadzie znalazła zalakowany dzbanek pełen

rzymskich monet. Nawet telewizja zjechała, by nakręcić o tym materiał. Znalazczynie dostała solidne znaleźne, bo to były antyczne i bardzo cenne monety.

Ale na przykład pojęcia nie miałam, że pan Kędyk, wdowiec od trzydziestu lat, na festiwalu letniego przesilenia spotkał swoją szczenięcą miłość, obecnie wdowę. I trzasnęło ich jak piorun w rabarbar, wedle słów pani Klementyny. Najwyraźniej w pewnym wieku nie odwleka się już niczego, więc zakochani po tygodniu rozesłali zaproszenia na ślub, który miał się odbyć na święto Mabon.

Przyznam, każda z tych rzeczy brzmiała nieco niewiarygodnie, ale nie niemożliwie. Ludzie wygrywają w totka, dostają spadki po zapomnianych krewnych, co pewien czas słyhać o jakimś archeologicznym odkryciu, a seniorzy mogą jechać autostradą miłości do happy endu i pierwsza będę walczyła o ich prawo do szczęścia. Ale przyznam, że gdy wszystkie te szczęśliwie zbiegi okoliczności zdarzają się w malutkim miasteczku w ciągu mniej niż dwóch miesięcy, robię się podejrzliwa.

Gorzej, że to nie wyczerpywało listy rzeczy niesamowitych. To była ledwie ta pozytywna część. Znajdowały się na niej jeszcze wydarzenia, które według pani Klementyny i jej koleżanek były „niepokojące i co najmniej nieprawdopodobne”.

Jak to, że nieoczekiwanie zbankrutował sklep pasmanteryjny Jamrozów, który radził sobie świetnie, odkąd pamiętam, albo że w tym samym tygodniu „Kordonek” – drugi sklep z pasmanterią, włóczkami i wszystkim, czego trzeba rękodzielnikom w Zielonym Jarze – musiał się zamknąć po nagłej awarii. Lokal w piwnicy zalała woda z pękniętej rury i szkody były ogromne, nie wiadomo, czy właścicielki „Kordonka”, siostry Kamyszek, się z tego podniosą i czy ubezpieczenie pokryje koszty generalnego remontu, bez którego się nie obejdzie. I nagle najmniej lubiany przez emerytki sklep Mańka Kamińskiego stał się ich jedyną alternatywą i wcale im się to nie podobało, bo to gbur i ladaco, a za kanwy liczył sobie jak za zboże.

No i problem z psami z Mokrego – nowego osiedla domków jednorodzinnych, które wyrosło w ostatnich dwóch latach tuż za granicami Zielonego Jaru. Tu, przyznam, myślałam, że się nieco zagalopowały, bo jednak istniała, moim zdaniem, spora różnica skali między wygraną w totka a zaginionym psem, ale pani Klementyna zrzuciła bombę:

– Wszystkie, co do sztuki, psy na osiedlu zniknęły jednej nocy. Ani śladu włamania czy porwania... Zajrzałam zresztą na Mokre, bo moja bratanica mieszka tam z rodziną. Stracili takiego pięknego airedale terriera, rodowodowy i tak dobrze wychowany piesek! Wyparował, jak wszystkie pozostałe. I nie mam wątpliwości, że stała za tym magia, i to z tych podłych. Nic dobrego nie roztacza smrodku siarki nadaremno. Zaraz wzmocniłam osłony wokół domu mojej Zuzi i talizmany dla dzieciaków zrobiłam, bo to z demonami nigdy nie wiadomo, czy im psiak wystarczy, czy jednak wróćą po dziecko.

Nawet się wcześniej nie zająknęłam o tym, że podejrzewam demoniczne interwencje! Uznałam słowa pani Klementyny za ostateczne potwierdzenie mojej hipotezy. I czas było wyciągnąć możliwe wnioski.

Jeszcze rok temu w tej sytuacji wzywałabym prababcie Narcyze i liczyłabym na to, że jej historia z demonami (burzliwa, chwilami heroiczna, chwilami po prostu komiczna) zapewni jej immunitet.

Dziś wyglądało to odrobinę inaczej. Mieliśmy swojego własnego piekielnego rezydenta, z którym zamierzałam uciąć sobie bardzo bezpośrednią pogawędkę.

*

Z Antonim Małeckim, prawnikiem i demonem wysokiej klasy, było tak, że jednego dnia zawitał do Zielonego Jaru na wyraźną prośbę swojego brata Deza, kiedy ten się dowiedział, że Aronia wpadła po uszy w kłopoty i siedzi w areszcie na skutek kłopotów jej zacieklego wroga, Dziurlikowskiego.

Był czas, że Dez chciał nas wszystkie zetrzeć z powierzchni ziemi, ale ten agresywny etap znajomości mieliśmy już całkiem za sobą. Dziś miał status przyjaciela rodziny, a jego córka Ivi miała otwarte zaproszenie do naszego kowenu. Całkiem słusznie założył, że Aronia potrzebowała prawnika, a skoro byliśmy poniekąd skoligaceni, uznał, że najlepiej się sprawdzi jego brat. Bo jeśli już wynajmować prawnika, to czemu nie piekielnie skutecznego?

Antoni wpadł w sam środek bałaganu i efektywnie porozstawiał wszystkich po kątach. Najwyraźniej spodobało mu się w Zielonym Jarze i postanowił zostać. Stwierdził, że po jednym spotkaniu z moją rodziną piekło już zawsze będzie odrobinę nudne.

Kupił sobie uroczą kamieniczkę w kolorze mandarynki. Na parterze otworzył kancelarię (i ponoć nawet miał klientelę, której jego demoniczne pochodzenie nie odstraszało – niektórzy chyba o nim nie wiedzieli, inni i owszem, ale uznawali to za rewelacyjną rekomendację dla prawnika), a na piętrze urządził sobie mieszkanie. Wrósł w krajobraz miasta, jakby w Zielonym Jarze od zawsze do kompletnej szajby brakowało właśnie prawnika z piekła rodem.

Normalnie nie podejrzewałabym Antoniego, że mógłby maczać palce w zniknięciu psów i pękaniu rur kanalizacyjnych czy wygranych w totka, bo był demonem wysokiej klasy i zwykle wystarczały mu do szczęścia chaos i zgryzoty, które mógł sprowadzać na ludzi jako prawnik, ale czy ktoś naprawdę wie, co demonowi do głowy strzeli? Zwłaszcza demonowi chaosu? No właśnie.

Dlatego zostawiłam auto przed StarBunny i poszłam pieszo do kancelarii Antoniego Małeckiego. Klon został w kawiarni w roli odsieczki. Jako jedyny wiedział wszystko to, co wiedziałam ja, łącznie z tym, że właśnie idę wypytywać demona o niecne sprawy. Poza tym jako zielony kciuk na magię demoniczną reagował nerwowo. Odrobinę siarki jeszcze znosił, ale przy większym napięciu całkiem szarzał na twarzy, a jego żołądek z miejsca się buntował.

Zastukałam kołatką – ciężkie mosiężne kółko trzymał w pysku koziołek – i czekałam, nasłuchując. Wydawało mi się, że w środku słyszę jakieś szelesty, coś jak szuranie czy stukanie, ale nikt nie pojawił się na progu. Wyciągnęłam komórkę, wybrałam numer Antoniego (cała moja rodzina miała numer naszego prawnika wklepany w książki adresowe „tak na wszelki wypadek”) i przez chwilę w ciszy czekałam na sygnał połączenia.

Aż podskoczyłam, gdy melodyjka telefonu rozbrzmiała za moimi plecami! Antoni Małecki, rekin, który lubił przywdziewać maskę niegroźnego i miłego faceta, szczerzył się za mną w całkowicie rekinim uśmiechu. Fassbender by mu pozazdrościł tego wyszczerzu!

– Nieładnie mnie tak straszyć – skarciłam go.

Parsknął śmiechem, jakbym mu powiedziała najśłodszy komplement. Pomachał papierowymi torbami z indyjskiej knajpy i powiedział:

– Naciśnij klamkę, nie zamykałem na klucz.

– Sporo ufności, nawet jak na Zielony Jar – mruknęłam.

Znów tylko się uśmiechnął. Miał podejrzenie dobry humor – może dlatego, że od tygodni mącił w życiu mieszkańców? Nie żałowałam nikomu totka i spadków, ale psy i dąb były naprawdę przesadą!

– Nie masz nic przeciwko, że będę jadł w trakcie naszej rozmowy? Szkoda ciepłych placków – powiedział, wymijając mnie w korytarzyku.

Po lewej znajdowało się przestronne eleganckie biuro, po prawej były lśniące dębowe drzwi, za którymi mieściły się toaleta i niewielki pokój socjalny, z nieźle wyposażoną kuchenką, lodówką i kącikiem jadalnym. Antoni minął drzwi, a następnie bez zwłoki wypakował z torby szklane pojemniki z jedzeniem na wynos. Otwierał teraz pokrywki i zaciągał się zapachem ostrego czerwonego curry.

– Piekielnie pyszne – powiedział. – Gdybyś mnie uprzedziła, wziąłbym więcej, a tak nie liczę, że się podzielę – zaznaczył.

– Nie zajmę tyle czasu, żeby trzeba mnie było nakarmić – odparłam z rozbawieniem. – Wystarczy, że odpowiesz mi na pytanie, czy masz coś wspólnego z demoniczną aktywnością w miasteczku w ostatnich tygodniach – rzuciłam w niego pytaniem.

Zamarł z widelcem w połowie drogi do ust. Odchrząknął, a potem polecił:

– Zdefiniuj „demoniczną aktywność”.

Prawie przewróciłam oczami, ale wymieniłam kilka przykładów z listy pani Klementyny, wspominając zwłaszcza o dębie i psach, bo tam smrodek demonicznej magii był potwierdzony przez świadków.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – odpowiedział twardo. – Skąd w ogóle pomyślałem, że rozdrabniałbym się na takie pierdolety?

– Liczyłam się z tym, że być może jesteś niewinny, ale jakim byłabym detektywem, gdybym nie zaczęła od jedyne go demona rezydującego w miasteczku? – Wzruszyłam ramionami, wdzięczna, że nie poczuł się urażony.

– Właściwie... nie jestem jedynym piekielnym rezydentem w tym momencie – powiedział, a jego oczy roz błysły czerwienią.

Maska miłego i niegroźnego faceta znikła, z kryjówki wyłonił się rekin.

Odłożył widelec, wziął się pod boki i wrzasnął:

– Chaośniku, do kurwy nędzy, do mnie!

Stworzenie, które wyrosło jak spod ziemi, miało nie więcej niż metr dwadzieścia wzrostu i wyglądało jak skrzyżowanie siedmiolatka z bardzo starym kozłem. W wełnianym kubraczku w pepitkę, pasiastej, biało-czarnej

kamizelce zapiętej na okazałe kryształkowe guziki, pepitkowych spodenkach sięgających tuż nad żółte podkolanówki i w jaskrawo czerwonych trzewiczkach z dużymi, srebrnymi klamrami wyglądał osobliwie. Pomarszczony pyszczek o jasnobrązowej skórze pokrytej meszkiem jak brzoskwinia wyrażał lekki niepokój, a jego wielkie ciemne oczy strzelały na boki, jakby szukały źródła tarapatów, w które wpadł. Okazałe zajęcze uszy drgały nerwowo, a długi ośli ogonek rytmicznie uderzał o nogawki spodenek.

– Panie Antoni, co też wprawiło pana w taki zły humor? – zapytał nieco skrzekliwym głosem. – Ta panienka może? Wygląda na takie, od których wrzodów się dostaje, niestrawności nawet, i ani się człowiek obejrzy, a na kolację sałatę wcina, bo po mięsku zgaga! Czy mam panienkę wykopyrtnąć z domu pana Antoniego? – Aż zacierał ręce na samą myśl, że miałby mnie wykopyrtnąć, cokolwiek to znaczyło.

– Chaośniku, cholero jasna, co żeś nawyczyniał w miasteczku? Czy nie mówiłem, że to twoja ostatnia szansa na odkupienie win, a potem karcer, lochy i kajdany? – zapytał groźnie Antoni.

– Tam „nawyczyniał”! Ja zem nic a nic nie zrobił! Żadnych psot, harców! Nic a nic! Grzecznie tu sprzątałem sobie, obiad panu na jutro gotowałem, zraziki i buraczki tarte, jak pan lubi, o żadne niecnoty nawet mnie nie warto podejrzewać, bo to czasu strata – odpowiedział, ale przestępował z nogi na nogę jak młode Koźlaczki przyłapanie na brojeniu.

– Chaośniku, mów mi tu zaraz, coś nawyczyniał, albo jeszcze dziś cię poślę do piekła. I to bez obiadu! – zagroził Antoni, wcale niewzruszony.

Stworzenie milczało i aż rączką zasłoniło usta, jakby musiało pilnować, by nic mu się tamtędy nie wymysknęło. Na przykład przyznanie do winy. Antoni westchnął ciężko, przewrócił oczami i opadł na krzesło.

– Chaośniku, czy wychodziłeś z domu, choć mówiłem, że masz siedzieć tu na kuprze? – zapytał.

– Ależ zupełnie i wcale – zaklinał się mały demon. – No... tylko do sklepiku, ot tak, po warzywka, buraczki na przykład, kapustkę czasem jakąś, maślanek, bo jak bez maślanek takie racuszki zrobić, ale nie dalej!

Antoni pocierał powieki i wzdychał.

– Dobrze, chaośniku, widzę, że zaczynamy zmierzać w dobrym kierunku. Czy będąc w tym sklepiku, wchodziłeś w jakąś interakcję z ludźmi? Rozmawiałeś z kimś? Namawiałeś do złego? Popychałeś do psot?

– A nie, nie, takich rzeczy mi zupełnie nie wolno, jestem przecież na warunku – zapewnił.

– Ja doskonale wiem, że jesteś na warunku, ale jakoś mnie to wcale nie uspokaja.

– Nie złamałem żadnego punktu regulaminu! Sprawdziłem bardzo dokładnie! Wszystko przeczytałem, każdą literkę, i nic tam nie było o spełnianiu życzeń i zaklętych monetach, więc nie widzę powodu, by to mnie miało obciążać, skoro regulaminu nie złamałem! Niewinny jestem i takie potwarze mi tu rzucane ranią głęboko, tu ranią! – Teatralnym gestem zmiął kamizelkę gdzieś na wysokości żołądka, ale podejrzewałam, że chodziło o serce.

Antoni już nie wzdychał – on sapał i wyglądał, jakby wiedział, że za chwilunię dopadnie go migrena.

– Monety? Spełnianie życzeń? – wyłapał słowa klucze z tyrady chaośnika.

Mały demon zasłonił rączkami usta.

– No się wygadało, czemu w środku nie siedziało? Teraz kłopoty, same kłopoty – jęknął przeciągle.

– Troszkę mniej kłopotów, jak teraz wszystko wyśpiewa – powiedział Antoni, postukując palcem o blat biurka.

Z trudem powstrzymałam wybuch śmiechu. Nic nie poradzę, chaośnik był komiczny, a demoniczny prawnik wyglądał teraz zupełnie tak, jak wyglądała moja mama, ilekroć coś zbroiłam.

– Troszkę mniej kłopotów? A jak mniej? Może wcale? – targował się chaośnik.

– Może niewiele, ale zegar tyka, im później powiesz, coś zrobił, tym więcej – odpowiedział Antoni.

– To ja już mówię, mówię i nie ma co się denerwować – zapewnił demon i wyszczerzył się w krzywym uśmiechu.

I opowiedział. O dwóch monetach spełniających po dwa życzenia. I on wcale ich nikomu nie dawał, on nimi zapłacił w sklepiku i pieniądze same sobie krążyły w miasteczku, trafiając to tu, to tam i podszeptując uszom, które chciały słuchać, że mogą spełnić dwa życzenia, jeśli tylko po drugim puszczą je znów w obieg, bo trzecie życzenie należało do chaośnika, a ten miał jedno – niech się dzieje! Najwyraźniej był demonem przecherà i nic nie cieszyło go tak jak malutkie zamieszanie, a najlepiej wielkie. Chaos był mu do szczęścia potrzebny jak powietrze.

– I ja nikomu krzywdy nie zrobił, jak obiecał! Przecież mogą sobie życzyć zdrowia i żeby dynie im rosły piękne, nie muszą wcale nic złego, żeby na przykład sąsiad się potknął i złamał nogę, więc to wcale nie na mnie leżą te wszystkie psoty – oświadczył.

– Doskonale wiesz, jacy są ludzie i co z tego musiało wyniknąć – odpowiedział Antoni.

– A nie, niektórzy marnowali możliwość chaosu zupełnie! Nie tracę jednak nadziei. Jeden sobie zażyczył, by go zęby przestały boleć, a gdy przestały, to jeszcze poprawił życzeniem, by w totka wygrać. No i może coś jeszcze z tego wyjdzie? Bo taka duża forsa w głowie miesza, może hazardzik czy pijaństwo jeszcze w jego kartach? – dumał chaośnik.

– To żółte ferrari to też twoja sprawka? – zapytałam.

– A tak, ładne takie, żółte, szybkie bardzo i zapowiadało się na solidny potencjał do chaosu, ale od razu zastrzegła, że ma się jej nic nie stać, a autko nawet ryski ma nie mieć. No nie da się solidnego wypadku zrobić, żeby jej nic nie było i autko nie ucierpiało, myśli sprytna taka – naburmuszył się.

Antoni wstał i wyciągnął rękę przed siebie, mówiąc:

– Poproszę monetę. – Poruszył sugestywnie palcami.

– Moneta? – Chaośnik niewinnie zamrugął.

– Zawsze są trzy. Nie denerwuj mnie, bo mnie korci, by portal otworzyć i cię do karceru posłać. I żadnych ciasteczek przez sto lat! Woda i suchy chleb, pajęczyny i karaluchy! Takie będziesz miał kulinarne perspektywy, jeśli w tej chwili...

Nie skończył groźby, a chaośnik już mu na wyciągniętej ręce ułożył monetę. Była spora, jednolicie żółciutka i błyszcząca. Antoni poruszył palcami i teraz moneta wyglądała jak zwyczajna pięciozłotówka.

– Gdybyś ty, cholero, całą tę kreatywność rozsądniej wykorzystywał – mruknął pod nosem demon, a potem głośniej dodał: – Idę naprawić twój bałagan. A gdy wrócę, przejrzymy sobie jeszcze raz twój kontrakt i regulamin warunku, dopiszemy kilka punktów, uszczelnimy go tu i ówdzie, rozumiano?

Chaośnik spuścił oczka w udawanej skrusze i trzewiczkiem poszurał o podłogę.

– Nie jest zły? Nie pośle do karceru? – zapytał prawie dziecięcym głosem.

– Obiecałem cię zrehabilitować, cholerniku. Ale wystawiaj dalej moją cierpliwość na próbę, a złożę to zadanie na barki mojego ojca. Na pewno nie spodobałyby ci się jego metody. – Uśmiechnął się złośliwie.

Stworzonko podskoczyło, a ogonek znów nerwowo bił po udach.

– Nie ma co tak brutalnie, to tylko chwilowe, no... takie potknięcie natury moralnej – zapewnił. – Zaćmienie takie malutkie, ale już wcale nie kusi, by broić, wcale a wcale. Jakby mnie znów naszło, to głuchy będę na podszepty! Lodów ukręcę, nie aferkę! – zaklinał się.

Antoni wyminął go i poklepał między długimi uszami.

– Lepiej dla ciebie, by nie było ofiar, bo to na pewno łamie regulamin warunku – powiedział i kiwnął na mnie, mówiąc: – Chodźmy, Malinko, mamy dwie monety do odnalezienia.

*

Na szczęście dla mnie nie oznaczało to, że musimy zajrzeć do każdego portfela w mieście, każdej kasy, banku czy skarbonki, bo trzecia moneta, którą Antoni wyciągnął od chaośnika, wskazywała mu drogę do siostrzanych monet, skoro były wytopione z jednego dukata piekielnego. Gorzej, że prowadził nas przez wszystkie lokalizacje, w których kolejno znalazła się moneta, a nie od razu do ostatniej. Choć przyznam, że podejrzewałam, gdzie będzie nasz finalny przystanek... Owszem, istniało ryzyko, że palant, który zamordował dąb i złamał serce Klonowi, wykorzystał też drugie życzenie i puścił monetę w obieg, ale miałam nadzieję, że potrzebował chwili namysłu. I faktycznie, wreszcie znaleźliśmy się pod domem Michalika, zaraz po sąsiedzku z Bartnikiem i zwalonym dębem.

A wtedy do akcji wkroczył Antoni. Gdybym sama wkroczyła do domu gościa (który miał jeszcze jedno życzenie, a pierwsze zmarnował na zabicie dębu sąsiada) i uprzejmie poprosiła o oddanie monety, nie sądzę, by był chętny do współpracy. Za to z demonicznym prawnikiem nikt przy zdrowych zmysłach nie dyskutował. Nawet Michalik, choć o zdrowe zmysły go nie posądzałam – całą ścianę w salonie miał obklejoną różowymi karteczkami samoprzylepnymi, na których czarnym flamastrem wypisał potencjalne drugie życzenia dla monety, i wierzcie mi, nie było tam nic rozsądnego, za to mnóstwo małych złośliwości i podłości. Być może

zaklęcie chaośnika popychało monetę właśnie do takich ludzi jak on, bo wtedy demoniczne pachole miało lepsze widoki na rzeź i chaos?

Z pomocą magii, przekupstwa i demonicznego uroku osobistego Antoni wyłuskał monetę z zaciśniętej pięści Michalika i schował ją do kieszeni. Teraz, kiedy miał dwie, znalezienie trzeciej powinno być nawet prostsze. W teorii.

W praktyce monety w kieszeni prawnika były ciche i nie dzieliły się żadnymi wskazówkami.

– Widać jest nieaktywna – stwierdził podirytowany Antoni.

– Wyczerpała swoje moce? – zapytałam z nadzieją.

– Raczej ktoś duma nad życzeniem albo to, które ma, wymaga czasu lub spełnienia konkretnych warunków – zgadywał. – Nawet chaośnik nie ma kontroli nad tym, w co obróci się magia monet i na kogo trafi. Zostaje nam czekać. Kiedy ktoś wypowie życzenie, będę wiedział. I znajdę właściciela.

– Dasz mi znać? – zapytałam z nadzieją.

– Gdzieżbym śmiał tego zaniedbać! – Uśmiechnął się niczym całkiem zaprzyjaźniony rekin.

– A chaośnik? – zagadnęłam.

Antoni westchnął głośno.

– Szelmut mały. To nie jest złe demoniątko, a przynajmniej na skali uniwersalnych przywar demonicznych nie jest najgorszy, ale huncwot straszny i spija chaos jak koliber nektar. Ale wciąż więcej mam z niego pożytku, gdy mi racuchy smaży, dom sprząta i przepisuje rękopisy na komputerze, niż gdyby siedział w celi. Na razie nic dramatycznego się nie wydarzyło, nikt nie zginął i poza drzewem nikt poważnie nie ucierpiał. Te psy znajdę w piekle i sprowadzę z powrotem.

– Ale nikt nie będzie musiał oddać ferrari czy wygranej w totka? – zapytałam zaniepokojona, bo to żółte autko sprawiało pani Marysi tyle radości, że serce mi się łamało na samą myśl, że musiałyby je zwrócić albo jednej nocy po prostu wyparowałyby z jej garażu.

– Pieniądze same w sobie nie robią nikomu krzywdy, a oni nie zrobili z monety najgorszego użytku. – Uśmiechnął się dobrotliwie. – Dla kilku poszkodowanych, jak właściciele „Kordonka”, wywalczę odszkodowanie, tu czy tam pociągnę za sznurki, rozejdzie się po kościach – zapewnił. – Przynajmniej jak długo pierwszym życzeniem tego, kto ma teraz monetę, nie będzie globalna epidemia, bo mu ludzi za dużo, albo załamanie rynku nieruchomości, bo tylko wtedy będzie jego lub ją stać na mieszkanie...

Ludzie sami w sobie zwykle nie są całkiem źli, ale okoliczności miewają mocno wyzywające. Czas pokaże.

*

Czekanie mi się nie dłużyło. Następnego popołudnia pojechaliśmy z Klonem do Bartnika. Drzewiecki senior z samego rana zabrał powalony dąb i wyrównał wielki dół, jaki został po wyrwanych korzeniach, więc Klon mógł przystąpić do realizacji swojego planu. Sadzonka dębu była malutka, przynajmniej pierwszego dnia...

Odiedzaliśmy ją codziennie i przez godzinę, czasem dwie, Klon nasycił drzewko swoją magią i pomagał mu rosnać. A ja siedziałam nieopodal i czytałam na głos te fragmenty mitologii nordyckiej, które entuzjastycznie opiewały to, jak ogromnie wielkim, niezłomnym, niezwyciężonym, żywotnym i wspaniałym drzewem był Yggdrasil. Wprawdzie tamten był wiązem, nie dębem, jak maluszek, ale liczyłam, że podziała to na niego motywująco i aspiracyjnie. Połączenie magii i inspiracji wpływało na drzewko znakomicie. Już po tygodniu wyglądało jak zdrowe i silne drzewo, które rosło tu od lat. A Klon wciąż nie powiedział ostatniego słowa i nie przelał ostatniej kropli magii.

Bartnik wychodził co jakiś czas na podwórko i wpatrywał się w drzewo z wilgotnymi oczami. Kiedy kilka tygodni wcześniej Klon zjawiał się z malutką sadzonką, właściciel posesji prawie się rozplakał i powiedział:

– Całe moje życie tam był, a teraz go po prostu nie ma. Nie myślałem, że będę tęsknił za drzewem. Posadź go, już nie dla mnie, ale dla moich wnuków.

– To nie jest to samo drzewo, nie może być, tamtego nie dało się już uratować. Ale wyhodowałem tego maluszka z żołędzia z tamtego dębu, więc genetycznie są prawie identyczne. I zanim urodzą się twoje wnuki, będziesz miał potężne drzewo, moja w tym głowa – oświadczył Klon.

I słowa dotrzymał. Jak to Klon.

*

Miesiąc po tym, jak znaleźliśmy pierwszą monetę, Antoni wpadł do kawiarni i między zamówieniem największej kawy ze wszystkim a wgrzyzieniem się w pączka obwieścił, że druga moneta została

uaktywniona i wie już gdzie, ale pójdziemy tam razem, gdy skończę zmianę.

– Gdyby nie ty, nie wiedziałbym o tym, co ta mała cholera wyczynia, więc uznajmy to za moje podziękowanie za dyskrecję – powiedział.

Najwyraźniej obawiał się, że zgłoszę sprawę mamie i na taczkach wywieziemy chaosnika z miasteczka. Nie widziałam ku temu powodu. Antoni miał na niego oko, a z jego umiłowaniem do chaosu mały demon w naszym miasteczku będzie się czuł jak u siebie.

*

Staliśmy przed dużą witryną z uroczą i gustowną ekspozycją książkową. Kolorowe okładki piętrzyły się na drabinkach i kusiły, by wejść do środka i przepuścić tam wypłatę. Jeszcze tydzień temu księgarnia nie istniała, mijałam ten lokal regularnie (świetna miejscówka, zaraz obok rynku i nieopodal parku), kiedyś był tu sklep z meblami kuchennymi na zamówienie. Jakies trzy lata temu właściciel zmarł, a jego spadkobiercy – wdowa i syn – nie mieli pomysłu na to, co zrobić ze sporą przestrzenią. Coś się najwyraźniej zmieniło.

Weszliśmy do środka. Zapach nowiutkich książek i kawy wypełnił moje nozdrza słodką mieszanką kojarzącą się ze szczęśliwymi chwilami. Księgarnia była już w pełni zatowarowana, wszystkie regały, stoły i półeczki zajmowały setki, tysiące tytułów.

Za długim kontuarem, na którym stały kasa i komputer, zobaczyłam młodą kobietę. Była wysoka i szczupła, jasne włosy zebrała w warkocz przerzucony przez lewe ramię. W kwiecistej sukience z koronkowym kołnierzykiem i gładką twarzą bez cienia makijażu wyglądała na góra trzydzieści lat, może mniej. Powitała nas szerokim, promiennym uśmiechem, który sięgał jasnozielonych oczu.

– Witam w Jeszcze Jednym Rozdziale, mam na imię Marta i z przyjemnością pomogę wam znaleźć idealną książkę – wyrecytowała.

Zostawiłam gadkę Antoniemu, był w niej dużo lepszy niż ja. Poza tym te wszystkie nowiutkie książki dookoła kompletnie mnie rozpraszały. Zanim się zorientowałam, trzymałam pod pachą dwie dla siebie i oglądałam kolejną, która na pewno spodobałaby się mamie.

Odkładałam je na kontuar przy kasie, kiedy usłyszałam, jak Antoni mówi:

– Nie zużyła pani jeszcze drugiego życzenia.

– Żartuje pan? Właśnie otworzyłam księgarnię, w tej branży małe życzenie może być różnicą między bankructwem a rozkwitem biznesu. Zachowam je na gorsze czasy – powiedziała i uśmiechnęła się rozbawiona.

– Widzi pani, tylko ja nie mogę zostawić tej monety bez opieki, sama pani rozumie, gdyby wpadła w niepowołane ręce...

– Rozumiem, rozumiem. – Pokiwała głową. – Ale co mi pan może zaproponować w zamian? Coś, co byłoby bardziej kuszące niż moneta spełniająca życzenia?

Antoni roześmiał się.

– Może koło ratunkowe i obietnicę inwestycji, gdyby biznes potrzebował wsparcia? – zapytał wyraźnie rozbawiony. – Do tego darmową opiekę prawną i księgową? – dorzucił.

– To nawet nie brzmi źle – przyznała i sięgnęła po niewielką ramkę, która wisiała na ścianie nad kasą. – Przyznam, że trochę się zamartwiałam tym, że po drugim życzeniu musiałabym ją puścić w świat, bo to w sumie odpowiedzialność. Ale nie stracę księgarni tylko dlatego, że nie dopełniam tego zobowiązania? – upewniła się.

– Obiecuję, że nic jej się nie stanie. – Antoni uniósł rękę w geście przysięgi.

Kobieta westchnęła ciężko i podała mu ramkę z umieszczoną w niej monetą.

– Niech stracę – powiedziała. A potem dodała: – Proszę się rozejrzeć po sklepie, jestem pewna, że znajdzie pan w naszej ofercie coś dla siebie.

Antoni zaczął mówić, że nie jest zainteresowany, ale już po chwili przeglądał jakiś tom, całkiem zaaferowany.

– To wszystko? – zwróciła się do mnie, zaczynając kasować mój stosik książek.

– Na razie – przyznałam i zapłaciłam za moje zakupy.

– Proszę koniecznie do nas wrócić i podzielić się wrażeniami z lektury! – Uśmiechnęła się szeroko.

– Wrócę na pewno.

Oczywiście, że czułam muśnięcie magii, ale jeśli dzięki niej znalazłam książki idealne dla mnie, komu działa się krzywda?

Antoni położył przy kasie stosik sześciu tytułów. Najwyraźniej i on nie był odporny na urok księgarni, ale też nie wyglądał na kogoś, kto zamierzał walczyć z pokusą. Z książkami i monetą wyszedł z księgarni z miną

zwycięzcy. Posprzątał bałagan po chaosniku i jeszcze wzbogacił swoją biblioteczkę.

Czasami wiele więcej do szczęścia nie trzeba.

Mówią, że miasteczko bez księgarni jest nim tylko z nazwy. Dzięki Marcie i jej marzeniu Zielony Jar stał się prawdziwym miasteczkiem, a księgarnia przyciągała klientów w każdym wieku. Mówiło się, że każdy znajdzie tam coś dla siebie, coś, w czym się zakocha, i zarwie noc, nie mogąc się oderwać do ostatniej strony. Prawdziwa magia!



Aneta Jadowska – pisarka seryjna, wielbicielka kryminalistyki i popkultury. Powołuje do życia silne i wyraziste postaci. Stwarza alternatywne miasta wypełnione magią. Nieustannie knuje zbrodnie i intrygi, przyprawiające jej bohaterów o ból głowy. Swobodnie wędruje między fantastyką i kryminałem.

Autorka zbioru opowiadań *Cud, miód, Malina*, trzech fantastycznych serii: *Heksalogia o Dorze Wilk*, *Trylogia Nikity*, *Trylogia Szamańska*, i jednej obyczajowo-kryminalnej: *Garstka z Ustki*.

Magdalena Świerczek-Gryboś

Śnieg na plaży

*Historia bazująca na tych, które wydarzyły, wydarzają i wydarzą się
naprawdę*

– Czy ty naprawdę nie możesz wreszcie zacząć zachowywać się NORMALNIE? – słyszę w słuchawce.

Niebo jest szare, tafla wody – srebrna, a plaża ma tę specyficzną, mdłą barwę mokrego piasku. Ciężki, nawilgły piach na całej jej długości wydaje się czymś nienaturalnym, niepasującym do miejsca, w którym większość przyjezdnych szuka słońca i wytchnienia. Ale ci, którzy mieszkają nad morzem, właśnie w tym okresie oddychają z ulgą, na pustych, ciemnych plażach, bez tych wszystkich knajpek, deptaków, parawanów, tłumów, muzyki, pisków. Rzadko zalega tu śnieg. Ostatnią białą plażę, taką ze śnieżną, wręcz lodową skorupą, pamiętam sprzed jakichś dziesięciu lat, wtedy gdy zima była tak sroga, że łamała słupy wysokiego napięcia i kładła pokotem drzewa. Pamiętam ciszę, pustkę, ulgę samotności i zapach herbaty z sokiem poziomkowym mamy. Wszyscy się martwili, że odcięło nas od świata, a ja się cieszyłam. Byłam zachwycona. Brak prądu, brak internetu, zasypane ulice.

Przypomniałam sobie te doznania dekadę później, w trakcie pandemii, choć to był już inny rodzaj izolacji, z globalną wioską skrytą w smartfonach. Nieznana zaraza przerażała, ale izolacja stanowiła dla mnie raj. Wirus szalał po świecie, a ja usiłowałam ignorować wiadomości i śniłam o tamtej białej plaży.

Zamykam teraz oczy i widzę ją niezwykle wyraźnie, jakby na jawie. Gęsto pokryty zlodowaciałym śniegiem piach, skuty lodem brzeg. Tak mocno utożsamiałam się przez lata z tym obrazem i to wiecznie był taki

ciężar. A teraz to wreszcie... nie boli. Ale mama tego nie rozumie. Muszę się z tym pogodzić, a jednak...

...przepętnia mnie dojmujące rozczarowanie.

– Co to znaczy „normalnie”, mamó? – Nie mogę się powstrzymać przed tym pytaniem.

– I znowu to robisz. Każdy wie, co jest NORMALNE.

– Tak. Kolacja wigilijna, jak rozumiem? – pytam ze znużeniem, grzebiąc butem w piasku. Czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę taką plażę jak wtedy, czy świat kompletnie się już zmienił?

– CHOCIAŻBY wigilia – podkreśla mama. – Ulitowałybyś się przynajmniej nad biedną Aurelcią. Dziecko musi mieć radość w życiu.

Nauczyłam się, że zawsze muszę wszystko tłumaczyć. Tłumaczyłam się ponad trzydzieści lat. Teraz mogę obserwować to jakby z boku; wreszcie widzę mechanizm, który rządził moim życiem.

– Mamó, to dziecko nie znosi tłumu, hałasu i uwagi. I nie może zjeść wigilijnych potraw. Tak samo jak ja – tłumaczę więc, jak zawsze, tylko tym razem mam na podorędziu mnóstwo definicji. Ale wiem, że na niej nie zrobią żadnego wrażenia.

– Kochanie, przestań wmawiać Aurelce choroby.

Biorę głęboki wdech. Czuję w płucach morski aerozol, w nosie zapach soli i glonów. Nie ma sensu pięćdziesiąty raz próbować wyjaśnić matce, że ASD* to nie choroba.

– Mamó, poradzicie sobie bez nas. Przyjedziemy po Nowym Roku.

Rozłączam się. Jeszcze kilka miesięcy temu bym tego nie potrafiła.

Stoję na niemal całkiem pustej plaży, w oddali na prawo widzę port, na lewo mogę dostrzec Gdynię. Otacza mnie szarość o mnóstwie odcieni, przenika przez nią szum i sporadyczny rumor fal. Wciąż biorę głębokie wdechy – mam wrażenie, że nigdy nie oddychałam w pełni, dopiero teraz.

Zamykam oczy. Pod powiekami mam biel.

*

– Jak minął pani tydzień? – pyta terapeutka.

Wreszcie jestem na właściwej terapii. Tyle ich miałam w życiu, że myślałam, iż nie mam już psychologom nic do powiedzenia. A jednak kiedy trafiłam na TĘ, wciąż i wciąż mówię, jakbym próbowała nadrobić dziesiątki lat.

– Powiedziałam mamie, że nie przyjedziemy na święta – rzucam od razu. – Nadal jestem w szoku.

– To dobry czy zły szok?

Ponadpięćdziesięcioletnia, ciemnowłosa terapeutka, w szmaragdowym golfie i okularach o dużych szklach, kojarzy mi się z taką matką, jakiej nigdy nie miałam. Ciepłą, uśmiechniętą, niewyniosłą.

Nie wyobrażam sobie mieć taką.

– Dobry. Naprawdę dobry.

– Dlaczego? Proszę zarysować mi kontekst. Podsumować.

Patrzę na maneki-neko stojącego na stoliku między nami. Niezmordowanie macha do mnie łapką.

– U mojej dziesięcioletniej córki zdiagnozowano spektrum autyzmu. Jak pani wie, zwrócono uwagę, że mam liczne cechy, które sugerują, że ja też jestem w spektrum.

– Kiedyś niewiele wiedziano o objawach u kobiet i po prostu wykluczano u nas taką możliwość, bo objawy mężczyzn nie pasowały. – Terapeutka daje znać, że wie, o czym mówię.

– No właśnie. Po kilku miesiącach dostałam swoją diagnozę. W wieku trzydziestu sześciu lat. – Biorę głęboki wdech. – Przestałam cierpieć. Zaczęłam rozumieć wszystko, co mi się przytrafiło w życiu. Dostrzegłam, że moja mama ma te same cechy. Ale nigdy jej tego nie powiem, bo nie zaakceptowała diagnozy Aurelii, nie zaakceptowała mojej i tak samo byłoby z sugestią na jej temat. I ja wreszcie... mogę się z tym pogodzić. Mogę się pogodzić z tym, że wciąż nie potrafię do niej dotrzeć. Wreszcie rozumiem ograniczenia nas wszystkich. To taka olbrzymia ulga.

– Czuje pani odpowiedzialność wobec córki. – Terapeutka kiwa głową, teraz kojarzy mi się z PRL-owską ozdobą do auta, tym śmiesznym pieskiem majtającym łbem za tylną szybą. Moje myśli jak zwykle są dość chaotyczne. – Pomaga jej zrozumieć swój neurotyp. Jednak wobec swojej mamy pani tego nie czuje.

Tak, myślę. Inaczej bym zwariowała.

– Wiem, że wychowała się w innych czasach. Że nie miała szans na diagnozę. Że zacementowała maskę neurotypowości na twarzy. Mogłabym ją skruszyć. Mogłabym. Ale nie chcę. Poradziła sobie. Sześćdziesiąt lat w neuroplemieniu, które nie jest jej, udając, że do niego pasuje. Nie odbiorę jej tego. Może ktoś patrzący z boku pomyśli, że zamiast tego odbieram jej córkę i wnuczkę, bo wreszcie świadomie stawiam granice. Ale moja matka

od dziesiątek lat tkwi we własnym świecie. Jest tam szczęśliwa. Ona tak naprawdę nas nie potrzebuje. Potrzebuje kontroli nad nami. Odebranie jej władzy nade mną to największy dar NORMALNOŚCI, jaki jej mogę dać.

– To dobre rozwiązanie na ten moment – słyszę zapewnienie. – Czas przyniesie kolejne. Jakie więc ma pani świąteczne czy też najbliższe plany?

Lubię tę terapię. Psycholożka czerpie ze szkoły poznawczo-behawioralnej, odpowiedniej dla osób w spektrum, ale i z pozytywnej. Unika psychodynamiki, bo ta rzadko jest wskazana dla osób neuroróżnorodnych w spektrum^{**}. Uśmiecham się.

– Chcę dać Aurelii coś wyjątkowego. Coś, co zapamięta na lata.

– Wie pani już, co dokładnie?

– Śnieg na plaży – odpowiadam. Mój uśmiech jest coraz szerszy. – Opowiadałam jej o zimie, którą pamiętam, tej, kiedy mróz łamał drzewa i słupy.

Terapeutka wpatruje się we mnie intensywnie, badawczo. Zazwyczaj nie znoszę takich spojrzeń, ale jej jest nienachalne, nie patrzy na mnie jak na dziwadło albo laskę. Patrzy, bo NAPRAWDĘ słucha.

– Pamiętam.

– Mówiłam o plaży pełnej śniegu. Ona nigdy takiej nie widziała. Orzekła, że śnieg na plaży jest taki sam jak ona. Że ludziom plaża kojarzy się ze słońcem i latem, a przecież śnieg też na niej bywa. Tylko nikt o tym nie myśli, nikogo nie interesuje ośnieżona plaża. I że cieszy się, że ja się zachwyam śniegiem na plaży i że jesteśmy takie same. Bo nie ma takich jak my w telewizji, w bajkach, w filmach. Ale przynajmniej ja jestem. I faktycznie, kiedy szukałam jakichkolwiek fajnych historii o dziewczynkach w spektrum, wciąż tylko natrafiam na tragiczne ukazania, na przekłamanie, na ukazywanie wyłącznie niesamodzielnymi osób w spektrum. Przysięgam, nie znalazłam żadnej nietragicznej historii o autystycznej dziewczynce, poza jedną, gdzie nastolatka w spektrum zamknięta jest na stacji kosmicznej^{***}. Ale to też nie jest wesoła historia.

Psycholożka zaraża się moją niepohamowaną radością, uśmiecha się łagodnie.

– I co pani robi?

Teraz już szczerzę zęby jak... no właśnie, jak „wariatka”. Ech, ludzie. Dlaczego niezmiernie radosnych nazywają wariatami?

– Mam plan – oznajmiam.

*

– Ej, Elka!

Tymek uwielbia skracać imię Aurelii. Kiedyś wołał Aurelka, ale chciał ją jeszcze bardziej wkurzyć, bo zdawał sobie sprawę, że jego DZIWNNA koleżanka nie znosi zdrobnień i skrótów. Dokuczał jej na sto sposobów, bo dziewczynka w ogóle nie reagowała. Wszystko, co się w niej działo, skrzętnie ukrywała przed kolegami i koleżankami z klasy, chociaż to kąsało i paliło w środku. Ukrywała, bo wiedziała, że to, jak się czuje, jest dla nich DZIWNE. A dzieci nie lubią dziwaków.

Nikt nie lubi.

– Przypominam ci, że nie wolno ci jej dokuczać – oznajmia buńczucznie ruda Zosia, stając ze skrzyżowanymi rękami między Tymkiem a Aurelią.

– Dobra, waflu, wycziluj. Nic jej nie zrobię. – Chłopiec przejeżdża ręką po wygolonym boku, jak rzadko kiedy wygląda na zakłopotanego.

Zosia robi niepewny krok w bok, dopuszczając złośliwego na co dzień kolegę do rysującej w ławce przyjaciółki. W końcu są na świetlicy i zza biurka po drugiej stronie sali zerka na nich biologica, która tu dzisiaj kibluje. No i Tymek jest jakiś dziwny. Nawet Aurelka czuje, poza gigantycznym zdenerwowaniem i obawą, że zaraz usłyszy coś niemiłego, także ciekawość. Tyle komentarzy i złośliwości wciąż nie zniszczyło w niej pragnienia, by ludzie ją lubili. Zwłaszcza ci, którzy z niewiadomego powodu lubić jej nie chcieli.

Aurelia nie potrafiła tego zrozumieć. Dopiero niedawno zaczęła coś sobie układać w głowie. Mama i pani lekarka mówiły, że należy do troszkę innego plemienia niż pozostałe dzieci w klasie. Jej plemię porozumiewa się trochę inaczej i bywa, że interesuje się trochę czym innym. Rzeczywiście, gdy zaczęła raz w tygodniu chodzić na świetlicę do takiego fajnego ośrodka ze „swoim” plemieniem, odkryła, że nie musi udawać ani chować się ze strachu, a i tak jest akceptowana albo zwyczajnie zostawiana sama sobie.

W szkole nikt jej nigdy nie chciał zostawić w spokoju. Każdy chciał, żeby zachowywała się NORMALNIE. Wszyscy skrzętnie podpatrywali od rodziców, starszego rodzeństwa i z ekranów tabletów, co to jest NORMALNOŚĆ.

Aurelia zaczyna bujać się w przód i w tył i mocno przygryzać wargę. Ciągłe jej mówiono, żeby przestała, bo „nie jest sierotą”, ale teraz mama kazała jej odpowiadać na takie teksty, że się „autoreguuje”. I myśleć o tym,

że to jak wtedy, kiedy ich pies po szalonych biegach po plaży kopie sobie dołek i kładzie się w nim, żeby się ochłodzić. Dla Aurelii takim wysiłkiem jak sprint są kontakty z innymi plemionami.

Tymek chrząka, przestępuje z nogi na nogę – dziewczynka tylko tyle widzi kątem oka, boi się podnieść wzrok znad rysunku.

– AURELIO...

Jest tak zaskoczona, że jednak podejmuje ten wysiłek i zerka na twarz kolegi, który sprawił jej w szkole tak wiele przykrości. Najzłośliwsze i tak były koleżanki, mama mówi, że to przez „wychowanie kulturowe na zołzy”, ale Tymek zdaje się ścigać z nimi po koronę zajebistości. No bo oni wszyscy chcą być naj, naj, jakby dało się wycisnąć filterki z insta, toby się nimi oblewali. I denerwuje ich, że Aurelia gubi się w tym wszystkim i chce tylko...

– ...jesteś w porządku. Mój kuzyn też ma autyzm...

– Mówi się: jest w spektrum autyzmu! Albo na spektrum! – syczy Zosia. Zawsze broniła Aurelii, wykorzystując swoją przebojowość, a teraz jeszcze zyskała do tego cały aparat pojęciowy.

– Zośka, mordeczko, a możesz nas zostawić na moment? Ktoś cię prosił, żebyś podsłuchiwała?

– Już ja cię znam! Nie zostawię z tobą Aurelii.

– Ona jest tylko autystyczna, a nie kaleka. Weź idź sobie po swój bezmleczny jogurt, co?

Obie dziewczynki rozdziawiają buzie. Zosia jest tak zszokowana, że rzeczywiście odchodzi po wegański deserek, który czeka na nią przy biurku nauczycielki.

– Byłem beznadziejny, tak, wiem. Możesz mnie walnąć, jak chcesz. – Tymek nachyla się nieco i odwraca do koleżanki profilem.

Aurelia patrzy na niego jak na skończonego głupka.

– Nie to nie. – Chłopak się prostuje. – Ładny rysunek.

– Dzięk-kuję – udaje jej powiedzieć.

– Wiem, że nie lubisz się tykać, ale jakbyś chciała, to podałbym ci rękę. To oznacza zgodę. Mafiozi – Tymek się ożywia – jak chcieli ubić interes, to zawsze podawali sobie ręce. Włosi to się nawet całują, ale ueee!

Aurelia rozgląda się spłoszona. Widzi, że grupa niemiłych koleżanek bacznie ich obserwuje. One pewnie nie mają żadnych kuzynów z jej plemienia, myśli ze smutkiem. Ale udaje jej się uśmiechnąć lekko do Tymka.

– Na moim terenie... załatwia się to... bez dotykania. – Stara się wejść w rolę, ale ma wrażenie, że wychodzi śmiesznie. Wzdycha i czuje, że się czerwieni. – Słowna deklaracja wystarczy – stwierdza cichutko. Jest pewna, że wyczerpała limit słów na kilka dni.

– No oki, to po twojemu. Naura, Aurelia!

Chłopak odchodzi z wyraźną ulgą.

Dziewczynka nie wie, jak się czuje. To było miłe czy straszne? Chyba jedno i drugie. Jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że zakochana w Tymku Iza z paczki tych najbardziej przebojowych teraz naprawdę się na nią uweźmie. Na razie wie tyle, że coś się zmieniło. Nie lubi zmian, ale akurat takie da się chyba przeżyć.

Wraca Zosia, cała podekscytowana.

– No i co, no i co? Co mówił ten idiota?

Aurelia wzrusza ramionami i wraca do rysowania. Jest bardzo zmęczona interakcjami. Słyszy niewyraźne szepty koleżanek, którym przewodzi Iza. Te szeleszczące odgłosy, wycelowane prosto w nią, omal nie wyprowadzają jej z równowagi. Kilka razy, gdy nie mogła już znieść różnych dźwięków, zdarzało jej się wrzeszczeć, by je zagłuszyć, a bardzo nie chciałyby teraz „robić widowiska”. Wie, że koleżanki się zmagają, chociaż nie rozumie, po co to robią. Czuje okropny skurcz w brzuchu i straszliwą chęć schowania się pod stolik, ale udaje jej się skupić krzyczące na nią myśli na tym, że ma jeszcze dwadzieścia minut spokoju. Potem Zosia odprowadzi ją do szatni i do samochodu mamy.

Jakoś to będzie. Jakoś przemknie.

Zawsze przemyka. No, prawie.

*

Dzień dobry,

Moja córka to śnieg na plaży. Mogłaby nam Pani pomóc?

Chyba tylko „wariaci” zaczynają tak wiadomości do nieznanym. Ale przecież hej, to już ustaliliśmy, jestem w poczcie „wariatów”.

Nigdy już nie będę myśleć o zaburzeniach rozwojowych i schorzeniach psychicznych tak jak wcześniej. Na forach, grupach i terapiach zdążyłam poznać osoby autystyczne, z zaburzeniem dwubiegunowym, ADHD, borderline, ze schizofrenią, nerwicami i fobiami. Wszystkich tych

niezwykle złożonych, wrażliwych ludzi, których społeczeństwo lubi wrzucać do worka „świr”. Przeszłam na drugą stronę lustra, jak Alicja. Nie jestem już ignorantką. I nie boję się tak zacząć maila!

No więc nakreślam tej pisarce, która stworzyła autystyczną dziewczynkę zamkniętą w rozpadającej się stacji kosmicznej, co i jak. Zaglądam czasem do poradni PWN-u i na wsjp.pl, no bo wstyd sadzić babole w tekście do literatki. Pisanie zajmuje mi żmudne dwie godziny, jestem całkiem sfokusowana na ekranie i ani na sekundę nie opuszcza mnie napięcie. No bo ja wiem, że jest mało czasu i trzeba to będzie najpewniej wydrukować na własny koszt, ale jestem gotowa. Potrzebny mi jeden egzemplarz. Mnie samej zupełnie brakuje talentu. Zacinam się, gdy mam wymyślać historie. Zabawne, zawsze mi mówiono, że zmyślam. A ja chyba nie potrafię. Moja szczerłość była obracana w żart. Nierozumienie aluzji, podtekstów, podpuszczania zmieniło moje życie w ciąg porażek, zwłaszcza towarzyskich i miłosnych. Odchylam się w fotelu, patrzę w głąb mieszkania, kolorowe lampki z pokoju Aurelki rzucają roztańczone światelka na panele w przedpokoju. Ona tego nie doświadczy. Wierzę, że nie. Dwóch dużo starszych gości nie wykorzysta jej seksualnie na imprezie. Złodziej działający metodą ulicznego kumpla-zawadiaki nie buchnie jej nowego telefonu. Nie będzie zmieniać szkół, chować się w szatni, nie rozpije się, żeby tylko zagłuszyć niedopasowanie i zbliżyć się do tych rówieśników, którzy wiecznie są tak nawaleni, że wszystko im jedno, jaki ktoś jest, byleby miał na alko. Nie będzie usiłowała znieść bodźców, na które jest nadwrażliwa, latami cierpiąc przez to na migreny i ataki paniki. Nie będzie się zmuszała do neurotypowych zachowań, przez co wiecznie dokuczają żołądek, drapiące ubrania i metki nie będą dla niej męką, bo wiem, jakie jej kupić, pojawiło się nawet parę firm z odzieżą przeznaczoną dla osób wrażliwych sensorycznie.

I znajdzie w książce superbohaterkę ze swojego plemienia.

Bo śnieg bywa na plaży. Leżał tam niegdyś całymi tygodniami. Ale nikt o tym nie myśli. Na Instagramie nie ma takich zdjęć. Nikt nie robi sobie *sweet foci* na zaśnieżonej plaży. Najwyżej morsy. Patrzcie, jacy jesteśmy hardzi. Udeptujemy śnieg gołymi stopami. Harpagany!

Też jestem harpagan, jo? Bo klikam „wyślij”. To mój Mount Everest.

(I jeszcze wystanie w długiej kolejce do kasy, będąc osaczoną przez niezadowolonych, pchających się dorosłych, rozkrzyczane dzieci, na sali

pełnej światła i zakupowej wrzawy. Dobrze, że zakupy można dostać pod drzwiami...).

*

Nie wierzę w choinkę. Bo nie wierzę w Boga. Wszystko mi jedno, czy to zapożyczone z pogaństwa, czy skąd, po prostu mnie to nie interesuje, jest wiele wieków później. Nie uskuteczniłam pustych w moim przypadku tradycji, a taką byłoby ubranie choinki tylko po to, by „dziecko się cieszyło”. Dziecko można ucieszyć inaczej. Mama kiedyś – sądząc, że jest bardzo sprytna – spytała, czy ta „ułamność”, co to ją niby mam, prowadzi do tego, że nie czuję i nie słyszę Boga. Byłam wtedy jeszcze na tyle naiwna, aby próbować jej wyjaśnić, że w każdym neuroplemieniu są bardzo różni ludzie, wierzący, niewierzący, wątpiący, nieinteresujący się tymi sprawami i tak dalej. Nie wszyscy są jak ja, ja nie jestem jak wszyscy, a wśród osób w spektrum w ogóle jest bardzo duża różnorodność charakterów, bo wykazujemy mniejszą podatność na przyswajanie kodów kulturowych. Potem nauczyłam się nie reagować na złośliwe zaczepki. Nie rozumiem, po co są. I nie chcę rozumieć.

Spytałam Aurelię, co chciałaby, żeby pojawiło się w naszym salonie, i co zaopiekuje się ziarenkiem, które tam zasadzę. A z ziarenka wyrośnie prezent. Nie może podglądać, musi grzecznie pójść spać, to wyrośnie. Mogę czarować świat mojej córki na własny sposób. I na jej sposób.

A ona sobie zażyczyła kościotrupa.

Bardzo lubi kościotrupy. Terapeutka twierdzi, że to wyraz tęsknoty za ludźmi. Takimi, którzy by ją pojęli i akceptowali, i których towarzystwo byłoby znośne. Osobami z jej plemienia. Neurotypowi często jej nie rozumieją, nie akceptują, ale ona pragnie i potrzebuje towarzystwa. A kościotrup to sam trzon człowieka, taka materialna esencja (Aurelię bardzo niepokoją sprawy duchowe, bo nie może ich zobaczyć, dotknąć, zbadać). I do tego kościotrup nie gada. I nie jest nie do rozczytania. W bajkach albo jest przyjazny i śmieszny, albo straszny, nic ponadto.

No więc stoi nam w salonie kościotrup. Syn sąsiadów pożyczył mi dla niego tweedową marynarkę. Powiesiłam mu na jednej ręce bombkę, a wokół szyi zakręciłam łańcuch choinkowy, który uchwalał się na dnie szafy po poprzednich właścicielach mieszkania. Nie mogłam się powstrzymać. To po prostu zabawne.

Na imię ma Konstanty. Gdy jestem pewna, że Aurelia już śpi, kładę mu u stóp ziarenko.

Ziarenko, które wykiełkuje pod śniegiem. Na plaży. Tak się da. Moja mama mówi, że to, że jesteśmy nienormalne, jest niemożliwe. Dobrze się odżywiła w ciąży, w rodzinie wszyscy zdrowi. Taaak, a te depresje, do których nie potrafią się przyznać, to przecież nic, „fanaberie”. Trzeba żyć, nie wydziwiać.

Mama mówi, że tak się nie da. Być śniegiem. Mama mówi, że my wiosna, lato.

Ale zima też jest. Cały żar emocji schowany, niedostępny, powodujący shutdowny****. Ludzie wolą zaprzeczać, mówić, że plaża to słońce i żar na powierzchni. Albo śnieg na plaży nazywać upośledzeniem. Nie chcą go. Omijają. Śnieg to jest przecież fajny w górach. Tam jest jego miejsce. Tam można poszusować na nartach i zrobić fajną fotę na IG.

Śnieg na plaży JEST. Chociaż dawno go nie widziałam. A pod spodem tli się żar. I on nakarmi ziarno.

*

Czekam.

Zeszłego wieczoru zjadłyśmy osiemnaście potraw. Tyle chciała Aurelia. Tylko tyle lubi, chce, może jeść. Osiemnaście rzeczy, nawet nie potraw, ale kto mi zabroni tak je nazywać?

Budzę się około czwartej i już nie mogę zasnąć. Wciąż i wciąż myślę o tej historii. Przemienia mnie. Zdejmuje klątwę, jaka ciążyła na moim dzieciństwie i dorastaniu. Wtedy nie znałam jej nazwy. Nie mogłam jej „zdjąć”.

Nie wiedziałam, że nie jest klątwą. Że nie ma tylko jednego neuroplemienia.

Klara miała supermoc – wrażliwość – ale wszyscy nazywali ją nadwrażliwością.

„Klara, nie wydziwiaj!”

„Uważaj na Klarę, jest nadwrażliwa!”

„Klara, przestań udawać!”

Ale Klara nie udawała. Miała supersłuch i superwęch jak jej ukochany Pies Jaskier, światło bardzo ją raziło, za to widziała w niemal całkowitej ciemności, jak Kicia Hermiona, a dotyk miała wyczulony niczym rośliną,

która wie nawet to, że ktoś obok niej przechodzi albo chce pogłaskać, albo, o rany!, złamać, i może nawet chciałyby się uchylić, ale nie porusza się tak szybko i zgrabnie jak inne żywe istoty.

Psy trącają się nosami i ganiają, koty się do siebie tulą, a rośliny – Klara czytała o tym w książce o ich sekretnym życiu – porozumiewają się ze sobą za pomocą grzybowo-korzeniowego internetu. Natomiast Klara nie miała koleżanek. Woląca przez to nie płakać, bo jeszcze ktoś zobaczy – chciała schować swoje supermoce, żeby ludzie ją polubili. Kochała siedzieć w domu ze swoimi zwierzakami albo chodzić na spacerki do lasu, ale chciała też z kimś porozmawiać, porysować, pośmiać się, nie krępować się i nie być obiektem drwin. Patrzyła czasem na głośne, żywiołowe dziewczynki podczas ich szalonych zabaw, za szybkich dla niej, niezrozumiałych, ale zachwycających, i czuła w środku, jakby była niekompletnym obrazkiem z puzzli i znowu gubiła kolejny fragment.

Gdy nastał dzień przesilenia zimowego i zwierzęta zebrały się w lesie przy najstarszych olchach-mędrzyniach, by jak co roku omówić swoje leśne sprawy – była tam również Kicia Hermiona, a Jaskier siedział przy płocie i wszystko słyszał – od razu podjęły temat Klary. Nie mogły patrzeć na to, jak dziewczynka obdarzona supermocami, które były coraz rzadziej spotykane wśród zamykających się w betonowych miastach, jedzących chemię i gapiących się w ekrany, obojętnych ludzi, robi się coraz smutniejsza i się swoich supermocy wyrzeka.

„Jest jedną z nas! Co z tego, że na dwóch nogach! – perorował Dziecioł. – Ja też mam dwie nogi, i nawet dziób, a głowę jak sprężyna. Walę nią w drzewa tak, że mi odskakuje, i gdyby nie sprężyna, spadłaby mi z karku. A i tak mnie lubicie”.

„Ale my wszyscy lubimy Klarę!” – zapewniły zgodnym chórem zwierzęta i rośliny.

„Tylko że z nią nie gadacie! Ona się z ludźmi nie dogaduje, więc pewnie niedługo obrośnie mchem i zamilknie jak kamień. Jak zwykle musimy wszystko robić za ludziów”.

„Ale, Dzieciole, od czasu Doktora nie pozwalaliśmy ludziom nas zrozumieć... – przypomniła Sowa, prawie tak mądra jak wiekowe olchy. – Sam dobrze wiesz, co się stało: ludzie to plotkarze, ktoś się wygadał, zrobili film. Mogliśmy się przed wszystkimi zdemaskować! Dobrze, że większość ludzi jest niemądra i wzięła to za bajkę. Dzieci są mądre, wiedzą, ale potem, ugh, dorastają”.

„A widzieliście kiedyś taką dziewczynkę jak Klara?” – spytał chytrze Królik, bo wcale nie było tak, że w tym lesie to Lis był chytry; Lis był pokojowo nastawionym i gadatliwym wegetarianinem, i akurat nie brał udziału w rozmowie, bo zbierał dla wszystkich korzonki na późniejszą ucztę. Nie wszystko jest takie, jak mówią stereotypy!

Zgromadzeni zgodnie pokręcili głowami bądź łepkami. Drzewa, krzewy i trawy zaszumiały. Nie, nikt nie widział dziewczynki, która tak wiele by czuła. Drzewa były niemal pewne, że Klara odbierała wiadomości z grzybonetu, gdy przykładła ucho do pnia, z kolei zwierzęta nie potrafiły się przed nią skryć – właściwie jednak nie musiały, ale robiły to z przyzwyczajenia. Inne dzieci krzyczały i biegały, nie zachowując w lesie stosownej ciszy, i wrażliwe uszy zwierzaków cierpiały, a niektóre ludzkie latorośle nawet znęcały się nad małymi żyjątkami! Już nie wspominając o niemądrych dorosłych, którzy potrafili spuścić tutaj niesforne psiaki ze smyczy, co to parę razy omal nie zamęczyły sarenek pogonią, albo wręcz polowali na mieszkańców lasu! Albo przychodzili po drzewa z siekierami!!! Jednak nikt w całym lesie nie obawiał się wrażliwej, współczującej Klary, obdarzonej megazmysłami.

„Spróbujmy, spróbujmy, no!” – prosił Dzieciół.

Ale wszyscy zgromadzeni pojęli, że „stuknięty” ptak tak naprawdę wcale nie musi ich namawiać. Nikt nie chciał zostawić tak otwartej na ich świat dziewczynki w potrzebie. Skoro ludzie nie stanęli na wysokości zadania, las to zrobi!

Hermiona postanowiła być pierwszą, która odezwie się do Klary – bo gdyby tak na kolejnym spacerze las zaczął do dziewczynki gadać, ta jak nic by się przestraszyła, a niemądrzy dorośli jeszcze by chcieli ją z tego „leczyć”. Leczyć z supermocy! Las zupełnie nie rozumiał, co niedobrego działo się z większością ludzi, gdy dorastali, ale ich zmysły, a zwłaszcza współodczuwanie, psuły się w zastraszającym tempie.

Kotka była pewna, że Klara, w swoim ciepłym łóżeczku, wtulona w liczne pluszaki, powoli się oswoi z tajemną wiedzą, którą leśne stworzenia postanowiły ją obdarzyć, aż w końcu się z niej ucieszy. Popędziła po świeżo naprószonym, pierwszym tego roku śniegu do domu...

Wydaje mi się, jakbym znała tę historię od dawna. Z biegiem opowieści Klara stawała się superbohaterką zwierząt i roślin, które chroniły ją przed ludźmi. Ci z kolei początkowo uznali ją za chorą, a potem, gdy się

zorientowali, jakimi mocami dysponuje, zaczęli się jej bardzo narzucać – chcieli, by rozwiązywała ich problemy i używała swoich mocy w ich interesach. A to żeby niegrzeczny piesek zaczął słuchać, a to żeby zwierzątka objęte ochroną wyniosły się z terenu, gdzie chciano zbudować hotel dla bogaczy... Klara wspólnie ze swoimi przyjaciółmi – a jest ich w końcu na świecie znacznie więcej niż przedstawiciele gatunku ludzkiego – uruchomiła uwrażliwiający kurs online dla całej ludzkości, a dochód z niego przeznaczyła na ratowanie planety, chorych zwierzątek i chorych dzieci.

Beczałam pod koniec lektury tak, że potem musiałam użyć tony kremu i podkładu, by Aurelka nie pomyślała, że jestem smutna; zazwyczaj wtedy automatycznie się o to obwiniała.

Moja córka czyta już trzecią godzinę. Późno się czytać nauczyła, ale potem już nie umiała przestać i robi to teraz naprawdę szybko. Trochę ją w myślach popędzam, a potem się za to ganię. Nie mogę się doczekać, aż skończy i będzie chciała – o ile w ogóle otworzy usta – o Klarze pogadać. Patrzę za okno, a tam nawet nie wiem kiedy rozpętała się śnieżycyca. Z sercem w gardle zerkam do internetu na doniesienia i prognozy. Może... może naprawdę jutro rano... na plaży będzie leżał śnieg?

Aurelka wychodzi ze swojego pokoju z książką pod pachą. Po jej minie niczego nie można odgadnąć, jest poważna jak zazwyczaj, bo Aurelka większość rzeczy bierze na bardzo poważnie. Tak jak ja. Siada na fotelu i prawie patrzy mi w oczy – chyba koncentruje się na ustach. Moje serce zdaje się tłuc teraz tak mocno w żebra, jakby chciało się ku niej wyrwać.

– Mamo, a skąd ta pani wie, jak jest?

Zaciskam ręce na kocu. Miękki materiał, miękka sierść zawsze mnie uspokajają. Mam wielką ochotę wziąć do ręki stim toya^{*****}, ale się powstrzymuję. Nie teraz. Za chwilę.

– Bo jest taka jak my, słońce – odpowiadam. – To autystyczna pisarka.

– O.

Moja córka robi wielkie oczy. Mnie oczy wilgotnieją. Oto przed Aurelią otwiera się świat.

W duchu dziękuję tej autorce, która znalazła czas, by wymyślić i spisać losy Klary; wydawca, choć nie wie jeszcze, czy bajka „ma stosowny potencjał sprzedażowy”, pomógł ją naprędce złożyć, grafik zrobił śliczną okładkę z przerobionego Midjourneya i zlecono dla nas druk tego jednego, wspaniałego egzemplarza. Dzięki temu mogę teraz patrzeć na moją córkę,

która przyciąga do siebie dłoń Konstantego, bada opuszkami kości jego palców i powoli, powoli na jej twarzy pojawia się tak rzadki uśmiech.

– Ta dziewczynka jest taka jak ja.

Zamykam na moment oczy. Pod powiekami mam biel.

– Tak, kochanie. Jest taka jak ty.

Dla wszystkich dziewczyn z grupy „Dziewczyny w spektrum autyzmu” i nie tylko, które otrzymały swoją diagnozę w ten sam sposób, lub po prostu jako dorosłe już kobiety, trzydziesto-, czterdziesto-, pięćdziesięciolatki.

Kilka lat temu, dzięki odważnym autystycznym dziewczynom, które udzieliły jednych z pierwszych dostępnych w sieci wywiadów, poznałam specyfikę objawów u kobiet w spektrum autyzmu. Gdy otrzymałam (po piętnastu latach poszukiwań) swoją diagnozę i upubliczniłam swoje doświadczenia oraz zdobytą wiedzę, kilkanaście moich bliższych i dalszych znajomych oraz obserwatorek zyskało wsparcie i informacje, które pozwoliły im zdiagnozować siebie i/lub swoje dzieci. Dziękuję Wam za odwagę do walki o zrozumienie siebie i najbliższych, mimo że wiedza na temat ASD kobiet jest w naszym kraju wciąż znikoma, a lekarze nieustannie serwują nam niewłaściwe diagnozy.

Każda z Was zmienia świat na lepsze.

Każda z Was jest historią, którą warto opowiedzieć.

* ASD – *autism spectrum disorder*, czyli spektrum zaburzeń autystycznych. (Wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

** Osoby neuroróżnorodne – termin obejmujący osoby neurotypowe, jak i neuroatypowe, czyli z zaburzeniami neurorozwojowymi i schorzeniami psychicznymi. Związany jest z ruchem mającym na celu zmianę sposobu myślenia o osobach uznawanych za „nienormalne”, których mózgi uważa się za „patologiczne”, i stworzenia nowych systemów wsparcia; ruchem pomagającym zwalczać przekonanie, że zaburzenie rozwojowe czy schorzenie psychiczne stanowi „ułomność”, „wybrakowanie”, przy których zawsze konieczna jest interwencja medyczna czy jakaś forma „naprawy”. „Normalność” rozumiana jest w tym wypadku jako idea stojąca w sprzeczności z niezwykłym zróżnicowaniem gatunku ludzkiego pod względem neurologicznym. Neuroróżnorodność wskazuje na istnienie alternatywnych ścieżek rozwoju człowieka, a nie wyłącznie jednej „prawidłowej”. Koncepcja neuroróżnorodności jest popularna wśród osób w spektrum autyzmu, ale spotyka się również z krytyką z powodu zbyt szerokiego zakresu czy nieodzwierciedlenia rzeczywistości osób, które potrzebują szczególnego wsparcia, opieki i leczenia.

*** *Lew i stalker z grzywą*, SQN 2022, *Nieświat*, SQN 2023.

**** Shutdown – przeciwieństwo meltdownu (niekontrolowanego wybuchu emocji), zamknięcie emocji w sobie, ukrycie ich w reakcji na nieznośne bodźce i doznania. Lubię porównywać meltdown do eksplozji, a shutdown do implozji. Tego rodzaju „implozja” jest bardzo destrukcyjna.

***** Stim toy – antystresowa, sensoryczna zabawka stymulująca; takie i podobnego rodzaju (np. fidget toys, zabawki na koncentrację uwagi dla osób m.in. z ADHD) używane są przez osoby neuroróżnorodne.



Magdalena Świerczek-Gryboś – urodzona w 1990 roku. Pisarka, redaktorka, badaczka twórczości Stanisława Lema. Nagradzana w konkursach poetyckich oraz prozatorskich, nominowana do nagród literackich (Nagroda im. J.A. Zajdla, Nagroda im. Macieja Parowskiego). Pisze głównie fantastykę naukową, postapo, weird fiction. Współtworzy Polską Fundację Fantastyki Naukowej, Grupę Wydawniczą Fantazmaty, organizuje konkursy, wspiera debiutantów.

Jacek Łukawski

**Mariusz, Zbrodniciel
i Kolorowa Dziewczyna**

Ten poniedziałkowy wieczór był wyjątkowy i choć Mariusz musiał czekać na niego prawie trzydzieści osiem lat, to siedząc w fotelu z zamkniętymi oczami i wsłuchując się w bicie własnego serca, wiedział, że było warto. Wydaje się trywialne, gdy ludzie mówią, że nigdy wcześniej nie byli tak szczęśliwi, ale Mariusz naprawdę nie był. Nie pamiętał, czym jest radość, i już nawet nie wierzył, że ktoś taki jak on ma do niej prawo. Coraz częściej rozmyślał nad sensem swojego istnienia, nad życiem, o które wcale się nie prosił i które przeciekało przez kolejne kartki kalendarza jak szarobura, jałowa breja, cuchnąca zniechęceniem i obojętnością. Dlatego od kilku miesięcy budził się z rosnącym przekonaniem, że lepiej dla wszystkich byłoby, gdyby po prostu nie istniał. Argumentów za nieistnieniem potrafił wymienić sporo, a za istnieniem żadnego. Nic więc dziwnego, że bez emocji, zupełnie na poważnie zaczął szukać w internecie sposobów na to, jak bezboleśnie zakończyć egzystencję, i tego poniedziałkowego wieczora z pewnością już by go nie było, gdyby tydzień wcześniej nie wydarzył się cud.

Choć akurat w tym wypadku cud nie był najwłaściwszym określeniem, co Mariusz musiał przyznać z pewnym wstydem. Cud kojarzy się przecież z czymś niewytłumaczalnym, ale jednoznacznie pozytywnym. Z palcem, który Bóg zanurza ukradkiem w szklance z herbatą i miesza, aż wszystkie fusy opadną na dno, by podczas picia nie wciskały się w szpary między zębami. Śmierć kolegi z pracy w żadnym razie taka nie była.

Owszem, Mariusz go nie lubił i kilka razy nawet w duchu życzył mu śmierci, ale przecież każdy ma czasem takie myśli. Każdy prędzej czy później spotyka na swojej drodze kogoś, kogo wepchnąłby pod przejeżdżający tramwaj albo rozstrzelał, gdyby akurat miał broń. Porąbał tasakiem, zepchnął z dachu, spalił żywcem, tańcząc w blasku płomieni i śpiewając na cały głos, że płonie drań w lesie, albo jakąś inną fajną piosenkę. Każdy miewa takie myśli, ale one nigdy przecież nie są na

poważnie. Nikt nigdy nie chciałby ich wcielić w czyn. Dlatego gdy Przemka Bambara znaleziono w firmowym składziku, zadźganego nożyczkami, Mariusz zaczął mieć ogromne wyrzuty sumienia, że kiedykolwiek życzył mu źle.

Te wyrzuty sprawiły, że na pogrzeb kupił naprawdę duży wieniec i z trudem zdołał go wcisnąć do swojego wysłużonego seata. „Koledze z pracy. Spoczywaj w spokoju” napisała pani z kwiaciarni czarnym mazakiem na srebrnej szarfie. Tak naprawdę napisała „w pokoju”, ale Mariusz poprosił, żeby dodała „s”, bo pokój kojarzył się z pomieszczeniem. Przez to odstęp za „w” był trochę za mały, ale i tak uznał takie rozwiązanie za lepsze, niż gdyby potem cały czas miał o tym myśleć i martwić się, że wszyscy patrzą i w duchu się śmieją z takiej gafy i z niego samego.

Na cmentarzu nie czuł się dobrze, jak zawsze gdy wkoło było zbyt wielu ludzi, ale mimo to dotrwał do końca smutnej ceremonii, a nawet złożył kondolencje żonie Przemka. Do tamtej chwili znał ją tylko ze zdjęcia, które kiedyś pokazał mu kolega, chwając się, jaką to ma piękną żonę, i rzeczywiście na tamtym zdjęciu była śliczna. Nomen omen jak z obrazka. Ale na cmentarzu nie było żadnych filtrów, więc wyglądała inaczej i Mariusz pomyślał sobie, że to dziwne, iż ludzie robią takie rzeczy – sztucznie upiększają swoje zdjęcia. Oczywiście nie powiedział tego na głos i starał się nie przyglądać pogrążonej w żalu kobiecie, aby nikt nie pomyślał, że jest jakimś dziwakiem. A przynajmniej, że jest nim bardziej niż zwykle.

Pogrzeb odbył się w czwartek, dzień przed tym, gdy dzięki Przemkowi Bamberowi Mariusz zaszokował wszystkich i samego siebie, ale to wcale nie zaczęło się we wtorek, kiedy znaleziono zwłoki, tylko dzień wcześniej. Mariuszowi aż się od tego wszystkiego kręciło w głowie i może trochę myliło, lecz siedząc wieczorem w fotelu, jednego był pewien na sto procent: cud wydarzył się dokładnie tydzień wcześniej, w miniony poniedziałek, choć jeszcze przed weekendem, w piątek, nic go nie zapowiadało.

W piątek Mariusz wciąż był tym samym niemodnie ubranym, nieciekawym milczkiem, którego przez lata wszyscy mijali na korytarzu jak powietrze. Tym dziwnym kolesiem zatrudnionym tak dawno, że wrósł w gmach jak grzyb w ścianę. Takim, jakiego trzyma się już tylko po to, aby zlecać mu najnudniejsze, najbardziej monotonne zadania. Dziwakiem albo

incelem, jak nazwał go kiedyś Przemek, co wcale nie było miłe, ale Mariusz się tym nie przejął nawet wtedy, kiedy sprawdził, co to znaczy.

Choć może to nie do końca była prawda i gdzieś w głębi zrobiło mu się przykro. Z drugiej jednak strony dobrze rozumiał, dlaczego coś takiego przyszło wtedy Przemkowi do głowy. Choć mówi się, że najtrudniej spojrzeć na siebie cudzymi oczami, to Mariusz nie był przecież wobec siebie całkowicie bezkrytyczny, nie był ślepy. Przede wszystkim nie był jednak szczęśliwy, na co ogromny wpływ miał brak powodzenia u kobiet. Bo Mariuszem prawie żadna kobieta się nie interesowała, dla żadnej nie wydawał się atrakcyjny jako mężczyzna, a na pewno nie był taki od śmierci mamy.

Mariusz już jako chłopiec wyglądał bardzo przeciętnie, nie miał specjalnie interesującej osobowości, a przede wszystkim nie odnajdywał się w towarzystwie innych dzieci. Wychowując się bez ojca, mimowolnie przejmował pewne cechy i wzorce zachowania od mamy, co nie pomagało. Zauważył to dopiero w szkole średniej i starał się zrobić wszystko, aby „znormalnieć”. To był dla niego bardzo trudny, ale dobry okres. Gdy kończył szkołę, miał kilku znajomych i może jeszcze nie dziewczynę, ale na pewno już nie koleżankę. Chciało mu się żyć.

Zaraz jednak wszystko się popsuło, bo zamiast towarzysko spędzać wakacje, Mariusz musiał pójść do pracy. Pensja mamy nie wystarczała, tym bardziej że Mariusz stawał się już mężczyzną i też chciał czegoś od życia. Chciał i dostał... Posadę w urzędzie, w którym jego mama była starszą referentką. Więc gdy jego znajomi i „jeszcze nie dziewczyna” jechali bawić się nad wodę, on zanurzał się w czeluści betonowego gmachu, by dreptać aortami korytarzy głębiej i głębiej w niekończącą się biurokratyczną bezdeń. Ponoć nikt, kto choć raz otarł się o okólniki do wytycznych formularzy dla nowelizowanych paragrafów rozporządzeń w wymienionych ustępach, nie pozostał w pełni sobą, a Mariusz miał je na co dzień. Przenosił teczki z pokoju do pokoju, z piętra na piętro, z archiwum na biurka i z półek na regały. Nim się spostrzegł, maszerował obładowany papierami w takt rytmicznego stukotu pieczęci odbijających bezduszny ślad na wnioskach i podaniach.

Być może życie Mariusza potoczyłoby się inaczej, gdyby nie dwie tragedie. Pierwsza, o niebo mniejsza, wręcz przyziemna, ale dla serca Mariusza ogromna jak amerykański kanion, wydarzyła się w dniu jego pierwszej wypłaty. Gdy stanął przy kasie, by odebrać kilka papierków

i kilka monet, nie spodziewał się, że za chwilę świat ucieknie mu spod stóp. Lecz gdy chwilę później zadzwonił do swojej „jeszcze nie dziewczyny”, by zaprosić ją na wspólny weekend, okazało się, że ona jest już dziewczyną kogoś innego. W tamtej chwili świetlówki zatrzepotały nad głową Mariusza jak zrywające się do lotu ptaki, a rytm bijących za ścianą pieczętek przyśpieszył w takt jego pękniętego serca. Czym jednak była ta chwila wobec cierpienia, jakie przyszło kilka dni później, w weekend? W sobotę mama Mariusza miała wypadek. W ich domu, stojącym w cichej dzielnicy na obrzeżach miasta, potknęła się na schodach tak nieszczęśliwie, że Mariusz mógł już tylko wybrać kształt nagrobka i krój czcionki, której kamieniarz użył do napisu „Kochanej mamusi”. Nic więcej.

To właśnie te dwie tragedie, tak bliskie i bolesne, sprawiły, że Mariusz zapadł się w sobie, chwytając ostatkiem sił jedynej rzeczy, jaka mu pozostała: pracy. One były odpowiedzialne za to, że przy kolejnych zmianach dyrektorów i kierowników wszelkich szczebli, którzy zastępowali cudzych pracowników swoimi, nikt nie wręczył Mariuszowi wypowiedzenia. Każdy bowiem znał smutną historię człowieka od kilkunastu lat snującego się po korytarzach, wciąż ubranego w sweter, „który mamusia lubiła”, i z fryzurą jak ze starego zdjęcia. Każdemu było go żal.

Aż zdarzył się cud! A może bardziej dwa cudy? Bo dla wszystkich wkoło cud był dopiero w piątek, ale dla Mariusza w poniedziałek. Dokładnie o godzinie siódmej zero pięć, bo wtedy po raz pierwszy zobaczył ją!

Ona miała kasztanowe włosy opadające na czoło i okulary w kolorowych oprawkach. Ona miała turkusową bluzeczkę i kołnierzyk, który się śmiesznie podwinął. Węzełkowe bransoletki, pierścionek z zielonym oczkiem i spódnicę plisowaną ona miała, i kolorowe sznurówki, a uśmiech... Uśmiech taki miała też ona, że Mariusz zamarł, gdy go mijala, roztaczając wkoło woń polnych kwiatów i słodki zapach zbliżającej się zmiany.

Tak, w zeszły poniedziałek, w szarym urzędzie pracę rozpoczęła Kolorowa Dziewczyna, sprawiając, że po raz pierwszy od wielu, wielu lat, Mariuszowi mocniej zabiło serce. W tamtej chwili zamigotały nad jego głową energooszczędne żarówki, w rurach zabulgotało z nadzieją, a nagły przeciąg klepnął go w ramię, jak gdyby chciał dodać animuszu. I nawet gdy Mariusz w ogóle nie zauważył tych wyraźnych sugestii, to Gmach urzędu się na niego nie obraził, w końcu miał do Mariusza słabość.

Dopiero po długiej chwili Mariusz pomyślał, że mógł powiedzieć chociaż „dzień dobry”, ale wtedy Kolorowej Dziewczyny już nie było, zniknęła w otchłani korytarzy. Oczywiście nie zamierzał jej gonić, to byłoby zbyt dziwne. Poza tym nie wiedział, w którym z wielu pokoi przydzielono jej biurko, a może i pieczętkę. To nie było tak, że nie mógłby jej odszukać, bo przecież znał ten budynek jak nikt inny. Mógł podążyć za delikatnymi wibracjami, jakie rezonowały w poręczach, echem chowającym się w zakamarkach podłogi czy zapachem, którego jeszcze nie rozviała zbyt leniwa klimatyzacja. Mógł tak zrobić, ale nie zrobił, bo jaki miałyby to sens? Przecież on był Mariuszem, a ona Kolorową Dziewczyną.

A potem spotkali się na przerwie. Nie takiej zwykłej, którą robili sobie wszyscy niemal w tym samym czasie, a tej jego własnej, osobistej. Bo Mariusz śniadanie jadł później niż reszta urzędników; nie dlatego, że wcześniej nie był głodny, tylko dlatego, że wolał jeść w samotności. Dopiero gdy wszyscy wracali ze stołówki do swoich pokoi, do biur, komputerów i pieczętek, Mariusz ruszał korytarzem, unosząc się na fali zamykanych drzwi, jak mistrz surfing, by w opustoszałej jadalni zająć zawsze ten sam stolik. Wyciągał z szeleszczącej folii kanapki – w dni parzyste z mięsem, a w nieparzyste z serem albo sałatą i pomidorem. Potem jadł je powoli, wpatrując się w widoczną za oknem ścianę sąsiedniego gmachu. Czasem po deszczu robiły się na niej zacieki, a czasem wysoko, na niewielkim skrawku nieba, pojawiała się jakaś chmura. Raz nawet przeleciał samolot. To wszystko może nie było zbyt ciekawe, ale Mariuszowi wystarczało.

Tego dnia jednak zatrzymał się w drzwiach i nie wiedział, co zrobić, bo stołówka nie była pusta. Chciał się cofnąć, ale było już na to za późno, bo Kolorowa Dziewczyna spojrzała na niego i powiedziała „dzień dobry”.

– Dzień dobry – odpowiedział, bo przecież bardzo nieładnie byłoby, gdyby tego nie zrobił, i chcąc nie chcąc, wślizgnął się do pomieszczenia, by przycupnąć przy pierwszym stoliku z brzegu.

Nie było to jego miejsce i nie czuł się tam komfortowo, ale nie miał wyboru, bo przy oknie siedziała ona. Ostrożnie odwijał szeleszczącą folię, jakby w obawie, że ten dźwięk spłoszy dziewczynę, ale gdy zerknął na nią nieśmiało, zobaczył, że ona wcale się nie boi.

Siedziała z nogami na drugim krześle, pochłonięta lekturą książki. Kryminału, co Mariusz zauważył od razu, bo inne powieści raczej rzadko miały na okładce zakrwawiony pistolet i „morderstwo” w tytule. Mariusz

nieczęsto sięgał po książki, ale nawet gdy to robił, unikał takich z zabijaniem. Filmów też nie oglądał, jeśli przelewano w nich krew, i nie rozumiał, czemu ludzie je lubią. Mariusz w ogóle nie do końca rozumiał, o co chodzi w tej całej przemocy, ale nie rozumiał też wielu innych rzeczy, jakie ludzie lubili, więc to i tak nie miało znaczenia.

– Ojej, bardzo znoszony ten sweter. Chyba powinieneś go tu i tam zacerować.

Mariusz ocknął się z zadumy i z przerażeniem stwierdził, że oto zapach polnych kwiatów otacza go całego, a ona jest tak blisko, że chyba to sen, bo przecież nie pamiętał, kiedy po raz ostatni ktokolwiek stał tak blisko. Mariusz uważał, że nawet w snach należy być uprzejmym, więc spuściwszy wzrok, wybąkał coś w stylu:

– Tak, racja, przepraszam... – Chciał coś jeszcze dodać, ale już zniknęła.

Ta krótka chwila, ulepiona z kilku rzuconych w przelocie słów, stała się kamyczkiem, który poruszył lawinę. Bo czasem tak już się dzieje, że jakaś małeńka, pojedyncza myśl, choćby przez nieuwagę szturchnięta łokciem, potrafi potem narobić niezłego bałaganu w głowie. Na przykład zmusi do wieszania papieru toaletowego w drugą stronę, noszenia kaszkietu przed trzydziestką lub zachęci, by powybić witryny, obok których dotąd przechodziliśmy obojętnie. Mariusz nie chciał nic wybijać, natomiast myjąc ręce w toalecie, spojrzawszy przed nosem lustro i nagle, z ogromnym zdziwieniem, stwierdził, że rzeczywiście sweter najlepsze lata ma już za sobą.

Ta konstatacja tak głośno zadźwięczała w jego głowie, że maszynista drzemiący dotychczas w lokomotywie zatrzymanej gdzieś pomiędzy synapsami Mariuszowego mózgu ocknął się zaskoczony, strzepał z ramion pajęczyny i odgwizdał odjazd. Rozkład jazdy był już co prawda od lat nieaktualny, ale maszynista znał swoją robotę, więc jak gdyby nigdy nic zatrzymywał się na kolejnych stacjach, na których jedne myśli wsiadały, inne wysiadały i ogólnie zrobił się z tego niezły bałagan, bo gdy w końcu przywrócono połączenia, to każde spostrzeżenie natychmiast chciało odwiedzić dawno niewidzianą refleksję, chęci na gwałt bukowały wolne miejsca w odległych intencjach, kłóćąc się przy kasie z zamierzeniami, a tematy to już nawet machnęły na to wszystko ręką i postanowiły na piechotę wyruszyć do przemyśleń.

Tego dnia Mariusz nie mógł się skupić na pracy i nawet wziął dwie pastylki na ból głowy. A potem, zaskakując sam siebie, nie pojechał prosto

do domu. Tknięty jakimś niezrozumiałym impulsem, niczym legendarny astronauta Jazon, pożeglował swym okrętem przez nieznane, pełne niebezpieczeństw wody, by wśród ślamazarnych, stalowych potworów odnaleźć cichą przystań. Przystań miała numer A17 i znajdowała się na poziomie zero parkingu galerii handlowej, co Mariusz skrętnie zapamiętał, nim wkroczył do świata rozpalonego komercyjną ekstazą. Kilka godzin później, gdy na niebie rozpalały się pierwsze gwiazdy, Mariusz powracał na ciche przedmieścia, wioząc pierwszy od lat nowy sweter. Swoje złote runo. Lokomotywa w jego głowie minęła kolejną stację, gwizdząc radośnie.

A potem był wtorek. Ten właśnie wtorek, w który znaleziono zwłoki Przemka Bambara. Stało się to zaraz po ósmej, gdy Gmach otworzył swą gardziel dla onieśmielonych petentów, a pieczętki wybijały dobrze znany rytm: stuk-stuk-puk, stuk-stuk-puk... Ten rytm wibrował w całym budynku, od piwnic aż po krokwie dachu, przeciskając się przez podeszwy butów wprost w stopy Mariusza. Mariusz kolejny raz myślał o tym, że gdyby miał kiedyś kota, to tak zapewne właśnie wyglądałoby jego mruczenie, tylko odwrotnie, bo nie wibrowałoby w stopach, tylko na kolanach. Chciał jeszcze raz rozważyć tę odwrotność, bo tak naprawdę wcale tu przecież nie pasowała, ale nie zdążył.

Wystraszone echo przyniosło czyjś krzyk.

Zrobił się harmider, bo wiele osób chciało zobaczyć wykrzywionego Przemka wciśniętego do szafki, nożyczki wystające z jego zakrwawionej piersi i zdziwienie malujące się na stęzałej twarzy. Temu zdziwieniu nikt się oczywiście nie dziwił, bo przecież nie co dzień można ujrzeć nożyczki sterczące z własnej piersi, i nie było chyba nikogo, kto w takiej sytuacji nie pomyślałby: „Co one tu, do diaska, robią?”. O tym właśnie szeptali ludzie, gdy Mariusz przeciskał się między nimi, by zobaczyć wszystko na własne oczy. I jeszcze szeptali: „Jak to się mogło stać?”, „Czy on sam sobie to...?” „Może upadł tak nieszczęśliwie?” i tym podobne, a tylko nieliczni zdawali się zachować resztki rozsądku: „Ależ ktoś zamordował tego nieszczęśnika!”, „Kto to mógł zrobić?”, „To był taki miły referent, takich już ze świecą szukać”. A potem zjawili się funkcjonariusze. Policyjne taśmy otoczyły szafkę i korytarz biało-niebieską pajęczyną i nikt już nie mógł się zbliżyć do zanożyczkowanego ciała.

Zanim jednak wszyscy powrócili do swoich urzędniczych zajęć, Mariusz dostrzegł Kolorową Dziewczynę i już miał do niej podejść, żeby pochwalić się nowym swetrem, gdy dotarło do niego, że to nie ma żadnego sensu.

Czym bowiem było trochę włóczki wobec tak cudownej, kryminalnej sceny, na którą ona patrzyła z wypiekami na twarzy? Oto bowiem Przemek Bamber stał się bohaterem jak z powieści, ofiarą tajemniczego zbrodniciele, który być może właśnie w tej chwili szuka następnych nożyczek. Zbrodniciele, jakiego bezskutecznie poszukiwać będzie policja, gotowa po jakimś czasie umorzyć śledztwo. Dopiero nieustraszony, genialny detektyw odnajdzie sprawcę wśród pozornie niewinnych podejrzanych. A podejrzanym mógł być każdy, bo tak właśnie wyglądało śledztwo w jednym z nielicznych filmów kryminalnych, które Mariusz obejrzał i zapamiętał. Dlatego tak bardzo się dziwił, że żaden detektyw nie przybył na miejsce, skoro były tu już ciało i policja.

Gmach, wsłuchujący się z ekscytacją w myśli Mariusza, uchylił cichutko drzwi na końcu korytarza, by promień przedpołudniowego słońca mógł wystrzelić przez szparę, wprost na pachnący nowością sweter i noszącą go postać. Zupełną niemożliwością było jednak autorytarne stwierdzenie, czy to ów promień pierwszy wskoczył na podium chwili, czy wyprzedziło go eksplodujące w głowie Mariusza przeświadczenie, że oto zostałznaczony i już nikt inny, jak tylko on, powinien wziąć na swe barki obowiązek odnalezienia zbrodniciele. Powinien zrobić to trochę dla Przemka i bardzo dla Kolorowej Dziewczyny, która lubiła kryminały, ale przede wszystkim dla Mariuszowej, własnej osoby.

Naturalnie Mariusz zdawał sobie sprawę z faktu, że nie był wcale nieustraszony, ani nawet jakoś szczególnie bystry, i zupełnie nie pasował na bohatera filmu, powieści ani nawet jakiejś kryminalnej nowelki, ale miał w końcu nowy sweter, a to przecież nie byle co! Poza swetrem Mariusz był też jedyną osobą, która wiedziała o Gmachu niemal wszystko i bardzo dużo o każdym, kto w jego wnętrzu pracował. Traktowany jak powietrze albo jak jakiś dziwny mebel potrzebny tylko, gdy należało przenieść teczkę, skoroszyty lub formularze, Mariusz niemal całą swoją uwagę mógł poświęcać na obserwacje. Nie robił tego umyślnie, ale widział i słyszał o wiele więcej, niż się wydawało. Gdyby ktokolwiek zwrócił uwagę, na pewno powiedziała by z obawą w głosie, że Mariusz wie o wiele więcej, niż powinien.

Ale nikt nie zwracał. Ludzie w ogóle na mało rzeczy zwracali uwagę, jeśli nie dotyczyły ich samych. Może właśnie dlatego Mariusz był jedynym pracownikiem urzędu mającym przecucie, że gmach nie jest tylko zwykłym budynkiem, ale Gmachem. W dodatku całkiem uprzejmym, jeśli

już się przyzwyczało do jego pogrążonych w półmroku korytarzy, które nigdy nie mogły się zdecydować, czy w danej chwili biec prosto, czy skręcać, a czasem nawet przecinać wzajemnie.

Na początku Mariusz błądził w labiryncie ciągnących się monotonicznie drzwi, ale to było dawno temu. Z biegiem lat bowiem wibracje, jakie wyczuwał przez cienkie podeszwy butów, zaczęły służyć mu za mapę. Nie tylko nie gubił się już w betonowym cielsku, lecz także bezbłędnie odnajdował osoby, którym należało zanieść formularze GDC13 do wniosków UMWK 207 razem z aneksami od jeden do dwanaście, ale bez piątego i siódmego. Nie ma się co oszukiwać: to było dziwne i Mariusz kiedyś nawet zaczął zdawać sobie z tego sprawę, ale szybko skonstatował, że przecież sam jest dziwny, więc zupełnie nie ma potrzeby zaprzętać sobie tym głowy.

Teraz wszystkie te dziwności kumulowały się w Mariuszowy oręż, jakim mógł wywalczyć swe miejsce w urzędniczej piramidzie szacunku i uznania, a nader wszystko w oczach Kolorowej Dziewczyny. Bo przecież dobrze pamiętał, jak wczoraj na kilka godzin przed końcem pracy Przemek Bamber szukał swoich nożyczek. Przetrzęsał szuflady biurka i pytał wszystkich wkoło, czy przypadkiem ich nie zabrali. A potem zaczął krzyczeć, że mogli to zrobić rozmyślnie. Wszyscy przecież wiedzieli, że Przemek bardzo lubił swoje nożyczki, i jeśli ktoś chciałby mu zrobić na złość, to właśnie w taki sposób. Nikt się jednak nie przyznał i Przemek był o to bardzo zły.

Pamięć Mariusza czasami płatała figle, rozmywając szczegóły lub zamieniając miejscami wydarzenia, ale tym razem był niemal pewien, że Przemek Bamber został przez te nożyczki dłużej po pracy. Z całą pewnością jednak wiedział, że nie był to pierwszy raz, bo już wcześniej nożyczki Przemka ginęły. To był trop, którym należało z całą stanowczością podążyć, i choć inni na pewno zaczęliby od rozmów z referentami pracującymi w tym samym pokoju, a następnie ze znajomymi ofiary, to zrobiliby to tylko dlatego, że nie byli Mariuszami. On bowiem miał zupełnie inne metody.

W środę, nie mówiąc nic nikomu, Mariusz rozpoczął swoje śledztwo. W tym celu rano specjalnie wybrał takie skarpetki, które nie miały żadnych dziur i jeszcze nie sprąły się dokumentnie. To było ważne, bo tego dnia zamierzał poruszać się po Gmachu bez butów, żeby ich gumowe podeszwy nie tłumili drgań podłogi. Najchętniej Mariusz chodziłby zupełnie na bosaka, ale to przecież nie wypadało. Jeszcze ktoś by pomyślał, że jest

z nim coś nie tak, a przecież nie mógłby każdemu tłumaczyć, że jego stopy są antenami wyłapującymi nie tylko drgania podłogi, lecz także najdrobniejsze nawet mrowienia.

Odczekał prawie do końca pracy, a gdy rozniósł już wszystkie segregatory i poukładał teczki we właściwych przegrodach, ściągnął wysłużone buty, by z pewną dozą niepokoju postawić pierw jedną, a potem drugą stopę na betonowej zimnej posadce. Mrowienie było tak intensywne, że aż łaskotało, i Mariusz roześmiał się, przeskakując z nogi na nogę. Zaraz jednak spowaźniał, bo przecież to nie była żadna zabawa, tylko śledztwo. Stał sztywno i pozwolił, by drżący puls przeniknął przez nogi i kręgosłup aż do głowy, gdzie zaczął malować kolejne linie, odnogi i punkty, tworząc mapę całego budynku. Kondygnacja za kondygnacją zielone linie zapełniały głowę Mariusza, aż tracił z widoku dalsze fragmenty i musiał je sobie przewijać w tę stronę, która go interesowała.

Linie były zielone, choć Mariusz uważał, że o wiele lepsze byłyby niebieskie. Takie niebieskie jak niebo albo wnętrze basenu. Ostatecznie mogłyby być pomarańczowe jak mandarynki albo pacholki stawiane na drodze. Były jednak zielone jak wiosenne liście albo jak jabłko, ale nie każde, bo większość była przecież czerwona albo pomarańczowa, albo jeszcze jakaś inna. Ale Mariusz najbardziej lubił właśnie zielone, za ich kolor i trochę kwaskowaty smak. Zawsze o nich myślał, gdy między liniami pojawiały się kropki, i nawet odruchowo nazywał je jabłkami. Te jabłkokropki wydawały się takie same, ale Mariusz dobrze wiedział, że każda jest wyjątkowa. Na przykład ta pokazywała, gdzie jest księgowa Stefania, a ta, gdzie Zygfryd – kierownik średniego szczebla. Jabłkokropki pokazywały wszystkich w Gmachu. Była nawet taka kropka, co pokazywała samego Mariusza. Czasami bawił się, biegając po korytarzach od ściany do ściany, bo wtedy jabłkokropka w jego głowie wyglądała jak piłka, która wesoło się odbija. Ale teraz nie miał czasu na zabawę.

Gdy wcześniej czytał tę dziwną projekcję, oddzielony od drgań podłogi gumowymi podeszwami, mapa była wyraźna, ale przygaszona. Teraz jednak, gdy między jego stopami a podłogą była ledwie cienka warstwa skarpetek, mapa świeciła jak neon. Wiedział, że tak będzie, a przede wszystkim, że zobaczy coś jeszcze. Bo Mariusz kiedyś już to widział. Jeden jedyny raz, gdy na chwilę zdjął but i stanął nieopatrznie bosą stopą na ziemi. Wtedy tak się przestraszył, że już nigdy więcej nie zdjął w pracy butów, nawet gdy coś go w nich uwierało. Wszystko się jednak zmieniło

i nie był już tamtym bojaźliwym Mariuszem, lecz Mariuszem, z którym rozmawiała Kolorowa Dziewczyna. Mariuszem w nowym swetrze i wreszcie Mariuszem detektywem. Teraz nie mógł się już bać ani biegać od ściany do ściany. Teraz mógł dojrzeć na mapie to, co kryło się pod rozżarzoną zielonością.

Musiał się skupić, tak mocno wysilić, że aż bolała go od tego głowa, ale w ten sposób dostrzegał wyblakłe kontury minionych dni. Błądą warstwę wtorku i ledwo widoczną poniedziałku. Może niedziela też tam była, ale musiała kryć się głębiej. Jej zresztą Mariusz wcale nie potrzebował, bo przecież interesował go tylko poniedziałek. Poniedziałek i ledwie widoczna kropka Przemka Bambara, która gdzieś tam sobie czekała. Gdzieś, bo echa były nie tylko słabo widoczne, ale też ograniczone do najbliższej okolicy. Dlatego Mariusz musiał odnaleźć poniedziałkowego Przemka, by po zamknięciu urzędu podążyć jego śladem do miejsca, gdzie został zanożyczkowany.

To nie było wcale trudne, bo przecież Mariusz dobrze pamiętał, że w poniedziałek o tej godzinie Przemek był przy swoim biurku i złorzeczył na tego, kto ukradł mu nożyczki. Trudne nie było też zostać, gdy wszyscy wychodzili, bo przecież i tak nikt nie zwracał na Mariusza uwagi. Nawet zobaczyć, kim był zbrodniel, wcale nie okazało się trudne. Najtrudniejsze czekało na Mariusza dopiero później, bo przecież nie mógł ot tak pokazać palcem na zbrodniela i powiedzieć, że to właśnie on we własnej osobie oddał Przemkowi nożyczki permanentnie.

W środę wieczorem Mariusz wrócił do domu cały rozdygotany. Głowa bolała go tak, jak jeszcze nigdy, i w ogóle czuł się tak bardzo dziwnie zmęczony, że tylko umył się z grubsza, bez wchodzenia do wanny, i od razu poszedł do łóżka. Sny, jakie nawiedziły go tej nocy, pełne były Kolorowej Dziewczyny i Gmachu, z którym Mariusz jadł zielone jabłka, bo nagle urósł taki duży, że mogli być kolegami. Potem jednak skurczył się do zwykłych rozmiarów, bo ona nie urosła, więc Mariusz sam nie chciał być taki wielki. Gmach się chyba na niego obraził, bo połknął ich oboje, a potem ciągle zmieniał kierunki korytarzy, gdy razem z Kolorową Dziewczyną uciekali przed stadem nożyczek. W końcu dotarli do ostatnich drzwi, za którymi było już tylko okno i wiele pięter w dół, i Mariusz powiedział, że już dalej nie uciekną i że to koniec, ale wtedy Kolorowa Dziewczyna otworzyła okno na oścież, zmieniła się w pięknego ptaka i z Mariuszem na grzbiecie odfrunęła ku błękitnemu niebu, ratując ich oboje.

W czwartek przy śniadaniu Mariusz rozmyślał o tym śnie, bo nie pamiętał, co było potem. Odfrunęli i co dalej? Sen urwał się w tamtym momencie, ale przecież to nie mógł być koniec, nie mogli tak latać w nieskończoność. Dlatego w drodze do pracy Mariusz wymyślał kolejne wersje dalszego ciągu i choć każda była inna, wszystkie łączyło to, że on, Mariusz, i Kolorowa Dziewczyna już na zawsze zostawali razem.

W ten czwartek był pogrzeb Przemka Bambera, na który Mariusz przywiózł bardzo duży wieniec z bardzo małą przerwą między literami „wu” i „es”. Wcześniej jednak, zamiast robić to, co zwykł robić w pracy, całe przedpołudnie kręcił się w pobliżu jednego z pokojów, by w odpowiednim momencie ruszyć wczorajszym śladem bardzo ważnej jabłkokropki. Bo właśnie wczoraj, to znaczy w środę, kilka godzin przed tym, gdy Mariusz zdjął buty, zbrodniciel popełnił błąd. Zabawne było widzieć jabłkokropkę zbrodniciela i w tym samym czasie swoją własną, gdy spokojnie mijają się na korytarzu, bo przecież o tym, że to właśnie jest zbrodniciel, Mariusz miał się dowiedzieć dopiero za kilka godzin, śledząc jabłkokropkę Przemka z poniedziałku. W czwartek śledził środę, a w środę poniedziałek. Od tego naprawdę bolała głowa.

Bolała cały dzień. Wtedy gdy składał kondolencje wdowie Bamberowej też, i potem, gdy wracając do domu, zatrzymał się u fryzjera. Poprosił o modną fryzurę, która mogłaby się podobać Kolorowej Dziewczynie, ale fryzjer powiedział, że nikogo takiego nie zna, i po prostu obciął Mariusza tak, jak uważał. Uważał chyba dobrze, bo Mariuszowi nawet się podobało i pomyślał, że mógł już wcześniej tu przyjechać, zamiast strzyc się samemu. Może dlatego w nocy znów uciekali z Kolorową Dziewczyną wijącymi się korytarzami, ale tym razem oprócz nożyczek goniły ich też pęki ściętych włosów. Na szczęście na końcu znów było okno i znów kolorowy ptak zabrał Mariusza w nieznane.

A potem obudził się w najbardziej cudowny piątek ze wszystkich i od razu się domyślił, że cud wydarzy się na apelu. Bo właśnie w piątki, w samo południe, wszyscy referenci zbierali się w największej sali, by wysłuchać cotygodniowych raportów, zmian w punktach i paragrafach oraz zapoznać się z grafikami. Referenci stawali w równych rzędach, a naprzeciw nich, na podwyższeniu, zbierali się kierownicy średniego szczebla, a zza ich pleców wyglądali kierownicy wyższego, stojący na pierwszym schodku. Kolejne podwyższenia zajmowała dyrekcja, a pod samym sufitem zasiadał najwyższy dyrektor we własnej osobie.

Ten apel miał być inny niż zwykle, bo dyrekcja postanowiła rozpocząć go minutą ciszy i okolicznościowym przemówieniem. Oddelegowana w tym celu kierowniczką weszła na podium i już miała zabrać głos, gdy światła na suficie zamigotały, by po chwili rozbłysnąć najmocniej, jak się dało. Wszyscy spojrzeli zdziwieni w górę, bo przecież to nie powinno się wydarzyć tak samo z siebie, i ktoś nawet szepnął, że chyba trzeba sprawdzić korki, a ktoś inny, że może włącznik się popsuł, a potem jedna z księgowych pisnęła, gdy Mariusz popchnął ją niechcący. Bo oto w tym właśnie momencie Mariusz milczek, dziwny koleś, którego wszyscy mijali jak powietrze, zerwał się z miejsca, podbiegł do podium i stanąwszy ramieniem w ramię z kierowniczką, wskazał oskarżycielsko w stronę urzędniczych szeregów.

– To Alojzy Jątrzycki zanożyczkował Przemka Bambera!

Małe chochliki słów rozbiegły się we wszystkie strony, lecz były zbyt nieśmiałe, aby wskoczyć do wszystkich uszu, przez co ci z dalszych rzędów musieli zapytać tych stojących bliżej, co też ten incel powiedział. Sam najwyższy dyrektor pochylił się tak nisko, że o mało nie spadł z krzesła. Tłum zafalował, szmer pytań i odpowiedzi biegł po sali, narastając zdziwionym oburzeniem. Spośród zbitych w kupę referentów dał się słyszeć rozgniewany krzyk:

– Nieprawda, to nie ja!

– To on! – powtórzył Mariusz, nie przestając celować w tamtą stronę palcem. – W poniedziałek, podczas przerwy, zakradłeś się do pokoju i z Bamberowego biurka ukradłeś nożyczki!

– Nieprawda!

– Ejże! – odezwał się ktoś obok. – Wyszędłeś wcześniej, Alojzy, pamiętam!

– Alojzy wyszedł ze stołówki wcześniej! – powtórzyły inne głosy.

– Bo ja musiałem do toalety! – Alojzy starał się je przekrzyczeć. – Do toalety musiałem, a nie po jakieś nożyczki. To bzdura! Ja żądam przeprosin!

– Potem zczekałeś, aż wszyscy wyjdą, i zostaniesz sam na sam z Przemkiem! – Mariusz wydawał się unosić na jakiejś dziwnej fali, zupełnie jak gdyby cała pewność siebie, jakiej przez lata nie brał z domu, teraz nagle przelewała się przez urząd, salę i podium, na którym stał. Oświetlony blaskiem lamp i wpatrzonymi w siebie spojrzeniami, był jak najwyższy inspektor pokazujący błędnie zaksięgowane faktury.

– Nieprawda! – wrzasnął Alojzy.

– Ktoś widział, jak Alojzy wychodzi? – spytał głośno jeden z kierowników.

Szmer przebiegł po sali.

– Ja widziałam! – powiedziała nieśmiało jedna z referentek. – Przytrzymał mi drzwi, jak wychodził, pamiętam.

Nim jednak Alojzy Jątrzycki zdołał krzyknąć triumfalnie, ktoś inny sprowadził go na ziemię.

– Przecież to nie w poniedziałek, tylko w środę było!

– Oj tak, przepraszam – speszyła się referentka.

– Czy ktoś widział Alojzego w poniedziałek? – spytała kierowniczka stojąca z Mariuszem na podium.

Rzędy zafalowały, ale nikt się nie zgłosił.

– To bzdurne bzdury! – wściekł się oskarżony. – Nie miałem żadnego powodu, aby mordować Przemka Bambera!

Wszystkie oczy skierowały się na Mariusza, wszystkie uszy czekały, co powie. To była wielka chwila, jak w książce lub filmie, gdy genialny detektyw wyjawia motyw zbrodni. Mariusz dobrze wiedział, że trzeba wtedy zrobić pauzę, by wszyscy zamilkli i znieruchomieli. Dlatego sam też wstrzymał oddech i zamarł cały. No, może nie do końca cały, bo wzrokiem starał się odszukać wśród zgromadzonych Kolorową Dziewczynę i wydawało mu się, że gdzieś mignęła, ale daleko, w ostatnich rzędach, więc nie był tak do końca pewny. Mimo to czuł jakąś taką ciepłą pewność, że ona tam jest i nie tylko słucha, lecz także wszystko widzi.

– Jesteś pewien, Alojzy Jątrzycki? – Mariusz był dumny z tego pytania, bo było bardzo kryminalne. Ręka już go trochę bolała, ale nie zamierzał jej opuszczać.

– Co to za pytanie? – parsknął oskarżony. – Oczywiście, że jestem pewien!

– Ha! – odpowiedział Mariusz z zadowoleniem.

Zapadła cisza.

– Co „ha”? – spytał ktoś po chwili.

Mariusz nie był pewien, jak długa powinna być pauza, ale wiedział, że jest niezbędna dla właściwego wrażenia. Zawsze uważał, że jeśli czegoś jest więcej, to znaczy, że jest lepiej, więc uznał, że jeszcze chwilę poczeka.

– Panie... – Najwyższy dyrektor nie był pewien, jakie stanowisko zajmuje Mariusz, i musiał poczekać, aż któryś z zastępców zdoła wspiąć się

na odpowiednią wysokość i wyszeptać mu to do ucha. – Panie pomocniku zastępcy młodszego referenta! Tak poważne oskarżenie wobec urzędnika winno być poparte dowodami. W innym razie...

– Alojzy Jątrzycki zanożyczkował Przemka, bo ma romans z jego żoną! – krzyknął Mariusz.

Wszyscy wciągnęli głośno powietrze, wydając przy tym głośne „wyyy...”.

– Wczoraj, gdy przed pogrzebem wdowa Bamberowa przyszła podpisać dokumenty, Alojzy obściskiwał się z nią w składziku! – dodał Mariusz głosem twardym jak młotek, którym wbija się ostatni gwóźdź.

– Ja nie! – pisała Jątrzycki.

– Widzieli cię! – odkrzyknął Mariusz i choć tak naprawdę nie miał pojęcia, czy ktokolwiek widział tamtego dnia Jątrzyckiego i Bamberową, to uznał, że tak właśnie krzyknęłyby genialny detektyw.

Najwyraźniej miał rację, bo w tym momencie Alojzy Jątrzycki podskoczył jak oparzony i odpychając najbliższych stojących urzędników, ruszył pędem do wyjścia. Równe rzędy załamały się, bo jedni próbowali uciec mu z drogi, a inni wręcz przeciwnie, rzucili się, aby go łąpać. Zrobił się straszny harmider podgrzewany krzykami: „Łapać zbrodnicie!” i „Policja! Policja!”, a także bardziej osobistymi, jak: „Ała! Moja stopa!”, czy „Gdzie mnie z tym łokciem!”. Choć Jątrzycki naprawdę się starał, przepychając referentów i przeskakując między księgowymi, to ostatecznie schwytano go tuż przed drzwiami, ale wtedy Mariusza już na sali nie było.

Wymknął się bocznym wyjściem, bo tak przecież powinien uczynić detektyw, który był nie tylko genialny, lecz także tajemniczy. Gdy w stronę Gmachu zmierzały policyjne syreny, Mariusz uruchamiał silnik swojego leciwego seata i odjeżdżał w kierunku domu. Co prawda do końca pracy zostało jeszcze kilka godzin, ale w tym wypadku uznał, że tak właśnie powinien postąpić dla zachowania właściwego dramatyzmu opowieści.

Dzięki pomocy dyrektora i pracowników urzędu już po trzech dniach policji udało się aresztować domniemanego mordercę Przemysława Bambera, trzydziestodwuletniego referenta wydziału ksiąg wieczystych, którego ciało znaleziono w miniony wtorek na terenie urzędu. Zatrzymany Alojzy J., młodszy o dwa lata pracownik tego samego wydziału, przebywa w areszcie i prawdopodobnie w poniedziałek formalnie usłyszy zarzut zabójstwa. Grozi mu dożywocie. Motyw zbrodni nie został jeszcze potwierdzony, ale główny wątek, jaki brany jest pod uwagę, dotyczy żony Przemysława Bambera,

z którą Alojzy J. miał pozostawać w zażyłych stosunkach. Policja na tym etapie nie chce komentować sprawy. Z nieoficjalnego źródła wiemy jednak, że małżonka ofiary przyznała się do romansu z Alojzym J. i konfliktu z mężem, który nie zgadzał się na rozwód. Wkrótce okaże się, czy śledczy potwierdzą te doniesienia i jakie podejmą dalsze kroki. O tej bulwersującej sprawie będziemy informować na bieżąco.

Takimi komunikatami karmił się weekend. Wyciekały z głośników i ekranów, krzyczały nagłówkami, pieszcząc uszy i oczy Mariusza, który śledził je w domowym zaciszu, szczęśliwy, że nikt oficjalnie nie wspomniał o jego roli. Mariusz bowiem wcale nie chciał, by uważano go za bohatera, a co gorsza aby ktokolwiek pukał do drzwi jego domu, zadawał pytania czy robił mu zdjęcia, żeby publikować je później wszędzie, gdzie tylko się dało. Na to Mariusz był przecież stanowczo zbyt nieśmiały, a poza tym media uwielbiały piękne historie i na pewno oczekiwały, że będzie opowiadał o poczuciu sprawiedliwości, o odwadze i innych takich bohaterskich rzeczach, a nikogo nie interesowałoby, że tak naprawdę wszystko robił tylko dla Kolorowej Dziewczyny. Nie, nie, nie! A poza tym to nie było takie istotne, bo gdy wszyscy odetchnęli z ulgą na wieść, że w piątek zbrodniel został aresztowany, to Mariusz już niepokoił się o poniedziałek. Być może najważniejszy poniedziałek w jego życiu.

I nie chodziło wcale o to, że gdy tylko pojawił się rano w pracy, wszyscy patrzyli na niego zupełnie inaczej, a nawet że kilka osób powiedziało mu uprzejmie „dzień dobry” i ktoś nazwał go bohaterem. Nie chodziło wcale o to, że gdzie tylko się pojawił, tam Gmach rozpałał mocniej świetlówki i mrowił w stopy tak jakoś z uznaniem. To wszystko dla Mariusza nie było tak ważne jak to, co odpowie Kolorowa Dziewczyna, gdy w końcu odważy się ją spytać:

– Tak pomyślałem, że może... Jeślibyś chciała, bo... Bo jak nie, to nie... Że może... Może byśmy razem wypili kawę... Po pracy na przykład... Dzisiaj może?

Oczywiście Mariusz chciał zaprosić Kolorową Dziewczynę zupełnie inaczej, ładnie i elegancko, co przez całą niedzielę ćwiczył przed lustrem. W poniedziałek jednak, w opustoszałej jadalni, był tylko on i ona, i żadnego lustra. Dlatego właśnie tak bardzo się jąkał, co tylko zachęcało rozżarzony rumieniec do zuchwałego zawłaszczania Mariuszowej twarzy razem z policzkami, czołem i czubkiem nosa. Wszystko szło zupełnie nie tak, jak

iść miało, i było już niemal pewne, że obróci się w koszmarną i niezręczną chwilę, której nawet nowy sweter i fryzura nie uratują, gdy nagle przez okno wleciał kolorowy ptak i usiadł dziewczynie na ramieniu.

– Jasne, z przyjemnością – szepnął jej do ucha, co powtórzyła z uśmiechem, udając, że wcale nikt jej nie podpowiada, co Mariusza w pierwszej chwili zdziwiło, bo przecież to nic wstydliwego, gdy się słucha mądrych ptaków, ale potem pomyślał, że ona się tylko tak droczy, bo przecież jest Kolorową Dziewczyną.

Umówili się po pracy w centrum handlowym, gdzie na każdym poziomie była jakaś kawiarnia i zawsze znalazło się miejsce na krzeselkach, albo takich śmiesznych pufach lub kanapie. Mariusz nie był pewien, czy Kolorowa Dziewczyna go nie oszukała i czy na pewno przyjdzie, bo przecież z Gmachu wyszli osobno i spotkać się mieli dopiero później. Dlatego gdy wszedł w tłum ludzi i stanął w umówionym miejscu z kwiatkiem w spoczonej dłoni, czuł, jak serce wali mu w piersi. Stuk-stuk-puk, stuk-stuk-puk, mocno, jak pieczętki w urzędzie.

*

Ten poniedziałkowy wieczór był wyjątkowy i choć Mariusz musiał czekać na niego prawie trzydzieści osiem lat, to siedząc w fotelu z zamkniętymi oczami, wiedział, że było warto. Wydaje się trywialne, gdy ludzie mówią, że nigdy wcześniej nie byli tak szczęśliwi, ale Mariusz naprawdę nie był. Nawet gdy kilka godzin wcześniej, czekając wśród kolorowych witryn pasażu, ujrzał jej postać sunącą między zlewającymi się w nieistotne tło ludźmi, ani nawet nie wtedy, gdy przez kolejne godziny byli razem. Poczul się tak dopiero po powrocie, gdy szcęk zamków odgrodził go od tego, co na zewnątrz. Cały świat skurczył się wtedy do rozmiaru domu wypełnionego Mariuszem od strychu aż po piwnicę. Właśnie o tej piwnicy myślał Mariusz, siedząc w ulubionym fotelu mamusi, i o Kolorowej Dziewczynie, która leżała tam na materacu. Trochę żałował, że sznurek, którym ją związał, nie był kolorowy, tylko szary, tak samo jak taśma, jaką zakleił jej usta. Na razie, bo przecież później je odklei. Później, gdy Kolorowa Dziewczyna zrozumie, że będą ze sobą już na zawsze.

Kolorowy ptak po raz kolejny okrążył pokój, wesoło trzepocząc skrzydełkami. Mariusz uśmiechał się do niego i wodził za nim wzrokiem.

Zastanawiał się, kiedy usiądzie mu na ramieniu i wyszepcze, by zszedł do piwnicy.

Zaginęła Dominika Kolorska, lat dwadzieścia dziewięć. Wzrost sto siedemdziesiąt dwa centymetry, włosy ciemne do ramion, oczy piwne, szczupłej budowy ciała, nosi okulary. Wyszła z pracy w dniu czwartego lipca, ostatni raz widziana była w okolicach galerii handlowej. Do dnia dzisiejszego nie ma z nią kontaktu. Ktokolwiek ją widział lub wie o losach zaginionej, proszony jest o niezwłoczny kontakt z najbliższą jednostką policji.



Jacek Łukawski – pisarz, publicysta, były grafik komputerowy. Autor opowiadań i powieści, m.in. fantastycznego cyklu *Kraina Martwej Ziemi* i kryminałów o prokuratorze Painerze. Literacki niespokojny duch, kierujący obecnie swoją pisarską uwagę w stronę psychologicznych thrillerów i reportaży historycznych. Prywatnie nałogowy racjonalista i przeciwnik obskurantyzmu. Uzależniony od mocnej kawy oraz klasycznych motocykli. Wraz z Żoną i kotami mieszka w pobliżu chęcińskiego zamku.

Magdalena Kubasiewicz

Dzień, w którym odeszło lato

/Opowiadanie osadzone jest w uniwersum Wilczej Jagody i dzieje się po trzecim tomie cyklu pt. Klątwa dla demona, nie zawiera jednak wobec niego znaczących spoilerów./

Eliza nienawidzi lata.

Nienawidzi słońca i ciepłych dni. Nienawidzi skwaru lejącego się z nieba. Nienawidzi zielonych wierzb, których długie warkocze zanurzają się w stawie. Nienawidzi nawet różowych słodkich malin, porastających krzewy w ogrodzie, złocistych jabłek, pod których ciężarem uginają się gałęzie jabłoni, irysów, plamiących rabaty żółcią i fioletem.

Kiedyś w ataku szału podeptała kwiaty, pocięła malinowe krzaki nożycami, próbowała nawet podpalić jabłonie, zanim ją powstrzymano i siłą – wrzeszczącą i wrywającą się – zawleczono do domu. Poczynione zniszczenia nie ugasiły jej złości. Kwiaty zresztą odrosły, równie piękne (tak denerwująco piękne!) jak wcześniej, maliny znów pojawiły się wśród kolczastych gałązek, nowa trawa skryła źdźbła wypalone u stóp drzewa, ciemne plamy szybko znikły z kory. Dalej trwało lato, złote i zielone, cudowne, ciepłe lato, którego tak bardzo nienawidziła.

Z każdym dniem coraz bardziej i bardziej.

Eliza wie: już wie, po podjęciu prób, tysiąca i jednej, że nie może z tym niczego zrobić. Może tylko czekać. Na dzień, gdy w ogrodzie zawieje chłodny wiatr, niosąc ze sobą zapowiedź nadciągającej jesieni. Kiedy błękitne niebo zabarwi się szarością, kiedy w powietrzu uniesie się zapach wilgoci. Gdy liście drzew się zaczerwienią, irysy pogubią płatki, a jabłka i maliny opadną na ziemię.

Eliza czeka, aż odejdzie lato.

*

Klient pojawił się pewnego zimowego ranka, kiedy za oblodzonymi szybami było jeszcze ciemno.

– Chcę zdjąć klątwę – powiedział po angielsku zamiast „dzień dobry”, gdy Jagoda Wilczek otworzyła drzwi. Mówił z tak silnym akcentem, że mimo lat nauki języków ledwo go zrozumiała.

Był starszy: wyglądał na siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, co u maga równie dobrze mogło oznaczać, że dobiegał już setki. Jego szczupłą twarz pokrywały zmarszczki, spod ciemnej czapki wymykały się siwe kosmyki, szare tęczęwki zdawały się zamglone. Policzki i nos miał zarumienione od mrozu, oczy podkrążone i zaczerwienione z niewyspania.

Jeszcze dwa lata temu wpuściłaby go od razu. Była specjalistką od klątw: zdejmowała je na życzenie bądź rzucała w przypadkach, w których pozwalało na to prawo, zabezpieczając nieruchomości albo umowy. Gość proszący o odczynienie przekleństwa nie był więc niczym zaskakującym, a adres mógł wskazać mu jeden z poprzednich klientów. Pominięcie grzeczności też nie stanowiło dla niej dużego problemu. W ostatnich miesiącach Jagoda wpadła jednak w kłopoty o jeden raz za dużo, by niezapowiedziana poranna wizyta, złożona przez kogoś, kto nie znał polskiego, nie wzbudziła w niej podejrzeń.

– Dzień dobry – przywitała się, ale nie zdjęła czaru ochronnego, wciąż trzymając gościa na progu. – Będę wdzięczna, jeśli się pan przedstawi. I powie, skąd wziął mój adres.

Mężczyzna milczał przez chwilę. Potem wy dobył z kieszeni gazetę i otworzył ją na odpowiedniej stronie. Jagoda zawahała się, nim po nią sięgnęła, na moment wystawiając rękę poza barierę osłaniającą drzwi. Zagraniczny dziennik ukazał się miesiąc temu; znajdował się w nim króciutki artykuł o problemach w Warszawie. W tym jedno zdanie o niej: wiedźmie, która zdjęła klątwę...

– Przyjechał tu pan tylko z powodu tego tekstu? W Wielkiej Brytanii jest przynajmniej trzech doskonałych ekspertów, panie...

– Robert Rollins. Chcę zdjąć klątwę – powtórzył. – Od dawna szukam specjalisty, który temu podoła. Żaden z angielskich ekspertów nie potrafił mi pomóc.

– U kogo pan był?

– Sara Alcott, Evan Michaelson, Jeannette Brown – wyrecytował. Wszystkie trzy nazwiska były Jagodzie znane i należały właśnie do tej trójki, którą miała na myśli. Jeannette Brown, walijska wiedźma, była

zresztą uważana za jedną z dziesiątki najlepszych specjalistów na świecie. – A także u kilku innych klątwołamaczy, z Wysp i spoza nich. I ostatnio u Caleba Blythe’a. Wspomniał, że jeśli ktoś zdejmie tę klątwę, to tylko... niejaka Jagoda z Warszawy.

Caleb.

Uczeń Czarnoksiężnika.

Blythe prawdopodobnie był jeszcze lepszy niż Alcott, a może nawet niż Brown, chociaż oficjalnie nie specjalizował się w klątwach. Jeżeli sądził, że Jagoda mogłaby zdjąć przekleństwo, prawdopodobnie miał rację. A jeśli Rollinsa było stać na usługi wszystkich wymienionych, zlecenie z pewnością miało być intratne... oraz diabelsko trudne – a Wilczek nie potrafiła się oprzeć zawodowym wyzwaniom. Mimo to wciąż się wahała, czy wpuścić go za próg. Może dlatego, że nazwisko Blythe’a było jak kubek zimnej wody, a w głowie Jagody natychmiast zrodziło się kilka teorii spiskowych.

Z drugiej strony, gdyby nasłał go któryś z wrogów wiedźmy albo ktoś z rodziny Wilczków, powinien wiedzieć, że chwilowo tutaj nie mieszkała. Mężczyzna zastał ją czystym przypadkiem.

– Pokryję wszystkie koszty i zapłacę z góry wedle standardowej stawki, niezależnie od rezultatu – poinformował Rollins oschłym tonem, widząc jej wahanie. – Dodatkowo oferuję dziesięć tysięcy funtów w przypadku sukcesu.

Jasny szlag, pomyślała Jagoda, przygryzając wargę i szybko przeliczając funty na złotówki. To jedno zlecenie przekroczyłoby jej zarobki z zeszłego roku. Poza tym wystarczyło, żeby się obróciła i spojrzała na zniszczony przedpokój, a przypomniała sobie, dlaczego bardzo potrzebuje pieniędzy.

– Zapraszam. Przepraszam za bałagan, robię remont – poinformowała.

Tylko częściowo zgodnie z prawdą, bo „remont” objął na razie wymianę okien i drzwi, a teraz starała się uprzątnąć pomieszczenia, szykując je do dalszych napraw. Kuchnia, na całe szczęście, wyglądała na tyle przyzwoicie, że Jagoda mogła wprowadzić do niej gościa.

Rollins nie zdjął ani butów, ani kurtki. Nie skomentował też słowem stanu przedpokoju: braku mebli, osmalonych ścian i pęknięcia na suficie. W kuchni usiadł na jednym z taboretów, sztywno wyprostowany. Utkwił spojrzenie jasnych, jakby martwych oczu w Jagodzie. Wiedźmę niełatwo było speszyć, a jednak pod wpływem jego wzroku poczuła się nieswojo.

Instynkt podpowiedział, że z tym człowiekiem jest coś nie tak i mimo góry pieniędzy, jaką oferował, wciąż nie była przekonana, czy przyjmie ofertę.

– Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Proszę mi opowiedzieć o tej klątwie, panie Rollins.

Tym razem to on milczał. Długo, ale Jagoda czekała cierpliwie.

– Klątwa uniemożliwia mojej rodzinie opuszczanie domu – powiedział w końcu.

Brwi wiedźmy uniosły się lekko. Pochlebiała sobie, że jej wiedza o klątwach jest całkiem spora. Uczyła się o nich mniej więcej od dziewiątego roku życia, rzucała je jeszcze dłużej. Babka zadbała, aby wnuczka miała dostęp do najlepszych materiałów, a jeden z nauczycieli był wszechstronnie wykształcony. Jagoda od ładnych kilkunastu miesięcy studiowała też księgozbiór zbierany najpierw przez czarnoksiężnika, a później uzupełniony przez prababkę. Nie słyszała jednak o takiej klątwie. Istniało za to wiele zaklęć, które mogły uwięzić ludzi na konkretnym obszarze – i do których przełamania potrzeba było specjalisty od zabezpieczeń albo maga bojowego, nie kogoś takiego jak ona. Jagoda otworzyła nawet usta, chcąc zapytać, czy Rollins jest pewny, że nie chodzi mu o usługi jednego z nich, ale zaraz doszła do wniosku, że gdyby tak było, któryś z ekspertów na pewno już dawno by go uświadomił.

– Czym różni się od czarów wiążących albo barier? – spytała zamiast tego.

– Została rzucona na ludzi. Konkretnie osoby nie mogą opuścić terenu naszej posiadłości. Inni, wprowadzeni na posesję, mogą dowolnie ją opuszczać.

– Najprostszą drogą do jej zdjęcia byłoby odnalezienie winnego. Zgłosił to pan do tamtejszych służb?

Takie klątwy nie były legalne w żadnym cywilizowanym państwie. Magiczny Scotland Yard zaś słynął z wysokiej skuteczności.

– Odnalezienie tej osoby jest niemożliwe. Proszę mi uwierzyć, próbowałem.

Zanim zadała następne pytanie, lekko się zawahała.

– Dlaczego rzucono przekleństwo?

Jego usta wygięły się w coś na kształt gorzkiego uśmiechu – odkąd zapukał do drzwi, był to pierwszy raz, kiedy jego mimika się zmieniła.

– Najpotężniejsze klątwy zawsze rzuca się z nienawiści albo miłości.

Zamaskowała zaskoczenie. To pierwsze było wiedzą, do której łatwo dotrzeć, to drugie – prawdą już raczej zapomnianą. Czasem i przez tych, którzy specjalizowali się w magii klątw. Nawet Jagoda do niedawna zakładała, że potężne emocje, potrzebne do utkania niektórych klątw, to przede wszystkim nienawiść i gniew. Zastanawiała się, kto mu to powiedział. Jeanette? Caleb?

– Jak było w tym przypadku? – spytała, a kiedy znów zapadła cisza, z jej ust wyrwało się westchnienie. Jego wahania z jednej strony drażniły, z drugiej wzbudzały wątpliwości co do intencji, z jakimi się do niej zgłosił. – Panie Rollins, potrzebuję szczegółów. Jestem zajęta osobą, mam sporo obowiązków i nie podejmę się zlecenia w ciemno. Nieważne, jak dobrze jest płatne. Jeżeli chce pan, żebym pomogła pańskiej rodzinie, muszę wiedzieć wszystko. O rzuceniu klątwy, jej ofiarach i skutkach. Jeśli nie zamierza mi pan udzielić tych informacji, odprowadzę pana do drzwi.

– Klątwę rzucono na kilka osób – wyznał w końcu. – Już jakiś czas temu. Człowiek, który to zrobił, a raczej pomógł zrobić, był potężnym magiem. Co do tego, kto ją zlecił... i wsparł własnymi emocjami... mogę się jedynie domyślać.

– Czego dokładnie się pan domyśla?

– Że zleceniodawca nie żyje. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Nie zabiłem go. Być może był to mój brat i pomógł rzucić klątwę na łożu śmierci.

Szlag, pomyślała Jagoda. To mogło – przynajmniej po części – wyjaśniać, dlaczego przekleństwo było tak różne od czegokolwiek, o czym słyszała.

– Klątwa ostatniego tchnienia.

– Tak sędzę – potwierdził Rollins suchym tonem.

Jagoda przymknęła oczy. Była pewna, że przypłaci tę rozmowę atakiem migreny. Niezależnie od tego, czy zdecyduje się przyjąć zlecenie, czy nie. W tej chwili dziesięć tysięcy funtów nie zdawało się już tak atrakcyjne, jak parę minut temu.

– W jaki sposób go pan skrzywdził?

– Nie skrzywdziłem go.

– Jak sam pan powiedział: najpotężniejsze klątwy zawsze rzuca się z nienawiści albo miłości. Zwłaszcza te ostatniego tchnienia. Pragnął zemsty z za grobu i zdążył nawet kogoś zatrudnić? Panie Rollins, jestem pewna, że inni specjaliści też zadawali te pytania.

– Tak, i odpowiedzi na nie nic im nie dały – odparł. Nie zmienił tonu głosu, obojętnego, jak gdyby opowiadał o pogodzie. – Byliśmy przyrodnim rodzeństwem, nie utrzymywaliśmy zażyłych kontaktów, miał do mnie żal, ponieważ odziedziczyłem majątek po ojcu. Nie mam pewności, czy to był on, ale nigdy nikogo nie skrzywdziłem na tyle, aby wzbudzić... taką determinację w pragnieniu zemsty.

– Człowiek, którego wynajął?

– Niemożliwy do odnalezienia. Zdaniem Caleba Blythe'a: potężny mag, dobrze znający się zarówno na klątwach, jak i innych rodzajach magii. Splótł klątwę na podobieństwo czaru wiążącego.

Nawet z ostatnim tchnieniem oznaczało to modyfikację. Czasochłonne, trudne, ale możliwe. Niektórzy specjaliści potrafili tworzyć własne klątwy. Umiała to także Jagoda. I jak niedawno odkryła, przychodziło jej to zdecydowanie łatwiej niż innym.

Milczenie się przedłużało. Wiedźma ważyła wszystkie za i przeciw. Rollins być może się tego domyślał, bo cierpliwie czekał na odpowiedź.

– Mogę zobaczyć pańskie dokumenty? I chciałabym wiedzieć, gdzie mieszka pańska rodzina.

Chyba się tego spodziewał, bo wszystko miał pod ręką. Podał Jagodzie dwie plastikowe plakietki. Brytyjski dowód osobisty oraz identyfikator maga. Miał osiemdziesiąt osiem lat, urodził się w Londynie. Jeżeli dokumenty zostały sfalszowane, to po mistrzowsku. O ile dowód za pomocą magii skopiować dało się łatwo, o tyle czary, jakimi obkładano identyfikatory, były już bardzo trudne do powielenia.

– Moja rodzina mieszka w posiadłości w Ragnarfell. To miejscowość w Irlandii, nieopodal Galway. W całości leży w enklawie.

Jagoda mechanicznie skinęła głową, choć nigdy nie słyszała o Ragnarfell. Magicznych miasteczek i wsi, w całości leżących w enklawach, w Polsce nie było zbyt wiele. Tu duże enklawy tworzone głównie w miastach – Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Kielcach. W innych istniały pojedyncze punkty, przeznaczone dla magów. W pełni magicznych miasteczek w kraju było zaledwie pięć. Z tego, co się orientowała, na wyspach sytuacja wyglądała inaczej. Ragnarfell było pewnie jednym z kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu punktów tego typu na mapie.

– Prosiłabym o numer telefonu. Poinformuję pana o decyzji dziś wieczorem.

Nie wstał od razu. Sądziła, że zaprotestuje. Może spróbuje ją przekonywać, negocjować, prosić albo grozić. Ostatecznie jednak skinął głową i powoli się podniósł. Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, jakby jej odpowiedź było mu obojętne. A przecież obojętną być nie mogła, skoro przyleciał tu aż z Anglii czy Irlandii, gotów zapłacić za pomoc jakieś dwanaście tysięcy funtów.

– Przeleję zaliczkę, kiedy dostanę numer konta – poinformował krótko, wręczając jej wizytówkę. Nie czekając na pożegnanie, ruszył do drzwi.

Jagodie przeszło przez głowę, że może nie próbował wpłynąć na jej decyzję, bo z góry zakładał, że ta będzie pozytywna.

*

Jagoda początkowo zamierzała zabawić w mieszkaniu krótko. Zabrać parę ubrań, cieplejszą kurtkę, buty, których nie spakowała przed miesiącem, gdy temperatury nie oscylowały jeszcze w okolicach zera. Wiedziała, że powinna posprzątać na tyle, na ile się dało, ale brakowało jej do tego sił. Zresztą remont generalny i tak będzie się przecież wiązał z wszechobecnym pyłem.

Po rozmowie z Rollinsem weszła jednak do zrujnowanego salonu. W pomieszczeniu niedawno wymieniono okna, ale uszkodzony grzejnik nie działał i panował tu ziąb. Jagoda po raz kolejny oceniła zniszczenia, do jakich doszło, gdy do mieszkania włamał się czarnoksiężnik. Co prawda połamane meble wyniesiono, okna wymieniono i częściowo domyła osmaloną ścianę, ale w podłodze wciąż ziała dziura, ściana łącząca pomieszczenie z łazienką została niemal rozwalona, a przez sufit biegły rysy. Do tego łazienka była zrujnowana, ocalała tam właściwie tylko toaleta.

Zatrudnienie eksperta od zakłęb naprawczych było wprawdzie tańsze i szybsze niż wprowadzenie tu ekipy budowlanej, ale przy takiej skali zniszczeń wciąż będzie kosztować kilka tysięcy. Nowe meble i sprzęty do łazienki też musiała kupić. Nie była biedna. Miała oszczędności i stosunkowo przyzwoicie zarabiała. Wyłożenie takich sum naraz przekraczało jednak jej możliwości.

Z westchnieniem usiadła na zniszczonej posadzce, wyciągnęła komórkę i zalogowała się do MAGnetu. Według łatwych do wyszukania, ale skąpych informacji ktoś taki jak Robert Rollins istniał, był właścicielem niedużej

firmy i wywodził się z niegdyś potężnej, a obecnie podupadłej magicznej rodziny. Znalazła nawet jego zdjęcie sprzed paru lat.

Ragnarfell okazało się miasteczkiem zamieszkanym przez jakieś dwa tysiące osób – drugą największą społecznością magów w Irlandii, po tej mieszkającej w magicznej dzielnicy Dublinu. Najwyraźniej w samym Galway nie było żadnej dużej enklawy. Rodzina Ragnarów założyła Ragnarfell przed pięciuset laty i to głównie tam osiadali okoliczni czarodzieje, zdaniem autora wpisu – ceniący sobie prywatność i nie chcący się pilnować przed niemagicznymi.

Jagoda nie znalazła informacji o żadnych innych żyjących członkach rodziny Rollinsów. Na portalu społecznościowym magów natknęła się na trzy osoby o takim nazwisku, ale nie udało jej się ustalić, czy mają cokolwiek wspólnego z Robertem i czy to oni mogli paść ofiarą podstępnej klątwy.

Rollins jednak istniał, podał prawdziwe nazwisko i prawdopodobnie był wiarygodny. Wyjazd nie powinien potrwać dłużej niż trzy, cztery dni, a na tyle mogła sobie pozwolić. Poza tym ciekawiło ją przekleństwo, o którym opowiadał.

A mimo to nie potrafiła wyzbyć się złych przeczuc.

– Nie wariuj – mruknęła do siebie, podnosząc się z podłogi.

Podeszła do okna. W szybie dostrzegła własne niewyraźne odbicie. Burza włosów w nijakim, jasnobrązowym kolorze, okulary, piegowata twarz. Zwykła kobieta tuż przed trzydziestką.

Wiedźma.

Wiedźma klątw. Tylko w tym była naprawdę dobra: w tkaniu przekleństw i ich przełamaniu. Rzadko dostawała naprawdę ciekawe zlecenia, to wyzwanie więc kusiło.

Oparła czoło o chłodną ramię, bijąc się z myślami. Może popadała w niepotrzebną paranoję. Ale jej rodzina od zawsze mieszała się w podejrzone interesy, a ona ostatnio zrobiła sobie paru wrogów. Z drugiej strony, po co ktoś miałby się tak kłopotać? Nie prościej byłoby ją rozjechać, kiedy przechodziła przez ulicę?

Klątwa, której nie podołali inni eksperci. W tym Jeanette Brown. Gdy dziewięć lat temu Jagoda zdawała europejskie testy, Jeanette była jedną z trojga specjalistów w komisji egzaminacyjnej i jedyną z nich, co do której Wilczek była skłonna przyznać, że prawdopodobnie potrafi więcej niż ona sama. Wtedy.

Czy teraz potrafiłaby zdjąć klątwę, z którą nie dała rady Brown?

Każdą klątwę można zdjąć, pomyślała. W ten czy inny sposób. Tak, była niemal pewna, że podoła. Ale nie będzie miała pewności, póki nie spróbuje. Ledwo przeszło jej to przez głowę, wiedziała już, co odpowie Robertowi. W takich sytuacjach po prostu nie potrafiła się powstrzymać. Jej siostra stwierdziłaby pewnie, że to objaw braku instynktu samozachowawczego. Babka zrzuciłaby to na karb nadmiernej pychy. Jagoda sama nie była pewna, która z nich – o ile którakolwiek – miałaby rację w tym przypadku.

Ruszyła do pokoju. Musiała spakować rzeczy, które zabierze nie do domu prababki, lecz na kilkudniowy wyjazd.

*

Kiedyś – dawno temu, tak dawno, że dni te zamazują się w jej pamięci, zdają się nierealne jak sen – Eliza kochała lato. Nienawidziła zimowych chłodów i wiosennego błota. Szarości i brzydoty przedwiośnia, opadającego na Ragnarfell. Miasteczko zdawało się budzić do życia dopiero latem, wraz z promieniami słońca, rozkwitającymi roślinami, długimi dniami. Do życia budziła się i posiadłość – zimą i wiosną zawsze zbyt zimna, zbyt ciemna, zbyt cicha. Matka przestawała powtarzać, by zamykali okna, by nie wychodzili na zewnątrz, by nie biegali po ogrodzie, jakby odrobina wiatru i deszczu mogła sprawić, że się przeziębą i zaraz umrą.

Latem do Ragnarfell zjeżdżali się czarodzieje, umykający z miast przed upałami – z Dublinu, czasem aż z Londynu i Birmingham. Co roku goście pojawiali się i w ich domu, wprowadzając do niego śmiech, ruch, życie.

A pewnego lata pojawił się i ten, który wniósł do niego miłość.

Eliza miała siedemnaście lat i – naiwna, jak naiwne potrafią być tylko zakochane, siedemnastoletnie dziewczyny – pragnęła, by tamto lato trwało wiecznie.

Teraz wie.

Wie, jak bardzo była głupia.

*

Do samolotu wsiedli już kolejnego ranka. Jagoda podejrzewała, że Robert Rollins był na tyle pewny swego, że kupił bilety wcześniej. Dostała akurat tyle czasu, aby się spakować, wymienić trochę gotówki, uprzedzić o wyjeździe wszystkich zainteresowanych. Zwłaszcza uczennicę i siostrę.

Oraz przekonać tę pierwszą, by pozostała na miejscu, a tę drugą – że nie zostanie porwana i uwięziona na lata w złowieszczym zamku angielskiego czarnoksiężnika.

Robert milczał przez cały lot, i potem, gdy jechali pociągiem, najpierw przez miasto, później pośród wzgórz, ginących pod cienką warstwą śniegu, który spadł nocą. W Galway przesiedli się do taksówki, która zawiozła ich kilka kilometrów od miasta, pod jeden z okolicznych lasów. Wiedźma nigdy nie uważała się za gadatliwą, ale Rollins przez całą jazdę autem wypowiedział może dwa słowa. Było coś w ciszy, która go otaczała, co zniechęcało ją do jakichkolwiek prób kontaktu. Nawet zadawania tych pytań, które zadać powinna: o posiadłość, o jego rodzinę, o to, odkąd działa kłątwa. Milczenie towarzysza i jego zachowanie napawało ją nerwowością i sprawiło, że jadąc autem, zwijała między palcami klątwy. Ot, tak na wszelki wypadek. Próbowwała też uspokoić samą siebie, że wedle informacji z MAGnetu Ragnarfell faktycznie leżało w tej okolicy. Nadal nie mogła jednak pozbyć się złych przeczuc.

– Przejście jest w altanie w pobliżu – poinformował krótko Rollins, kiedy wysiedli z samochodu.

Ruszył wąską ścieżką pomiędzy drzewami, a Jagoda skierowała się w ślad za nim. Buty grzęzły jej w śniegu, lepkim, bo za dnia temperatura oscylowała w okolicach zera. Na szczęście nie musieli wędrować daleko. Altana – wyglądająca, jakby w każdej chwili mogła się zawalić, zniszczona, z dachem pełnym dziur, ścianami ze zbutwiałego drewna i połamanymi ławkami – znajdowała się zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej. Jedynym elementem konstrukcji w dobrym stanie były drzwi, umieszczone w niej nie wiedzieć po co. Wiedźma zastanawiała się, dlaczego przejście pozostawiono w takim stanie, ale widok paru pustych butelek leżących w środku szybko dał jej odpowiedź. Pewnie i tak czasem zdarzało się, że ktoś z niej korzystał, choć stała z dala od cywilizacji. Gdyby wyglądała bardziej zachęcająco, częściej przyciągałaby ludzi.

Robert poczekał, aż Jagoda wejdzie do środka, a potem zamknął drzwi. Klamka zabłysła, a kiedy znów ją nacisnął, po drugiej stronie nie było już ośnieżonego lasu, ale ścieżka, wijąca się od altany w dół wzgórza, ku zabudowaniom. Urocze, kamienne domki o spiczastych dachach, większość bliźniaczo do siebie podobna, ciągnęły się wzdłuż starannie odśnieżonej ulicy brukowanej kocimi łbami. Niemal wszystkie okna wykonano z drewna, w praktycznie każdym dachu dało się dostrzec lukarny. Wiele

budynków przylegało do siebie ścianami. Gdy przeszli spory kawałek i dotarli do placu, stanowiącego zapewne centralny punkt Ragnarfell, Jagodę szczególnie zainteresowały sklepy, punkty usługowe i coś, co wyglądało jak karczma wyjęta wprost z filmów fantasy. Po kilkunastu minutach jej uwagę przyciągnęło jednak coś jeszcze.

Na ulicach nie było tłumów, ale tu i ówdzie kręcili się ludzie, a ilekroć przechodzili obok, Jagoda czuła na sobie spojrzenia. Może mogłaby rzucić to na karb obecności obcej, miasteczko jednak nie było małe, a że leżało w pobliżu dużego miasta, prawdopodobnie czarodzieje z zewnątrz odwiedzali je dość regularnie. Poza tym nie mogła się oprzeć wrażeniu, że któreś z nich – ona lub Robert Rollins – wzbudza w miejscowych nerwowość. Niektórzy spuszczały głowy, inni się wycofywali, dwie osoby nagle zmieniły kierunek.

Obecność Jagody mało gdzie przyjmowano z entuzjazmem. Ale też ostatni raz ludzie reagowali na nią tak skrajnie w szkole, po tym, jak rzuciła klątwę na koleżankę z klasy. (Do dziś zresztą uważała, że ich reakcja była przesadna. Wprawdzie pryszczki pokrywające całą twarz nie były niczym przyjemnym, ale w szkole Sobieskiego zdarzały się gorsze rzeczy – jak choćby wtedy, kiedy nauczyciel ledwo powstrzymał jednego z uczniów przed podpaleniem sali gimnastycznej). Nie wierzyła, że jej reputacja dotarła aż tutaj, a nawet jeśli Rollins wcześniej rozwieszał w Ragnarfell plakaty informujące o rychłej wizycie wiedźmy klątw, powinna doczekać się najwyżej paru podejrzliwych spojrzeń.

Czy miejscowi żywili do Roberta niechęć?

A może się go bali?

Prześli plac, potem przeszli ulicą między domami i ruszyli dalej, wąską ścieżką wiodącą poza miasteczko, w świerkowy las. Tutaj śnieg sięgał do kostek, temperatura była nieco niższa niż po niemagicznej stronie, a gdy wędrowali, białe płatki zaczęły sypać z szybko ciemniejącego nieba. Robiło się chłodniej, plecak ciążył jej coraz bardziej. Jagoda pomyślała, że niemożność sprowadzenia auta do Ragnarfell to poważny problem, a po kilku kolejnych minutach marszu, coraz bardziej zmęczona, zaczęła się zżymać w duchu. Już miała spytać, jak daleko jeszcze, gdy drzewa się przerzedziły i dalszą drogę zagroził mur – kamienny, stary, wysoki na kilka metrów, z kutą bramą pośrodku. Zaledwie Robert się do niej zbliżył, skrzydła rozwarły się z przeraźliwym zgrzytem. W uszach Jagody dźwięk ten zabrzmiał złowieszczo i przez ułamek sekundy wizje jej siostry Liliany

o uwięzieniu w lochach jakiegoś irlandzkiego zamku przestały wydawać się aż tak absurdalne.

Robert wszedł na teren posiadłości. Jagoda ruszyła za nim powoli i zatrzymała się tuż przed bramą. Zrobiła to z ostrożności, nie poszła jednak dalej dlatego, że zaskoczyło ją to, co zobaczyła.

Letni ogród.

Stała po kostki w śniegu, a ledwo pół metra dalej zieleń się trawa, jabłonie ugięły pod ciężarem owoców, irysy kwitły na klombach. Brwi wiedźmy powędrowały do góry, po czym zamruła, starając się skupić wzrok nie na tym, co widziane gołym okiem, ale na aurze magii. Wychwytywała jej tu sporo: zaklęcia ochronne, typowe bariery, pozostałości zupełnie obcych zaklęć i... tak... jakby nici klątwy... ale nie czuła niczego, co wskazywałoby na to, że oto stoi na granicy kolejnej enklawy.

Zresztą enklawa w enklawie? Coś takiego nie powinno być możliwe.

– Panno Wilczek? – ponaglił ją Robert. Stał na ścieżce, w grubym, zimowym płaszczu. Śnieg na jego ramionach szybko topniał.

– Co to za magia? – spytała wprost i po chwili wahania przeszła przez bramę. Niemal natychmiast zrobiło się jej za gorąco. Ściągnęła czapkę, uwalniając burzę splątanych, kręconych włosów, a potem zdjęła szalik.

– Ogród został zaklęty, by zawsze trwało tu lato – odpowiedział Rollins.

– Nigdy nie słyszałam o takich zaklęciach – mruknęła, rozglądając się.

W domu jej prababki pogoda także nie odpowiadała tej na zewnątrz, ale tamto domostwo leżało w niewielkiej enklawie, odciętej magią od reszty świata. Posiadłość ewidentnie należała do tej samej enklawy, w której znajdowało się Ragnarfell.

– To, że pani o nich nie słyszała, nie znaczy, że nie istnieją – odparł. Mimo że ton miał tak samo beznamiętny jak wcześniej, a mięśnie twarzy nawet mu nie drgnęły, w jej uszach zabrzmiało to, jakby oskarżał ją o ignorancję.

– A to, że istnieją, nie znaczy, że nie mogę o nie zapytać – odparowała. Wprawdzie był klientem, nie oznaczało to jednak, że zamierzała tańczyć tak, jak zagrał.

Ku jej zaskoczeniu, Robert skinął głową.

– Racja. Sam nie do końca to pojmuję. Czarodziej, który zaklął to miejsce, był bardzo potężny.

– Chyba cała grupa czarodziejów.

– Nie. Zaklęcie to dzieło jednego człowieka – stwierdził.

Odwrócił się i ruszył ścieżką przez ogród zaskakująco żwawym krokiem. Może umykał przed kolejnymi niechcianymi pytaniami. Jagoda poszła za nim, po drodze rozpinając kurtkę. Ich celem był dworek, niewysoki, kamienny, o ścianach porośniętych bluszczem, nieco bardziej okazały i fantazyjny w architekturze niż domy w miasteczku. Rozciągał się na planie prostokąta, w jednej części jednopiętrowy, w drugiej parterowy, z wysokimi oknami ze szprosami i wielospadowym dachem.

Zanim podeszli do drzwi, te się rozwarły. Na progu stała dziewczyna, na oko tuż po dwudziestce, odziana w jasną sukienkę. Niska, o okrągłej, bardzo ładnej buzi i wielkich, ciemnych oczach. Czarne włosy miała spięte w kok, a na opalonej – nic dziwnego, skoro trwało tutaj wieczne lato! – twarzy nieprzyjazny wyraz, w każdym razie w chwili, w której spojrzała na Jagodę.

Wiedźma z początku nie wyczuła na niej klątwy. Musiała się skupić, by wychwycić słabą aurę przekleństwa. Już to źle wróżyło i po części wyjaśniało, czemu inni specjaliści nie podołali zadaniu.

– To ona? – spytała kobieta po angielsku, z akcentem jeszcze mocniejszym niż ten, którym posługiwał się Rollins.

– Tak.

– Nie wygląda.

– Mimo to – mruknął Robert, po czym obrócił się do Jagody. – To specjalistka polecona przez Caleba Blythe’a. Panno Wilczek, przedstawiam Elizę... panią Elizabeth Rollins.

– Belladona – powiedziała Eliza i jeżeli Jagoda miała jakieś wątpliwości co do udziału Blythe’a w tym wszystkim, to teraz pierzchły. Uznała też natychmiast, że nie polubi krewnej Roberta: w jej ustach przydomek brzmiał wyjątkowo obraźliwie.

– We własnej osobie – odparła.

– Witam w naszych skromnych progach. Czy mam zawołać resztę rodziny?

– Na razie możemy zacząć od pani – stwierdziła Jagoda, chociaż najchętniej poszłaby się umyć i przebrać po podróży. Najwyraźniej po Elizabeth nie należało spodziewać się choćby podstawowej grzeczności.

– Elizo. – Robert położył dłoń na ramieniu dziewczyny. – Mamy za sobą długą podróż. Pozwólmy pannie Wilczek chwilę odpocząć. Pokażę pani pokój i spotkamy się za godzinę w salonie.

– Jeśli jest równie bezużyteczna, jak cała reszta, to tylko strata czasu. – Elizabeth prychnęła, strząsając rękę Rollinsa. – Powiadomię innych, że już jesteście. – Obróciła się i ruszyła w głąb domu.

Robert chrząknął, chyba po raz pierwszy okazując jakąś emocję: na jego twarzy mignęło coś na kształt zakłopotania.

– Eliza bardzo źle znosi zamknięcie – wyznał. – Ma dosyć prób i rozczarowań.

– Nic nie szkodzi. Będę wdzięczna za wskazanie, gdzie zostawić rzeczy. A potem będę potrzebowała odpowiedzi na kilka pytań, panie Rollins. Tym razem szczerych i wyczerpujących.

*

Pokój, do którego ją zaprowadzono, był zaniedbany i niemal pozbawiony mebli. Na łóżku leżała świeża pościel, ale stanowiła ona jedyne udogodnienie. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, brud pokrywał staroświeckie komodę i lustro w zdobionej, mosiężnej ramie, a kiedy Jagoda odciągnęła ciemne zasłony, w powietrze wzbiły się tumany kurzu. Z trudem zdołała otworzyć okno – ono także wyglądało na stare, zbyt długo niewymieniane. Wiedźma zastanawiała się, czy o tę część domu nie dbano, bo była nieużywana, czy też sytuacja finansowa rodziny Rollinsów nie przedstawiała się najlepiej. W tym drugim przypadku mógł się pojawić problem z wypłatą wynagrodzenia. Przynajmniej tyle dobrze, że podpisali kontrakt, a pokaźna zaliczka już znajdowała się na jej koncie.

Łazienka nieprzyjemnie ją zaskoczyła. Prysznica nie było, wanna okazała się niewielka i równie staroświecka jak komoda i lustro, toaleta, oddzielona od części łazienkowej prowizoryczną ścianką, też nie wyglądała najlepiej.

Może wszystkie pieniądze Robert przeznaczał na specjalistów, pomyślała Jagoda, przebierając się. Usługi Brown i Alcott nie były tanie. Caleb też miał tendencje do wyznaczania wysokich stawek za swoją pomoc, chociaż nie zawsze chodziło o płatność w twardej walucie. Wiedźma nie byłaby zdumiona, gdyby od kogoś zażądał praw do pierworodnego – o ile oczywiście spodziewałby się, że ten pierworodny będzie obdarzony szczególnym, magicznym talentem...

Poświęciła dwadzieścia minut na szybkie umycie i przebranie. Kolejne czterdzieści przesiedziała na parapecie, skupiając się na badaniu aury

posiadłości i próbach rozpoznania tutejszej magii. Zwłaszcza wychwyceniu nitek klątw.

Nie spodobało jej się to, co odkryła.

Po godzinie z powrotem zeszła na parter. Schody wiodły wprost do salonu – ogromnego i trochę bardziej nowoczesnego oraz bardziej zadbanego niż pokój udostępniony Jagodzie. Przy dużym, ozdobnym kominku – bezużytecznym, skoro wciąż trwało tu lato – ustawiono dwa fotele i parawanik. W drugiej części pomieszczenia znajdowały się wygodne kanapy i stół, a także fortepian. Ułożone na nim nuty i uniesiona osłona wskazywały na to, że prawdopodobnie ktoś wciąż z niego korzysta.

Eliza Rollins siedziała w jednym z foteli, a Robert stał obok, z dłonią na jego oparciu. Jagoda, nie czekając na zaproszenie, usiadła naprzeciwko. Skoro gospodyni niezbyt przejmowała się konwenansami, a jej zachowanie balansowało na krawędzi niegrzeczności, wiedźma też nie musiała dbać o dobre maniery.

– Wspomniał pan, że klątwą obłożono ludzi, nie miejsce.

– Bo tak jest. Pani, podobnie jak ja, może opuścić posiadłość w dowolnej chwili.

– A jednak panią Rollins spowija jedynie część przekleństwa. Klątwa wpisuje się w splot magii otaczającej dom.

– Co dokładnie to oznacza? – spytał Robert z kamiennym wyrazem twarzy.

Jagoda zmarszczyła brwi. Naprawdę żaden ekspert do tej pory mu tego nie wyjaśnił...? Zjawisko było nietypowe, nawet specjalista mógł nigdy się z nim nie zetknąć, ale przynajmniej jedna z zatrudnionych dotąd osób – Jeanette – powinna je rozpoznać.

Wilczek zastanawiała się przez moment nad odpowiedzią, a gdy zaczęła mówić, robiła to powoli, starając się dobrze dobrać słowa w obcym języku.

– Klątwa najczęściej jest przeznaczona dla konkretnej osoby, osób, przedmiotu albo miejsca. Może kogoś razić, zostawić na nim ślady, ale wtedy to zwykle odprysk. Jakby klątwa zrodzona z innej klątwy albo jej niezależny fragment przestaje być częścią większego układu. Można zdjąć ją osobno. W naszym przypadku przekleństwo oplata zarówno dom, jak i panią Rollins. Nie można usunąć go tylko z posiadłości albo tylko z człowieka. To połączenie sprytnie zamaskowano, ale jestem pewna jego istnienia.

Eliza uśmiechnęła się, pięknie i nieszczercze, po czym klasnęła parę razy.

– Brawo! Alcott zajęło to trzy dni, Brown jeden, a Michaelson nie doszedł do tego wcale. Pobiłaś rekord Caleba: on zorientował się po trzech godzinach.

Sprawdzali mnie, pomyślała Jagoda. Może było to na swój sposób uzasadnione, ale i tak ogarnęła ją irytacja. Jeżeli za lakonicznością Rollinsa stała chęć upewnienia się co do jej umiejętności, to wybrał marną drogę. Zaliczkę już przelał, pełną kwotę miała dostać tylko, jeśli podoła, a tajenie informacji wszystko utrudniało. Poza tym, skoro ukrywali takie rzeczy, to w czym jeszcze mijali się z prawdą?

– Tajenie przede mną informacji nie leży w niczym interesie.

– Zatrudnił cię. Dlaczego mamy dawać odpowiedzi na tacy? – spytała Eliza.

Ręka Roberta przesunęła się z oparcia na jej ramię i ścisnęła je lekko, jakby w geście upomnienia.

Jagoda naprawdę rzadko miała ochotę kogoś uderzyć. W tej chwili jednak zastanawiała się, czy gdyby przywaliła Elizabeth Rollins pięścią w twarz, ta wciąż uśmiechałaby się w ten irytujący, złośliwy sposób.

– Bo zostałam zatrudniona do zdjęcia klątwy. Próbując ustalić szczegóły, które doskonale znacie, tracę czas, siły, mogę wejść w ślepy zaułek albo przegapić dokładnie to, co pomoże mi przełamać zaklęcie. Albo więc zaczniecie współpracować, albo mogę od razu iść po swoje rzeczy.

Mierzyły się z Elizą spojrzeniami przez długą chwilę. Oczy Elizabeth były ciemne i kryło się w nich coś, co wzbudzało niepokój. Nie wywarło to jednak dużego wrażenia na Jagodzie, bo Rollins po pierwsze była od niej kilka lat młodsza, po drugie w kategorii zimnych czy morderczych spojrzeń nie miałyby żadnych szans z nestorką rodu Wilczków. A Jagoda była zahartowana w starciach z babką.

Za to zyskała już niemal pewność, że w tej rodzinie rządził nie Robert, najstarszy i najbogatszy, tylko ta niziutka, młoda kobieta.

– A może wcale nie chcesz, żebym złamała tę klątwę? – spytała wprost Jagoda, pierwsza przerywając milczenie. Darowała sobie już „panią Rollins”, skoro rzeczona pani Rollins nie była zbyt uprzejma.

– Uważasz, że zdołasz to zrobić?

– Każdą klątwę można zdjąć – odparła Wilczek. To było ulubione powiedzenie człowieka, który przez dwa lata ją uczył, i Jagoda też często je powtarzała. – Czasem towarzyszy temu ryzyko, jak prawdopodobnie tutaj, ale tak, jest spora szansa, że podołam.

Jakby maska spadła z twarzy Elizy. Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze i nie wydawała się już ani pewna siebie, ani niechętna. Spojrzała na Roberta, który lekko skinął głową. Cokolwiek przekazali sobie w ten niewerbalny sposób, gdy Elizabeth znów popatrzyła na Jagodę, w jej oczach pojawiło się coś nowego. Nadzieja? Desperacja?

– Czego konkretnie potrzebujesz?

– Przede wszystkim informacji. Kto został objęty klątwą, w jaki sposób dokładnie się ona objawia, wszystko, co jest związane z przekleństwem, jego rzuceniem. Oprócz tego muszę dokładnie zbadać twoją aurę. A potem najlepiej także innych domowników.

– Objęci nią zostali wszyscy, którzy tu przebywali w chwili jej rzucenia – odparła Eliza. Teraz ton miała rzeczowy, mówiła trochę wolniej, jakby chciała mieć pewność, że rozmówczyni ją zrozumie. – W sumie osiem osób. Ja, moja matka, dziadkowie, daleki kuzyn, odwiedzająca nas znajoma, kucharka i pokojówka. Robert przyjechał dopiero rano, zaklęcia uniknęła też jeszcze jedna służąca, akurat nocowała u siostry w Ragnarfell... Gdy próbujemy się zbliżyć do granic posiadłości, napotyamy niewidzialną barierę.

– Ale to nie wszystko, prawda? – spytała z naciskiem Jagoda. To, co wyczuwała, było zbyt silne, by mieć tylko takie konsekwencje.

Eliza się uśmiechnęła. Jakoś smutno.

– Od dnia rzucenia klątwy ciągle trwa tu ten sam letni dzień.

– Kto rzucił tę klątwę? Nie, proszę nie mówić, że nie wiecie. Nie wierzę, że nie próbował się pan tego dowiedzieć – powiedziała, spoglądając na Roberta.

Starła się powściągnąć irytację, ale słowa Elizy wytrąciły ją z równowagi bardziej, niż chciałyby przyznać. Żadna nienawiść, żadna miłość, nawet ostatnie tchnienie nie mogłyby zatrzymać miejsca w czasie.

Takie klątwy istniały tylko w baśniach. Jak w Śpiącej Królownie, gdzie wraz z tytułową bohaterką w sen zapadło całe królestwo, zaklęte w jednym momencie.

Złe przeczucia, które Jagoda miała od samego początku, narastały. A podejrzenia biegły w kierunku, który bardzo się jej nie podobał.

– Jeżeli ktoś rzucił takie zaklęcie... to musiałyby być cała grupa mistrzów klątw – podjęła, gdy nie odpowiedzieli. Oddech nieznacznie jej przyspieszył. Musiała się skupić, by go kontrolować. Nie mogła pozwolić ponieść się emocjom. – Albo najpotężniejszy czarodziej na świecie...

– Czarnoksiężnik – sprostowała Eliza. – Ale tak. Z dużym prawdopodobieństwem faktycznie najpotężniejszy na świecie.

Jacob Red, pomyślała Jagoda, czując, jak ogarnia ją zimno. Nauczyciel Caleba. Swego czasu najbardziej znany mag Wysp Brytyjskich, wynalazca, geniusz. Twórca nowych zaklęć, pogromca potworów i demonów, wpływowa persona, która nie została premierem magicznego ministerstwa tylko dlatego, że z powodu przeprowadzania ciągłych eksperymentów brakowało jej czasu na takie zabawy. Mistrz wielu dziedzin magii. Jagoda pamiętała, że kiedyś – jeszcze zanim ujawniono, jak daleko sięgały jego „badania” – babka wspomniała o nim, mówiąc, że tacy jak on rodzą się raz na dziesięć pokoleń.

Czarnoksiężnik, Czerwony Rozpruwacz, który w imię rozwoju magii poświęcił na ołtarzu wiele istnień.

– Ujęto go kilkanaście lat temu. Nie żyje – zauważyła Jagoda.

Elizabeth wyszczerzyła zęby i pod wpływem tego uśmiechu Wilczek pierwszy raz poczuła się w obecności dziewczyny nieswojo.

– Ile twoim zdaniem mam lat?

– Nie wiem – odparła wiedźma. Była bliska powiedzenia „dwadzieścia, dwadzieścia jeden”, ale domyśliła się, że gdyby odpowiedź była taka prosta, Eliza by nie pytała.

– Dwadzieścia – stwierdziła Rollins. – Jestem dwudziestolatką od sześćdziesięciu lat. Kiedy mówię „ten sam letni dzień”, to dokładnie to mam na myśli. Jacob Red uwięził nas nie tylko w tym miejscu, lecz także w czasie.

*

Tu zawsze jest teraz. To samo teraz, od wielu, wielu lat.

Pewnego letniego dnia poślubiła mężczyznę, którego pokochała kilka lat wcześniej. Wyżej postawiony, bogatszy, pokochał ją, wbrew woli swoich krewnych poprosił o rękę. To była historia jak z bajki: oto Kopciuszek zdobywający Księcia. Wcześniej sądziła, że poślubi swego kuzyna, bo kto inny mógłby zechcieć zubożałą, niemal pozbawioną magii dziewczynę, córkę kobiety, o której plotkowano, że jest szalona? Wtedy – jeszcze młoda, jeszcze głupia, jeszcze z głową pełną ideałów, pełną miłości – mówiła mu, że nie musi tego robić. Że nie powinien wiązać się z kimś uwięzionym w jednym miejscu. Mówiła to z nadzieją, że on uprze się przy swoim –

i uparł się. A ona uległa, może dlatego, że kochała go trochę za bardzo, może dlatego, że kochała go trochę za mało. A może dlatego, że wierzyła, że miłość im wystarczy? Że zakłęcie uda się przełamać?

Teraz, w tym samym dniu wiecznego lata, parnym i pięknym, patrzy na tego mężczyznę. Na siwe włosy, zmarszczki, wyblakłe oczy. A gorycz zżera ją od środka. Nie dała mu dzieci ani domu, pozbawiła majątku, zmarnowanego na próby przełamania klątwy. Jest wciąż młoda i piękna i wie – wie, że on nie wierzy w to, że ona wciąż go kocha. Że wyciąga ku niemu ramiona po każdym powrocie z innych powodów, niż tylko ten, że tak bardzo go potrzebuje.

Robert nie rozumie.

To zawsze jest „teraz”.

Kochała Roberta tamtego letniego dnia.

Kocha Roberta.

Może on nie wierzy, nie może uwierzyć, bo w jej oczach widzi już zbyt wiele szaleństwa, aby móc dostrzec uczucie?

*

– Jacob Red miał wtedy jakieś trzydzieści lat i oczywiście nikt nie podejrzewałby go o takie okropności – opowiadała Eliza.

Zaprowadziła Jagodę na górę, do pokoju, w którym jakoby sześćdziesiąt lat wcześniej gościł Czerwony Rozpruwacz. Jeśli wierzyć słowom Elizy, nic się tu nie zmieniło od tamtej pory. Pomieszczenie – ładniejsze niż to, które oddano Jagodzie, pokryte ciemną tapetą, umeblowane eleganckimi, drewnianymi meblami – nie nosiło jednak śladów obecności Reda. Wiedźma liczyła, że skoro czas został zatrzymany, coś tu znajdzie. Jeżeli jednak używał w tym pomieszczeniu magii, zamaskował ślady lub te wywietrzały: może tego nie obejmowało zakłęcie.

– Jego ojciec umarł, on wrócił zza granicy, aby zająć się rodzinną firmą i siostrą... Dziewczyna była od niego dużo młodsza, miała wtedy bodaj... dziesięć lat? – zastanowiła się Eliza, jakby szczegóły zamazywały się w jej pamięci. Przysiadła na łóżku i obserwowała, jak Jagoda krąży po pokoju, w którym podobno rzucono klątwę. – Zaczynał zdobywać sławę. Akurat wprowadził na rynek nowy model magicznych lamp. Zainstalowano je w całej londyńskiej enklawie. Wszyscy o nim wtedy mówili. Kiedy przyjął zaproszenie na mój ślub, byliśmy zaszczyceni.

– Ślub?

– Z Robertem – odparła Eliza, zerkając na Jagodę, jakby ciekawa jej reakcji.

Wiedźma zamarła na moment. Nie wnuczka. Żona. O bogowie, to wszystko okazywało się dużo bardziej skomplikowane, niż zakładała. Dlatego nie zdołała znaleźć żadnych informacji o rodzinie Rollinsa. Była tylko żona, uwięziona w czasie.

– Oczywiście wtedy wesele nie doszło do skutku – kontynuowała Elizabeth. – Jak by mogło, skoro panna młoda nie mogła się pojawić w kościele? – Parsknęła. W jej głosie pobrzmiwała gorycz. – Może powinnam być wdzięczna, że Jacob przyjechał dwa dni przed innymi gośćmi. On i mój szwagier. Inaczej utknęłabym tu na wieczność z całą masą ludzi, których nie cierpię – oświadczyła z przekąsem.

– Gdyby ludzi było więcej, prawdopodobnie klątwy nie udałoby się rzucić.

– To by wiele wyjaśniało. – Eliza westchnęła. – Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, że to Jacob utkał klątwę. Wieczorem poinformował nas, że musi pilnie jechać do Londynu, bo zachorowała jego siostra, i opuścił posiadłość. Ludzie z Ragnarfell widzieli, jak zmierza do altany. Zresztą wtedy nikt nie wiedział, że Red zna się na klątwach. Był szanowany, nie miał powodów nas nienawidzić, robił interesy z firmą Roberta...

– Znał się niemal na każdym rodzaju magii – mruknęła Jagoda, myśląc o biografii Jacoba, którą kiedyś przeczytała. Jeden taki czarodziej na tysiąc lat... Wcale nie była zdziwiona faktem, że w młodości nie chwalił się akurat tą swoją specjalizacją, skupiając się raczej na magii bojowej oraz zaklęciach użytkowych. Były bardziej popularne, przydatne i nie wzbudzały podejrzliwości.

– W każdym razie z tego, co udało się Robertowi ustalić później, Lily faktycznie wtedy chorowała, a kolejnego dnia widziano Jacoba w Londynie. W dodatku w nocy mój szwagier przyjął jakiegoś gościa. William, mój kuzyn, widział ich razem. Opisał wygląd gościa, nie pasował on do Jacoba. Brian, to znaczy szwagier, powiedział mu podobno, że wezwał medyka z Ragnarfell, bo nie czuje się najlepiej. Brian poważnie chorował. Od małego był chorowity, przy życiu utrzymywała go głównie magia, w dodatku jako młody chłopak znalazł się w obszarze katastrofy medycznej... William więc nikomu o tym nie powiedział, chociaż był pewny, że nie kojarzy tego człowieka z Ragnarfell.

Nie musiała dodawać, że Jacob prawdopodobnie zmienił swój wygląd za pomocą magii. Wtedy był jeszcze młodym człowiekiem, angielskim dżentelmenem, który dbał o swoją reputację. Postarał się o odpowiednią historyjkę, aby odsunąć od siebie podejrzenia. Może nawet i o to, aby siostra źle się poczuła we właściwym momencie. W kontekście jego biografii jeżeli coś Jagodę dziwiło, to tylko to, że zechciał tak zaryzykować. Jeśli jednak by się nad tym zastanowić, ten chłopak w wieku osiemnastu lat prawdopodobnie zamordował swojego nauczyciela. Może wierzył, że nie zostanie złapany?

– Co mógł dostać w zamian?

– Nie wiem. Pewnie Brian oddał mu wszystko, co odziedziczył po ojcu. Głównym dziedzicem firmy był Robert, jego ojciec nie chciał powierzyć rodzinnego interesu... cóż, komuś, kto mógł w każdej chwili umrzeć... ale Brian dostał kawałek ziemi i ją spieniężył. Red wtedy rozwijał firmę, szukał inwestorów na jakąś wyprawę.

– Red miał pieniądze. Ogromne pieniądze – zauważyła Jagoda.

– Studiowałaś jego biografię? – zdziwiła się Eliza. Zdawała się tym miło zaskoczona. – Doskonale, to też może się przydać. Wiesz, Michaelson zrezygnował ze zlecenia, ledwo usłyszał słowa „Jacob Red”. Od tej pory nie mówiliśmy nikomu, kto rzucił tę klątwę. W każdym razie może Brian miał coś, na czym Jacobowi zależało?

– Nieważne – mruknęła wiedźma, choć to było ważne. Odłożyła jednak rozważanie kwestii ewentualnej zapłaty na później. – Kontynuuj, proszę. Co było dalej?

– To wszystko. Rankiem znaleźliśmy Briana martwego. Na początku nikt się nie zorientował, co się stało; mówiąc prawdę, nasz największy dylemat dotyczył tego, czy trzeba przełożyć ślub... A kiedy posłaliśmy pokojówkę do Ragnarfell, okazało się, że nie może wyjść za bramę. Na podłodze widniały pozostałości po kręgu, ale mało widoczne. Nikt z nas nie wyczuł też resztek zaklęcia. Posprzątał po sobie.

Wskazała na odpowiednie miejsce. Jagoda uklękła na podłodze i przyłożyła dłoń do desek, nic jednak nie wyczuła. A raczej: nic, czego nie mogłaby wyczuć także w innych punktach posiadłości.

– To był dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi czerwca?

Eliza skinęła głową.

– Skąd wiesz?

– Przesilenie letnie – wyjaśniła Jagoda. Najwyraźniej Elizabeth Rollins niewiele wiedziała o pewnych dziedzinach magii. W pierwszej chwili wiedzmę to zdziwiło, zaraz uświadomiła sobie jednak, że edukacja kobiet, nawet w magicznym świecie, pół wieku temu wyglądała inaczej. Wybijały się głównie te obdarzone ogromnym talentem i sporym uporem. – Najkrótsza noc w roku. Myślę, że w żadną inną porę nawet ktoś tak potężny jak Jacob nie zdołałby zatrzymać tu lata. Kiedy dowiedzieliście się, że to on jest winny?

– Robert zaczął to podejrzewać, kiedy przeprowadzono... zaraz, jak to się teraz mówi... nalot na posiadłość Reda. Akurat niedługo potem zatrudnił Michaelsona, który uciekł na sam dźwięk nazwiska. W każdym razie potwierdził to dopiero niedawno Caleb Blythe. „Ręka mistrza”, tak to podsumował. I odesłał Roberta do ciebie.

– Kogo dokładnie ściągnęliście tutaj na pomoc?

– A kogo nie ściągnęliśmy! – parsknęła Eliza, wygodniej usadawiając się na posłaniu. Najwyraźniej to, że w tym właśnie łóżku umarł jej szwagier, niezbyt kobiecie przeszkadzało. – Najpierw nie wiedzieliśmy, że to przekleństwo, więc przez dobre dwa lata Robert sprowadzał tu różnych magów. Żaden nie umiał pomóc, ale jeden z nich, specjalista w wyczuwaniu magii, powiedział, że to może być klątwa... Nawet on nie był pewny.

Jagoda skinęła głową. Jednym z powodów, dla których osoby specjalizujące się w przekleństwach nie cieszyły się popularnością, był fakt, że trudno udowodnić rzucenie klątwy. Ekspert mógł je zamaskować i potrzeba było albo kogoś bardzo utalentowanego w wyczuwaniu magii, albo innego specjalisty od klątw. Najlepiej równego mocą lub silniejszego od tego, który utkał czar.

– Wtedy na całych Wyspach mieliśmy tylko dwóch klątwołamaczy... Wy chyba mówicie „specjaliści od klątw”? To nie była szanowana profesja, więc mało kto się tym zajmował. Robert zapłacił majątek, żeby ich ściągnąć. Potwierdzili, że to klątwa. Nie potrafili powiedzieć o niej nic więcej. Nie pamiętam ich nazwisk, możesz spytać Roberta. Potem sprowadził specjalistów najpierw z Włoch, później z Niemiec. Dopiero ten Włoch uświadomił nam, że klątwy na pewno nie rzucił Brian, był na to o wiele za słaby. Przed dekadą mój mąż przywiózł tutaj jakiegoś szamana z Afryki. Po miesiącu szaman nic nie wskórał i wyjechał stąd bardzo na nas zły, jakby to była nasza wina! Parę lat temu wezwaliśmy Alcott. Jeanette... Brown... próbowała parę razy. Robert znalazł ją, kiedy miała dwadzieścia

pięć lat. Udało się jej ustalić tyle, że klątwa jest spleciona z innymi zaklęciami. Później wracała już sama z siebie, dość regularnie, próbować od nowa. Podobno wciąż szuka sposobu, ale straciłam już nadzieję, że się jej uda. Był też Michaelson, niedługo po tym, jak Robert uznał, że Red maczał w tym wszystkim palce. Po nim przez dziesięć lat nie próbował nikt poza Jeanette.

– Zrezygnowaliście?

– Nigdy nie zrezygnuję – syknęła Eliza z nagłą złością. Poderwała się na równe nogi i zaczęła krążyć po pokoju, a biała spódnica wirowała wokół jej łydek. – Nigdy! Ale zaczęły chodzić plotki. Musieliśmy pozbywać się dziennikarzy. Robert... bał się... że ktoś zechce... wykorzystać tę klątwe. Zacząć na nas eksperymentować. Zatrzasnęliśmy więc bramę na głucho, zamaskowaliśmy posiadłość czarami i... czekaliśmy.

Jagoda otworzyła usta, chcąc zadać pytanie... i niemal natychmiast pojęła, o co chodziło Elizabeth. To, co dla niej było klątwą, dla niektórych mogło stanowić błogosławieństwo. Dopiero teraz w pełni do niej dotarło, jakie skutki miał ten czar. Uwięzienie. Ale także wieczna młodość. Nieśmiertelność.

Jej dotychczasowe przekonanie, że zdoła zdjąć przekleństwo, się zachwiało.

Bo jeżeli Jacob Red naprawdę odkrył sekret nieśmiertelności, jak mogłaby uznać, że jest silniejsza lub równie silna jak on? Nawet jeżeli chodziło tylko o to jedno ściśle określone pole, tkanie klątw... w innych dziedzinach nie ośmieliłaby się z nim porównywać. Byłaby jak dziecko przy mistrzu.

– Robert szukał dalej, ale po cichu. Kryterium: muszą być lepsi od Jeanette. A o to niełatwo. Ona parę miesięcy temu doradziła mu iść do Caleba, bo jeżeli ktoś zna sekrety Jacoba, to właśnie on i podobno jest tylko trochę słabszy niż jego nauczyciel.

Caleb Blythe był bez wątpienia najsilniejszym czarodziejem, jakiego Jagoda kiedykolwiek spotkała. Ale w przeciwieństwie do swego mistrza nie potrafił dowolnie kształtować magii. A raczej nie mógł tego robić w dziedzinie klątw. Była to myśl, która przysza jej do głowy dopiero teraz. Skoro ona miała taką umiejętność w jednej wąskiej dziedzinie, może z Blythe'em było podobnie?

– Mogliście mi powiedzieć.

Mogłaby się lepiej przygotować. Może spróbowalaby skontaktować się z Calebem albo Jeanette. I wtedy pewnie zabrałaby ze sobą Sonię. Jeżeli dziewczyna by nie pomogła, to na pewno nie zaszkodziła.

– Uwierzyłabyś? – Eliza się zatrzymała i wzruszyła ramionami. – Zresztą Robert jest ostrożny. Wolał, żebyś najpierw podpisała kontrakt z klauzulą poufności. W każdym razie wiesz już wszystko. Co dalej?

– Będzie ci przeszkadzać, jeśli pomaluję trochę podłogę? – spytała Jagoda, wydobywając z kieszeni kredę.

– Moja droga, jeżeli to pomoże zdjąć klątwę, możesz puścić cały ten dom z dymem – syknęła Eliza zapalczywie.

Jagoda nie miała wątpliwości, że mówi szczerze.

Wiedźma bez słowa uklękła i zaczęła kreślić krąg. Do zbadania przekleństwa zwykle nie potrzebowała takiego wzmocnienia. Tym razem jednak miała do czynienia z klątwą nie tyle rzuconą, ile stworzoną od podstaw. Prawdopodobnie splecioną z innymi rodzajami magii. Musiała wykorzystać wszystko, co dawało jej choćby najdrobniejszą przewagę.

– Usiądź tutaj, proszę. Postaraj się zrelaksować i jak najmniej ruszać. Nic do mnie nie mów. To niestety może potrwać.

– Ach. Wiem, paru już coś takiego robiło – mruknęła Eliza, po czym ostrożnie zajęła miejsce w kręgu.

Jagoda usiadła naprzeciwko i ujęła rękę dziewczyny.

Moc pani Rollins prawdopodobnie nie należała do tych najsilniejszych. Jagoda wychwyciła w niej lekkie ukierunkowanie na magię żywiołów: możliwe, że Elizabeth mogłaby się specjalizować w zaklęciach związanych z ziemią i roślinnością. W aurze kobiety nie wyczuła śladów po czarach rzucanych czy to przez, czy na Elizę – może pani Rollins rzadko używała magii, a może wiedząc, że pojawi się kolejny specjalista, nie robiła tego celowo, by ułatwić zadanie.

Nici klątwy splatały się, tworząc skomplikowany wzór. Spowijały Elizę różnobarwną siecią. Część z nich się rozpływała, sięgając dalej, prawdopodobnie ku zaklęciom, które rzucono na posiadłość. Jagoda była już pewna, że klątwa spadła jednocześnie na domowników i posiadłość, nie było mowy o zdjęciu jej „po kawałku”. Nic dziwnego, że żaden specjalista dotąd nie podolał. Wymagało to opanowania zbyt dużej ilości magii.

Próbowała zbadać poszczególne nitki. Z trudem znalazła początki niektórych z nich, ale zdawało się, że żadna nie ma końca. Gdzieś w klątwie tkwiło też echo śmierci – łatwo było odgadnąć, że Briana.

– Wreszcie – westchnęła Eliza z ulgą, gdy Jagoda puściła jej dłoń.
Nogi wiedźmy zdrętwiały, bolała ją głowa, a świat jeszcze przez chwilę zdawał się wyprany z kolorów.

– Już nie mogłam usiedzieć. Co dalej? – chciała wiedzieć Elizabeth.
– Odpocznę parę minut i zabierzesz mnie do następnej osoby.
– Ilu chcesz sprawdzić?
– Dziś? Tylu, ilu zdołam. Ale powinnam zbadać aurę was wszystkich.
Eliza wahała się, jakby niepewna.

– Inni... – wymruczała powoli, zastanawiając się przez moment, nim podjęła wątek. – Siedzimy tu od sześćdziesięciu lat. W tym samym dniu.
– Tak, wiem.
– To nie dla każdego był dobry dzień – powiedziała Eliza z naciskiem. – I nie każdy znosi to dobrze. Boże, można powiedzieć, że ja zniosłam to lepiej, choć ten dom przyprawia mnie o szaleństwo. William w ogóle nie chce już rozmawiać ze specjalistami, Fanny na pewno będzie dla ciebie okropna, a moja babka... ona jest chora. Bardzo chora. Rozumiesz?
– Rozumiem – odparła Jagoda.
Była w błędzie. Jak szybko się okazało, wtedy jeszcze nie rozumiała.

*

Najpierw przyprowadzono do niej Evę, pokojówkę. Dziewczyna w chwili, w której zatrzymał się czas, musiała mieć jakieś siedemnaście lat. Śliczna jak z obrazka, o subtelnych rysach twarzy i jasnych lokach. Z jej oczu wyzierała pustka, a na pytania Jagody odpowiadała półsłówkami, siedząc nieruchomo jak lalka. Talent magiczny Evy był mizerny. Podczas rozmowy wiedźma zastanawiała się, na ile zachowanie dziewczyny... nie, dorosłej kobiety, dużo starszej od niej... wynika z charakteru i braków w wykształceniu, a na ile z lat spędzonych w zamknięciu.

Zatęskniła za milczeniem Evy i jej biernością, ledwo do pokoju weszła Fanny. Kucharka, gdzieś pomiędzy trzydziestką a czterdziestką, najwyraźniej dawno przestała się przejmować odpowiednim zachowaniem wobec gości pracodawców. Jagoda nie mogła jej nawet za to winić. O ile Eliza była bezpośrednia i niezbyt grzeczna, o tyle Fanny już po pierwszym pytaniu obrzuciła Jagodę przekleństwami. Podczas sprawdzania aury dwukrotnie wyrwała wiedźmę z transu. Okazywała wręcz ostentacyjną niechęć, pozwoliła jednak zbadać nici kłątwy. Z pewnością i jej zależało na

tym, aby ta została zdjęta. O dziwo, Fanny miała przyzwoite zdolności magiczne. Gdyby przyszła na świat w obecnych czasach, mogłaby zrobić karierę.

Szybko okazało się, że obie kobiety przysłano najpierw nie ze względu na to, że były służącymi. Raczej Eliza uznała, że z nimi będzie najłatwiej.

Jako trzeci pojawił się Edward, dziadek Elizy od strony nieżyjącego ojca. Zaszuszony, zgarbiony mężczyzna miał w chwili uwięzienia około osiemdziesięciu lat, ale wyglądał, jakby dobiegał setki. Nie miał znacznego magicznego talentu, może dlatego postarzał się jak zwykli ludzie. Spojrzenie miał znękane, dłonie mu drżały, poruszał się powoli, choć nadal o własnych siłach. Gdy Jagoda skończyła sprawdzać jego aurę, na moment zacisnął palce na jej dłoniach. Nic nie powiedział, ale była to chwila, w której wiedźma zaczęła traktować zlecenie personalnie. O ile Elizabeth była zdeterminowana, by się uwolnić spod wpływu klątwy, o tyle tego człowieka przepełniały desperacja i rozpacz. Jagoda pojęła ich powody, kiedy została zaprowadzona do kolejnej ofiary. Tu musiała się pofatygować osobiście. Caitria, babka Elizy, kobieta nieomal pozbawiona magii, w dniu rzucenia zaklęcia miała siedemdziesiąt siedem lat. I była obłożnie chora. Jagoda nawet bez wykształcenia uzdrowiciela mogła stwierdzić, że Caitrii zostało kilka miesięcy, może tygodni życia – i że żadna magia niewymagająca ofiar z ludzi czy paktów z demonami nie zdołałaby jej wyleczyć. Nie istniały „zwykłe” zaklęcia, które byłyby remedium na starość. Ostatnie sześćdziesiąt lat kobieta spędziła więc prawdopodobnie zamknięta w tym pokoju, w którym unosił się zapach choroby i śmierci. Przykuta do łóżka, miała zaledwie tyle sił, aby usiąść.

Jagoda wyszła z sypialni, słaniając się na nogach. Nie tylko dlatego, że cały proceder ją wyczerpał, ani nawet nie dlatego, że klątwa była naznaczona piętnem czarnej magii. Rozpacz i udręka odmieniły aurę staruszki tak, że klątwa prawie w niej ginęła. Wiedźma czuła, jak oblepiają Caitrię i zatruwają jej umysł. Emocje kobiety były na tyle silne, że po kilkudziesięciu minutach spędzonych na studiowaniu jej splotów magicznych Jagoda ledwo potrafiła odróżnić je od własnych.

Eliza siedziała na schodach. Przypatrywała się wiedźmie w milczeniu. Tymczasem Jagoda pragnęła teraz tylko wrócić do siebie, zamknąć drzwi i zapaść w sen. Ale nie mogła. Czym było jej zmęczenie wobec sześćdziesięciu lat umierania? Wobec desperacji w oczach Edwarda? Wreszcie zrozumiała, czemu Jeanette Brown, która miała opinię bezlitosnej,

ba, zdaniem niektórych wręcz zimnej suki, wciąż tu wracała i próbowała zdjąć klątwę. Z pewnością nie chodziło tylko o zawodową dumę.

– Zaczęła słabnąć parę miesięcy przed moim ślubem. Czasem bywało lepiej, czasem gorzej. Tamtego dnia... było akurat bardzo źle – powiedziała Eliza, gdy wiedźma opadła na stopień u jej boku. – Kilkanaście lat temu wynaleziono eliksir, który jej pomaga. Robert go przywozi. Nie podałam go dziś, żeby nie zakłócać odczytu. Ale nawet on nie wystarczy, żeby mogła poczuć się naprawdę dobrze.

– Rozumiem – mruknęła Jagoda, i tym razem naprawdę rozumiała.

Zacisnęła powieki, a palcami przesunęła po skroniach. Ból pulsował w głowie, ledwo widziała na oczy.

– Nie, nie rozumiesz – syknęła Elizabeth. – Kiedyś dziadek udusił ją poduszką. Nie mógł już znieść jej męczarni. A ona po paru chwilach znów otworzyła oczy.

– To nie... – zaczęła wiedźma i urwała.

Niemożliwe. To było niemożliwe. To powinno być niemożliwe. Ale dlaczego Eliza miałaby kłamać? Żeby wzbudzić współczucie? Już jej się to udało, do jasnej cholery. Jagoda była gotowa zostać w tym domu całe tygodnie, poruszyć niebo i ziemię, ściągnąć na pomoc Sonię i Jeanette Brown, a jeżeli potrzeba, zaciągnąć kolejny dług u Ucznia Czarnoksiężnika, byle ich uwolnić. Mogła udawać niewzruszoną, dopóki to była tylko historia o ludziach uwięzionych w posiadłości. Nie potrafiła nie zaangażować się teraz, gdy cierpienie Caitrii wciąż jeszcze zdawało się jej własnym.

Kim, do licha, był Jacob Red? Wszystkie przekazy o nim wskazywały na to, że był najpotężniejszym magiem na świecie, ale nawet jego magia powinna mieć swoje ograniczenia.

– Moja babka cierpi od lat, a dziadek to obserwuje – podjęła Eliza. Mówiła szybko, jakby się bała, że Jagoda jej przerwie. – Fanny? Miała dwie córki i męża. Jedna z dziewczynek była wybitnie utalentowana, więc Fanny pracowała u nas, by zarobić na naukę. Gospodarstwo prowadziła im jej młodsza siostra. Po tym, co się stało, mój mąż w ramach zadośćuczynienia opłacił dziewczynce nauczyciela. Na początku odwiedzali Fanny. Potem robili to rzadziej i rzadziej... aż po siedmiu latach wyprowadzili się stąd. Robert ich odnalazł, bo Fanny się martwiła. Okazało się, że jej mąż związał się z jej siostrą. On i jedna z córek dziś już nie żyją. Eva? To było słodkie, głupiutkie dziecko, miała wyjść za jednego

farmera... i tkwi tutaj, od lat, niemal już nie mówi, zachowuje się, jakby była martwa za życia. Ruth? Przyjechała tu w odwiedziny i utknęła na sześćdziesiąt lat! Nigdy nie zobaczyła już swojego małego syna, bo jej mąż za bardzo się bał, że też stąd nie wyjdą! A ja? Boże, patrzyłam, jak mój mąż marnuje sobie życie, jak się starzeje, patrzę na to, jak powoli zbliża się do śmierci... i nie mogę zrobić nic, nic, nic!

Wieczne życie, wieczna młodość, wieczne lato...

To tak pięknie brzmiało. Ale tylko brzmiało.

Nie istniały klątwy, które były dobre. Zawsze tkwiła w nich pułapka.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – spytała Jagoda, równie wzburzona jak Elizabeth. Tak, Eliza miała prawo do gniewu, do rozpacz, ale ona nie musiała tego wszystkiego słuchać. Nie miała obowiązku przyjmować na siebie ich ciężaru: nie potrafiłaby go znieść. – Wcześniej nie chcieliście powiedzieć niczego!

Podniosła się, powoli, z trudem. Kręciło się jej w głowie. Czuła się brudna, jakby emocje Caitrii zamieniły się w coś fizycznego, co oblepiło skórę Jagody. Była zmęczona, tak straszliwie zmęczona, fizycznie i psychicznie.

– Jestem związana z tą ziemią – odparła Elizabeth.

– Co to ma do rzeczy? – syknęła wiedźma.

– Ta ziemia jest związana z klątwą – kontynuowała Eliza. Jej ton stał się beznamiętny. – Robert uważa, że możesz zdjąć przekleństwo. Caleb uważa, że możesz to zrobić. Ziemia szepce, że tak jest. Nikt wcześniej nie zdołał sprawdzić naraz więcej niż dwójki z nas. Same próby wysłedzenia klątwy ich wyczerpywały.

Wiedźma odwróciła wzrok. Nie chciała patrzeć na twarz Elizy. Elizy, która najwyraźniej też zaczęła wierzyć w to, że Jagoda ich uwolni. Elizy, która chciała się upewnić, że będzie miała ku temu wszelką możliwą motywację.

Teraz, gdy samą wiedźmę nawiedzały coraz większe wątpliwości, ta nadzieja stawała się kolejnym ciężarem, który spadł na jej barki.

– Ty też powinnaś coś wiedzieć – wyszeptła Jagoda. Podejrzewała to, odkąd sprawdziła aurę Rollins, ale dopiero przy Caitrii zyskała pewność.

– Co takiego?

– To nie Brian pomógł rzucić tę klątwę. Wpisano w nią jego śmierć, ale nie życzenie ostatniego tchnienia – oświadczyła. Kolejne słowa przychodziły jej z trudem, bo nawet gardło odmawiało posłuszeństwa. Jak

Caitrii, dla której mówienie było problemem... – Był ofiarą, nie zleceńodawcą. Zabito go, by zyskać więcej mocy do rzucenia przekleństwa.

– W takim razie... kto...

– Nie wiem. Ale dla tej klątwy, Elizo, to ty jesteś początkiem. Pierwsze nici klątwy oplatają ciebie... Wędrują dalej, chwytając resztę. Może znajdę odpowiedź, kiedy dowiem się, gdzie splot dobiega końca. Ale... może ty już ją znasz. Bo zrobił to ktoś, kto cię nienawidził albo...

Urwała. Eliza jęknęła i zasłoniła twarz dłońmi. Wiedziała, jakie słowa zawisły pomiędzy nimi, niewypowiedziane.

Najpotężniejsze klątwy zawsze rzuca się z nienawiści lub miłości.

*

Eliza jest uparta.

Matka zawsze na to narzekała. Mówi: „Elizo, nie bądź taka uparta. Damie to nie przystoi”. „Elizo, słuchaj starszych”. „Elizo, słuchaj matki”.

Eliza jest uparta: i z uporem próbuje.

Kolejni klątwołamacze, aurowidzowie i inni specjaliści przewijają się przez dom. Eliza przerzuca książki – wszystkie, jakie są w bibliotece, każdą, którą przywozi Robert – szukając odpowiedzi. Szepce zaklęcia, dniem i nocą, aż mdleje ze znużenia, raz po raz. Uczy się mówić do ziemi.

Uczy się słuchać tego, co ta odpowiada.

Próbuje przechodzić przez mur. Zniszczyć go.

Wreszcie chce zmienić cokolwiek. Sadzi kwiaty, ale te nigdy nie wschodzą. Wyrывa tulipany, te jednak odrastają. Tka czar, który być może jest już czarną magią, a który powinien uczynić ziemię jałową. Udaje się: Eliza traci przytomność pośrodku ogromnego, diablego kręgu.

Otwiera oczy, a wokół niej rośnie trawa.

Obcina sobie warkocz, na krótko, jak u chłopca. Matka załamuje ręce, a Eliza przez krótką chwilę czuje satysfakcję, jakiej nie czuła od (wczoraj, czterdziestu lat) dawna. Idzie spać i gdy się budzi, włosy znów są tak długie jak wcześniej.

Bierze nóż i tnie swoje ręce, głęboko. Krew plami skórę i prześcieradło. Eliza nie leczy ran: obwiązuje je bandażem, chowa pod długimi rękawami, a ból przypomina jej, że jeszcze żyje. Ból szybko jednak przemija, a ona zdejmuje opatrunki – po ranach nie ma śladu.

W letni dzień wypija kilka eliksirów babki. Traci przytomność, gdy się budzi, wymiotuje. Może wypła za mało.

W letni dzień wchodzi do sadzawki i nie wypływa, póki nie zapada ciemność. Wyciąga ją Robert. Nie jest pewna: umarła czy ratunek przyszedł na czas?

W letni dzień idzie do ogrodu z liną, owija sznur wokół szyi, a drugi kraniec zawiesza na wierzbie. Odcina ją William. Jest coś przerażającego w jego oczach. „Myślałem, że nie żyjesz”, szepce. „Bo nie żyłam”, odpowiada Eliza.

Eliza wie.

Pewnego letniego dnia znajdzie sposób.

*

Jagoda zostawiła Elizę samą z jej myślami. Zamknęła się w pokoju, zabezpieczyła drzwi podstawowymi runami ochronnymi, zaciągnęła zasłony i padła na łóżko, by niemal natychmiast zasnąć. Spała twardo, a jeżeli śniła, po przebudzeniu nie pamiętała snów. Gdy odsunęła zasłonę, przekonała się, że na zewnątrz jest tak samo jasno jak wtedy, gdy zasypiała.

Istniała możliwość, że, wyczerpana magicznie i psychicznie, przespała dobę. Miała jednak nieodparte wrażenie, że chodziło o coś innego. Elizabeth mówiła bardzo dosłownie, gdy wyjaśniała, że trwał tu ten sam letni dzień.

Ani na korytarzu, ani w salonie nie natknęła się na żadnego z domowników. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała sprawdzić aury pozostałych i znów porozmawiać z Elizą, ale teraz odczuła ulgę, że to się odwlecze. Zwłaszcza że i tak musiała przejść się po ogrodzie. Chciała zbadać klątwę, była też niemal pewna, że pod posiadłością biegły linie energetyczne, i musiała to sprawdzić. Być może Jacob użył ich do wzmocnienia przekleństwa.

Robert nie uprzedził jej, że będzie tak ciepło, więc najłżejszym ciuchem, jaki ze sobą wzięła, był T-shirt. Niemalże gotowała się w dzinsach, a zimowych butów pozbyła się tuż za progiem, dalej idąc boso. Ludzie w posiadłości mieli tę odrobinę szczęścia w nieszczęściu, że w dniu rzucenia klątwy pogoda była ładna. Co prawda upalny dzień po upływie pewnego czasu musiał męczyć, ale wieczny wicher i ciągła słota byłyby jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Trawa pod stopami była zielona i miękka. Pachniały kwiaty, na krzewach czerwieniły maliny. Lekki wietrzyk poruszał giętkimi, wierzbowymi gałązkami. Gdzieś śpiewał ptak. Czy był to ten sam ptak, co sześćdziesiąt lat temu, też zamknięty w wiecznej pętli, czy jego pra...prawnuke?

Jagoda powoli obesza całą posiadłość dookoła, co rusz przystając, a potem przysiadła na starej ławce stojącej w cieniu drzew na brzegu stawu. W innych okolicznościach może cieszyłaby się tym spacerem. W Warszawie po zimnym październiku przyszedł deszczowy listopad i szary, paskudny grudzień. W enklawie prababki od paru miesięcy trwała jesień, a pogoda była bardzo zmienna, niemożliwa do przewidzenia nie tylko z dnia na dzień, ale nawet z godziny na godzinę.

Echa klątwy, wprawdzie ledwo wyczuwalne, ale wszechobecne, nie pozwalały jej jednak zapomnieć, że nie przebywa na urlopie. Badała je przez dobrą godzinę, aż upewniła się, że Robert miał rację – przekleństwa pierwotnie nie rzucono na miejsce, lecz na ludzi. Nici sięgały od nich ku posiadłości i ogrodowi, wiążąc ze sobą nierozzerwalnym – czy też raczej prawie nierozzerwalnym – łańcuchem. Wzór był tak skomplikowany, że Jagoda na razie nie potrafiła znaleźć sposobu na jego rozplątanie, ale wierzyła, że niedługo go znajdzie. Wiedziała już wiele, dość, aby wychwycić pewne prawidłowości. I była niemalże pewna, że kluczem będzie zerwanie więzi między ludźmi i miejscem. Pytaniem pozostawało, w jaki sposób to zrobić. Miała kilka pomysłów, trudno jednak było przewidzieć ich rezultaty.

Może gdy sprawdzi aurę pozostałych albo Eliza powie jej, kto pomógł Jacobowi rzucić klątwę, dostanie brakujące odłamki układanki. Choć teraz, gdy wiedźma dokładnie zbadała strukturę klątwy... podejrzewała, że kiedy Elizabeth dowie się wszystkiego, może zmienić zdanie w kwestii uwolnienia.

Pani Rollins pojawiła się, jakby przywołana myślami Jagody. W białej sukience bez rękawów, eleganckich pantofelkach, z kapeluszem na głowie, na tle angielskiej posiadłości wyglądała jak wyjęta z jakiegoś serialu BBC osadzonego w XX wieku. Wiedźma zastanowiła się, czy to przedstawienie specjalnie dla niej – czy może Eliza przez ostatnie sześćdziesiąt lat codziennie wychodziła na spacer w nieskazitelnym stroju, chroniąc twarz przed słońcem? Jak przystało na panienkę, której świat zatrzymał się pod koniec lat pięćdziesiątych? Społeczeństwo magów, zwłaszcza angielskie, było wtedy jeszcze dość konserwatywne. Z drugiej strony sposób

wyrażania dziewczyny wskazywał na to, że dawno zapomniała o niektórych konwenansach i że przeczytała przynajmniej kilka współczesnych książek.

– Sądysz pewnie, że to Robert? – spytała Eliza prosto z mostu, siadając obok Jagody.

Musiwały zabawnie obok siebie wyglądać: jedna w jasnej, plisowanej sukience na guziczki, w kapelusiku, z perłami na szyi, druga bosa, w powycieranych dżinsach i szarej, spranej koszulce.

– Ty mi powiedz.

Gdyby Elizabeth naprawdę miała dwadzieścia lat, pewnie odpowiedź brzmiałaby: „On nigdy by tego nie zrobił”. Po blisko sześćdziesięciu latach małżeństwa, uwięzienia i bezskutecznego szukania sposobu na zdjęcie klątwy zapewne wzięła taki scenariusz pod uwagę. Niekoniecznie w niego wierzyła, ale przynajmniej rozważała.

– To nie on – rzuciła Eliza beznamiętnie. – Zastanawiałam się... przez chwilę. Lubił to miejsce, a wiedział, że ja chcę stąd uciec. Nalegałam na przeprowadzkę zaraz po ślubie. Do jego londyńskiego mieszkania. Ale to, co się stało, odebrało mu majątek i pozycję społeczną, z tego powodu nie mogliśmy mieć dzieci, a i na pewno nie chciałby, żebym była tu uwięziona z dziadkami... i matką.

– Mógł nie wiedzieć, jak zadziała klątwa.

Być może nawet sam Jacob nie przewidział pełni skutków. Śmierć Briana, życzenie i emocje zleceniodawcy, linie energetyczne, moc letniego przesilenia oraz nieprawdopodobna moc Reda połączyły się ze sobą, tworząc przedziwną mieszankę. Nici klątwy wnikały w inne zaklęcia, płątały się, skrywały w aurach budynku i jego mieszkańców. Czarnoksiężnik mógł jedynie próbować uwięzić Elizę. Albo – co w świetle jego osiągnięć i zbrodni zdawało się Jagodzie bardziej prawdopodobne – eksperymentował, niepewny rezultatów.

– Sądzę, że to moja matka – odparła Elizabeth, nie patrząc na nią. Jej głos załamał się przy ostatnim słowie, ale dziewczyna odetchnęła i gdy znów się odezwała, mówiła równie obojętnie jak wcześniej. – Nie opuszczała terenu posiadłości od śmierci ojca. Nie chciała, żebym wyjechała. Ba, nie chciała nawet, żebym wychodziła za męża. Nie była zadowolona, gdy zaręczyłam się z Robertem. Najpierw próbowała mnie przekonać, że najlepiej, abym nie myślała o małżeństwie, potem, że skoro koniecznie chcę mieć męża i dzieci, żebym poślubiła kuzyna i tu z nim

zamieszkała. Nie wiem, jak zapłaciła Jacobowi, bo z naszego majątku niewiele zostało, ale to... pasuje.

Jagoda milczała, zapatrzona w wodę. Jej komentarz czy potwierdzenie nie były tu potrzebne.

– To pomoże? – spytała Eliza po długiej chwili.

Wiedźma skinęła głową.

– Jeżeli jej życzenie zaczęło klątwę, to tak. Jest... drugim końcem nici.

– Zdołasz dzięki temu nas uwolnić? – Tym razem Elizabeth mówiła cicho. Szeptwała prawie i choć Jagoda siedziała tuż obok, ledwo ją usłyszała.

– Ja... – zawahała się. Czy zdoła? Może należałoby postawić pytanie inaczej. Czy powinna ich uwolnić? – Tak myślę. Jestem niemal pewna. Ale... Eliza, jeśli zdejmę klątwę...

– Wiem – przerwała jej Rollins.

– Skąd?

– Caleb nam powiedział. Chociaż podejrzewałam to już wcześniej. Wiesz? Dużo nauczyłam się o klątwach. Robert zwoził książki o przekleństwach z całego świata. Niektóre z klątw, te najpotężniejsze... są jak z baśni. A ja zawsze lubiałam tę konkretną baśń.

Spojrzała wreszcie na Jagodę i się uśmiechnęła. Wiedźma już kilkakrotnie widziała uśmiech Elizabeth, ten jednak był jakiś inny: może po prostu szczery? Mimo tego, co niósł kres magii Jacoba, mimo zdrady własnej matki, Eliza Rollins wyglądała na szczęśliwą. Jakby w chwili, w której wiedźma ponownie potwierdziła, że może zdjąć klątwę, z ramion Elizabeth spadł wielki ciężar.

*

Ailis Lynch była chora. W inny sposób niż jej teściowa: choroba dotyczyła nie ciała, lecz umysłu.

„Zawsze miewała gorsze dni”, wyjaśniła Eliza, zanim poprosiła Roberta, by zaprowadził Jagodę do sypialni matki. „Bała się wychodzić poza teren posiadłości. Zapominała... rzeczy. A parę lat po rzuceniu klątwy jej stan zaczął się pogarszać”.

– Ailis? Mamy gościa. Odwiedziła nas pewna dama, która chciałaby cię przywitać.

Kobieta, na oko kilka lat po czterdziestce, siedziała w fotelu przy oknie. Spojrzała na Roberta i Jagodę, stojących tuż za progiem, ale wzrok miała

nieobecny. Tęczówki Ailis miały tę samą barwę, co Elizy, w rysach twarzy od razu dało się dostrzec podobieństwo, spojrzenie obu kobiet było jednak zupełnie inne. W twarzy i oczach Elizabeth kryły się zaciętość i inteligencja. W rysach Ailis... rozkojarzenie i jakaś miękkość.

– Przepraszam, pana...?

– Robert, Ailis – przypomniał cierpliwie. – Wczoraj wróciłem z podróży.

– Ach. Zapomniałam – mruknęła Ailis, poruszając głową i mrugając, jakby próbowała otrząsnąć się z senności.

Pamięć. W niej tkwił problem, a może błogosławieństwo pani Lynch. Nie pamiętała klątwy. W ogóle nie pamiętała wiele. Elizabeth nie chciała osobiście zaprowadzać wiedźmy do Ailis, bo ta na widok córki czasem wpadała w histerię: próbowała przekonać ją, by odwołała ślub i nie wyjeżdżała, nieświadoma, że od tego czasu minęło sześćdziesiąt lat.

– A to...? – spytała, spoglądając na wiedźmę.

– Jagoda. Przyjechała do twojej córki. Może zaprosisz ją na herbatę?

– Eliza... Eliza przyjdzie?

– Tak, przyjdzie wieczorem cię odwiedzić – zapewnił Robert, po czym się wycofał.

Jagoda nie mogła liczyć na współpracę Ailis przy sprawdzaniu aury: zdaniem Elizy przy próbie wyjaśnienia, dlaczego ma siedzieć spokojnie w kręgu, kobieta mogłaby wpaść w panikę. Wiedźma musiała więc przynajmniej pozostać z nią w pokoju sama, by pozbyć się zbędnych rozpraszaczy i dzięki temu lepiej zbadać klątwę.

– Usiądź, proszę. Nazywasz się...?

– Jagoda. Jaga.

– Dziwne imię.

– Nie pochodzę z Wysp.

Ailis nalewała sobie właśnie herbaty; zamarła, unosząc wzrok na Jagodę.

– Eliza nie ma znajomych poza Wyspami.

– Poznałyśmy się przez Roberta, niedawno.

– Czy Eliza chce wyjechać z Irlandii? – spytała Ailis, jej twarz pobladła, wykrzywiła się w nieładnym grymasie. Dłoń wciąż trzymała czajniczek, herbata przelewała się już z filiżanki na spodek.

Jagoda sięgnęła ku ręce kobiety i zmusiła ją, by odstawiła naczynie. Następnie mocno zamknęła palce wokół drobnej dłoni Ailis, korzystając z okazji do nawiązania fizycznego kontaktu.

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła, starając się skupić.

Klątwę wyczuwała od razu, sięgnięcie ku niciom przekleństwa było łatwe, ale już dokładne ich zbadanie... Pomagało to, że wcześniej pracowała z innymi domownikami: wiedziała, czego szukać.

– Nie może wyjechać. Nie może zostawić mnie samej – wyszeptwała Ailis. – Co to za córka, która zostawia matkę? Muszę porozmawiać z Williamem. On z pewnością jej to wyperswaduje.

„Dla niej wciąż trwa ten sam dzień – Słowa Elizy odezwały się echem w głowie wiedźmy. – Czasem coś sobie przypomina i wtedy wpada w panikę. Krzyczy, płacze, rzuca się po dywanie. Postaraj się jej nie zdenerwować, trudno ją potem uspokoić”.

– Eliza nie wyjeżdża, pani Lynch – powtórzyła Jagoda. – Ja zostanę najwyżej dwa, trzy dni. Proszę się nie martwić.

– Chciała się wyprowadzić – powiedziała kobieta żalonym tonem. – Do Londynu! A mogłaby poślubić Williama i zostać tutaj panią!

– Myślałam, że posiadłość należy do pani?

Ailis znów się skrzywiła. Nie próbowała uwolnić ręki.

– Moi teściowie zdecydowali, że otrzyma ją William. Kiedy mój mąż zmarł. Są staroświeccy. Uważają, że dziewczynka nie powinna dziedziczyć. Ale gdyby tylko poślubiła Williama, miałyby zapewnioną przyszłość...

– Robert również nie jest biedny – zauważyła Jagoda łagodnie. Wolą nie przypominać, że ślub Elizabeth już się odbył. Dawno, dawno temu, zapewne niedługo po tym, jak rzucono klątwę.

– Jego rodzina dorobiła się na handlu! – prychnęła Ailis.

Jagoda nie pojmowała, co mogło być złego w „dorabianiu się na handlu”, ale być może czarodzieje z Ragnarfell mieli własne poglądy na pewne sprawy. Lub mieli je przed sześćdziesięciu laty, w czasach, w których wciąż żyła pani Lynch.

– William byłby odpowiedniejszą partią – nie ustępowała Ailis.

– Nie miałam okazji go poznać. Może mi pani o nim opowie? – zasugerowała wiedźma.

Ailis podchwyciła sugestię, a Jagoda przestała słuchać, ledwo padły pierwsze słowa. Zamiast na nich, skupiła się na klątwie. Po tym, jak uważnie przyjrzała się austom pozostałych osób w posiadłości, potrzebowała zaledwie trzech minut, aby stwierdzić z całą pewnością: w przekleństwie oplatającym Ailis nic nie różniło się od pozostałych przypadków.

Elizabeth była początkiem łańcucha. Pozostali mieszkańcy jego ogniwami. Podobnie jak Ailis.

Albo Jagoda się myliła i ten, kto pomógł rzucić klątwę, nie stanowił końca układu, aby tą osobą nie była matka Elizy.

Wypuściła dłoń Ailis i zamrugła, powracając do rzeczywistości. W samą porę, by kątem oka zarejestrować, że drzwi pokoju otwierają się gwałtownie. W powietrzu śmignęło zaklęcie i wiedźma zareagowała instynktownie, rzucając się w bok. Padła na podłogę razem z krzesłem, a czar śmignął jej nad głową i uderzył w okno, rozbijając je w drobny mak.

Pani Lynch zaczęła krzyczeć. Jagoda, wiedzona odruchem, uwolniła obie klątwy, które nosiła przy sobie dla obrony, kierując je w obcego człowieka stojącego na progu. Gdy próbowała się podnieść, kolejne zaklęcie trafiło prosto w nią i zostało pochłonięte przez moc ochronnego amuletu.

Cisnęła następną klątwę w rudowłosego mężczyznę. Padł na kolana, ale zdołał utkać kulę ognia... i, być może z powodu ciężących na nim przekleństw, trafił prosto w Ailis, która poderwała się na równe nogi.

Z ust Jagody wyrwał się zdławiony okrzyk. W nozdrza wwiercał się smród palonych włosów, materiału, skóry. Krzyk Ailis narósł, wręcz świdrował w uszach, szybko jednak umilkł. Pani Lynch padła na ziemię, wciąż jeszcze żywa, i zaczęła się rzucać w konwulsjach. Spojrzenie na nią kosztowało Jagodę oberwanie kolejną kulą ognia. Bariera amuletu wytrzymała, ale ochronne zaklęcie prawie się wyładowało.

Nie zastanawiała się długo. Jej klątwy były silne, ale nie dość, aby nieprzygotowana, nie mając gdzie się ukryć, mogła wygrać starcie jeden na jednego z – najwyraźniej – potężnym magiem ognia. W każdym razie nie magiczne starcie. W dwóch skokach pokonała pomieszczenie, dopadając do napastnika. Był mężczyzną, owszem, prawdopodobnie fizycznie silniejszym od niej. Ale teraz klęczał, osłabiony kilkoma przekleństwami, a magów bardzo, bardzo rzadko trenowano do bezpośrednich walk. Jagoda zaś była wnuczką Joanny Wilczek: kobiety, która przewidywała wszystkie możliwe scenariusze i zadbała o wszechstronną edukację potomków.

Rudowłosy uniósł dłonie, nie w próbie zablokowania ciosu, lecz rzucenia kolejnego czaru... i nie zdążył. Pięść Jagody uderzyła go prosto w twarz, łamiąc nos. Pochylił się i zawył jednocześnie, a ogień rozszedł się spod jego palców i w jednej chwili podpalił dywan, zmuszając wiedźmę do odskoczenia.

Na schodach rozległ się tupot. Jagoda nie miała szansy dostrzec, kto stanął na progu, bo ledwo się pojawił, w powietrzu śmignęło kolejne

zaklęcie. Ochrona amuletu prysła, pochłaniając jego moc.

Wiedźma rzuciła klątwę, a kobieta, która się pojawiła – kucharka! – zatoczyła się i omal nie upadła prosto na podpalony dywan. Gdzieś z głębi domu słychać było nawoływania. Nadciągały kolejne osoby, a Jagoda nie mogła się już łudzić: z jakiegoś powodu domownicy postanowili ją zabić. Nieprzygotowana, miała niewielkie szanse w walce z kilkoma osobami, nawet jeżeli większość z nich nie była szczególnie potężna.

Dopadła zniszczonego okna. Gdy skakała, do głowy przyszła jej dość absurdalna w tych okolicznościach myśl: że nie pierwszy raz ratuje się ucieczką w ten sposób. Na szczęście piętro było niskie, a pod oknem znajdował się nie beton, a trawnik. Jagoda zaryła kolanami w ziemię, prawa kostka zaboląła, ale na szczęście nie doznała żadnych obrażeń.

Poderwała się i biegiem ruszyła przez trawnik. Kolejna kula ognia rozbiła się tuż za nią, podpalając roślinność. Jagoda skręciła, oddalając się od posiadłości. Gdy dobiegła do bramy, kłódka okazała się zamknięta, ale dwa proste zaklęcia wystarczyły, by ją rozbić. Prawdopodobnie domu strzegły ochronne czary, miały jednak zatrzymywać intruzów chcących wejść na teren posiadłości, a nie odwrotnie, Jagoda więc bez problemu wybiegła na zewnątrz.

Wiatr zawiął jej w twarz, sypiąc śniegiem w oczy. Chłód natychmiast przeniknął ją aż do kości. Wybiegła bez kurtki, odziana tylko w jeansy i koszulkę, nie mogła jednak zawrócić. Zaciśnęła zęby i trzęsąc się z zimna, ruszyła przez zasy. Kierowała się ku – miała nadzieję – wiosce. Musiała dotrzeć do karczmy w Ragnarfell i spróbować skontaktować się z rodziną. Jej rzeczy: pieniądze, dokumenty, nawet telefon komórkowy – wszystko zostało w pokoju.

Głupia. Zaufała Elizabeth. A raczej: zaufała, że Eliza chce znowu być wolna. Dała się złapać na łzawą historyjkę. Klątwa była prawdziwa, w to Jagoda nie wątpiła, ale najwyraźniej cała reszta już nie. Nie chcieli zdjąć przekleństwa. Może nawet ktoś ich zatrudnił, żeby się jej pozbyli? Tylko kto sięgnąłby po tak niebywałe środki, żeby pozbyć się Wilczej Jagody? Potoccy?

Przynajmniej tyle, że jedynym, który mógł podjąć za nią pogoń, był Robert. Z nim zaś powinna poradzić sobie bez większego problemu. Dlatego nie gnała przed siebie na ślepo. Bieg może i by ją rozgrzał, ale też pozbawił energii i mogłaby nie dotrzeć do centrum Ragnarfell. Szła więc powoli, obejmując się ramionami, i próbowała przypomnieć sobie

inkantację pozwalającą przywołać niewielki płomyk. Nie rozgrzeje jej bardzo, ale lepsze to niż nic...

– Panno Wilczek!!!

Krzyk Rollinsa rozległ się, gdy oddaliła się na tyle, że posiadłość znikła jej z oczu. Błyskawicznie zbiegła ze ścieżki, wpadając między drzewa; śnieg sięgał tu aż do łydek. Palce Jagody wygięły się w gestach potrzebnych do utkania przekleństwa. Robert biegł przez śnieg, potykając się i jedną ręką podtrzymując kapelusz. Nie miał płaszcza. Był zdyszany: musiał wyruszyć w pogoń parę minut po tym, jak ona umknęła.

– Panno... Wilczek! To nieporozumienie!

Uwolniła prościutką kłatwę i Rollins runął w zaspę.

– Wracaj do posiadłości albo za siebie nie ręczę! – odkrzyknęła ostrym tonem, zwijając wokół palców nici kolejnego przekleństwa.

– Przysięgam, że tego nie planowałem! – Robert ukląkł, unosząc dłonie w geście poddania. Kapelusz spadł mu z głowy. Trząśnięcie z zimna. W innych okolicznościach Jagoda może poczułaby wyrzuty sumienia: był starym, niemal bezbronnym mężczyzną. Ale ledwo chwilę wcześniej wpadła w jego zasadzkę i widziała, jak zamordowano kobietę. Również bezbronną.

– Oczywiście. Domownicy oszaleli pod wpływem zamknięcia i niespodziewanie zaatakowali. Nie, nie waż się podchodzić, bo oberwiesz kolejną kłatwą! – warknęła, kiedy Robert, zobaczywszy, że atak nie nadchodzi, się podniósł.

– Eliza mnie za tobą wysłała!

– I?!

– To William musiał rzucić kłatwę! Nie wiedzieliśmy... Żadne z nas nie wiedziało... Panno Wilczek, proszę...

Przygryzła wargę. Zatrzymała się i spomiędzy gałęzi sosny obserwowała Rollinsa. Drżała z zimna. Była niemal pewna, że okupi tę wycieczkę chorobą, może nawet zapaleniem płuc. Powinna natychmiast ruszyć w drogę do Ragnarfell. Zostawiając mężczyznę za sobą, ryzykowała jednak, że zaatakuje ją od tyłu. Z kolei rzucenie potężniejszej kłatwy na starszego, zziąjanego mężczyznę mogłoby sprawić, że ten zamarznie w zaspie.

Mimo wszystko to nie on ją zaatakował.

– Próbował mnie spalić. Potem zaatakowała mnie Fanny.

– Sądziła, że to pani zrobiła krzywdę Ailis.

– Zabiła, chciałeś powiedzieć.

– To nie potrwa długo.

Wzdrygnęła się. Przypomniała sobie, co Eliza mówiła o swojej babce, uduszonej poduszką, otwierającej oczy parę godzin później.

– Nie ma mowy, żebym tak po prostu tam wróciła.

– Panno Wilczek... zapłacę dwa razy więcej... Błagam...

Nie miał już kamiennego wyrazu twarzy ani opanowanego głosu. Wyglądał jak zdesperowany, złamany człowiek błagający o darowanie życia. Jagoda nie mogła mu się dobrze przyjrzeć, ale zdawało się jej, że po jego policzkach spływają łzy.

Zdusiła wyrzuty sumienia. Wspomnienie woni spalenizny wciąż pozostawało żywe. Niewiele brakowało, by to ona leżała martwa, a jej nie wskrzesiłaby żadna czarna magia.

– Porozmawiam z panem za... dwie godziny w karczmie w Ragnarfell – zdecydowała Jagoda.

– Panno Wilczek...

– Dwie godziny – powtórzyła ostro. Nie była pewna, co mu tam odpowie, ale potrzebowała czasu na przemyślenie sprawy, wykombinowanie, jak się zabezpieczyć, jeżeli postanowi wrócić. I przede wszystkim: musiała się ogrzać. – Niech pan przyniesie na spotkanie moje rzeczy, inaczej nie ma mowy o żadnej rozmowie.

*

Gdy Jagoda dotarła do Ragnarfell, była skostniała z zimna. Usta jej zsiniały, zaczerwienione palce rąk piekły i prawie nie czuła nóg. Wpadła do karczmy wraz z podmuchem wiatru i dosłownie zatoczyła się na najbliższy stolik.

Gospoda była niewielka, z rzędami drewnianych ław, udekorowana gałązkami jedliny. O tej porze niemal pusta, nie licząc grupki mężczyzn pijącej piwo w jednym z kątów. W kominku płonął ogień.

Mężczyzna stojący za ladą ruszył w stronę wiedźmy, ale wtedy przypadła do niego kelnerka, szybko szepcząc mu coś na ucho. Cokolwiek powiedziała, gospodarz po prostu się cofnął i udawał, że nie widzi Wilczków. W tej chwili nie miało to jednak dla Jagody znaczenia: podpierając się o ławę, podeszła do paleniska i opadła prosto na drewnianą podłogę tuż obok niego. Z trudem powstrzymywała się przed złorzeczeniem w myślach Robertowi Rollinsowi, Elizie i samej sobie. Lata

temu nauczyła się, że w przypadku wiedźmy klątw nawet takie myśli mogły się okazać niebezpieczne.

Gdy już trochę odtajała, przeszukała kieszenie spodni i z ulgą odkryła pięciofuntówkę. Bez wahania przeznaczyła banknot, stanowiący obecnie cały jej majątek, na herbatę. Kelnerka zostawiła ją na drugim krańcu stołu, jakby bała się podejść bliżej.

– Chodzi o Rollinsa? – spytała głośno Jagoda, bo przyczyn takiego zachowania upatrywała w tym, że widziano ją z Robertem.

Kobieta cofnęła się gwałtownie i umknęła bez słowa.

W Ragnarfell musiały krążyć opowieści o domu obłożonym klątwą. O jego mieszkańcach, którzy się nie starzeją. W innych okolicznościach Jagoda chciałaby o nie podpytać, bo nie była już pewna, czy Eliza powiedziała jej prawdę. Pewnie poprosiłaby o możliwość skorzystania z telefonu. Niestety, teraz musiałaby to prawdopodobnie wymusić, a półgodzinna przechadzka po śniegu, w temperaturze około minus jeden, w koszulce z krótkim rękawem wyzuła ją z sił. Mogła się tylko cieszyć, że zima w Irlandii nie okazała się bardziej mroźna.

Robert Rollins pojawił się w karczmie równe półtorej godziny po Jagodzie. O ile na nią zerkano podejrzliwie, o tyle jego pojawienie się sprawiło, że goście pierzchli, a kelnerka schowała się na zapleczu. Mężczyzna miał ze sobą plecak i torebkę wiedźmy. Prawie mu je wyrwała i błyskawicznie wyciągnęła telefon komórkowy. Wystukała wiadomość do Igi Wiśniewskiej z prośbą, by ta powiadomiła rodzinę, jeżeli Jagoda nie zadzwoni w ciągu najbliższych paru godzin. Uznała, że Iga jest najrozsądniejszą ze znanych jej osób, nie podniesie od razu alarmu, nie zacznie panikować, za to zrobi dokładnie to, o co ją poproszono.

– Co z tym Williamem?

– Zamknęliśmy go w piwnicy.

– Spodziewa się pan, że wrócę do domu, w którym przebywa człowiek chcący mnie zabić?

– Osobiście gwarantuję pani bezpieczeństwo – poinformował Rollins. Zdążył już odzyskać zimną krew. Nie siadał: stał obok ławy, sztywno wyprostowany, wciąż w palcie i kapeluszu. – Jako dowód dobrej woli, wykonałem przelew na pani konto. Na pełną kwotę, na którą się umawialiśmy. Jej dwukrotność przeleję po zdjęciu klątwy.

Zerknęła na niego podejrzliwie, po czym zalogowała się na stronę banku. Faktycznie, na konto wpłynęło ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych. Mniej

więcej dziesięć tysięcy funtów. Średnio roczne zarobki Jagody. Nie musiałyby już przejmować się zniszczonym mieszkaniem i masą innych rzeczy, które ostatnio spędzały jej sen z powiek.

– Wszystko ładnie, ale żadne pieniądze nie są warte mojego życia.

– Nie będzie zagrożone.

– Jak bardzo jest pan pewien, że wszyscy w domu chcą zdjęcia klątwy? – spytała chłodnym tonem. – Nieśmiertelność, nawet ograniczona do jednego domu, to kusząca sprawa. Williamowi ewidentnie odpowiada ta sytuacja. Może Ruth albo Fanny rzucą mi się do gardła, ledwo przekroczą próg?

Była pewna, że tysiące ludzi chętnie przystałyby na taki układ. Wieczność w ładnej posiadłości, w ciepły, słoneczny dzień? Ona sama nie byłaby zainteresowana chyba tylko z jednego powodu: nie istniały dobre klątwy. Haczyk musiał być więcej niż jeden.

– Nie ma czegoś takiego jak dobre klątwy, pani Wilczek – odparł Robert, jakby czytając jej w myślach. – Ta ma różne skutki uboczne. Miesza w głowach. Jestem więcej niż pewny, że nawet William nie rzuciłby tej klątwy drugi raz. Nie chciał tylko, aby Eliza odkryła, kto jest odpowiedzialny.

Wiedźma opuściła wzrok na pustą już filiżankę, jakby w fusach na jej dnie mogła znaleźć odpowiedzi. Miała czas na przemyślenia, a mimo to nie potrafiła podjąć decyzji.

Tak niewiele brakowało, aby dziś zginęła. W posiadłości będzie sama, zdana na łaskę i niełaskę tych ludzi.

Tyle że...

Chciała spróbować. Nie chodziło tylko o pieniądze. Teraz, gdy wiedziała, kto był początkiem klątwy i dlaczego ją rzucił, powinna sobie poradzić. Musiała sprawdzić, czy zdoła. To była kwestia dumy zawodowej i fascynacji samą strukturą przekleństwa. Poza tym wciąż nie mogła zapomnieć Caitrii i jej męża. Żałowała też Elizy i Roberta, choć żadnego z nich nie potrafiła polubić.

Poza tym wiedziała, że pewnego dnia będzie musiała zdjąć inną klątwę utkaną przez Jacoba Reda. Być może Caleb dlatego ich do niej posłał. By mogła przejść swoisty test.

– Ma pan telefon do Jeanette Brown? – spytała w końcu sucho. – Mam zamiar się z nią skonsultować. Jeśli za państwa poręczy, jutro wrócę do posiadłości. Aha, oczekuję, że opłaci mi pan tutaj nocleg. Muszę się

wyspać, zregenerować siły i znaleźć kogoś, kto naładuje mi amulet. W takim stanie na nic się wam nie przydam.

*

Jeszcze przed rokiem Jagoda prawdopodobnie nie potrafiłaby zdjąć tej klątwy. Teraz jednak miała za sobą długie godziny spędzone na lekturze ksiąg i zapisków prababki. Te wszystkie sytuacje, gdy zmuszona przez okoliczności ryzykowała, docierała do samych granic możliwości i przesuwiała je dalej. W pewnym sensie nadanie imienia jej umiejętnościom, zrozumienie, skąd się brały, pomagało w pełni je wykorzystać.

Zaczęła od końca.

Od Williama, zamkniętego w piwnicy posiadłości.

Nie pytała o jego historię. Nawet gdyby zechciał ją opowiedzieć – a wątpiła, by miał na to ochotę – ona nie miała już znaczenia. Jagoda zresztą wielu rzeczy mogła się domyślić. Także tego, że prawdopodobnie nie wiedział, jak zadziała przekleństwo. Wyrwała z aury nici klątwy, utkane z nienawiści i miłości, z niespełnionych pragnień, goryczy i nadziei. Z dłońmi pełnymi magii ruszyła przez dom, mijając kolejne pomieszczenia, a potem wyszła na zewnątrz, by rozpocząć wędrówkę wokół murów. Obeszła całą posiadłość, zataczając koło, i powróciła do wejścia do domu. Do początku klątwy.

Rollinsowie stali na progu. Eliza trzymała męża za rękę tak mocno, że aż zbieleły jej palce. W postawach obojga dało się zauważyć napięcie. Za ich plecami czaili się domownicy, wśród których wiedźma nie zauważyła Ewy i Williama.

Jagoda podeszła do Elizabeth, ujęła wolną dłoń kobiety i rozplotła klątwę.

– Już – powiedziała, siadając bezpośrednio na ziemi, blada, zmęczona, wyczerpana z sił. Oparła się o ścianę domu. Głowa ją bolała i zdawała się zbyt ciężka. Nie byłoby jej teraz stać na choćby najprostsze zaklęcie, mimo że wszystko poszło tak łatwo – zaskakująco łatwo, biorąc pod uwagę potęgę klątwy.

– Tak po prostu? – spytała Elizabeth. Na twarzy kobiety nie pojawiła się radość ani żadna inna emocja. Jakby nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że już po wszystkim.

– Możecie wyjść z posiadłości.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. A potem Fanny przepchnęła się pomiędzy Rollinsami i ruszyła do bramy. Rozczochrana, w brudnym fartuchu. Szła zdecydowanym krokiem, po czym znikła im z oczu za bramą.

Ruth jęknęła, po czym pobiegła w ślad za nią. Jagoda pomyślała, że kobieta zmarznie w tej lekkiej, letniej sukience, w domowych pantoflach. Nic jednak nie powiedziała.

Pan Lynch powolnym krokiem ruszył ku bramie, prowadząc swoją żonę. Kobieta jedną rękę przerzuciła mu przez ramię, drugą podpierała się o lasce. Choć musiała zażyć eliksiry, o których wspominała Eliza, każdy krok zdawał się dla niej wyzwaniem ponad siły. Jagoda nie chciała tego widzieć. Przyciągnęła do siebie kolana i podparła o nie czoło, a uszy zasłoniła dłońmi: bo nie chciała też słyszeć, jak Eliza namawia matkę, by ta wyszła z nią na zewnątrz.

Nie wiedziała, jak rozumieć nieobecność Evy i Williama.

Może Eva miała uwolnić go później.

A może nie chciała kresu lata, końca zaklęcia. Może liczyła na to, że jeśli nie opuści domu, nic się nie zmieni. Kto wie, mogło tak być, Jagoda nie była pewna. Zmęczenie, ból głowy i świadomość tego, co dzieje się tam, za bramą, wpędzały ją w odrętwienie. Pomyślała, że to dobrze, bo nie tylko nie chciała widzieć i słyszeć, ale nie chciała też myśleć. Ani czuć.

Nie była pewna, jak długo siedziała zwinięta przy murze. Do poruszenia się zmusiło ją w końcu zimno. Temperatura spadała tak powoli, że wiedźma zorientowała się, jak jest chłodno, dopiero wtedy, gdy zaczęła się trząść. Kiedy podniosła głowę, nie zobaczyła już zieleni, kwiatów, owoców.

Ogród otaczający posiadłość Lynchów umierał. Trawy żółkły. Liście sypały się z drzew. Chmury zasnuły niebo. Umilkły ptaki i owady.

Lato odeszło.

Jagoda wstała i powoli powlekła się do bramy. Tam, tuż przy wejściu, zostawiła płaszcz i czapkę. Narzuciła na siebie okrycie i wyszła prosto w chłód irlandzkiej zimy. Myślała o baśni, o której mówiła Eliza. O mężczyźnie, który po pobycie w magicznej krainie odkrył, że wszyscy, których znał, umarli, a on sam postarzał się w jeden dzień.

Nie oglądała się za siebie.

Eliza nie ma szansy zobaczyć, co spotyka Fanny. Nie widzi, jak jej dziadkowie – mający po sto trzydzieści lat – zamieniają się w proch, który porywa wiatr. W oddali dostrzega tylko Ruth, starszą kobietę w letniej sukience, znikającą między drzewami. Ruth ma teraz osiemdziesiąt dwa lata. Może jeszcze zdąży odnaleźć swojego syna.

Stalowa obręcz zaciska się na sercu Elizy, gdy upada jej matka. Sto lat, a Ailis Rollins nigdy nie miała w sobie dość sił ani magii, by dożyć tego wieku. Eliza powtarza sobie, że to najlepsze wyjście. Że matka zbyt długo była zamknięta w pułapce. Nie tylko klątwy, ale też własnego umysłu.

Jest jej zimno. Eliza zdążyła zapomnieć, jakie to uczucie. Chłód wpełza pod płaszcz, który Robert narzuca jej na ramiona, wgryza się w skórę. Przenika aż do kości. Osłabia kończyny. A może to nie chłód – może to wiek. Nogi ma słabsze, boli ją kręgosłup. Obraz traci na ostrości. Eliza mruga kilka razy, aż dociera do niej, że to oczy straciły młodzieńczą bystrość.

Osiemdziesiąt lat.

Może jej też nie miało być nigdy dane długie życie.

Strach przychodzi pierwszy raz od dawna. Eliza się boi: nie śmierci, tylko tego, co ma do stracenia, bo teraz może stracić cały świat. Chce wierzyć, że było warto, choćby po to, by znów ujrzeć śnieg. Tamtej zimy, ostatniej, jaką zobaczyła, prawie nie padało.

– Zabierz mnie do Ragnarfell – prosi.

– Gdziekolwiek zechcesz – odpowiada Robert.

Jego dłoń oplata jej rękę i Eliza przestaje się bać. Czy będzie to dzień, czy rok, czy dziesięć lat – tak, było warto. Było warto.

Znów są wolni.

Lato odeszło.



Magdalena Kubasiewicz – autorka fantastyki i kryminałów. Członkini grupy Harda Horda, zrzeszającej kilkanaście polskich pisarek. Obecnie mieszka i pracuje w Krakowie. Debiutowała w styczniu 2016 r. powieścią *Spalić wiedźmę*, a od tego czasu ukazało się kilkanaście innych jej tekstów. W lutym 2022 r. nakładem Wydawnictwa SQN ukaze się jej książka urban fantasy *Kołysanka dla czarownicy*.

Joanna W. Gajzler

Popiół i formalina

– O ja pierdziele.

To był jeden z najłagodniejszych komentarzy, jakie mogły przyjść do głowy na widok tego, co znajdowało się w środku Tosi. Guz był ogromny – aż wydawało się nieprawdopodobne, że mieścił się w jamie brzusznej. Gdy tylko skalpel delikatnie rozciął ostatnią powłokę, wnętrzności niemal wyskoczyły na zewnątrz jak pajacyk z nakręcanego pudełka i jedyne, czego zabrakło, to wesoła melodyjka i rozprysk konfetti.

Techniczka otrząsnęła się z szoku, sprawdziła, czy Tosia oddycha, i zapisała na karcie wszystkie parametry funkcji życiowych. Królicza była pogrążona w głębokiej narkozie i nie sprawiała wrażenia, jakby miała zamiar zaskoczyć pochyloną nad nią lekarzkę komplikacjami natury anestezjologicznej. Przynajmniej w ten sposób mogła ułatwić zabieg, bo wszystko inne nastęczało samych problemów. Guz był ogromny, twardy jak skała, silnie ukrwiony i niemal całkowicie wrosnięty w ściany jelit. Na pierwszy, a nawet drugi i trzeci rzut oka wycięcie go wydawało się absolutnie niemożliwe.

Takie zabiegi Izabela lubiła najbardziej.

Wydobyła zawartość jamy brzusznej pacjentki i ułożyła kłęb kiszek na serwecie operacyjnej. Techniczka Patrycja od razu połała je ciepłym roztworem soli fizjologicznej.

– No to do zebrania raczej się nie wyrobimy – stwierdziła.

Iza nie przyznała się na głos, że właśnie taką miała nadzieję. Zaczęła uważnie oglądać guz z każdej strony, rozmyślając, w jaki sposób spróbować się go pozbyć.

– Otwórz więcej peanów – powiedziała.

Techniczka wyjęła z szuflady sterylnie zapakowane kleszczyki i wysypała je na stolik. Narzędzia zagrzechotały głośno. Dziewczyna zajrzała pod serwetę i przez chwilę obserwowała ruch klatki piersiowej nieprzytomnej królicy.

– Dzisiaj poproszę o podwyżkę – wyznała po cichu. – To chyba dobry moment. Póki się utrzymuje dobra passa...

Zabrzmiała jak niewprawiona aktorka, która chciała odegrać pewność siebie. Wzbudzała w Izie swego rodzaju żal. Była dobrą, staranną pracownicą, ale łatwo traciła opanowanie, gdy coś szło nie tak.

– Dobrze – stwierdziła lekarka, nie odrywając wzroku od wnętrzości Tosi. – Należy ci się.

– Tak myślisz? – spytała Patrycja, jakby mile zaskoczona. – No, nie żeby coś, ale po roku pracy to już chyba każdy by się spodziewał jakiegoś bonusu... Nie będę przecież całe życie robić za minimalną – rzuciła, próbując zabrzmieć nonszalancko, ale znów jej się nie udało, więc zamaskowała to chichotem. – Hm... W sumie nawet nie wiem, jak to zrobić.

– Wypisz wszystkie swoje obowiązki. Wtedy uświadomisz sobie, ile tu rzeczywiście robisz i na co zasługujesz.

Izabela ostrożnie nacięła fragment tkanki i z jakiegoś niewidzialnego naczynia zaczęła sączyć się krew. Osuszyła miejsce gazikiem i niemal na oślep zapięła kleszczyki w miejscu, które było źródłem powodzi. Zamyśliła się głęboko, obmacując guz wielkości piłki tenisowej, poprętykany żyłami grubymi jak kabelki. Wspomniała swoje ostatnie eksperymenty. Gdyby tylko mogła użyć magii...

Monitor zaczął wydawać piskliwe odgłosy. Patrycja warknęła pod nosem, próbując odpowiednio umocować elektrody na łapach królicy.

– Jakby to raz zadziało jak trzeba, to chyba by się świat skończył – mruknęła.

– Polej alkoholem – podpowiedziała lekarka.

– Jest mokro, ale te głupie sznurki przeszkadzają... Musimy znaleźć lepszy sposób na zabezpieczanie nóg królików.

Izabela zerknęła w bok na wystające spod serwety operacyjnej linki, którymi łapki królicy były przywiązane do haczyków pod stołem. Do niedawna nikt się nie bawił w przywiązywanie kończyn królików, tłumacząc to lekceważącym „bo po co?”. Tak było do momentu, kiedy jedna z pacjentek postanowiła pokazać po co. Podczas sterylizacji niespodziewanie machnęła tylnymi nogami i dosłownie wyrwała sobie z brzucha dwanaście centymetrów jelit. Szczęśliwie królicza przeżyła, niemniej od tamtej pory obowiązywał bezwzględny nakaz zabezpieczania

kończyn w trakcie operacji wszystkich zwierząt, nieważne, czy to królik, gekon czy pies.

– Ciekawe, czy ludzi też się przywiązuje – zastanowiła się Patrycja. – I czy też może się zdarzyć, że zaczną machać nogami czy coś. Wyobrażasz sobie, że robisz operację i nagle pacjent daje ci w twarz?

Ciałem targnęły nagle konwulsje. Ostre światło wdarło się pod powieki. Wciągnęła gwałtownie powietrze, ale nie zrobiło to różnicy. Nie czuła go, nie było życiodajne. A mimo tego... żyła? Dlaczego? Co poszło nie tak?

Obok rozległ się czyjś cichy śmiech. Blask żarówki przestłonił twarz. Uśmiechnęta, ze łzami w oczach. Rysy, z początku rozmazane, zaczęły nabierać ostrości.

– Udało się – wyszeptał mężczyzna. – Już wszystko dobrze.

Świat stał się wyraźniejszy. Pokój, w którym się znajdowała, biały, znajomy, sterylny. Silny zapach formaliny i jeszcze czegoś, czegoś ziołowego. Piskliwy odgłos maszyny. Pompa infuzyjna. Ta sama, którą podłączyła sobie...

Zdała sobie sprawę, że ma otwarte usta, ale nie oddycha. Zmusiła mięśnie klatki piersiowej do rozszerzenia jej. Płuca wypełniły się powietrzem jak wnętrze miecha, a następnie wypuściły je, gdy się rozluźniła. Nie zrobiło to żadnej różnicy. Ale poczuła coś dziwnego, niżej. Spróbowała lekko poruszyć rękoma, niepewna, czy zdoła. Dłoń mężczyzny delikatnie zacisnęła się na jej ramieniu.

– Zaczekaj, nie ruszaj się – powiedział. – Muszę cię zszyć.

Nagle wszystko zrozumiała.

Uniosła głowę i spojrzała w dół. Jej brzuch był rozcięty podłużnie. W długim otworze lśniły przeczyszczone wnętrzności. Blade, nieruchome.

Podniosła wzrok na Grzegorza.

– Coś ty zrobił...?! – wychrypiała.

– Ćśś, spokojnie, wszystko będzie dobrze – odparł łagodnie, odgarniając jej kosmyk włosów z czoła. – Znalazłem cię, zanim było za późno. Uratowałem cię.

– Uratowałeś?! Jestem żywym trupem!

– To było jedyne wyjście – szeptał, wpatrzony w nią z dziwną, niepokojącą fascynacją. – I udało się. Przepraszam, że nie zdążyłem cię zaszyć, bałem się, że zanim skończę...

– Po co się wtrącałeś?!

– Nie mogłem dać ci umrzeć – rzekł błagalnym tonem. – Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Nie chciała go słuchać. Zapatrzyła się na swój rozcięty brzuch, na trzewia. W pokłutych nieumiejętnie rękach miała założone kaniule. Odłączony od jednej z nich przedłużacz leżał obok, odrzucony niedbale – z przezroczystego wężyka sączyły się resztki krwi zmieszane z nekromantycznym roztworem, który jej przetoczono. Zauważyła zakrwawione narzędzia, magiczny krąg narysowany na podłodze, pusty kanister formaliny. Z licznych klatek pod ścianą spoglądały na nią dziesiątki par oczu szczurów laboratoryjnych, zaciekawionych, dlaczego tym razem to nie one są krojone i poddawane eksperymentom.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że się udało – mówił mężczyzna. Wyjął z opakowania nic chirurgiczną i pochylił się nad Izabelą. – Bałem się, że już za późno... No i nigdy nie próbowałem na człowieku... Ale udało się! Nie martw się... Bycie liczem nie może być takie złe. Poradzisz sobie, wiem to. Najważniejsze, że żyje...

Nie dokończył. Chwyciła pompę infuzyjną, zamachnęła się i uderzyła go w głowę. Padł z łoskotem na ziemię.

Upuściła maszynę, która roztrzaskała się na posadzce. Strzykawka, wciąż pełna środka do eutanazji, który próbowała sobie wstrzyknąć, wypadła i poturlała się pod szafkę. Izabela wychyliła się ostrożnie, czując, jak martwe wnętrzności przelewają się w otwartym brzuchu. Przyjrzała się uważnie leżącemu nieruchomo Grzegorzowi.

Oddychał.

Opuściła bezwładnie głowę na stół i wbiła niewidzące spojrzenie w biały sufit.

Po kilku minutach rozejrzała się po blacie. Podniosła porzuconą nic. Sięgnęła po igłotrzymacz. Przesunęła się nieco na stole, oparła górną część pleców o ścianę. Ostatni raz przyjrzała się swoim trzewiom, po czym zabrała się do szycia.

Wtedy przez popiskiwanie aparatu przebił się głos szefowej dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia:

– Potrzebuję technika!

Iza, zauważywszy zawahanie na twarzy techniczki, odkrzyknęła natychmiast:

– Patrycja nie może podejść!

Usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że Lidia stanęła tuż za nią. Obecność kobiety była odczuwalna tak nieprzyjemnie, jak bliskość przedmiotu znajdującego się pod ogromnym napięciem.

– Co się dzieje? – spytała.

– Mam znieczulonego królika – odparła rzeczowo Izabela.

– Oddycha?

– Hm, na razie... – powiedziała techniczka.

– Więc możesz na chwilę odejść – rzuciła szefowa w stronę Patrycji tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Iza obróciła się ku niej z poważnym wyrazem twarzy.

– Jestem w środku zabiegu, potrzebuję asysty. Poproś Katarzynę.

Lidia patrzyła na nią z góry, marszcząc nos, jak zawsze w jej obecności. Pochyliła się nad stołem chirurgicznym z grubą świnką morską w rękach. Kosmata rozetka zawisła niebezpiecznie blisko pola zabiegowego. Iza z trudem powstrzymała się od zwrócenia szefowej uwagi. Ta po chwili prychnęła.

– Kasia jest z Tadkiem na gabinecie. Nic się tu nie stanie przez parę minut. Chodź, Pati!

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Techniczka zmusiła monitor do działania, rzuciła chirurgini przepaszające spojrzenie i potruchtała śladem Lidii.

Izabela zamknęła oczy, policzyła bezgłośnie do pięciu, ponownie je otworzyła. Zajrzała pod serwetę i przez chwilę obserwowała klatkę piersiową królicy. Wróciła do badania guza. Zauważyła, że wytrzewione jelita zaczęły wysychać. Popatrzyła na leżącą niedaleko butelkę NaCl-ki, potem na swoje dłonie w sterylnych rękawiczkach i znów na butelkę.

Choć w momencie, kiedy przestała być człowiekiem, utraciła zdolność fizycznego odczuwania emocji, odniosła wrażenie, że frustracja, która ją ogarnęła, zaraz strawi jej wnętrzności jak ogień.

Ostrożnie potarła jelita o poprzyklepiane do nich śliskie, białe grudki tłuszczu, mając nadzieję, że Patrycja wróci szybko. Wzięła skalpel i przystąpiła do zabiegu. Choć działała ze szczególną ostrożnością, w pewnej chwili ostrze skalpela znów trafiło na jakieś niewidoczne naczynko i wnętrzności królika zalały się krwią. Przycisnęła do nich gaziki, które momentalnie przesiąkły. Nagle monitor zaczął głośno piszczeć

i nadawać komunikat o niemierzalnie niskim tętnie. Iza spojrzała pod serwetę. Tosia przestała oddychać.

– Potrzebuję pomocy! – zawołała lekarka.

– Sekundę! – odkrzyknęła poirytowana Lidia.

– Za sekundę pacjent mi umrze!

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegło kwiczenie świnki morskiej, po chwili utyskiwania nieprzebierającej w słowach szefowej. Izabela zacisnęła kleszczyki na naruszonym naczyniu krwionośnym. Przez serwetę ścisnęła kilkakrotnie klatkę piersiową królicy. Monitor wciąż wydawał piskliwe odgłosy.

Wtem do pomieszczenia wpadł Tadeusz. Natychmiast osłuchał Tosię za pomocą stetoskopu, potem zdjął z jej pyszczka maskę, którą płynęły tlen i izofluran. Sięgnął pod pole zabiegowe i ucisnął pierś królicy raz, drugi, trzeci. Uniósł brzeg serwety i razem z Izą zapatrzyli się w napięciu na pacjentkę. W końcu zwierzak wziął głęboki oddech.

Lekarz bez słowa ponownie umieścił maskę na pyszczku Tosi i poprawił mocowanie elektrod na jej łapkach. Monitor znów zaczął poprawnie odczytywać puls i ucichł.

– Dziękuję – powiedziała Izabela. – Polej jeszcze jelita, proszę.

Kwaśna mina, jaką zrobił, gdy wypełniał polecenie, nie umknęła jej uwadze.

– Jestem w trakcie wizyty – burknął. Dość gwałtownym ruchem odłożył butelkę soli fizjologicznej i wymaszerował z sali chirurgicznej.

Izabela zamknęła oczy.

Skup się na zabiegu. Skup się na zabiegu.

Wróciła do prób wypreparowania guza. Po jakichś pięciu minutach do pomieszczenia weszła Patrycja. Wyglądała, jakby właśnie zeszła z pręgiarza. Stała po drugiej stronie stołu i zajęła się kontrolowaniem funkcji życiowych Tosi. Dłonie dziewczyny lekko drżały.

Czas mijał, a zabieg trwał. Lekarka całkowicie się skoncentrowała na swoim zadaniu – to pomogło jej odzyskać spokój. Chirurgia fascynowała ją od zawsze. Praca na żywym organizmie była magią sama w sobie. Otwieranie jamy ciała, obserwowanie funkcjonujących wnętrzności, wreszcie możliwość ingerencji w tę niezwykłą, organiczną maszynę i naprawienia jej, jakby była właśnie tym: zepsutym mechanizmem. Mechanizmem, który potrafi po wszystkich tych inwazyjnych zabiegach sam się zaleczyć i działać dalej.

Guz był tak mocno zrośnięty ze ścianą jelita, że Izabela podjęła decyzję o usunięciu całego trzycentymetrowego odcinka. Była pewna, że gdyby wspomogła się odpowiednim zakłębieniem, nie musiałaby tego robić.

Kilka ostatnich precyzyjnych cięć i guz został oddzielony od wnętrza Tosi. Patrycja popatrzyła na paskudną mięsistą kulę spoczywającą na dłoni Izabeli i gwizdnęła z uznaniem.

– Myślałam, że nic z tego nie będzie – powiedziała. – Jak ty to robisz, to wygląda tak prosto.

Iza uśmiechnęła się lekko i odłożyła guz na stolik z narzędziami.

Do pomieszczenia weszła Lidia dzierżąca podkładkę z przyczepionymi do niej dokumentami.

– Halo, zaczynamy zebranie – oznajmiła. – Skończyłyście?

– Jeszcze nie – odparła lekarka.

Szefowa spojrzała jej przez ramię na otwartą jamę brzuszną królicy, z której wystawało kilka kleszczyków Peana zaciśniętych na naczyniach krwionośnych. Po chwili pokręciła głową.

– Nie mamy czasu, żeby na was czekać, zrobimy zebranie tutaj. Chodźcie! Zapraszam na chirurgię! – zawołała jak przedszkolanka próbująca zebrać wszystkie dzieci w jednym miejscu.

Gdy pracownicy lecznicy zaczęli wchodzić do środka, w niewielkim pomieszczeniu od razu zrobiło się tłoczno. Iza zastygła w bezruchu z dłońmi w górze, kiedy koleżanki i kolega przypadkiem ją trącali, ustawiając się wokół stołu. Choć miała wielką ochotę, nie skomentowała tego. Po tym, jak zajęli miejsca, przestała zwracać na nich uwagę i sięgnęła po odpowiednią nić. Czuła na sobie oceniające spojrzenie szefowej.

Ostatnia na salę chirurgiczną wpadła techniczka Kasia, zaaferowana i cała w sierści.

– Jestem, sorry... Uff, Gacusz nie lubi zastrzyków, we dwójkę byłoby szybciej.

– Już daj spokój, ilu techników potrzeba do zrobienia zastrzyku kotu? – fuknęła szefowa.

– To wstęp do dowcipu? – spytał Tadek.

– Trzech: jeden trzyma kota, drugi kłuje, trzeci zbiera szczątki – powiedziała Aneta.

Pracownicy zaśmiali się zdawkowo. Lidia pokręciła głową.

– No dobra, pośmialiśmy się, to teraz możemy przejść do rzeczy. Po pierwsze, chciałabym pogratulować Tadeuszowi uzyskania specjalizacji

z radiologii. Bardzo się cieszę z twojego zaangażowania, mam nadzieję, że przełoży się to na wielu zadowolonych klientów.

Koleżanki zaklaskały zdawkowo. Iza, zajęta zszywaniem warstwy mięśni, w ramach uznania pokiwała głową.

– Przy okazji chciałabym przypomnieć, że jeśli będziecie chcieli wziąć udział w jakichś kursach i szkoleniach, to lecznica może pokryć część kosztów – mówiła szefowa. Popatrzyła w swoje notatki. – Dalej... Może już wiecie, ale Justyna jest na zwolnieniu od dzisiaj do końca czerwca.

– Oj, co się stało? – zmartwiła się Kasia.

Lidia pokręciła głową z niezadowoloną miną.

– Jest na zwolnieniu od psychiatrii, tyle wiem – odparła tonem wskazującym na to, że nie uważa tego za dobry powód. – W każdym razie będziemy musieli mocno zmienić grafik.

– Ale chyba nie cofniesz mi urlopu? – spytał Tadek, marszcząc brwi i opierając dłonie na biodrach.

Aneta uniosła dłoń.

– A ja mam szkolenie za tydzień. Nie mogę tego odwołać.

– Zaraz nad tym przysiadziemy i się dogadamy. – Lidia popatrzyła poważnie po zgromadzonych. – Kolejna sprawa, choć co prawda nie ma obecnych wszystkich, których ona dotyczy... Chciałabym się dowiedzieć, czy chcecie, żebym zbankrutowała?

Momentalnie atmosfera zgęstniała. Pracownicy wymienili zdziwione spojrzenia. Patrycja zacisnęła usta tak bardzo, że kompletnie zbieleły. Nawet Izabela zamarła w pół zakładania szwu. Po kilku napiętych sekundach ciszy szefowa ponownie spytała:

– No, słucham? Chcecie, żebym poszła z torbami?

– Ee, nie? – odpowiedziała Aneta.

– To dlaczego rozdajecie moje pieniądze? – Kobieta zrobiła pauzę, przyglądając się każdemu ze zgromadzonych z osobna. – Ostatnia sytuacja, świnka Felek. Poniedziałek: nabite pół hospitalizacji. Wtorek: nabita kontynuacja, brak nabitej hospitalizacji. Środa: pół hospitalizacji. Czwartek: kontynuacja, brak hospitalizacji... Karmienie przymusowe raz nabite z karmą ratunkową, raz bez...

– Bo pani przyniosła swoją – odważyła się zauważyć Patrycja.

– Tak? Strzykawki też swoje przyniosła? Bo też nie są nabite – warknęła Lidia.

Techniczka skuliła się w sobie. Szefowa podniosła wysoko kartkę z wypisanymi danymi.

– Tutaj jest lista wszystkich nienabitych i źle nabitych usług, tak jak było w systemie. Wieszam to na socjalu i do końca przyszłego tygodnia każdy ma oddać pieniądze za to, czego nie rozliczył w swojej wizycie. Rozumiemy się?

Aneta i Kasia wymieniły kwaśne spojrzenia. Tadeusz złożył ręce na piersi i łypnął na kartkę spode łba. Nikt się nie odezwał.

– Może to da wam trochę do myślenia – ciągnęła Lidia. – Wam się pewnie wydaje, że tu parę złotych, tam parę złotych to nic, ale dla mnie to jest kilka tysięcy miesięcznie w dupę. Równie dobrze możecie wziąć pieniądze z kasy i pójść rozdać je na osiedlu. No, proszę bardzo, śmiało! Ale ze swojej kieszeni to już boli, prawda? Zobaczmy, czy będzie tak fajnie, jak nie będę mieć pieniędzy na pensje dla was, czy wtedy też będziecie tak niefrasobliwie podchodzić do rozliczania wizyt.

– To może powinniśmy ustalić, JAK mamy je rozliczać? – spytał Tadek. – Bo na ten moment to ja po prostu nie wiem. Była mowa, że króliki i gryzonie mają nie mieć liczonej całej hospitalizacji, więc liczyłem pół.

Rozgorzała dyskusja. Brali w niej udział głównie Tadeusz i szefowa, roztaczająca aurę Królowej Kier, która w każdej chwili może wybuchnąć i rozkazać skrócić kogoś o głowę. Aneta tylko od czasu do czasu wtrącała coś od siebie, techniczki zaś milczały ze spuszczonej głowami. Izabela, która zajmowała się wyłącznie chirurgią i nie była zamieszana w sprawę świnki Felka, uznała, że nie będzie zabierać głosu. Nie teraz. W ciszy skupiła się na swojej pacjentce.

Ostatni szew założyła w tym samym momencie, w którym Lidia ogłosiła koniec zebrania. Wszyscy rozeszli się z ponurymi minami. Iza zabezpieczyła ranę królicy aluminium w sprayu i przekazała ją techniczkom, a sama zajęła się robieniem opisu zabiegu i naliczeniem usług.

Gdy skończyła, udała się do szpitala, by zobaczyć, czy Tosia się prawidłowo wybudza. Po drodze spotkała Patrycję, która była już przebrana w codzienne ciuchy i wychodziła do domu. Na widok jej smutnej miny lekarce coś tknęło.

– Dziękuję za twoją dzisiejszą asystę – powiedziała.

Techniczka uśmiechnęła się zdawkowo.

– Spoko.

– Jak rozmowa o podwyżce?

Pati rozejrzała się nerwowo, potem spuściła wzrok i wzruszyła ramionami.

– Ach, nie gadałam z nią. Może dzisiaj to nie najlepszy moment. Sama widziałam. Trochę głupio prosić o hajs, jak się wisi prawie stówę... No nic. To ten, do jutra.

Wyszła pospiesznie z nosem spuszczonej na kwintę.

W jednej z klatek coś zaszeleściło. Izabela zajrzała do środka. Tosia stała na czterech łapach, choć nieco chwiejnie. Obciążone przyklejonym do niego wenflonem ucho zwisało smętnie. Królicza rzuciła lekarce nieprzytomne spojrzenie, po czym zdecydowała się położyć w świeżym sianie. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Gdzieś trzasnęły drzwi. Przez pomieszczenie przemaszerował szybkim krokiem Tadeusz.

– Czy Lidia jest wolna? – spytała Izabela.

Mężczyzna zatrzymał się i rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Wielkie dzięki, przez ciebie mam odwołany urlop.

Zamrugła, zdezorientowana.

– Nie rozumiem.

– Myślisz, że jesteś taka ważna? Wielka, niezastąpiona pani chirurg, która może dyktować warunki, co? Korona by ci z głowy spadła, jakbyś parę razy poszła na gabinet?

– O czym ty mówisz?

– Już nie rznij głupa – prychnął.

Zgarnął z blatu bloczek recept, wcisnął go do kieszeni i zamknął się w jednym z gabinetów. Od strony poczekalni dobiegło szczekanie dużego psa.

Izabela zapatrzyła się w stuporze na drzwi, za którymi zniknął Tadeusz. Spojrzała przez ramię w kierunku, z którego przyszedł.

Zmarszczyła brwi i ruszyła w tamtą stronę, do biura szefowej.

Zapukała i nie czekając na odpowiedź, zajrzała do środka. Lidia siedziała przy biurku i przeglądała kieszonkowy kalendarz. Popatrzyła na lekarę znad okularów.

– Och, nie teraz, jestem zajęta.

– Chcę porozmawiać – rzekła Izabela. – To ważne.

Weszła, zamknęła za sobą drzwi i usiadła przed biurkiem. Szefowa spojrzała na nią z kwaśną miną, ale zaraz uśmiechnęła się sztucznie.

Zamknęła notes, zdjęła okulary i złożyła dłonie na blacie. Miała pięknie zrobione paznokcie – złoty lakier idealnie współgrał z kolorem jej włosów, starannie skręconych w drobne loczki, co upodabniało je nieco do makaronu typu świderki.

– W czym problem? – spytała pozornie uprzejmym tonem.

– Odniosłam wrażenie, że ktoś mówi innym lekarzom, że nie chcę robić interny.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jestem gotowa wziąć dyżury na gabinecie. – Iza wyprostowała się dumnie. – Mogę pracować po dwanaście godzin, to dla mnie żaden problem. Dzięki temu ułożymy grafik optymalnie, by nie obciążać pozostałych lekarzy. A Tadeusz będzie mógł wziąć urlop.

Lidia patrzyła na pracownicę z powątpiewaniem. Zaczęła obracać pierścionek na palcu. W końcu cmoknęła.

– Iza... Wiesz, jacy są ludzie – powiedziała protekcyjnym tonem. – Obawiam się, że... hm... *twój rodzaj* nie wzbudza zbytniego zaufania u klientów.

Zrobiła wyczekującą pauzę, jakby spodziewała się, że lekarka pokiwa pokornie głową, przeprosi za najście, wstanie i wyjdzie, ale ta wpatrywała się w nią intensywnie w całkowitym bezruchu. Budziła w Lidii niepokój – z tego Izabela doskonale zdawała sobie sprawę. Nie mogła powiedzieć, by się nie przyzwyczaiła do tego, że na jej widok głowy się odwracają, oczy wytrzeszczają, a rozmowy milkną. O ile do obecności elfów, krasnoludów czy orków na łonie społeczeństwa zdążono jako tako przywyknąć, o tyle nieumarłych traktowano z dystansem – co najmniej trzymetrowym, dla bezpieczeństwa. Po tylu latach Iza zdążyła zobojętnieć wobec tego, jakie wzbudza reakcje otoczenia.

Z grubsza.

Zadarła podbródek.

– Jako jedyna z zespołu, nie licząc Justyny, mam specjalizację ze zwierząt nieudomowionych – zauważyła.

– Inni lekarze też sobie radzą z leczeniem egzotyków.

– Jak wtedy, kiedy Tadeusz podał królikowi Pomidorkowi penicylinę doustnie?

Lidia zacisnęła usta. Wszyscy w lecznicy pamiętali sprawę Pomidorka, którego opiekun – prawnik, o zgrozo – groził pozwem o spowodowanie

śmierci jego pupila. Choć skończyło się na piśmie przedsądowym, każda wzmianka na ten temat wyraźnie podnosiła szefowej ciśnienie.

Uśmiechnęła się wymuszenie.

– Każdemu zdarzają się potknięcia.

– Zdarza się ich dużo mniej, kiedy się wie, co się robi. Mam wiedzę i doświadczenie. Lubię chirurgię, ale chcę mieć możliwość spełniania się też na innych polach. W obliczu czekających nas niedoborów kadrowych powiedziałabym, że to okoliczność sprzyjająca.

Miała wrażenie, że spod bujnych loków szefowej zaraz buchnie dym jak z przegrzanego procesora, tak intensywnie próbowała znaleźć powód, by po raz kolejny odmówić. Nawet mimo uprzedzeń musiała jednak zdawać sobie sprawę, jakim darem od losu była nieumarła lekarka. Nie imaly się jej głód i zmęczenie, mogła pracować bez przerwy, była w stanie zarówno ogarnąć zabiegi chirurgiczne, jak i dyżury w gabinecie, no i w tej chwili jako jedyna miała kwalifikacje do leczenia zwierząt egzotycznych, które stanowiły coraz większy odsetek pacjentów. Była szansą na to, by problem braku lekarzy rozwiązać natychmiastowo, bez zatrudniania zastępstwa, zamykania gabinetów albo innego rodzaju stawania na rżęsach. Izabela przyglądała się kobiecie intensywnie, w napięciu oczekując wyroku.

Wreszcie Lidia westchnęła ciężko.

– No, może to nie jest taki zły pomysł – przyznała niechętnie. – Wpiszę cię w grafik na ten tydzień i zobaczymy, jak to zadziała. Tylko, hm... zrób coś ze sobą, dobrze? Wiesz, z tym... – Tu zakreśliła palcem okrąg wokół swojej twarzy. – Postaraj się nie wyglądać jak zombie, okej?

Mimo wrodzonego opanowania Izabela zmrużyła lekko oczy.

– Jestem *liczem* – rzekła z naciskiem.

– No, czy tam coś... W każdym razie wiesz, przypudruj się trochę, odśwież się... Nie podobają ci się te perfumy, które dostałaś na Gwiazdkę?

Iza powstrzymała się od komentarza. W ramach premii świątecznej wszystkie pracownice dostały po fiolce perfum z feromonami, które – w opinii Izabeli – pachniały jak kościelne kadzidło. Zdawała sobie sprawę, że jej nieumarłe ciało roztacza nieprzyjemny zapach, ale miała poczucie, że wylewanie na siebie pół asortymentu drogerii tylko pogarsza sprawę.

– Chciałabym przy okazji wrócić do naszej rozmowy o praktykach magicznych – powiedziała.

Lidia przewróciła oczami i stanowczo uniosła dłonie.

– NIE. I nie zamierzam się powtarzać.

– Czy nam się to podoba, czy nie, żyjemy w świecie, w którym magia istnieje i ma na nas wpływ. Dolegliwości wywołanych przez magiczne czynniki czasem nie da się zwalczać w inny sposób niż za jej pomocą. Wyniki eksperymentów...

– *Twoich* eksperymentów? Na trupach i flakach? Klienci będą mieć dość wątpliwości, że ich zwierzęta leczy liczy, nie dokładajmy do tego jeszcze nekromancji... No chyba że naprawdę dążymy do tego, żebym zwinęła interes.

– Nekromancja to nie tylko ożywianie zmarłych.

– Nikt nie będzie używał magii w mojej lecznicy, czy wyraziłam się jasno? – wycedziła Lidia. Wytrzeszczyła groźnie oczy, ale po chwili znów uśmiechnęła się bez przekonania. Zwróciła wzrok w stronę ekranu komputera. – To co, może w poniedziałek wpiszę cię na popołudnie, bo widzę, że od rana masz zapisane dwie sterylki i parę korekcji...

Izabela miała zamiar dalej walczyć o swoje, ale ostatecznie doszła do wniosku, że nie warto przeciągać struny. Przytaknęła bez słowa.

Po tym, jak ustaliły grafik, wyszła z biura. Ostatni raz upewniła się, że jej dzisiejsi pacjenci są w dobrym stanie, a następnie przebrała się i opuściła lecznicę.

Wsiadła do samochodu i sprawdziła wiadomości w telefonie. Włączyła muzykę ulubionego zespołu. Sięgnęła do stacyjki, ale zamiast przekręcić kluczyk, zamarła w bezruchu. Zamyśliła się, zasłuchana w wokal piosenkarki i niepokojącą melodię.

Udało jej się wynegocjować dyżury internistyczne – coś, o co bezskutecznie się starała, od kiedy zaczęła tu pracę osiem lat temu. Czy nie powinna się cieszyć?

Spojrzała w lusterko wsteczne. Napotkała spojrzenie swoich zasnutych trupią mgłą oczu.

Zwróciła wzrok na drogę i odpaliła silnik.

Ten dzień nie mógł dosadniej dać do zrozumienia, że jest poniedziałkiem. Gdy Izabela zawitała do lecznicy o dziewiątej, kiedy to zaczynała dyżur chirurgiczny, zastała w poczekalni Kasię próbującą wytłumaczyć coś wzburzonemu mężczyźnie. Z jednego z gabinetów dobiegały odgłosy wskazujące na to, że w środku jakiś pies jest właśnie obdzierany żywcem ze skóry, co wprowadzało jeszcze bardziej nerwową atmosferę.

– Jak to: nie można?! – pyskował facet, machając pustym opakowaniem po tabletkach. – Mój kot jest przewlekle chory, musi brać te leki codziennie!

– Nie mogę panu sprzedać leków zaleconych przez inny zakład, jeśli nie zobaczę wypisu – odparła techniczka, próbując przekrzyczeć skowyt z pomieszczenia obok.

– A skąd mam teraz wziąć wypis?!

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała Izabela, stając między Kasią a klientem.

Ten już otwierał usta, ale zawahał się na widok nowej rozmówczynie.

– Pan chciał kupić leki – odparła dziewczyna – ale nie ma zaleceń od lekarza prowadzącego.

– Czy ma pan u nas założoną kartę?

Pies w gabinecie ucichł. Po sekundzie niezręcznej ciszy mężczyzna powiedział napastliwym tonem:

– Nie, ja kota leczę u doktora Kwiatkowskiego.

– W takim razie proszę zaopatrzyć się u niego.

– Tu mi jest po drodze, nie możecie mi po prostu sprzedać tych leków?

– Nie, o ile nie zobaczę zaleceń lekarza prowadzącego albo nie zbadam pacjenta.

Facet już otworzył usta, ale w tym momencie pies znów zaczął piszczeć i ujadać tak głośno, że aż szyby zadzwoniły. Wściekły jak osa niedoszły klient machnął ręką i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Kasia odetchnęła z ulgą i razem z Izabelą udały się na zaplecze.

– Dzięki – powiedziała. – Myślałam, że mnie zwyzywa.

– Drobiazg. Wszystkie zwierzęta na zabiegi już są?

– Taa. Pani od Chałki prosiła, żeby poza korekcją strzelić też zdjęcie, bo lekarz z Torunia jej zalecił, żeby zrobić RTG po pół roku...

Niezrażona konfrontacją Izabela przebrała się i przystąpiła do dzieła. Poniedziałkowość tego dnia wciąż próbowała się dawać we znaki: do lecznicy wpadli opiekunowie z kotem w ciężkim stanie, który całkowicie zaabsorbował uwagę Anety i Kasi, w związku z czym Iza została bez techniczki do asysty. Cztery korekcje stomatologiczne na królikach i świnkach morskich zrobiła sama, tracąc dużo czasu na mycie narzędzi i przygotowywanie stołu między zabiegami. Naszykowała wszystko na pierwszą sterylizację, ale nie chciała zaczynać bez pomocy. Klientów jednak było tyle, że musiała czekać, aż do pracy przyjdzie Patrycja na

popołudniową zmianę, lecz Aneta wołała techniczkę co chwilę, bo a to agresywny kot, z którym nie mogły dać sobie rady z Kasią, a to kał do zbadania na cito, a to pies się zrzygał w poczekalni.

Izabela dawno nie czuła takiej ulgi, gdy ściągała rękawiczki po ostatnim zabiegu. Spojrzała na zegarek – miała pół godziny do dyżuru internistycznego. Uzupełniła kartę leczenia kotki, u której właśnie przeprowadziła owariohisterektomię, upewniła się, że wygląda schludnie, po czym poszła do wolnego gabinetu.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Miała dziwne wrażenie, że jest tu pierwszy raz w życiu. Biurko, stół diagnostyczny, szafki na leki i przybory medyczne – wszystko to wyglądało tak obco, tak fascynująco. Wspomniała ostatni raz, kiedy przyjmowała pacjentów na wizytach, dawno temu, zanim umarła. Zdjęła z wieszaka za ścianie stetoskop i obejrzała go uważnie. Przesunęła kciukiem po okrągłej głowicy. Przez prawie dekadę jej głównym narzędziem pracy był skalpel...

Wtem drzwi otworzyły się i w progu stanęła Lidia. Szefowa, w długiej letniej sukience i z markowym bidonem w dłoni, zsunęła okulary przeciwsłoneczne na głowę i uśmiechnęła się.

– Cześć – powiedziała. – Gotowa na przyjęcie pacjentów?

– Od dawna – odparła Izabela.

– Dobrze, dobrze... Uch, ktoś tu chyba wyciskał gruczołki fretce – zaszczebotała Lidia ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy, podniosła puszkę odświeżacza powietrza i intensywnie spryskała pomieszczenie.

Iza popatrzyła na nią spode łba. Obie doskonale zdawały sobie sprawę, że gabinet był pusty cały dzień. Szefowa odłożyła spray i odetchnęła.

– No, trochę lepiej. Pamiętaj, że techniczki są tu od tego, żeby ci pomagać, nie bój się ich wołać, niech się nie lenią na zapleczu.

– Nie zauważyłam, by kiedykolwiek miały czas się lenić.

– Wiesz, gdzie wszystko jest? – spytała Lidia, jakby nie dosłyszała tej gorzkiej uwagi.

– Wiem.

– Pamiętaj, że nie mamy na bieżąco na stanie szczepionki na RHD typu drugiego, więc gdyby ktoś przyszedł na szczepienie, to zaproponuj zapisanie się na listę.

– Wiem.

– No dobrze, to miłej pracy... Mam parę rzeczy do załatwienia, ale jakbyś potrzebowała pomocy, to będę w pobliżu.

– Hm... Oczywiście – mruknęła lekarka, mając nieprzyjemne wrażenie, że jest traktowana jak stażystka świeżo po studiach. Fakt, że była dużo niższa od szefowej, nie poprawiał sytuacji.

– O nic się nie martw, będę trzymać rękę na pulsie.

Lidia obrzuciła ją ostatnim, oceniającym spojrzeniem, uśmiechnęła się nieszczerze, po czym wyszła.

Izabela popatrzyła ponuro w oko kamery monitoringu wiszącej pod sufitem.

Usłyszała ruch w poczekalni. Zaczesała luźny kosmyk czarnych włosów za ucho, przyglądała fartuch, po czym podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Zapraszam – rzekła.

Pierwszymi klientkami były młoda kobieta z siedmioletnią córką, które przyniosły na kontrolę małego kotka. Dziewczynka była zbyt zajęta opowiadaniem, jak znalazła kociaka w rowie melioracyjnym, by zwrócić uwagę na cokolwiek innego, ale jej mama niemal nie odrywała zdumionego i zaniepokojonego wzroku od nieumarłej lekarki. Izabela przeprowadziła badanie, zdiagnozowała u zwierzaka koci katar, rzeczowo wytłumaczyła wszystko na temat choroby i leczenia. Gdy opiekunki wychodziły z gabinetu, siedmiolatka była zachwycona, ale jej mama wciąż oglądała się przez ramię, jakby obawiała się, że weterynarka-licz rzuci jej się do gardła.

Kolejny na wizytę wszedł wesoły starszy pan, który na widok Izabeli zawołał: „O, Barry, zobacz, nowa twarz!”. Kiedy lekarka osłuchiwała Barry’ego, wiekowego basseta, do gabinetu niespodziewanie wparowała Lidia, dopytując, czy wszystko w porządku i czy nie potrzeba pomocy, po czym zaczęła tłumaczyć niuanse problemów zdrowotnych psiaka, mimo że Iza zdążyła już wszystko przeczytać w jego historii leczenia – choć nawet mimo irytacji na szefową traktującą ją jak idiotkę musiała przyznać, że część z tych informacji okazała się przydatna, jako że wizyty Barry’ego u Lidii były opatrzone opisami w stylu: „Kontrola. ok. leki te co zawsze”.

Przy następnym kliencie szefowa znów wpadła do gabinetu, tym razem pod pretekstem zabrania długopisu, który rzekomo tu zostawiła. Niby mimochodem zadała kilka pytań odnośnie do tego, w jaki sposób Izabela zamierza wyleczyć świerzb uszny u siedzącego na stole zdenerwowanego kota, jakby w dyskretny sposób chciała sprawdzić jej wiedzę.

Patrycja dzieliła uwagę między wybudzające się po zabiegach zwierzaki w szpitalu a gabinet. Izabela chętnie korzystała z jej pomocy, bo zwierzęta wykazywały się sporą nieufnością wobec nieumarłej. Techniczka umiejętnie uspokajała zestresowane koty, przekupywała wystraszone psy przysmakami i wprawnie unikała chomiczych zębów, a dodatkowo zdawała się oddziaływać pozytywnie również na właścicieli, którzy nie wiedzieli, jak się zachować w obecności licza.

– W czym mogę pomóc? – spytała Izabela, zaprosiwszy do gabinetu kolejnego klienta.

Elf, który na szyi i dłoniach miał tatuaże w celtyckie wzory, postawił transporter na stole diagnostycznym, po czym spojrzał na lekarkę i zamarł z szeroko otwartymi oczami.

– Pani... jest ożywieńcem? – spytał z lekkim wahaniem.

– Liczem – doprecyzowała.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na nią w stuporze, po czym prychnął, zabrał transportówkę, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Patrycja pokręciła głową.

– Burak – mruknęła.

Czerwone światelko kamery wpatrywało się w Izabelę intensywnie.

Pies ze łzawiącym okiem, królik z odgniotkami na łapkach, odwapniony gekon z kośćmi miękkimi jak guma – ci i wielu innych pacjentów przewinęło się tego popołudnia przez gabinet. Między siedemnastą a dziewiętnastą nastąpiło istne oblężenie – jak zwykle w godzinach, kiedy większość społeczeństwa wraca do domu ze szkoły czy pracy i zauważa, że z pupilem coś jest nie tak. Aneta i Kasia już skończyły swój dyżur, wobec czego Izabela i Patrycja zostały na polu bitwy same. Lekarka pomyślała ponuro o Lidii, która nagle przestała ją nawiedzać – zapewne zaszyła się w swoim biurze i z bezpiecznej odległości obserwowała pracownice przez monitoring, byle przypadkiem nie być zmuszoną do pomocy.

Tym bardziej Iza chciała udowodnić, że da sobie radę. Klienci jednak nie zamierzali jej tego ułatwiać.

– Wczoraj jadł – zapewniała właścicielka świnki morskiej chudej jak szkielet i z zębami przerośniętymi tak bardzo, że nie była w stanie otworzyć pyszczka.

– A nie ma pana doktora? Luna zna pana doktora, przy nim się nie boi – męczyła starsza pani, która zdawała się bać Izabeli bardziej niż jej chihuahua.

– Przepraszam, teraz moja kolej! – wyklócał się postawny mężczyzna, pchając się do gabinetu ze swoim labradorem za młodym chłopakiem, który wpadł do lecznicy z umierającą szynszylą na rękach.

– No, za czekanie półtorej godziny to chyba się jakiś rabat należy? – rzucił na poły żartobliwym i poirytowanym tonem opiekun fretki.

Mimo nawału pracy udało się wydać ostatniego pozabiegowego pacjenta kilka minut przed zamknięciem. Patrycja oparła się o ścianę i ostentacyjnie wypuściła powietrze z głośnym parsknięciem.

– Wreszcie – sapnęła. – Dawno nie było tak przerażanego poniedziałku.

Izabela nie była pewna, czy to pocieszające, czy wręcz przeciwnie. Choć fizycznie nie odczuwała zmęczenia, psychicznie była wykończona. Mimo całej wiedzy i doświadczenia była odzwyczajona od kontaktów z klientami, szczególnie w takiej liczbie i w tak napiętej atmosferze.

Za plecami usłyszała otwierające się drzwi na zaplecze. Złe przecucia opadły na nią jak całun. Lidia zacmokała z udawanym współczuciem.

– Jak tam, trochę dowaliło na koniec, co? – spytała jakby prowokacyjnie. – To nie to samo, co na chirurgii, gdzie masz ciszę i spokój...

– Nie oczekiwałam spokoju – stwierdziła Iza, wyłączając w komputerze kartę leczenia ostatniego pacjenta.

– To co, zostawiamy grafik tak, jak jest, czy wolisz zostać przy zabiegach?

Już otwierała usta, gdy w poczekalni rozległy się odgłosy kroków. Po sekundzie ktoś zapukał. Patrycja otworzyła drzwi. Za progiem stała przygarbiona starsza pani, dźwigająca sporą, wysoką klatkę przykrytą grubym kocem. Popatrzyła niepewnym wzrokiem po kobietach i powiedziała:

– Dobry wieczór... Przepraszam, że tak na ostatnią chwilę, ale od dwóch godzin chodzę i szukam, gdzie by mnie przyjął weterynarz, co się zna na ptakach, i wszędzie mnie odsyłają, i powiedzieli mi, że tutaj jest pani doktor, co ptaszki leczy...

– Oj, doktor Justynka jest obecnie na zwolnieniu – powiedziała Lidia.

Izabela aż się zatrzęsa ze złości. Wstała i sięgnęła do pudełka z nitrylowymi rękawiczkami.

– Zapraszam – rzekła pewnym siebie tonem, traktując szefową jak powietrze.

Staruszka uśmiechnęła się i weszła do środka. Patrycja pomogła jej postawić ciężką klatkę na stole diagnostycznym.

– Dziękuję paniom bardzo – powiedziała opiekunka. – Już myślałam, że nie znajdę nikogo... Ja się na ptakach nie znam, ale no widzę, że coś jest nie w porządku. To jest Inferno, on należał do mojej wnuczki, ale zginęła w wypadku... Więc teraz ja się nim zajmuję, tak jak umiem.

Techniczka ściągnęła koc z klatki. Na widok znajdującego się w środku zwierzęcia nie zdołała powstrzymać odruchu wciągnięcia powietrza z sykiem.

Na żerdzi siedział ptak wielkości dużego jastrzębia, niemal całkiem łysy. Te resztki piór, które wciąż jakimś cudem trzymały się jego pokrytego ropiejącą skorupą ciała, były postrzępione i posklejane. Najgorzej wyglądały jego łapy i dziób, zdeformowane i łuszczące się. Inferno popatrzył na Izabelę jednym okiem o intensywnie pomarańczowym, niemal płomiennym kolorze.

Izabela momentalnie zdała sobie sprawę, z jakim gatunkiem ma do czynienia.

– To feniks, prawda?

Lidia aż się cofnęła. Staruszka złożyła błagalnie dłonie.

– Proszę, niech pani na niego spojrzy. Wszyscy mnie odsyłają z kwitkiem, nikt nas nie chce przyjąć, a on się tak męczy... Jeden lekarz, co na niego tylko spojrział, dał mi jakiś antybiotyk i kazał olejem go nacierać, ale to nic nie dało...

Inferno otrząsnął się, przestąpił z nogi na nogę i skulił na żerdzi. Nie potrzeba było wykształcenia, doświadczenia i specjalizacji z chorób ptaków, by stwierdzić, że feniks wygląda tragicznie. Izabela zwróciła się do Patrycji:

– Przytrzymaj mi go.

Dziewczyna przytaknęła, nie mogąc oderwać wzroku od chorego stworzenia. Założyła grube rękawice ochronne, otworzyła klatkę i umiejętnie chwyciła ptaka. Choć jego jastrzębie szpony i dziób wyglądały groźnie, Inferno nie stawiał czynnego oporu, co było kolejnym złym znakiem.

– Kiedy zauważyła pani pierwsze objawy? – spytała lekarka, kierując na niego światło lampy diagnostycznej. Czarne źrenice feniksa skurczyły się.

Opiekunka westchnęła.

– Ze trzy miesiące temu... Ja wiem, jak to brzmi, ale wie pani, człowiek w żałobie, ledwo sam siebie jest w stanie ogarnąć... I ja poszłam z nim do lekarza już wtedy, jak jeszcze pióra mu nie wyleciały, ale tylko witaminy dostał, żeby mu dawać do picia.

Izabela obejrzała uważnie łapy feniksa, które wyglądały jak obklejone grubą warstwą piasku, potem delikatnie dotknęła skóry na jego piersi. Spod łuszczącej się skorupy starego naskórka i zeschniętej ropy sączyła się bladożółta wydzielina – bezwonna, jak stwierdziła lekarka, powąchawszy swoje palce.

Zamyśliła się głęboko. Jeśli przyczyną problemów skórnych był świerzbowiec – co mogło stwierdzić szybkie i proste badanie zeszkrobiny – to szanse Inferno na powrót do zdrowia były duże, choć kuracja zajęłaby dużo czasu. Zmiany jednak wyglądały o wiele zbyt poważnie na świerzb. Być może w grę wchodziły inne choroby, których objawy się skumulowały, odmiana pewnego wirusa albo schorzenie o podłożu magicznym. Jeśli faktycznie był to nieuleczalny wirus albo coś, co wymagałoby magicznej kuracji – której Lidia w życiu nie pozwoliłaby Izabeli użyć – to feniks nie miał dużych szans na wyzdrowienie.

Chyba że...

– Kiedy ostatnio przechodził spopielenie? – spytała lekarka. Staruszka pokręciła głową.

– Nie wiem... Chyba dawno. W sumie już chyba powinien, bo zwykle na wiosnę przechodził. Tak mi się wydaje, bo wnuczka zawsze mówiła, że no, Fifi już piórka wymienił, zaraz się będzie ciepło robić.

Inferno zaskrzeczał, kiedy Izabela podważyła jeden ze strupów. Czuła na sobie spojrzenie szefowej, która obserwowała poczynania pracownicy z miną cesarza Nerona zafascynowanego widowiskiem, już planującego, czy na zakończenie pokaże gladiatorowi kciuk w górę czy w dół. Lekarka udawała, że ogląda łuszczący się dziób feniksa, ale tak naprawdę toczyła w myślach bój sama ze sobą, próbując zdecydować, czy podejść do problemu ostrożnie i zaryzykować życie zwierzęcia, czy po swojemu i położyć na szali swoją karierę w tej lecznicy.

Spojrzenie ogniście pomarańczowych oczu natychmiast sprowadziło ją na ziemię.

Podeszła do szafek pod ścianą, wzięła emaliowaną nerkę i napełniła ją ciepłą wodą. Potem sięgnęła po słoiczek nadmanganianu potasu, którego używano tu głównie do tamowania krwawienia z przyciętych za daleko

pazurów. Wsypała szczyptę lśniącego czarnego proszku do wody, która natychmiast zabarwiła się na intensywnie fioletowy kolor. Zamieszała palcem, a następnie wróciła z naczyniem i dużą garścią gazików do stołu diagnostycznego.

– Nie weźmiesz zeskrobiny? – spytała Lidia tonem nauczyciela próbującego zasugerować uczniowi, że zaraz dostanie pałę.

Izabela zignorowała ją. Zmoczyła gazik w roztworze i zabrała się do dzieła.

Inferno szarpnął się, ale Patrycja zdołała go utrzymać. Lekarka przetarła niewielki fragment skóry na mostku feniksa, oczyszczając ją z martwego naskórka i zeschniętej surowiczej wydzieliny. Między mieszkami piórowymi wypatrzyła ciemną końcówkę gruczołu niewiele większego od ziarenka prosa. Kiedy oczyściła jego okolicę, zauważyła, jak w powietrze uniosła się cienka smużka dymu, a w nozdrza uderzył ją zapach podobny do odpalanej zapalki.

Uśmiechnęła się do siebie.

Skupiła się na dokładnym myciu skóry feniksa. Roztwór zabarwił ją na brązowo, co wcale nie nadało Inferno zdrowego wyglądu. Ptak z początku był apatyczny, z czasem jednak nabrał animuszu i zaczął się coraz bardziej wiercić i wrywać.

– Ojoj, to go pewnie boli – zaniepokoiła się staruszka.

– Nie bardziej niż jak przemycie otarcia wodą utlenioną – powiedziała Izabela, starając się brzmieć uspokajająco. Zmoczyła kolejny gazik, by przetrzeć ostatnie nienaruszone miejsce.

– I co to robi? To fioletowe to jakieś lekarstwo, tak?

– Nadmanganian potasu ma właściwości antyseptyczne, a dodatkowo w reakcji z pewnymi substancjami jest łatwopalny.

– I przepraszam bardzo, co masz zamiar dzięki temu osiągnąć? – spytała Lidia, nagle zaniepokojona.

– Feniksy mają na całym ciele gruczoły żarowe, dzięki którym wytwarzają magiczny ogień. Jeśli pomogę mu je udroźnić...

Wtem Inferno zaczął głośno popiskiwać i szamotać się. Patrycja próbowała poprawić uchwyt, gdy wtem jej grube rękawice liznęły płomienie. Techniczka krzyknęła i odruchowo puściła ptaka. Feniks skoczył na stół i rozblęsnął kulą ognia.

Lidia wrzasnęła krótko, zatoczyła się i wpadła na biurko. Monitor gruchnął ekranem na blat, z kubka wysypały się długopisy. Izabela nie

mogła oderwać wzroku od rozgrywającego się przed nią zjawiska. Feniks wyciągnął wysoko szyję i rozłożył kończyny, a na jego nagim ciele tańczyły płomienie, które nie czyniły mu najmniejszej krzywdy. Języki ognia na oczach zgromadzonych zmieniały się w pióra. Nie minęło nawet pół minuty, a Inferno zamachał majestatycznie skrzydłami, całkowicie odrodzony.

Patrycja westchnęła z zachwytem. Feniks był przepiękny. Jego szkarłatna okrywa miała złotawy połysk, nadający jej magicznego charakteru. Głowę szlachetnego stworzenia ozdobił ciemny czub. Otrząsnął się, strosząc pióra. Na blat opadł szary popiół.

– Och! I to już? – wykrzyknęła zdumiona staruszka. – Tylko tyle było trzeba?

– Nieleczony świerzb i olej, którym był nacierany, sprawiły, że jego gruczoły żarowe się zatkały. Przez to nie był w stanie przejść regularnego spopielenia. Ogień feniksa może zniwelować każdą chorobę, więc wystarczyło umożliwić mu spalenie się – wyjaśniła Izabela, jednocześnie zdumiona tym, że jej teoria się sprawdziła, i dumna z siebie.

– Tak, oczywiście – potwierdziła Lidia, jakby sama doskonale zdawała sobie sprawę, co właśnie zaszło.

Opiekunka pogłaskała ptaka po łebku. W jej oczach zalśniły łzy.

– Dziękuję, bardzo paniom dziękuję. Już myślałam, że nikt mu nie pomoże... On ma czterdzieści siedem lat, jakby umarł po kilku miesiącach ze mną, to ja bym sobie nie darowała.

Jeszcze kilka razy wylewnie podziękowała. Potem rozliczyła się, z pomocą techniczki zapakowała podopiecznego do klatki i kłaniając się raz po raz, opuściła przybytek.

Lidia odetchnęła głęboko i złożyła dłonie razem.

– To się nazywa wybuchowe zakończenie dnia – stwierdziła. Rzuciła Izabeli poważne spojrzenie. – Mogłaś puścić lecznicę z dymem.

– Miałam wszystko pod kontrolą.

– Może ci się wydaje, że jak masz dyplom i bawisz się czarami w domu, to jesteś taka mądra, ale zapominasz, że nie jesteś u siebie. Jeśli jeszcze raz narazisz mnie na straty, to inaczej porozmawiamy – wycedziła groźnie. Zaraz po tym uśmiechnęła się sztucznie. – Do zobaczenia jutro.

Wyszła.

Spojrzenia Izy i Patrycji spotkały się. Techniczka zrobiła niezręczną minę.

- Dziękuję ci za dzisiejszą pomoc – powiedziała lekarka.
 - Spoko. – Pati rozluźniła się nieco i zabrała za sprzątanie. – Leczyłaś już kiedyś feniksy?
 - Studiowałam, ale nigdy nie miałam z żadnym do czynienia – odparła Iza, siadając przy biurku. Postawiła przewrócony monitor i zaczęła sporządzać opis wizyty.
 - Łał. To by było coś, leczyć magiczne zwierzęta.
- Patrycja podniosła z ziemi nieduże, ogniście czerwone, połyskujące złotem piórko. Obejrzała je z każdej strony z wyrazem bezbrzeżnego zachwytu na twarzy, po czym ukradkiem wsunęła do kieszeni. Izabela udała, że tego nie zauważyła.
- Razem dokończyły ostatnie porządki. Szefowa zniknęła nie wiedząc kiedy, więc we dwie zamknęły lecznicę, po czym się pożegnały. Izabela wsiadła do auta, włączyła muzykę i popadła w zadumę.
- Oczyma wyobraźni znów zobaczyła Inferno stojącego w płomieniach. Ogień, który strawił resztki choroby. Feniksa otrząsającego się z popiołów. Na nowo poczuła tę przyjemną satysfakcję, jak po rozwiązaniu trudnej zagadki, a także świadomość, że... pomogła, po prostu.
- Spojrzała na budynek, w którym mieściła się lecznica. Potem na swoje sine dłonie zaciśnięte na kierownicy.
- Nie jesteś u siebie, syknęła w jej myślach Lidia.
- Sięgnęła po telefon i włączyła wyszukiwarkę internetową.

trzy lata później

Uśmiechnięta krasnoludka ostatni raz podziękowała za pomoc i opuściła gabinet ze szczurem uczepionym jej brody. Izabela odwiesiła stetoskop na haczyk na ścianie. Uprzątnęła stół, sprawdziła w systemie, czy w opisach jej wizyt niczego nie brakuje. Nim zgasiła światło, przystanęła przy drzwiach i obrzuciła pomieszczenie spojrzeniem.

Niejako zdziwiło ją to, jak niewiele uczuć żywi względem tego miejsca.

Na korytarzu minęła się z Tadeuszem, który właśnie zaczynał swój dyżur. Zignorował ją, więc i ona nie zabiegała o kontakt. Przeszła przez szpital, po drodze zaglądając do klatek, w których znajdowały się hospitalizowane zwierzęta. Szynszyla – o bardzo oryginalnym imieniu Szyszka – zaszczekała na nią głośno. Iza uśmiechnęła się lekko.

Wzięła ze swojej torby plastikową teczkę, a następnie udała się prosto do biura szefowej. Zapukała i na zaproszenie weszła do środka.

Lidia podniosła wzrok znad ekranu smartfona.

– Już po pracy? – spytała bez większego zainteresowania. – Zaraz jadę do księgowej z papierami... Na pewno chcesz wykorzystać cały swój urlop naraz?

– Chcesz mi cofnąć zgodę?

– Nie, nie, po prostu... dziwię się. No, ale co się będę wtrącać, nie mój cyrk, nie moje małpy. – Szefowa odłożyła telefon i uśmiechnęła się nieszczercze. – To co, lecis do Narnii uczyć się leczyć smoki?

– Zamierzam odwiedzić kilku badaczy z różnych krajów specjalizujących się w mitycznych zwierzętach – odparła beznamiętnie Izabela.

– Dobrze, dobrze... Ja to nie rozumiem tego zupełnie, ale skoro coraz więcej wariatów trzyma te potwory w domach, to fajnie, że będziemy mieć w zespole kogoś, kto się na tym zna.

– Właściwie to obawiam się, że nie będziesz miała.

Wyjęła z teczki wypowiedzenie umowy o pracę i położyła je na biurku.

Lidia poruszyła bezgłośnie ustami jak ryba wyjęta z wody. Podniosła kartkę i przeczytała ją z nosem niemal przy samych literach, nawet nie założywszy okularów. Spojrzała na Izabelę.

– Co... Zaraz, zwalniasz się?! – wykrzyknęła. – Ale jak to?!

– Klucze zwrócę po urlopie – powiedziała Iza.

– Chwilę, nie rób nic pochopnie. – Szefowa wstała i uniosła uspokajająco dłoń. – Porozmawiajmy. Chcesz coś zmienić? Godziny pracy, dyżury? Chcesz podwyżkę? – dodała niechętnie.

Lekarka pokręciła głową.

– Nie zdołasz mi zaoferować niczego, co przekonałoby mnie do zostania tutaj. Dziękuję za współpracę.

Twarz Lidii momentalnie wykrzywiła się tak, że nabrała wyglądu pyska wściekłej buldożki.

– Tak? No to powodzenia – warknęła. – Jestem bardzo ciekawa, kto będzie chciał zatrudnić śmierdzącego trupa. Zobaczymy się za parę miesięcy, jak przyjdiesz tu błagać, żebym cię przyjęła z powrotem!

Krzyczała dalej, ale Izabela zignorowała ją, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Przed lecznicą natknęła się na Patrycję, która próbowała zapalić papierosa szwankującą zapalniczką. Na widok lekarki dziewczyna skinęła głową.

– Miłego urlopu – powiedziała. – Ale ci zazdrozczę... Raz, że wolnego, a dwa, że takie masz fajne plany. Wyjeżdżasz już jutro?

– Najpierw muszę coś załatwić. Pojutrze mam samolot do Irlandii, potem Francja, Niemcy i Czechy.

– Czyli nudno nie będzie. No to do zobaczenia za miesiąc.

Izabela się zawahała. Potem powiedziała:

– Nie wracam po urlopie. Złożyłam wypowiedzenie.

Patrycja wytrzeszczyła oczy. Iza ciągnęła:

– Zamierzam otworzyć własną działalność. Będę potrzebować techników, więc gdybyś chciała się przenieść, zapraszam.

Techniczka zaciągnęła się głęboko papierosem, pottrzymała chwilę dym w płucach, po czym wypuściła go powoli, zapatrzona gdzieś w przestrzeń. W końcu pokręciła głową.

– Dzięki, ale... w sumie to chyba rzucam wetę. Zapisałam się na kurs programowania, może coś z tego wyjdzie. No bo wiesz, wszystko fajnie, ale... nie wyrabiam nerwowo z tym wszystkim. Ale dzięki. – Uśmiechnęła się. – I powodzenia.

Nie wiedząc, czy może jeszcze coś dodać, Izabela skinęła głową na pożegnanie i poszła na parking. Wsiadła do samochodu, ustawiła adres w nawigacji i ruszyła w drogę.

Pół godziny później minęła przydrożną tablicę z napisem „Zrębki”. Wieś sprawiała urocze wrażenie, jakby była wciąż pogrążona w zimowym letargu. Tu i ówdzie leżały jeszcze resztki śniegu, jakby odporne na słońce i coraz cieplejszą pogodę. Niewiele domów było nowych – większość pamiętała różne okresy minionego stulecia. Izabela przejechała przez całą długość miejscowości. Na skrzyżowaniu pod lasem po wytartym przejściu dla pieszych przebiegł truchtem faun z psem na smyczy. Odprowadziła go wzrokiem, po czym skręciła w prawo.

– Jesteś u celu – oznajmiła lektorka nawigacji.

Iza zaparkowała przed posesją na ulicy Podleśnej trzy, wzięła telefon i wysiadła.

Właściciel domu wyszedł jej naprzeciw. Wysoki brodaty mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie. Nie wzdrygnął się, gdy nieumarła ją uścisnęła.

– No to co, ostatnia formalność – powiedział wesoło. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i wręczył je kobiecie. – Proszę bardzo. Jakby czegoś jeszcze pani potrzebowała, to proszę dzwonić, tylko tak wieczorem bardziej, bo pracuję.

Spojrzała na klucze w swojej dłoni. Potem przeniosła wzrok na budynek na końcu działki. Nagle odniosła wrażenie, że śni – i to piękny sen.

– Dziękuję – powiedziała.

– To co – zagadał mężczyzna – jakiś biznesik pani tu otwiera, tak?

– Tak – rzekła. – Lecznicę dla magicznych zwierząt.



Joanna Gajzler – autorka nominowanej do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla powieści *Bóg Maszyna*. Studiowała twórcze pisanie na Uniwersytecie Łódzkim i szlifowała warsztat ponad dwie dekady, by móc kiedyś podzielić się owocami swojej wyobraźni. Zagubiona w fantastycznych światach, czy to z książek, filmów, gier fabularnych, czy też własnych. Z zawodu technik weterynarii, nie wyobraża sobie życia bez tworzenia, herbaty i co najmniej trzech gatunków zwierząt w domu.

Przemek Corso

Potworne szczęście
Historia ze świata Serca Twego Chłod

Nie było tego wiele, kilka gestów, kilka uśmiechów, ale gdyby mogli tym płacić, prawdopodobnie byłiby milionerami.

Andrzej Strzelczyk znał ten typ ludzi. To była kwestia środowiskowa, zupełnie jakby ten konkretny grymas i poklepanie po plecach szły w parze ze skurwieniem i lewizną. Przyjmują cię jak swojego, głaszczą cię, stawiają drinka, wsypują narkotyki do ryja i czujesz się jak bogacz. Tylko że to wszystko to nie jest prawda.

Ani to miejsce, ani ci ludzie, ani te pieniądze – to wszystko nie jest prawdziwe. To iluzja.

BŁYSK BŁYSK BŁYSK.

Ale on to wiedział, i to aż za dobrze.

Mimo to, kiedy zadzwonili, przyszedł. Przemykał ulicami miasta, którego nienawidził, ale z którego nie mógł uciec, unikając ciemnych miejsc.

Masywny mężczyzna zwany Jareckim zlustrował go wzrokiem, a po chwili wszedł za bar praktycznie pustego klubu i nalał im po drinku. Każdy jego ruch był serdeczny, ale brakowało w nim prawdy. Andrzej tylko się skrzywił.

– No nie pierdol – oburzył się Jarecki i rozłożył dłonie w geście niedowierzania. – Ty naprawdę nie pijesz?

Andrzej ściągnął z głowy czapkę i strzepał z niej śnieg. Starał się nie skupiać ani na kolorach, ani na zapachach, ani na ogólnym wyglądzie klubu. To wszystko nie miało znaczenia.

– Nie – odparł, zsuwając z pleców kurtkę. Przerzucił ją przez oparcie barowego stołka. Nie miał zamiaru zostawiać jej w szatni ani korzystać z biurowego wieszaka, bo nie planował zostać w tym miejscu nawet sekundy dłużej, niż było to konieczne.

– A chcesz wciągnąć małego szczurka?

– Tym bardziej nie.

– Czyli to prawda, co mówią?

Strzelczyk znowu się skrzywił i położył ręce na blacie. Na jednej dłoni miał nietypową skórzaną rękawiczkę, która nadawała jej nieludzkiego wyglądu.

– A co mówią?

Jarecki zawahał się, a następnie jednym haustem wychylił drinka.

– No, że się pozbierałeś do kupy. – odpowiedział i otarł mokre wargi wierzchem dłoni. – Że naprawdę się pozbierałeś.

– Coś jeszcze?

– Ej, morda... ile się nie widzieliśmy?

Strzelczyk dostrzegł kątem oka ruch w rogu parkietu, niedaleko stanowiska DJ-a. Blondynka ubrana w kusy strój pokojówki. Pomachała w ich kierunku.

– Spokojnie, to Lunka – oznajmił Jarecki. – Zajebista. Jak nie tańczy tu, to siedzi w domu na kamerkach. Nawet, kurwa, nie wyobrażasz sobie, ile siana wyciąga. Pojebaństwo. Kiedyś się z nią ochajtam, zaleję ją i zrobię dzieci, mówię ci.

Strzelczyk tylko zerknął w jego kierunku. Milczał.

– No co? – zdziwił się i złapał za drugiego, bezpańskiego drinka.

– Półtora roku – mruknął Andrzej.

– Co?

– Pytałeś, ile się nie widzieliśmy – uściślił Strzelczyk i posłał Lunce ostatnie spojrzenie.

Jarecki z uznaniem popukał się w skroń.

– No tak! Główka pracuje! Zawsze mi się to w tobie podobało. Nawet kiedy byłeś totalnie napierdolony albo porobiony, to ten twój łeb... Wow, po prostu wow.

– Jarecki, słuchaj...

– Wiem, wiem, wiem. Zanim przejdę do rzeczy, chciałem tylko powiedzieć, że... – Urwał na chwilę.

Cisza była nieznośna.

– ...że to, co cię spotkało, ten seryjny morderca, który zaatakował twoją rodzinę... – kontynuował.

BŁYSK BŁYSK BŁYSK.

– Jarek... – szepnął Andrzej, a gdzieś w jego głosie rozległ się trzask, jakby ktoś złamał suchą gałąź.

– Po prostu bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej żony. Straszna chujnia.

„Chujnia” zabrzmiała w jego ustach jak dziwne, egzotyczne słowo, które mogło oznaczać cokolwiek, ale na pewno nie tragedię, której doświadczył Andrzej.

– Cieszę się, że twoim córkom i siostrze nic się nie stało. I ja wiem, że możesz na to nie patrzeć w ten sposób...

– Jarek!

– Jesteś po prostu porządnym kolesiem. Dobrą mordą. Zawsze byłeś. Spójrz na siebie, kurwa, w życiu nie byłeś w lepszej formie. – Jarecki upił łyk z drugiego drinka i otarł usta dłonią. – I dla wielu chłopaków na mieście jesteś przykładem na to, że można wyjść z gówna. Że można przestać. Odbić się. Spłacić... no wiesz... długi.

Zerknął w kierunku ukrytej w rękawiczce dłoni Strzelczyka.

– Czy....

– Jest prawdziwa – powiedział Andrzej. – To moja ręka.

– Kurwa...

– Obyło się bez amputacji – dodał Strzelczyk i poruszył palcami.

– Jezu, ja pierdolę...

– Nie mam w niej czucia.

– Windykacja ci to zrobiła? Bambus? Pojeby...

– Bambusa już nie ma.

Jarecki się zmieszał.

– Wiem, słyszałem. Dużo się o tym mówi na mieście. Były plotki, że to ty go odjechałeś, że... no wiesz... że za rękę. Że to zemsta za to, co ci zrobili tym młotkiem. Ale ja mówiłem: Andrzej? W życiu, kurwa, nie ma opcji.

– To nie ja.

– Wiem, ty jesteś dobra mordą. Jesteś jebanym psem, ale dobrym. Naszym.

– Jarek, ja nie mam czasu na...

Jarecki uniósł dłonie na wysokość twarzy.

– Dobra, dobra, dobra. Ale powiedz mi...

– Tak?

– Ile oddałeś? Gadają, że...

– Ćwierć miliona – rzucił Andrzej sucho.

– Kurwa... Skąd miałeś hajs? Od siostry? To mega gwiazda, stary. Bez urazy, ale...

- Od szwagra.
 - Czyli jednak rodzina się na coś przydaje.
- BŁYSK BŁYSK BŁYSK.

Strzelczyk zamknął oczy i zazgrzytał zębami. Był jak skała. Jak wyspa pośrodku spokojnej tafli jeziora. Była jak słoneczny dzień. Był jak przyjemny wiatr. Była jak kwiat. Była jak cisza, która zapada w pokoju podczas serdecznej rozmowy z przyjacielem, kiedy nigdzie się nie śpieszysz, nic nie musisz i po prostu jesteś.

- Ten skurwysyn to nie jest moja rodzina – powiedział w końcu.

Jarecki chrząknął i jednym haustem dopił drinka.

– Dobra, rozumiem... kumam, kumam... Opowiadasz o tym wszystkim z takim spokojem, że aż mnie to przeraża.

– Jarek... – Strzelczyk się zawahał. – Jarecki... przeszedłem każdą możliwą terapię. Przepracowałem te rzeczy. Nie mam się czego wstydzić. Ty pytasz, ja ci odpowiadam. Tak to działa. Jak nie będę chciał ci czegoś powiedzieć, to ci nie powiem, ale...

To moja kara, dodał w myślach.

- ...ale i tak krążą plotki – dokończył.

– Słuchaj, morda...

Jarecki szybkim ruchem zabrał z blatu puste szklanki, jakby się ich wstydził.

- Tak?
- Nie chciałem cię urazić.
- Luz, wiem.
- Dzięki, że przyjechałeś.
- Jasne.

Jarecki klasnął kilka razy w dłonie, a później sprzedał sam sobie siarczystego policzka. Na Andrzeju nie zrobiło to wrażenia.

– Dobra, dobra, dobra – powiedział Jarecki i pociągnął nosem, jak dziecko, które wciąga i przełyka smarki. Tylko że to, co miał w nosie, to nie były smarki. To były szczury. – Słuchaj. Potrzebuję twojej pomocy.

- Wiem.
- Chodzi o Sarę...

Strzelczyk podrapał się kciukiem zdrowej ręki po czole.

- Skąd mam wiedzieć, kim jest Sara?
- Poznałeś ją kiedyś.
- Kiedyś to milion lat temu.

Twarz Jareckiego spoważniała.

– Zgwałcił ją uber.

Andrzej przechylił się nieznacznie przez bar, jakby chciał go lepiej słyszeć.

– Kto?

– Kierowca ubera – wyjaśnił Jarek konspiracyjnym tonem. – Miała nockę w restauracji i następnego dnia przyjechała do mnie z zakrwawionymi nogami. Powiedziała, że ją zgwałcił kierowca, ciapak pierdolony. Że nad ranem wezwała go przez apkę, a on później zjechał na pobocze i wiesz...

Strzelczyk zrobił minę, jakby naprawdę nie wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Była najebana? – zapytał.

– Twierdzi, że średnio.

– Średnio najebana?

– Tak mówiła.

– Co to, kurwa, znaczy „średnio najebana”?

Jarecki chrząknął.

– Mogła też zajebać coś do nosa. Znam ją, ale to dobra dziewczyna, Andrzejku.

Strzelczyk trawił jego słowa.

– I co ja mam niby... Co ja tu robię? – zirytował się.

Jego rozmówca znowu chrząknął.

– Tak jak mówiłem, mam dla ciebie hajs, żebyś mi pomógł. Pięć kafli.

Andrzej rozejrzał się po pustym lokalu, jakby się obawiał, że ktoś im się przygląda. Nikt, ani żywej duszy. Striptizerka w stroju pokojówki zniknęła. Może wyszła posprzątać?

– Jarek, czego ty, kurwa, chcesz?

– Chcę ci zapłacić, żebyś z nim pogadał.

– Z kim?

– Z jebanym uberem. Z tym ciapkem.

Andrzej oparł się o blat.

– Jak mam niby z nim porozmawiać? – Przystawało mu się to podobać. Z każdym kolejnym słowem czuł, jak bardzo go ta rozmowa przytłacza.

– Chciał uciec do Uzbekistanu czy chuj wie gdzie, ale go dojechaliśmy...

Cisza.

– Dojechaliście?

– Tak.

– Co to, kurwa, znaczy, że „go dojechaliście”?

Cisza.

– Mam go na zapleczu – szepnął po chwili Jarecki. – Nie chciałem od razu tak z grubej rury, myślałem, że jebniemy szcurka, no wiesz, pogadamy o dawnych czasach, a dopiero później...

Wciągnął tyle szcurków, że sam zaczyna wyglądać jak szcur, pomyślał Strzelczyk.

– Popierdoliło cię? To przestępstwo.

– Mordo, znamy się od lat, dawałem ci towar na krechę – przypomniał Jarecki. – Zawsze mogłeś na mnie liczyć. Całe życie tropisz przestępców...

– Seryjnych morderców.

– Gwałciciel czy morderca, jeden pies. Wiem, że masz w sobie to coś i że, kurwa, widzisz, kto jaki jest. Opowiadałeś mi o tym, kurwa. O tym mroku, jebanych mackach... – Zniżył głos do szeptu. – O swoim szwagrze też pierdoliłeś, i to prawdziwe cuda na kiju.. Nawet nie pamiętasz. Ale ja pamiętam. Dlatego wiem, że jesteś najlepszy, bo widzisz rzeczy, których inni nie widzą. I wiem, że jesteś dobra morda. Masz zasady. Jesteś dobry. My nie jesteśmy dobrzy.

Andrzej milczał.

Jarecki wyciągnął zza blatu kopertę i położył ją na blacie.

– Proszę, twój hajs. Za to, że go przesłuchasz. Musisz też pogadać z Sarą. Jest trochę roztrzęsiona, ale musisz to zrobić. Pogadasz z nimi.

Cisza.

– Nic więcej – dodał w taki sposób, jakby rzeczywiście chodziło o miłą rozmowę zapoznawczą przy herbacie.

– Nie mówię po ciapatemu – zaprotestował.

– Ale znasz angielski, a ten cwel gada i po angielsku, i trochę po polsku.

Andrzej westchnął.

– Jeżeli go porwaliście i pobiliście... to jest przestępstwo.

Jarecki popukał się w skroń, jakby chciał pokazać, że główka pracuje.

– Ale jeżeli to gwałciciel... – zaczął – to jesteśmy, kurwa, bohaterami, nie?

Andrzej zazgrzytał zębami i szybkim ruchem ściągnął z blatu kopertę.

Robię to dla moich córek, pomyślał. Robię to dla nich.

– Wiem, wiem – powiedział Jarecki, jakby czytał w jego myślach. – Wiem, że odkładasz kasę i bierzesz takie zlecenia. Wszystko jest okej.

Cisza

– Czego oczekujesz? – zapytał po dłuższej chwili Andrzej, chowając kopertę do kieszeni spodni.

– Że go przesłuchasz i powiesz mi...

– Tak?

– ...czy Sara mówi prawdę.

– Masz wątpliwości? – Strzelczyk wyraźnie się zdziwił.

– Oczywiście, że mam. Jakbym ufał wszystkim kurwom, tobym już nie żył – stwierdził sentencjonalnie Jarecki. – Dlatego tu jesteś. Pojebany jak marcowy zając, ale krystalicznie czysty... Krystaliczny jak, kurwa, kryształ. Wszyscy to wiedzą, Andrzej. Mogłeś się zabić, ale nie zrobiłeś tego. Wiesz dlaczego? Bo masz zasady. Masz jaja. Nawet po tym, co przeszedłeś. Nikt w ciebie nie wierzył, ale ja wierzyłem. – Dziękuję.

– Sam wychowujesz córki, morda. Chodzisz na AA. Kurwa! Na AA! I uczciwie dorabiasz. Dla mnie jesteś jak mistrz zen. Ja nie mogę tego kurestwa odstawić nawet na dwa dni, a ty? Dlatego wiem, że sam mogę nie myśleć klarownie, a gwałt to poważna sprawa, człowieka. Nie chcę popełnić żadnego błędu. Też muszę być jak mistrz zen.

– Mieszkają u mojej siostry... – wyszeptał Strzelczyk.

– Co? – zdziwił się Jarecki.

– Moje córki. Mieszkają u mojej siostry – powtórzył Andrzej bardziej dobitnie. – Nie wychowuję ich sam. One... mieszkają z nimi.

Jeszcze tylko przez jakiś czas, dodał w myślach.

Drgnięcie na jego twarzy było dostrzegalne nawet dla magicznego grajka-szczurołapa, zaklętego flecisty, trenera szczurków wciąganych tu i tam.

– Chodźmy, morda – powiedział grajek, a z jednego z jego nozdrzy wyjrzał szczur i pomachał mu łapką. – Czas pogadać z ciapką.

Andrzej przez chwilę spoglądał na kotłujący się za nim mrok, na wielkie, obrzydliwe, włochate łapy. W wizji podsunętej przez okaleczony umysł w jednej chwili przejrzał Jareckiego na wylot i zobaczył jego prawdziwą, szczurzą mordę.

Potał oczy i wszystko zniknęło. Świat znowu był taki jak zawsze. Pełen sprzeczności i chwiejący się u podstaw.

– Chodźmy – powtórzył.

I poszli.

Lunka stała przed lokalem, a dół kusej spódniczki od stroju pokojówki wystawał jej spod puchowej kurtki. Nogi miała gołe, ale najwyraźniej przeszywający chłód nie robił na niej wrażenia, zupełnie jakby przez lata uodporniła się na całą wrogość otaczającego ją świata. Jakby jej mleczna, pokryta gdzieś tatuażami skóra stała się zbroją, chroniącą przed zimnem, gorącem i złem. Z kieszeni kurtki wystawała jej jakaś książka.

Andrzej wyszedł na zewnątrz i posłał jej przelotne spojrzenie, wsuwając na głowę wełnianą czapkę.

– Siema – powiedziała i zaciągnęła się głęboko mentolowym iqosem.

– Hej – odparł, po czym się rozejrzał.

Warszawa nadal tam była. Czekala na niego. Świat dalej istniał. Nic się nie zmieniło.

Szybko przestąpił cień na chodniku i stanął w świetle rzucanym przez latarnię uliczną.

– Jesteś przesądny? – zapytała, świdrując go zaczepnie swoimi wielkimi, orzechowymi oczami. Była naprawdę piękna, co niespodziewanie wydało mu się przygnębiające.

– Jestem po prostu ostrożny.

Zaciągnęła się głęboko.

– Masz krew na twarzy – zauważyła.

– Nie jest moja – mruknął i odruchowo wytarł twarz skórzaną rękawiczką.

– Pobijeś go?

Cisza.

– Nie. Tylko z nim rozmawiałem. Dotknął mnie...

– Rozumiem – mruknęła. – Zrobił to?

– Kto?

– Uber. Ten brudas. Czy ją zgwałcił.

Andrzej milczał przez chwilę.

– Nie. Była naćpana, a on, wbrew temu, co mówiła, to jej dobry kolega, prawie chłopak... Wychodzi na to, że go wykorzystywała. Przynajmniej wszystko na to wskazuje.

Zapadła niezręczna cisza.

– Kurwa – rzuciła w końcu Lunka. – Mówiłam im od początku, że ta pizda kłamie.

– Co czytasz? – zapytał, by zmienić temat, i wskazał dłonią w rękawiczkę na wystającą z jej kieszeni książkę. Nie wiedział, po co to

robi, nie wiedział, po co się odzywa. Nie chciał tu być. Chciał odejść i zniknąć, ale nie potrafił.

– Aj... Próbuję tylko...

– Tak?

– Nawet jak bierzesz jakiegoś znanego, fajnego autora, to i tak ostatecznie wszystko sprowadza się do „powiedział, powiedziała”.

– Do czego?

– Powiedział, powiedziała – powtórzyła, jakby to było oczywiste. – Ona zagadnęła, on mruknął, ona odparła, on się zdziwił... Straszny syf. A na audiobookach nie mogę się skupić, bo nie lubię, jak ktoś mi gada nad uchem. Próbowałam czytać zbiory...

– Zbiory?

– Opowiadań. Myślałam, że będzie łatwiej, ale to po prostu to samo pierdolenie ludzi, którzy myślą, że pozjadali wszystkie rozumy. Tymczasem to, co im się wydaje, nawet nie leżało obok prawdy.

Chwila ciszy.

– A ty czytasz? – zagadnęła.

– Nie – mruknął.

Znowu się zaciągnęła.

Przez chwilę stał nieruchomo jak posąg. Patrzył na swoją dłoń wciśniętą w terapeutyczną rękawicę, która umożliwiała właściwe krążenie krwi, jakby dopiero teraz się zorientował, że stała się częścią niego.

– Słuchaj, miło było poznać. Muszę już...

– Mówił, że jesteś wyjątkowy – przerwała mu.

Zerknął w jej kierunku.

– Kto? – zdziwił się.

– Ten jebany kutas, Jarecki. Mówił, że jesteś wyjątkowy.

– Na pewno użył tego słowa?

– Taaa. – Uśmiechnęła się zalotnie. – Nie wyglądasz na psa. Bardziej na bezdomnego kota.

– Dzięki.

– Możesz znaleźć mnie na Fansie. Jak mnie stipujesz, wyślę coś specjalnego, tylko dla ciebie. Moglibyśmy też... no wiesz... spotkać się, gdybyś chciał. Mogę ci dać numer telefonu.

Strzelczyk podszedł do niej.

– Myślałem, że tylko tańczysz...

– Ej... nie jestem eskortką. To prywatna propozycja. Mówię poważnie. Jesteś spoko.

Strzelczyk uśmiechnął się blado.

– Jasne – mruknął. – Raczej nie skorzystam...

Zaciągnęła się głęboko ostatni raz. Jej idealne usta objęły strużkę dymu.

– Wolisz chłopców?

– Nie...

– Nie podobam ci się?

Cisza.

– Jesteś piękna... – powiedział po chwili – ale szkoda naszego czasu. Nie stanąłby mi.

Parsknęła śmiechem.

– Ej, ale po chuj to robisz?

Strzelczyk znowu się uśmiechnął.

– Co?

– Po co sam sobie tak dopierdalasz?

Zmieszał się.

– Proponuję ci randkę – kontynuowała. – A ty zamiast się zgodzić albo mi odmówić, mówisz, że ci nie staje. Pojechało cię? Tak się nie robi.

– To prawda.

– Nie staje ci, bo bierzesz antydepresanty?

Jej pytanie było jak precyzyjny cios.

Milczał przez chwilę. Nieznacznie się wyprostował, a potem spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– T... tak – wydukał zaskoczony. – Masz jakieś doświadczenia?

– Od razu widać, że jesteś smutnym chujem.

– Dzięki.

Postąpiła krok w jego kierunku i delikatnie dotknęła jego twarzy.

Wzdrygnął się. Jej dłonie były zimne jak śmierć.

– Mogłabym się tobą zaopiekować – szepnęła. – Ale musiałbyś wyluzować.

– Przemyślę to – odparł bez przekonania.

– Widzisz? Od razu lepiej, nie? Jestem Lunka – przedstawiła się, wyciągnęła zębami wkład z iqosa i wypluła go na chodnik. Urządzenie schowała do kieszeni kurtki.

– Wiem – mruknął.

– Miło.

– Tak.

– Mogę ci zadać pytanie?

– Jasne.

– To prawda, że twoja siostra to Justyna? Ta Justyna?

Na jego twarzy pojawił się cień.

– Justyna Jazowiecka? – naciskała dalej.

Jestem idiotą, pomyślał z rozbawieniem. Tu nie chodzi o mnie, tylko o moją siostrę. Dlatego mnie zaczepia. Zawsze chodzi o Justynę, zupełnie jakby była błyszczącym, cennym przedmiotem.

– Tak – powiedział.

Zachichotała.

– Uwielbiam ją. – Twarz Lunki się zmieniła. Rozpromieniła. – Ona ma ze trzy miliony fanów na insta. Ja pierdolę. Ale czad! Obserwuję ją od lat. Kocham ją! Nie mogę uwierzyć, że jesteś jej bratem.

Andrzej milczał.

– No, nie patrz tak na mnie, ej – poprosiła go. – Jestem jej fanką. To najpiękniejsza laska, jaką widziałam w całym swoim życiu. Ona ma niesamowite życie, nie? I jeszcze te piękne córeczki, które mają. Bez urazy, ale ona i ten jej mąż muszą być potwornie szczęśliwi.

BŁYSK BŁYSK BŁYSK.

Był jak pierdolona skała. Jak wyspa pośrodku spokojnej jebanej tafli jeziora. Była jak kurewsko słoneczny dzień. Był jak przyjemny wiatr. Była jak, kurwa, kwiat. Była jak jebana cisza, która zapada w pokoju, kiedy twój rozmówca-debil w końcu zamknie mordę, a ty już nic nie musisz i po prostu jesteś, kurwa, choć wiesz, że nie było warto.

– To moje córki – wycedził.

– Co?

– To moje córki – warknął. – Nie ich. Moje. Pomagają mi, od kiedy... Zamordowano moją żonę, dokończył w myślach.

– Ej, sorry... nie wiedziałam. Wyluzuj. Na insta wygląda to inaczej. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

– To nie jest życie – powiedział zamiast tego. – Powinni to wydrukować ludziom i porozwieszać na mieście.

– No co ty, kurwa, nie powiesz? – zakpiła.

Milczeli przez chwilę.

– To tyle? – zapytał. – Koniec?

Jakby mimochodem pokazała mu środkowy palec.

– Może. A może nie? Co to w ogóle jest koniec, powie mi pan, panie psie?

Uśmiechnął się.

– Gdyby te uśmieszki, które cały czas dostaję od facetów, były coś warte – zaczęła i delikatnie szturchnęła go w ramię – byłabym milionerką.

– Tak – przyznał i pomyślał o pobitym, ciemnoskórym mężczyźnie, leżącym w rogu obskurnego, betonowego pomieszczenia. Myślał o tym, jak z wyczerpania nie mógł mówić, a jego głos zamienił się w szept. O Jareckim. O klepaniu po plecach i o kłamstwach. O tym, jak mrok zalewa ulice, a miasto znika w uścisku potwornie wielkiej ośmiornicy. Pomyślał o swoim szwagrze, który wychowywał jego dzieci. I przypomniał sobie, po co tu w ogóle jest i dlaczego zadaje się z przestępcami.

– Tak – powtórzył. – Ja też.

Żeby je odzyskać.

*

Daysam, trzymając się kurczowo za żołądek, wtoczył się stromymi schodami kamienicy do mieszkania znajdującego się na drugim piętrze. Został pobity, nos miał złamany, ale wiedział, że mogło być znacznie gorzej. Wiedział, że tej nocy mógł nie wrócić do domu.

Drżącą ręką sięgnął do kieszeni kurtki w poszukiwaniu kluczy, ale nie mógł ich znaleźć. Nie miał przy sobie nic, ani kluczy, ani portfela, ani telefonu.

Dzień wcześniej przemierzał ulice Warszawy samochodem, przyjmując kolejne zlecenia, jeżdżąc od punktu A do punktu B, aż w pewnym momencie poczuł zaciskającą się na szyi pętlę. Pamiętał, że walczył o każdy oddech. Ocknął się w obskurnym pomieszczeniu, gdzie był bity i gdzie wykrzykiwano mu w twarz, że jest gwałcicielem. Nie znał wszystkich słów, ale potrafił rozpoznać, jaką mają wagę. Nie był głupi. Wiedział, co próbują mu powiedzieć.

Chodziło o Sarę.

Tę cholerną diablicę.

– Przestań się mazać – usłyszał głos dobiegający z półpiętra.

Mężczyzna siedział w półmroku na schodach i przyglądał mu się z takim wyrazem twarzy, jakby patrzył na potrącone przez samochód i zdychające na poboczu drogi zwierzę. Daysam tak się właśnie czuł. Jak pies.

Mężczyzna chrząknął znacząco, dając mu do zrozumienia, że tu jest, że istnieje, że to nie sen.

– To... to pan? – wydukał Daysam po polsku.

– Tak, to ja – odpowiedział mężczyzna. – Twoich współlokatorów nie ma. Pewnie wszyscy pracują.

– Dzień... dziękuję. Uratowałeś mnie – powiedział Daysam, szukając odpowiednich słów i znaczeń oraz sensu. – Dziękuję. Pan mi pomógł. – Jego pierś wstrząsnęła kolejną falą płaczu.

– Tak, uratowałem cię.

– Dziękuję.

– Rozumiesz mój polski na tyle dobrze, żeby dotarło do ciebie, co mam ci do powiedzenia, czy wolisz po angielsku?

Chwila ciszy.

Daysam pociągnął nosem i wypluł na podłogę zaschnięty skrżep.

– Po polsku – odpowiedział.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdybym powiedział prawdę, toby cię zabili? – zapytał mężczyzna.

Znów cisza.

– Zabiliby cię – powtórzył, wstał z miejsca i postąpił kilka kroków w dół schodów, stopniowo wyłaniając się z mroku. – Spaliliby cię jak śmiecia, którym jesteś.

– Ona kłamała. Ty sam powiedziałeś...

– Wiem, co powiedziałem – syknął mężczyzna, doskoczył do Daysama i złapał go za fraki. – Kłamała, to prawda. Ale... ty też. Jesteście siebie warci. W życiu nie słyszałem takich bredni.

– Ja nie gwał...

– Gównu mnie to obchodzi. Pieprzyłeś ją. Pewnie tego chciała, ale była w takim stanie, że nie powinienes, rozumiesz? Wyglądasz na zazdrosnego gnoja; może zrobiłeś jej scenę? Chciałeś zrobić jej krzywdę? Powiedz mi!

– Ja nie...

– Jeżeli nadal to do ciebie nie dociera, to ona postanowiła cię zabić. Powiedziała tym ludziom, że cię nie zna, mimo że się spotykaliście i pieprzyliście od miesięcy. Powiedziała, że zgwałcił ją uber; wydała na ciebie wyrok, głupi fiucie. Czy byłeś na nią zły tej nocy? – Mężczyzna docisnął go mocniej do ściany. – Dałeś jej popalić i dlatego postanowiła się na tobie zemścić?

– Ja nie... ja nie... – dukał Daysam.

– Obdarliby cię ze skóry. Może jeszcze to zrobią. Może ona znowu skłamać na twój temat, a kiedy kłamstwo zabrzmi wiarygodniej niż teraz albo mnie tam nie będzie, to jest po tobie. I nikt ci, kurwa, nie pomoże.

Mężczyzna gwałtownie złapał go za złamany nos. Daysam zawył z bólu.

– Powiedz, że rozumiesz – warknął.

– Ta... tak.

Mężczyzna puścił go i szybko się odsunął. Daysam upadł na brudną posadzkę, krwawiąc ze świeżo otwartej rany na nosie.

– Bez względu na to, co się wydarzyło, dobrze ci radzę, przestań się mazać i wynoś się z tego miasta – powiedział i wyciągnął z kieszeni stary, znoszony portfel. Rzucił go Daysamowi pod nogi. – A to gdybyś się zastanawiał, jak cię znalazłem... Oni też mają ten adres.

– Ja ją kocham. – Jęknął, a zdanie zawisło w powietrzu i na chwilę dosłownie wyssało z klatki schodowej cały tlen. – Sara...

– Gównu mnie to obchodzi – wycodził mężczyzna i założył na głowę wełnianą czapkę. – Nie mogłem pozwolić, żeby cię zabili, dlatego nagiąłem prawdę. Gdybym im powiedział, że pieprzyłeś ją tamtej nocy, byłoby po tobie, rozumiesz? Wyjedź i nie wracaj.

Mężczyzna, nie czekając na jakąkolwiek reakcję, ruszył w dół schodów.

– Dzięki... dziękuję – wydukał Daysam w ślad za nim, nadal krwawiąc z nosa. – Dziękuję.

Było w tym coś dziwnie niestosownego.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – mruknął mężczyzna i zniknął Daysamowi z zasięgu wzroku.

*

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – mruknął Strzelczyk, schodząc po stopniach.

Zrobiłem to dlatego, że mam sumienie, pomyślał. Bo w przeciwieństwie do ciebie nie mogę uciec, tak jak ty. Bo dlatego, że tu tkwię, muszę robić to, co słuszne. Za wszelką cenę. Bo chcę odzyskać swoje dzieci i wychować je na przyzwoitych, dobrych ludzi, i wiem, że w tej kadzi pełnej smoły uda mi się to tylko wtedy, kiedy będę postępować słusznie.

Wymacał ukrytą w kieszeni kurtki kopertę z pieniędzmi.

Tak. Jestem jedno ludzkie życie i pięć tysięcy złotych bliżej celu.

Miał ochotę na drinka.

Ale nie, nie tej nocy.

Już nigdy.

Nie zamierzał się cofać.

Był bliżej. Taplał się w tym syfie tylko dlatego, że dzięki temu zmierzał do celu.

Zobaczy się z córkami i znowu wszystko będzie dobrze, wszystko będzie miało sens. Zabierze je do kina albo na plac zabaw i będzie patrzył, jak się bawią. Przytuli je, powie, że je kocha i że nigdy nie pozwoli ich skrzywdzić. Wynagrodzi im śmierć ich matki. A kiedy będzie gotów, zabierze je, wyjadą i nigdy nie wrócą.

Po raz ostatni wymacał kopertę z pieniędzmi.

Jeszcze trochę.



Przemek Corso – pisarz, konsultant artystyczny, promotor, konferansjer, felietonista, głos radiowy, lektor, scenarzysta, tłumacz, autor tekstów piosenek... a nawet bajek dla dzieci. Nigdy nie był do niczego nominowany. Wydał kilka książek – w tym opowiadania dla dzieci *Opowieści z Białej Doliny*, serię sensacyjno-przygodową o awanturniku i złodzieju zabytków Robercie Karczu (*Miasto złodziei*, *Miasto z gliny*), powieść dla dorosłych *Serca twego chłód*, nowelę *Gatunek L*, a także dwie bestsellerowe biografie, *GrubSon. Na szczycie* i *Rahim. Ludzie z tylnego siedzenia* oraz książkę *Czesław Mozil. Pocztówki z pandemii*.

Prywatnie ojciec Anaszki i właściciel psa o imieniu BRK. Mieszka w Legnicy. Mówi o sobie, że nie jest znany, i ma rację. Ciągłe żartuje, ale jest nietowarzyski i chodzi do kina sam. Włóczyki z natury, Muminek z wyglądu.

Grzegorz Gajek

Odmieniec

pamięci Persefony

Grzmibor był panem bobrowym.

Nie lada to rzecz, choć nazywa się trochę uciesznie. Pan bobrowy ma swój okręg leśny i rządzi się na nim niby komes na grodzie. Do niego należy wiedzieć, gdzie się mieszczą wszystkie żeremia i gony, ile młodych przychodzi na świat w każdym miocie i kędy chadza młódź, gdy nadejdzie pora wiosennych wędrówek. Bywa, że wciela się w swata i przenosi bobrowych podrostków tam, gdzie samiczek jest mnogo, a samczyków niedostatek. Jeśli wilcy rozsrożą się zanadto, rusza w las z łukiem i włócznią i drużyną dzielnych chwatów – bobrowników – aby chronić bobry przed wrażą napaścią. Przede wszystkim jednak, z woli kniaziowskiej, strzeże swych włości przed kłusownikami. Jeden bowiem kniaź ma prawo dać przywilej odłowu, a jeśli kto przywileju owego nadużyje albo całkiem samowolnie sidła pozakłada, takiemu pan bobrowy może naznaczyć surową karę w srebrze, skórach kunich lub robotach pospólnych. Jeśli zaś przyłapie kłusownika na gorącym uczynku i wda się z nim w zbrojny spór, i zbrodniarza okaleczy bądź zabije, nie grozi mu za to główszczyzna, przed wróżdą natomiast sam majestat kniaziowski go broni.

Cieszył się więc Grzmibor wielkim szacunkiem w kraju krakowskim, w ziemi tynieckiej, gdzie – jak powiadano – niegdyś sam Wielki Bolesław gospodarzył. Wielu go lubiło, bo dowcip miał prędkie, pięknie śpiewał i nigdy nikogo wbrew sprawiedliwości nie ukrzywdził. Wielu też się bało, gdyż chłop był z niego potężny, o ramionach jak dębowe pniaki, nosie wielokrotnie łamanym, podobnym do bulwy chrzanu i łbie ogromnym a łysym niby głaz. Do sprawy swojej łysiny podchodził zresztą z niejaką

drażliwością. Nieraz słyszano, jak opiwszy się jęczmiennego piwa (droższych, jak pszenne czy żytnie, nie tykał, twierdząc, że na to trzeba mieć pańską wątrobę), tłumaczył, że dyć to nie tak, że do bani nie zachadza czy się w rzece nie pluszczy; jak ktoś smrodliwy cap, można mu urągać, ale łysego to Dola po głowie pogłaskała i nic się nie poradzi. Krążyły nawet słuchy, że jednego takiego, co odważył się czaszkę jego błyszczącą obśmiewać, nasz pan bobrowy chwycił jednorącz za kudły, z chałupy wyniósł, na koń z nim siadł i tak, niczym jakiego chochoła powiewającego na wietrze, woził po całym opolu.

Może to prawda, może nie. Bajęd krążyło o nim wiele. Jak ta, że rumaka – ogromne czarne bydlę imieniem Czarnuszko – podarował mu sam Weles. Grzmibor co niedzielę zajeżdżał na tym piekielnym wierzchowcu pod krakowską katedrę, śpiewał psalmy tak cudnie, że nikt już klechów nie słuchał, a potem wskakiwał z powrotem na siodło i pędził w buczyny. Bo jeśli cokolwiek można o nim rzec na pewno, to że te swoje lasy i te swoje bobry miłował nad życie. I tylko jedno w świecie całym było mu droższe. Ale o tym zaraz.

*

Na Kuroseki padł blady strach, gdy od północy, od tynieckiego gościńca, spośród osnutej mgłą olszynki rozłożonej po obu stronach Skawiny, dał się słyszeć huk kopyt. Noc już mościła się nad lasem, w powietrzu wisiała mżawka. Kończył się dzień nieprzyjemny, mokry, jeden z tych osobliwych dni końca lata, kiedy lepiej się zawrzeć w chałupie i wystawić pod drzwi miskę kaszy, bo błędne ognie pojawiają się na bagnach, a po ćmie może cię ująć za rękę boginka. Jeden tylko człek nie baczyłby na takie znaki i puszczał się w niefrasobliwe galopy, rumoru wszczynając przy tym dość, by pobudzić umarłych.

– Pan Grzmibor jada – mruknął do siebie kmieć Chadko, co mieszkał na skraju wioski. Wyszedł popatrzeć na las, nie za daleko jednak, tylko do płotu, za którym leżał warzywniak.

Zastał go tam brat jego stryjeczny Radosz, gospodyni rodu i starosta całego opola. Chadce ciarki przeszły po plecach; przy Radoszu zawsze czuł się nieswój.

– Sądziś, że sam jedzie? – rzekł, ot, tak, by rzec cokolwiek. – Drużyny nie słychać.

Starosta milczał. Tarł tylko paluchami lśniące, pobrużdżone czoło i zmiatał z lewa na prawo strąki siwych włosów.

Chadko przestąpił z nogi na nogę.

– Co mu powiemy?

– Nic nie powiemy. Zawrzyj gębę i tak trzymaj.

Radosz odwrócił się i już miał ruszyć ku własnemu domostwu – dużej, dwuizbowej chacie, co leżała po drugiej stronie majdanu – kiedy nagle stanął, syknął i jął trzecią udo, jakby mu noga ścierpła.

– Jest koń! – Chadko splunął przez ramię i skierował złożone w rogi palce ku ziemi. – Tfu, bies czarny, idź ku Welesu! – mruknął, po czym odezwał się znów do krewniaka. – Idziesz? Pan Grzmibor źli będą, że go starosta nie wita.

– A może ja zły będę, że mi się taki pcha po nocy w gościnę – wycedził Radosz, lecz odwrócił się na powrót w stronę traktu i ze skrzyżowanymi ramionami czekał, aż wielki rumak się zbliży.

Koń bębnił kopytami o rozmiękłą ziemię, rósł w oczach; pędził galopem. Przemknął przez łąkę pod lasem, minął warzywniak. I już rozdymał chrapy, już rżał głośno, węsząc gospodarskie zwierzęta. Zahamował gwałtownie, obrócił się bokiem, a z jego grzbietu – jednym płynnym ruchem, który zdawał się jak gdyby przedłużeniem ruchu wierzchowca – zeskoczył jeździec.

Nie był to jednak Grzmibor.

*

Długo się wahała, jak się przedstawić. Tak długo, że skołowany Chadko zdążył ściągnąć Czarnuszce siodło, natrzeć mu boki sianem i upchnąć w szopie, gdzie przerażona gromadka kóz zbiła się w kącie w jednego smrodliwego zwierza o wielu głowach i niezliczonych kopytach.

– Wnoszę, dziewczyno, że jesteś Grzmiborowa córka – odezwał się Radosz, gdy rozsiedli się już w Chadkowej chałupie, przy ogniu.

Izba była tam tylko jedna. Zza wiklinowego przepierzenia wyglądały trzy bużki pyzate, zaciekawione widokiem niezgrabnego dziewczyniska o ciężkich rękach, kosych oczach i włosach przypominających wronie gniazdo.

Nazywała się Gniewosądka, nie znosiła jednak swojego imienia. Ojciec śmiał się nieraz, że na zaplecinach zamierzał dać jej Wiesna, ale zmienił

zdanie, bo Wiesna to imię dla takiego ździebelka, co jeno rżęsami umie trzepotać, wszyscy powinni zaś wiedzieć, że z jego córą nie ma żartów. Dlaczego ubrdał sobie, że osiągnie ten zamiar, nazywając ją Gniewosądką – nie wiedziała do dziś. Po prawdzie wolałaby być Wiesną.

– Tatko zmarli zaraz po sianokosach – powiedziała teraz, przekładając dłonie z prawego kolana na lewe i z powrotem. Głos miała niski, przytłumiony, jakby mówiła nie z ust, lecz z pępka. Nie patrzyła w oczy. – Nie ma jeszcze miesiąca.

– O Nijo – zaklął Chadko. – W środku lata tak? Mocarz taki jak pan Grzmibor? Przeca jak go znam, ani raz nie kichnął. Może go ktoś zaklął? Powiadają, że jak starka, co straciła synów, złym okiem spojrzy...

Radosz prychnął pogardliwie.

– Nie – bąknęła dziewczyna. – Mówili... Czerwony był bardzo na twarzy... Może południca...

Wyglądało, że Chadko chętnie gadałby dalej, ale krępował się czegoś i tylko łypał na siedzącego obok starostę, który stoszył siwe wąsy i świdrował młodkę wzrokiem.

Dziewczyna splotła palce obu dłoni i wywinęła ręce w pętelkę.

– Wołają mnie Gniewka – oświadczyła. – Jestem teraz pan bobrowy na tym biegu Skawiny, od Kuroseków na północy, po Redziszów na południu, i od...

– Grzmibor był panem bobrowym w całym zlewisku Skawiny, Skawicy i Siedlnicy – przerwał sucho Radosz.

Gniewka potaknęła, zaciskając usta. Nie zamierzała tłumaczyć, że sądem kniaziowskim gony na Skawicy i Siedlnicy przypadły Boleborowi, towarzyszowi ojca, ani że wszyscy bobrownicy z ojcowej drużyny do Bolebora poszli na służbę.

– Było nieopodał, na zakolu Skawiny, żeremie – podjęła. – Duże. Samiec, samiczka i trzy mioty młodych, jak rzadko. Czarne wszystkie.

– No i?

– Było i teraz nie ma. Na zimę jeszcze z tatkiem cięliśmy buczynę i bukwę znosiliśmy, bo jak samica starszych miotów w czas nie przepędza, to młodsze mogą pomrzeć przez mrozy. Ale nie ostał się ni jeden. Żeremie rozbite. Byłam tam dziś jeszcze, widziałam.

– Sądysz, dziewczyno, żeśmy wbrew słowu kniaziowskiemu te bobry odłowili? – Bruzdy na czole Radosza się pogłębiły; patrzył surowo. – I co

byśmy z nimi zrobili? Na targ ponieśli do Tyńca, pod nos komornika? Kołpaki z nich sobie sprawili? Widzisz gdzie u nas bobrowe kołpaki?

– Mogliście bobry przepłoszyć – odparła cicho Gniewka. Nie podnosiła jeszcze oczu, ale przestała się wiercić.

– Jak? Pierdząc za głośno po lesie? My tu gospodarzemy od czasu, gdy Wielki Bolesław siedział kniazem na Krakowie. Nasza to ziemia za prawem starem i nowem, bo bez nas byłaby tu dzika puszcza. A bobry niech se chadzają, kędy chcą, my im w niczym nie wadzimy.

– Do mnie należy to ustalić – powiedziała jeszcze ciszej dziewczyna, a jej oczy mignęły jasno ku staroście i znieruchomiały, szare i niewzruszone jak skała. – Za przepłoszenie kara jest nie mniejsza niż za kłus. Jeśli winny jest wśród was, wasz obowiązek go wydać. Za prawem starym i nowym. Jeśli nie wydacie, a ja znajdę ślady kłusu bądź innej przemocy, kara spadnie na całe opole.

Radosz poderwał się na nogi.

– Kara? Karą nas, pannico, straszysz? Won stąd! Won! Pókim dobry...

Starosta uniósł rękę, jakby chciał bić. Za wiklinowym przepierzeniem coś zakwiliło, zakotłowało się. Chadko również poderwał się z miejsca, chwycił krewniaka za ramiona. Wołał coś o prawie gościny i bogach.

Gniewka przyglądała się temu niewzruszona.

– Nie wolno ci mnie przegnać, starosto – powiedziała, gdy obaj kmiecie przestali się już miotać. – Panu bobrowemu jesteś winny stan i przewóz.

– A jaki tam z ciebie pan bobrowy! – warknął Radosz. – Pan bobrowy to jest mąż poważny, chłop, a nie takie, o, pannisko niedorośnięte.

– Cicho już, ciii – łagodził Chadko. – Bo cię krew zaleje.

– Jesteś mi winny stan – rzekła Gniewka. Opuściła nieco głowę, na jagody wyszły jej rumieńce, lecz dalej patrzyła staroście prosto w oczy, aż się odwrócił i mruknął coś złowroźbnie.

– Nic ci nie jestem winien.

– Przywilej bobrowy jest dziedziczny. Z braku innego potomstwa sąd przyznał go mnie.

Radosz prychnął.

– To mnie przed ten sąd postaw – powiedział i ruszył do drzwi.

Chadko próbował go zatrzymać.

– Ależ zmiłuj się, nie unoś, wszak prawo gościny, w taką noc byś kogoś chciał popędzić... – tłumaczył.

Radosz jednak nie słuchał. Chrząknął coś na odchodne i zniknął w gęstniejącej na zewnątrz mżawce.

Chadko stał jeszcze chwilę w drzwiach, przestępował z nogi na nogę, ręce zacierał. Wreszcie obrócił się i uśmiechnął do Gniewki jakoś tak spod nosa, z zażenowaniem.

– Nie miej mu za złe – powiedział. – Postrzał wszedł mu w nogę i, ot... Dlatego taki gniewliwy. Gościny oczywiście udzielim. Ino u nas ciasno w chałupie. Jeśli ci nie wadzi... w szopie...

Dziewczyna spłoszyła się nagle. Spuściła wzrok, a uniosła dłonie i zaczęła nimi machać.

– Mmm... – bąknęła.

– Zostało nam jeszcze trochę polewki. Kaszy się kapkę znajdzie i piwa... Piwo w taką pogodę najlepsze.

– Nie trzeba... pójdę... Czarnuszko sam...

Gniewka nie zdążyła się ruszyć, gdy za przepierzeniem znów się coś zakotłowało. Wypadła stamtąd trójka dzieciaków, a za nimi wyszła chuda, przedwcześnie postarzała kobiecina w małżeńskiej chuście – żona Chadki, jak się domyśliła dziewczyna. Kobieta bez słowa ujęła młódkę za ręce, posadziła przy ogniu i zaraz ustawiła obok paleniska garniec piwa.

Chadko przysiadł obok Gniewki na ławie, zabębnił kułakami o kolana. Popatrywał łakomie na trunek. W końcu, udając, że nie dostrzega piorunującego spojrzenia żony, wziął sobie czarękę.

– Trzeba poprobować, czy już ciepłe – wyjaśnił.

Gospodyni podała dziewczynie miskę kaszy gryczanej z bobem, szalwią i cieką okrasą.

Gniewka posilała się w milczeniu, powoli. Piła skromnie. Chadko tymczasem co rusz sprawdzał, czy piwo nie za ciepłe, nie za zimne, garniec przesuwał, mlaskał, ocierał usta. Poczzerwieniał od tej pracy na twarzy, spotniał, wzrok mu się zeszklił. Zasumał się czegoś.

– Te bobry... – rzekł zmętniałym głosem. – Te bobry jak nic wydusił wilkołak.

Chadkowa żona zeszywniała, przestała się krzątać przy dzieciach.

Kmieć wycelował w ziemię złożone w rogi palce, ulał nieco piwa – na ogień, znaczy dla Swaroga. Niebo i ziemię wzywał ku pomocy.

– Zeszłej zimy rozszarpał chłopaka – oświadczył, nadymając się przy tym z prześmieszoną powagą. – Tu blisko, w Redziszowie... A u nas...

Gospodyni syknęła głośno. W mgnieniu oka przypadła do męża i zaczęła okładać go po łbie ścierką.

– Co? Co? Już nie gadam! Przeca nie gadam!

Skrepowana Gniewka podniosła się gwałtownie, zahaczyła nogą o ławę, mało jej nie przewalając.

– Pójdę – powiedziała. – Czarnuszek sam...

I wysmyknęła się z izby.

W obejściu z niejakim zdziwieniem odkryła, że zapadła już czarna noc i siąpi deszcz. Przemknęła do szopy. W pachnącym zwierzętami mroku poczuła się bezpieczniej; Czarnuszek powitał ją radosnym rzeniem – jak drugiego konia. Podeszła do niego, wymacała ogromny łeb i wsparła czoło o ciepłe chrapy.

– Nie podoba mi się to – szepnęła.

Rumak sapnął i zaczął ciamkać jej włosy. Poczciwy był z niego zwierz, ale głupi, nawet jak na konia.

– Czemu tak kręca, co, Czarnuszek? Czego się ten dziad zapienił na mnie i zawziął? Żeremie wyglądało, jakby rozbiło je zwierzę, nie człowiek. Człowiek zdjąłby tamę, żeby spuścić wodę i odsłonić gon. A potem łapał po jednym wypływające w błoto bobry. Chyba że jest głupi i nic o łowieniu bobrów nie wie. Ale jeśli coś bobry wystraszyło i odeszły, to obowiązkiem kmiectów jest pomóc mi je znaleźć. Gdyby tylko pomogli, nie groziłaby im kara. Dlaczego więc zachowują się, jakby chcieli karę dostać? Sądzisz, że to dlatego, że jestem dziewczyna?

Czarnuszek, którego sprawki ludzi mało ciekawiły, zaczął się wiercić.

Gniewka przytrzymała go, poklepała po szyi. Potem zawahała się na chwilę i zapytała:

– Boisz się wilkołaków, Czarnuszek?

Koń w odpowiedzi uszczypał ją zębami w ucho. Może myślał, że to liść rzepy.

*

Gdy wreszcie usnęła – ukołysana pomrukami, sapnięciami i innymi zwierzęcymi odgłosami – przyszedł do niej ojciec. Ubrany był w koszulę i spodnie z niebarwionego lnu – znak żałoby – a na głowie miał wianek, dar dla Jutrzenki, aby go powiodła do Wyraju, gdzie zimują ptaki i Jezukryst panuje w złotym dworze. Grzmibor patrzył przed siebie niewidzącym

wzrokiem, przez pokryte bielmem źrenice, policzki zaś zapadły mu się i nabrały sinoróżowej barwy jak wtedy, gdy Gniewka czuwała przy jego złożonych na marach zwłokach, by nie wstąpił w nie zły duch.

Po tym właśnie poznała, że śni. Ojciec nigdy nie przyszedłby do niej w cielesnej postaci. Jego duch może krzątał się jeszcze po świecie i załatwiał różne sprawki, może czuwał nad nią jako domowik; ostatecznie było przed Dziadami. Ale ciało spoczęło w poświęconej ziemi, głową ku wschodowi słońca, i tak miało leżeć aż do końca świata.

W dniu pogrzebu pokłóciła się o to z ojcowymi towarzyszami. Byli to ludzie twardzi, ludzie łowów i otwartych przestrzeni. Nie leżało im ani nowe prawo, ani nowa wiara. Choć nie mówiło się o tym, kilku z nich za młodu uciekło z domów na Mazowsze, by dołączyć do powstania Miecława. Po dziś dzień zanosili ofiary starym bogom i odwiedzali żerców.

– Ciało powinno się spalić – tłumaczyli. – Co, jeśli powstanie jako upiór i duch twojego ojca zbłądzi w drodze do Wyraju?

– Upiorem, wilkołakiem czy innym odmieńcem może stać się tylko człek, który od urodzenia nosił w sercu dwie dusze – odparła wówczas Gniewka z wypiekami na twarzy, hardo spoglądając w oczy najstarszemu z nich, Boleborowi, który miał potem przejąć ojcowe gony. – Prawa dusza odchodzi, a nieprawą zostaje. Mój ojciec zawsze był prawy. Czuwałam przy jego ciele, aby nic go nie skalało. Odejdzie w pokoju.

– Ale umarł nagle... – mruknął Bolebor spod nastroszonych wąsisk.

– Może go kto oczarował przed śmiercią – dodał inny z bobrowników. – Nigdy nie wiesz. Ciało lepiej spalić. Bezpieczniej tak i słuszniej.

Gniewka nie ustąpiła. Kto dorastał w lesie, nie boi się czarów. Pochowała ojca i nie uroniła ani jednej łzy na pogrzebie. I tylko pusto jej się jakoś w piersi robiło na myśl, że nigdy już nie będą razem zapiekać orzechów w żarze ogniska gdzieś na łąkach nad Skawiną czy Siedlnicą, że nigdy już nie usłyszy opowiedzianej sto razy historii o tym, jak ojciec kopnął w dupę niedźwiedzia, myśląc, że to jeden z jego druhów, że nigdy już nie będzie się z niej podśmiewał, że strzela z łuku jak dziecko, choć oko miała celniejsze od niego, o czym dobrze wiedział.

– Kysz – powiedziała spokojnie do mary, która wyglądała jak Grzmibor, ale nim nie była. – Kysz, widziadło.

I się obudziła. Na zewnątrz, gdzieś niedaleko szopy, mruczał tęsknie lelek.

Gniewka wstała, bez powodzenia spróbowała przyklepać włosy, wytrzepała siano z portek i załomów koszuli.

– Już rano? – rzuciła w powietrze.

Czarnuszek parsknął w odpowiedzi; przez szpary w ścianach zaglądało słońce.

Dziewczyna wyciągnęła buty miękką słomą i wciągnęła je na stopy. Następnie uchyliła drzwi, by wyrzucić w obejście.

Oho, kłopoty, pomyślała.

Na jej widok z ławy pod domem Chadki podniósł się nie kto inny jak starosta Radosz.

*

Nie była pewna, czy powinna im ufać. Tatko, który wielce się lubował w przysłowia, zawsze powtarzał: „Umiesz liczyć, licz na siebie”.

Niemniej starosta brzmiał szczerze, gdy stanąwszy przed nią, burknął niezgrabnie, z zakłopotaniem:

– Chyba ci jestem winny przeprosiny, co?

– No... nie trzeba – wydusiła gdzieś z pępka, patrząc w ziemię.

Radosz chrząknął, odgarnął strąki włosów z tłustego czoła.

– Na deszcz zawsze mnie łupie w kościach. Drażliwy się robię – rzekł.

Na chwilę zapadła cisza. Gniewka podrapała się po karku.

– Więc... z przewozem...

– Wezmę synów i sami pomożemy ci szukać tych bobrów. Może być? Jest takie jedno miejsce, o pół dnia drogi stąd, może nieco dalej. Na bagnach. Bobry kryją się na bagnach, gdy je coś spłoszy, czy nie tak?

– No tak.

Starosta przyglądał się chwilę dziewczynie, jakby oczekiwał, że powie coś więcej. Nie doczekawszy się, rzekł:

– Każę obrok spakować dla twojego konia. I jadło dla nas. Po ćmie lepiej na bagna nie wchodzić, więc zdałoby się ruszać szparko, bez zwłoki.

Tym sposobem znaleźli się w starszej części lasu, na bezdrożnych uroczyskach, gdzie z ojcem zapuszczała się rzadko. Było ich w sumie czworo, gdyż Radoszowi towarzyszyło dwóch synów. Jeden był wysoki, żyłasty i miał głowę niczym źle uformowany dzban. Drugi jednak, starszy, okazał się przystojnym mężczyzną o byczym karku, szerokich barach

i pięknych złotych kędziorach. Uśmiechał się często i zaczepiał Gniewkę, jakby była jego młodszą siostrą.

Dziewczynie się to nie podobało. Przywykła do tego, że mężczyźni zachowują się przy niej szorstko.

Nie bała się. Przy siodle wiozła ciężką pałkę okutą żelazem i topór o szerokim ostrzu i długim stylisku, który – jeśli wierzyć opowieściom – przywędrował gdzieś z za morza wraz z ruskimi wojami kniazia Jarosława. Ojciec wojował trochę w młodzieńczych latach. Nie lubił o tym gadać; twarz mu mroczniała i wściekał się strasznie, na zimno, ilekroć go pytała, ilu ludzi zabił. Niemniej od najmłodszych lat uczył ją, jak się bić.

„Jeśli chłop jaki spróbuje cię kiedyś nastraszyć, to bykiem go w nos albo w brew – tłumaczył jej, gdy miała pięć lat. – Człek głupieje, jak własną juchę zobaczy. Zwłaszcza jeśli nie był na wojnie”.

Gniewka była dużą dziewczyną. Mogła się zdawać niezgrabna, ale ciało miała gibkie, twarde, zahartowane. Ufała w siłę swoich ramion i nóg, nieraz wypróbowała ją na polowaniach. Podchodziła z ojcem i wilka, i niedźwiedzia, i nawet dzika, który niedoświadczonemu myśliwcowi może się wydawać niegroźny, lecz niejednemu już wypruł bebechy. Teraz zaś otaczali ją zwykli kmiecie.

„Są dwa rodzaje ludzi – mawiał jej tatko. – Ludzie leśni i ludzie polni. W uczciwej walce leśny człek zawsze zwycięży. Bo leśny człek wie, co jest co. Jak my”.

Nie bała się więc i może to był błąd. Choć tak naprawdę w kłopoty wpakowała się przez bobry.

Weszli właśnie w połąć olsu wciśniętą między dwa niewysokie, obsypane gnijącym listowiem wzgórki. Po ich lewej ręce woda stała długim jęzorem poprzetykanym wysepkami, na których rosły pojedyncze olsze. Po prawej zaczynały się trzęsawiska, wielkie kałuże głębokiego błota przesłonięte kępami leszczyny, paproci i pokrzyw. Na jednym ze wzniesień, między drzewami, czerniały starodawne resztki plemiennego gródka.

Gniewce zdało się, że Radosz i młodszy z jego synów, ten z głową jak dzban, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Maszerowali obaj u lewego boku Czarnuszki, od strony wody. Starszy syn trzymał się po stronie przeciwnej i uśmiechał ciągle do dziewczyny, od czasu do czasu zahaczając palec o jej prawe strzemię.

Coś plusnęło.

– Oho – powiedział starszy Radoszowic. – Jak nic bober.

Gniewka nie była wcale przekonana. Zaraz jednak dostrzegła świeżo ogryzione leszczynowe pędy, a potem pień obrobiony do żywego łyka. Zawahała się. Poprowadziła wierzchowca tak, aby wszystkich trzech kmiociów mieć z jednej strony, niepostrzeżenie sprawdziła, czy okuta pałka łatwo wychodzi z pętli przy siodle, po czym zeskoczyła na ziemię, by obejrzeć tropy.

Radosz tymczasem stanął z boku i zdawał się zupełnie nieciekaw, co robi dziewczyna. Krzywił się, sapał, ścierał z gęby tłusty pot. Po minionej słocie zrobiło się parno.

Radoszowice odwrócili się ku wodzie. Gadali coś; starszy docinał młodszemu, który burczał tylko w odpowiedzi i powłóczył nogami. Mieli przy sobie broń: żelazne siekierki i noże. Starszy wziął też z domu łuk.

– Może się ładny cietrzew trafi – tłumaczył.

Obaj jednak trzymali ręce przy sobie, jeden skrzyżowane na szerokiej piersi, drugi spuszczone niezgrabnie wzdłuż boków.

Ruszyli dalej i wkrótce natrafili na kolejne ślady bytowania bobrów, a Gniewka odczuła osobliwy ciężar w żołądku. Ogarnęła ją jakaś niecierpliwość. Rozglądała się, popędzała Czarnuszkę, wirowała jak bąk.

Coś plusnęło znowu.

I wtedy ta kula w żołądku nagle się rozplynęła, bo oczom dziewczyny ukazała się jak gdyby strzałka odcisnięta na tafli mętnej wody. To bóbr płynął, wynurzając sam czubeczek czarnej głowy.

Gniewka ześliznęła się z grzbietu wierzchowca, niemal bezszelestnie zbiegła na skraj rozlewiska. Już miała rzucić przez ramię, że teraz wystarczy iść za bobrem – jeno z dala, aby go nie spłoszyć – a znajdzie się gon, kiedy kątem oka dostrzegła, jak Radosz popycha młodszego syna w jej kierunku. Zmysł łowcy jej nie zawiódł: zwęszyła groźbę. Młodzian pognął ku niej nieporadnie, z zabawnie wyciągniętymi przed siebie rękami. Spięła się. Wybiła z pięt. Nim zdążył ją chwycić, grzmotnęła go bykiem w nos, dokładnie jak tatko uczyli.

Radoszowic kwęknął, zatoczył się w tył. Wówczas wyłonił się zza niego Radosz – zmieniony na twarzy, purpurowy, ze śliną w kącikach ust. Gniewka bez namysłu grzmotnęła go pięścią w brzuch, aż się złożył. Nie oglądała się, w dwóch susach dotarła do Czarnuszki, szarpnęła przytroczoną do siodła pałkę.

I wtedy wszystko poszło nie tak. Koń zakwilił, wierzgnął przednimi nogami. Byłby puścił się cwałem przed siebie, lecz coś przytrzymało go za

siodło, tak że zatoczył łuk. Obalił Gniewkę; pałka wysmyknęła jej się z palców. Rzucił się prosto w trzęsawisko.

Dziewczyna momentalnie zapomniała o kmieciach, o broni. Orząc ziemię palcami, rzuciła się za Czarnuszką, choć wiedziała, że go nie dogna.

– Stój, głupi! – wrzasnęła. – Nie tam! Nie tam!

Jakiś ciężar zwałił jej się na plecy. Coś mokrego, gorącego skapnęło Gniewce na kark. Potem przyszedł cios w tył głowy. Pociemniało jej w oczach. Dech ugrzązł w piersi.

Trwało to ledwie uderzenie serca. Ale już czuła, jak ktoś krępuje jej ramiona postronkiem. W uszach jej huczało. Czarnuszko zawodził rozpaczliwie, miotał się w błocie, pogrążał coraz bardziej, parł, głupi, parł dalej, w głębinę.

Gniewka zaczęła krzyczeć.

Tego również nauczył ją ojciec.

„Jak już nic innego ci nie zostaje, krzycz. Nie wstydz się. Wrzeszcz, choćbyś miała płuca rozedrzyć. Ludzie boją się krzyku. Krzyk to zew. Kniaziowskie prawo zobowiązuje na każde wezwanie ruszać z pomocą. Jeśli kogo zabiją w odległości krzyku od twego domostwa, a ty nawet nosa za okiennicę nie wyściubisz, pod sąd cię postawią, jakbyś sama była winna czyjejś śmierci”.

I rzeczywiście młodszy Radoszowic, który z gębą zlaną juchą próbował Gniewkę związać, odskoczył jak oparzony. Nim jednak dziewczyna zdążyła się podnieść, z postronka wyplątać, nadszedł brat tamtego, przydepnął jej kark. W dłoniach trzymał topór – nie własną śmieszoną siekierkę, lecz długi rusiński topór Grzmibora.

Do Gniewki dotarło, że to on spłoszył Czarnuszkę, pociągnął go na bagno.

– Zabiję cię – wydusiła, wypluwając błoto.

Wówczas przypadł do niej Radosz. Dociągnął węzły, które jego nieporadny syn pozostawił ledwie zmotane, a następnie chwycił dziewczynę za włosy i postawił na nogi. Wyglądał strasznie. Na prawym policzku wykwitła mu pajęczyna pękniętych żyłek przypominająca siną błyskawicę. Zęby szczyrzył jak zwierzę.

– Suka! – warknął i trzasnął ją wierzchem dłoni w twarz. – W nasze sprawy się pchasz? W nasze? Za naszym wężysz?

– Nic od was nie chcę! – krzyknęła. – Wyciągnijcie go tylko!

Nie słuchali. Powlekli ją do najbliższego drzewa i przywiązali do pnia. Potem starosta odszukał porzuconą przez Gniewkę pałkę i cisnął ją w grzędawisko, niedaleko biednego Czarnuszki, który przestał się wreszcie miotać – za późno – i stał tylko z wytrzeszczonymi oczami, położonymi uszami i pochrapywał cicho, żałośliwie.

– Masz, suko, nauczkę – sapnął Radosz. Uspokoił się już nieco i krew odeszła mu z twarzy, ale dyszał ciężko i coś grało mu w płucach. – Nie rób min, nie tkniemy cię. Natnę ci zaraz więzy. Poszarpiesz się trochę i będziesz wolna. A później wrócisz grzecznie do domu i więcej się tu nie pokażesz. Rozumiesz?

– Wyciągnijcie go – powtórzyła tylko. Jej głos brzmiał głucho.

Starosta nie odpowiedział. Klepnął młodszego syna w ramię i razem ruszyli w kierunku wsi.

Starszy został z tyłu. Płazem Grzmiborowego topora uniósł głowę dziewczyny.

– Na pamiątkę sobie wezmę – powiedział. – Co? Tylko się, mała, nie mazgaj. I bez tego jesteś brzydka. Jak się jeszcze zaczniesz mazgaić, to żaden chłop cię nie zechce.

Odeszli.

Gniewka stała przez chwilę bez ruchu i oddychała głęboko, bo coś się w niej gotowało, a nie chciała, żeby zaczęło kipieć. Potem spięła mięśnie. Szarpnęła. Postronek wpił jej się w ramiona. Szarpnęła ponownie. Buty tonęły w mchu, który kląskał nieprzyjemnie.

Tylko spokojnie.

Rozstawiła szerzej nogi, zapała się. Nie szarpała już, tylko coraz mocniej i mocniej napinała krępujący ją sznur. Aż puścił. Fiknęła koziołka, zerwała się na nogi. Gdyby chciała, mogłaby pognać jeszcze za Radoszem i jego synami, rozgnieść ich wstrętne mordy na miazgę.

Ale musiała ratować Czarnuszkę.

Podbiegła na skraj trzęsawiska. Spośród stratowanych przez konia paproci wyzierała czarna breja.

To tylko błoto, powiedziała sobie Gniewka. Jestem lżejsza niż on.

Postąpiła krok naprzód, a but momentalnie zapadł jej się po kostkę. Straciła równowagę. Klapnęła na tyłek i z całych sił pociągnęła nogę ku sobie. Błoto nie puściło; puściły kościane guzy spinające cholewki.

Dziewczyna z niedowierzaniem popatrzyła na ugrzęzły but. Nie miała jednak czasu się nad nim biedzić. Czarnuszko najwyraźniej zwęszył ją lub

usłyszał, gdyż zaczął się miotać. Prychał, młócił breję mocarnymi nogami; przez chwilę wyglądało, że zdoła się obrócić. Ale tylko głębiej się zapadał.

– Przestań, głupi! – wrzasnęła Gniewka. – Nie ruszaj się! Zaraz coś wymyślę!

Spłoszony wierzchowiec nie słuchał. Chrapał coraz głośniejsze i głośniejsze, rozpaczliwie. Wykręcał szyję, aby obrócić wybałuszone ślepię na swą panią. Tonął. Wciąż tonął.

*

– Nie ruszaj się!

Gniewka zamarła. Nie miała pojęcia, kto to wołał ani skąd. Głos był męski, ale wysoki, dziwnie melodyjny. Może tylko jej się zdawało, byłaby jednak gotowa przysiąc, że pod jego wpływem struchlała cała puszcza. Ptaki przestały się awanturować. Stało się powietrze. Liść nigdzie nie spadł, konar nie skrzywnął.

Przestał się też miotać Czarnuszko.

Trwało to uderzenie serca, może dwa. Potem spośród kępy rosnących na rozlewisku olsz wyłoniła się jakaś postać: drobny, smukły mężczyzna – prawie chłopiec – w znoszonych portkach i kabacie, i płaszczu zszytym z wełny i kawałków skór, spiętym kością. Podbiegł do Gniewki.

– Wybacz – wydyszał. – Chciałem ci pomóc, ale się bałem.

Wydawał się jakoś kruchy. Kiedy się na niego patrzyło, nie widziało się twarzy, lecz parę wielkich błękitnych oczu. Pierś miał wątłą, ramiona chude.

Dziewczyna nie wierzyła, aby jego pomoc na cokolwiek jej się zdała.

Spuściła wzrok. Myślała jej się ciężko i po tym poznała, że się boi.

– Przeszkadzasz mi... – bąknęła.

Następnie obróciła się na pięcie i poszła pozbierać kawałki powrozu, którym ją skrupowano, aby związać je w linę.

Młodzieniec gapił się chwilę, lecz zaraz ruszył za nią.

– Przepraszam – powiedział. – Daj, pomogę. Co chcesz zrobić?

– Jeszcze nie wiem.

– Tam, gdzie stoi – nieznajomy wskazał palcem Czarnuszkę – nie jest jeszcze głęboko. Nie zanurzy się powyżej brzucha, a przynajmniej nie sądzę. Ale jeśli będzie próbował brnąć dalej... no, to...

Gniewka sprawdziła ostatni węzeł – dwie płaskie pętle naciskające na siebie nawzajem, gdy powróż się napinał. Ojciec nauczył ją, że tak jest najszybciej i najpewniej związać zerwaną linę.

Obejrzała się ku trzęsawisku. Koń stał dalej z położonymi uszami i wytrzeszczonymi oczami. Nie zapadał się. Przynajmniej na razie.

– Skąd wiesz? – zapytała cicho dziewczyna.

– Znam ten las. Te błota to tak naprawdę wielkie kałuże, długie na dwadzieścia, trzydzieści, czasem i pięćdziesiąt łokci, ale szerokie najwyżej na pięć czy dziesięć. Widzisz, po deszczu woda spływa strugami ze wzgórza. Najwięcej gromadzi się u podstawy, dalej jednak grunt znowu odrobinę się wznosi. Dlatego tu, gdzie stoimy, ziemia jest sucha. No, suchawa.

Gniewka poczuła zaskakujący tumult w piersi. Łypnęła na młodzieńca, myśląc: on jest jak my, jak tatko i ja. Zaraz jednak spuściła znowu wzrok. Milczała chwilę, popatrując jedynie od czasu do czasu na Czarnuszkę.

– Czyli musimy go obrócić – mruknęła wreszcie.

– Co? – zdziwił się młodzian.

Gniewka nie odpowiedziała. Biegła już z powrotem ku trzęsawisku. Zagłębiła się w paprocie, macając ostrożnie bosą stopą, sprawdzając, gdzie błoto jest głębsze, a gdzie ziemię wiąże mech.

Koń, usłyszawszy ją, zaczął znowu kręcić głową, lecz znieruchomiał, gdy tylko nieznamy zawołał:

– Spokojnie, kochany! Spokojnie, piękny! Już po ciebie idziemy.

Gniewka przeszła kawałek wzdłuż bagniska i powoli, powolutku zdołała się zbliżyć do Czarnuszki na odległość jakichś trzech, czterech łokci. Wciąż za daleko, aby go sięgnąć.

Za plecami usłyszała szelest, wyczuła obecność młodzieńca.

– Masz – burknęła, wręczając mu jeden koniec liny. – Spróbuj go okrążyć.

– Będzie za krótko.

– Nie będzie.

Zaklinanie na niewiele się zdało. Powrozu starczyło tylko na tyle, aby młodzieniec, cofając się wzdłuż skraju trzęsawiska, wrócił na suchy pas ziemi, którym wcześniej dotarli tu Gniewka i towarzyszący jej kmiecie.

– Co teraz?

Dziewczyna nie dała się zbić z tropu.

– Oddaj linę i idź na drugą stronę – poleciła. – Postaraj się stanąć dokładnie naprzeciwko mnie.

Podczas gdy młodzian posłusznie okrążał bagnisko, Gniewka znalazła gruby kawałek drewna, przywiązała go do końca liny i przerzuciła ponad połącią błota. Płasnął mokro w pokrzywy.

– Masz? – zawołała dziewczyna.

– Mam.

– Dobra, to trzymaj, tylko mocno. Nie puszczaj.

Gniewka ostrożnie naprężyła linę, a następnie spróbowała ściągnąć ją tak, aby zahaczyła się pod prawą łopatką Czarnuszki.

– Chodź, niemoto – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Obróć się w moją stronę.

Wierzchowiec posłuchał. Przechylił się na lewo i próbował okręcić wokół własnej osi, a tymczasem Gniewka z całych sił ciągnęła za powróż.

– Nie tak mocno! – zawołał młodzieniec z przeciwnej strony trzęsawiska. – Nie utrzymam!

Niemal w tym samym momencie lina ześliznęła się po łopatce konia.

Gniewka zaklęła. Zasapała się, a zlepione potem włosy włożyły jej do oczu.

– Jeszcze raz! – odkrzyknęła.

Musieli takich podejść wykonać kilka, w końcu jednak udało im się obrócić Czarnuszkę tak, że stał w poprzek bagna. Teraz nie groziło mu przynajmniej, że, jeśli znowu zacznie się miotać, wlezie w głęboczną, a od twardszego gruntu dzieliło go zaledwie kilka łokci. Ale walka z lepką breją go zmęczyła. Drżał cały, robił bokami; nad czarną sierścią wiły się smuzki pary.

– Chodź do mnie! – zawołała Gniewka do swojego niespodziewanego pomocnika. – Linę puść. Ściągnę.

Młodzian po chwili zjawił się u jej boku.

– A teraz co? – zapytał.

Dziewczyna zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do Czarnuszki.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę, co, matołku? Weźmiemy cię pod zad i pociągniemy w stronę brzegu. Powolutku. Spróbuj wyciągnąć przednie kopyta. Pomożesz nam.

Ponownie wręczyła jeden koniec powrozu swemu towarzyszowi, wychyliła się mocno nad trzęsawisko i łukiem przerzuciła linę nad końskim zadem.

Tym razem pociągnęli we dwójkę. Czarnuszek zachrapał, zarzucił łbem. W pierwszej chwili nie chciał się ruszyć, lecz gdy kilka razy szarpnął, zaczął przebierać przednimi nogami, zadzierać pierś.

Ruszyli go może o długość dłoni, kiedy lina pękła.

Gniewka i jej pomocnik runęli w paprocie.

– Za mocno trzyma – sapnął młodzieniec.

Dziewczyna bez słowa związała pęknięty powróż i przerzuciła go znowu nad zadem Czarnuszki. Spróbowali raz jeszcze.

Koń się miotał, błoto mlaskało, syczało. Ale postępy były marne. Ściągnęli nieboraka może o łokieć w stronę suchszego gruntu.

– Musisz uwolnić kopyta – warknęła Gniewka. – Słyszysz, dumny? Chodź tu!

Dziewczyna ściągnęła lewy but i sama wlaźła w błoto.

– Co robisz?! – wykrzyknął jej towarzysz.

Zignorowała go. Ugrzęzła po kolana, mogła teraz jednak dosięgnąć popręgu Czarnuszki. Chwyciła gruby pas skóry lewą ręką, podczas gdy prawą napięła sobie powróż na barku.

– Ciągnij! – syknęła do młodzieńca. I nie czekając na jego reakcję, szarpnęła mocno naraz za linę i popręg. – Ciągnij! Jeszcze trochę! No, Czarnuszek. No!

Koń parsknął. Wychylił się w stronę brzegu. Gniewka szarpnęła raz jeszcze. Czuła, jak napina jej się grzbiet, żyły wychodzą na szyi. Poczerwieniała na twarzy.

Rozległo się donośne, lepkie, przeciągłe mlaśnięcie. I nagle Czarnuszek szorował już przednimi kopytami po suchej ziemi. Wyrwał się naprzód, jakby chciał biec, ale czart jakiś trzymał go za ogon. Jego zad wyłonił się z błota z soczystym pierdnięciem. Koń kicnął przed siebie niczym zając. Wypadł na otwartą przestrzeń i tam uwalnił się na bok.

Gniewka parsknęła śmiechem. Czuła się, jakby mogła góry przenosić. Bez trudu wyrwała się z objęć trzęsawiska. Podbiegła do wierzchowca, który już gramolił się z powrotem na nogi, i objęła go za szyję. Czarnuszek trochę się boczył, jakby nie wiedział, o co cała burda, a trochę zipał, jakby pół dnia spędził w galopie.

Młodzieniec zbliżył się do obojga niespiesznym krokiem, z delikatnym uśmiechem na ustach skrytych w cieniu rzadkiej, złotej bródki.

Gniewce wydał się w tej chwili najpiękniejszym człowiekiem na ziemi.

– Ściemnia się – rzekł nieśmiało, popatrując ku niebu. – Za późno już, by wracać do wsi. Zresztą... Mam niedaleko szałas. Możemy rozpalić ogień. Przyda się wam odpoczynek.

Dziewczyna wypuściła Czarnuszkę z objęć. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, splotła je na wysokości brzucha. Zawahała się, ale jakiś głos dziwnie podobny do głosu ojca szeptał jej na ucho: to jest leśne stworzenie.

Kiwnęła więc głową. I zapatrzyła się na ciemniejące obłoki.

Młodzieniec uśmiechnął się szerzej.

– Nazywam się Rusłan – oświadczył.

*

Rusłana porwały boginki.

Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej była tego pewna. Wiedziała, że są na świecie tacy ludzie, choć tylko raz widziała jednego z nich na własne oczy. Mówiło się, że są to ci, którzy, w dzieciństwie wykradzeni matkom, mieli szansę za życia ujrzeć cuda Nawii, krainy umarłych. Wracając, przynosili ze sobą odrobinę magii i całą górę smutku. Niektórzy zaczynali wieszczyć, inni gadali ze zwierzętami, jeszcze inni gapili się tylko w gwiazdy. Umierali zwykle młodo. Z rozpacz.

Przyglądając się Rusłanowi spod ciężkich powiek – w chmurze senności, która zmotowała jej myśli, w ciepłe, przy ogniu, wśród swojskiego zapachu ziół, lasu i jego niezliczonych głosów, szmerów, szeptów, pomruków – Gniewka mówiła sobie: jego prawie tam nie ma. Gdybym wzięła go w ramiona i utuliła, rozpląnąłby się na wietrze.

I wstydziała się zaraz tych myśli, i podpierała opadającą na pierś głowę, i spoglądała ku Czarnuszcze. Koń prychnął przed szałasem, skubiąc zębami zaschnięte błocko, którego nie zdążyła z niego zetrzeć, bo dopadło ją znużenie po przeżytej przygodzie.

Sen naszedł Gniewkę niespodzianie. W jednej chwili obiecywała sobie, że zaraz wstanie, by doszorować wierzchowca, w następnej budził ją już deszcz lekki i cichy, poranny.

Rusłana nie było w szałasie.

Dziewczyna podpełzła do wyjścia, odetchnęła głęboko. Powietrze pachniało słodko: świeżo zmytym lasem i mokrym runem. Trzymał jeszcze nocny chłodek, choć powoli robiło się ciepło.

Uszu dziewczyny dobiegło parsknięcie. Rozejrzawszy się, zobaczyła Czarnuszkę, który stał pod płachtą rozpiętą pomiędzy drzewem a dwoma tykami i drzemał na stojąco, ze spuszczoną głową.

– Wyłaź! – zawołała do niego. – Deszczem się splucz.

Sama bynajmniej nie kwapiła się opuszczać schronienia. Czuła się jeszcze rozgrzana snem, a trzymający się jej zapaszek – woń szlamu i zaschniętego potu – nie był wcale gorszy od tego, do czego przywykła, spędzając z ojcem i jego towarzyszami całe tygodnie w głuchej puszczy. Czyściochą nikt by jej nie nazwał.

Wtem pojawił się Rusłan. Przystanął na skraju polany.

– Niedaleko stąd jest strumień, co wpada do Skawiny – odezwał się. – Jakbyś chciała się obmyć... Woda tam czysta, nie to, co na moczarach. Wystawiłem też garniec, żeby złapać trochę deszczówki.

Gniewka mruknęła coś niezrozumiale, z pępka.

– Znalazłem twój but! – podjął młodzian, unosząc radośnie zdobycz.

Dziewczyna wyszła z szałasu.

– Do strumienia nie ma co chadzać... – wymruczała, odbierając zgubione obuwie. – Deszcz zmyje...

Reszta zdania rozmyśla się w pogwarze dżdżu. Gniewka wyciągnęła Czarnuszkę spod płachty i zaczęła go prowadzić wkoło polany, mierzwiąc mu dłońmi sierść na bokach, udach, pęcinach. Dopiero teraz zauważyła drobne skaleczenia i szerokie otarcie pod prawą łopatką wierzchowca.

Rusłan po krótkim wahaniu podreptał jej śladem.

– Zadarłaś z nie byle kim – powiedział. – Bożyn to przygłupek, ale Jarosz ma ciężkie pięści i podłe usposobienie. Choć potrafi być czarujący; baby za nim latają. A stary... – Młodzieniec wzruszył ramionami. – Stary to stary.

Imiona nic Gniewce nie mówiły, lecz nietrudno było się domyślić, że chodzi o Radosza i jego dwóch synów.

– Znasz ich? – zapytała.

– No. – Rusłan się skrzywił. – Znam.

– Wiedzą, że tu bywasz?

– Pewnie, że nie. Gdyby wiedzieli, w życiu by cię tu nie przywiedli.

– Czemu?

Młodzieniec spojrział gdzieś w bok, jakby pośród drobniutkiego deszczu dojrzał nagle coś niezwykle zajmującego.

Dziewczyna postanowiła nie naciskać. Przez chwilę trawiła słowa Rusłana w milczeniu, dalej prowadząc Czarnuszkę wokół polany. Koń wyglądał jak nastroszony kurak, ale przynajmniej oczyściła mu sierść z najgorszych grud błota. Deszcz rzedł; słońce zaglądało przez gałęzie na uroczysko, przyoblekając drzewa w tężowe odbłaski.

– Jesteś z Kuroseków?

– Byłem.

– Przegnali cię? Za co?

Rusłan nie odpowiedział od razu. Popatrywał na towarzyszkę i zdawał się bić z myślami.

– Wiem o czymś, co zrobił stary... – rzekł w końcu. – Bali się, że wypaplam. Zresztą...

Gniewka potaknęła i nagle myśl wpadła jej do głowy, jakby pchnięta cudzym palcem.

– Długo mieszkasz tutaj, na uroczyskach?

– Będzie z kilka miesięcy. Od zimy.

– Od zimy...

Myśl nie chciała się odczepić. Chadko powiedział jej... Chadko powiedział jej, że zimą wilkołak rozszarpał chłopaka z sąsiedniej wioski.

– Oczywiście nie odważyliby się wyrządzić ci dużej krzywdy – odezwał się Rusłan. – Tutaj, w opolu, są ktoś. Tutaj mogą zrobić z człowiekiem, co im się podoba. No, prawie. Ale ty... Wiem, kto jesteś. Grzmiborowa córka, zgadza się? Z panem Grzmiborem nie zadrą, bo zadrzeć z panem Grzmiborem to jakby do oczu skoczyć samemu kniaziowi Kazimierzowi.

– Próbowali zabić Czarnuszkę – zauważyła Gniewka, skinąwszy w stronę rumaka.

– Ano – zgodził się młodzian. – Hardzi są, bez dwóch zdań. Że im kara nie straszna... Może myśleli jakoś się wyłgać. Ale teraz wrócisz do ojca i wyłuszczysz mu dokładnie, jak było, co? A pan Grzmibor im wszystkich czartów na łeb ściągnie, dobrze mówię?

Dziewczyna spochmurniała.

– Przypilnuj go chwilę – burknęła, popychając Czarnuszkę ku Rusłanowi.

Następnie wróciła do szałasu, by zajrzeć do juków. Skórzane sakwy były dobrze nałojowane, ich zawartość przetrwała więc przygodę na bagnach w nie najgorszym stanie. Gniewka wyciągnęła zapasową koszulę,

obwąchała ją, chrząknęła sama do siebie na zgodę, potem wzięła jeszcze opończę i trochę lnianych szmat, i wyszła ponownie na zewnątrz.

– Ten twój strumień to gdzie?

– Prosto za tym poskręcany grabem. Ścieżka jest, często tam chadzam. Nie przegapisz. – Rusłan zawahał się na mgnienie oka, po czym wskazał Czarnuszkę. – Co właściwie mam z nim zrobić?

– Obroku mu daj. Boki natrzyj – odparła dziewczyna i ruszyła ku ścieżce. Przystanęła jednak po kilku krokach. – No, tylko... – bąknęła, trochę do chłopaka, trochę do pobliskiego pnia. – Nie idź za mną, nie?

Rusłan roześmiał się z zażenowaniem.

Gniewka zakłęła pod nosem, minęła poskręcany grab i zniknęła między drzewami.

*

Choć deszcz ustał ze szczeniem, a słońce śmiało już zaglądało do puszczy, poranek nadal był chłodny, woda w strumieniu – lodowata. Gniewka się tym nie przejmowała. „Nas się, córcia, zimno nie ima, bo mamy słuszną podskórkę” – zwykł żartować tatko. Nie chodziło jednak wyłącznie o to. Córkę Grzmibora, panią bobrową nadskawińskich lasów, rozgrzewał gniew.

Przyszedł spóźniony, ale uderzył niby młotem. Dziewczyna z wypiekami na twarzy szorowała ubrania, myła się i wycierała szorstkimi szmatami. Tarła tak mocno, że poczerwieniały jej dłonie i ramiona. Jednocześnie zaś w głowie pędziły myśli o rozprawie i zemście.

A potem wyszła na brzeg i cała ta burza uczuć ustała. Bo uszu Gniewki doszedł charakterystyczny dźwięk – krótkie kłaśnięcie, po którym coś zaszurgotało wśród przybrzeżnej pokrzywy. Przywarowała – naga. Po krótkiej chwili z zarośli, w odległości nie więcej niż trzech czy czterech kroków, wyłonił się bóbr. Czarny, na oko dwuroczniak. Jakby nigdy nic, kołysząc się z boku na bok, powędrował w stronę szałasów Rusłana.

Gniewka przekrzywiła głowę.

– Nic się go nie boją – szepnęła sama do siebie.

Marszcząc czoło, dumiała przez kilka uderzeń serca, po czym rzekła:

– Uciekły od ludzi. Do niego.

Zmarszczka na czole dziewczyny jeszcze się pogłębiła. Nic się tu nie zgadzało.

Gniewka podniosła się powoli, cichutko. Narzuciła na siebie zapasową koszulę, zawięła się szczelnie opończą, a następnie pozbierała mokre rzeczy i ruszyła ścieżką. Rozglądała się za bobrem, lecz więcej go już nie ujrzała.

Rusłana zastała przed szalasem. Wyglądało na to, że nakarmił Czarnuszkę i biedził się właśnie nad tym, żeby rozdmuchać żar w otwartym palenisku na polanie.

– Tam w środku strach palić duży ogień – wyjaśnił. – Ale tutaj będziesz mogła rozwiesić rzeczy i zaraz wyschną.

Gniewka nie słuchała. Przysiadła na mchu, nie bacząc na to, że białe łydki i kolana wyłażą jej spod opończy.

– Grzmibor nie żyje – powiedziała.

Rusłan wytrzeszczył oczy. Otworzył usta, zamknął. Nie rzekł nic.

– Ja tu jestem teraz pan bobrowy i do mnie należy mir kniaziowski chronić – podjęła dziewczyna. – Dopilnuję, żeby starostę Radosza spotkała kara.

– Jak?

– Z twoją pomocą.

– Z moją... Zaraz!

Młodzieniec cofnął się od ognia. Wyglądał jak spłoszona łania.

Gniewka wychyliła się ku niemu.

– Zimą wydarzyło się tu coś, co przepłoszyło bobry – powiedziała. – A ty wiesz co. Pojedziesz więc ze mną do Tyńca i razem przedstawimy sprawę grodzierzcy.

– Poczekaj. Nie mogę nigdzie jechać. Zresztą... Ja nie wiem... Ja wcale nic nie wiem...

– Nie tak dawno twierdziłeś, że wiesz o czymś, czego dopuścił się starosta. Chadko z Kuroseków powiedział mi, że zimą zginął tu jakiś chłopak. Poza tym... Poza tym bobry uciekły do ciebie.

– Bobry uciekły... – Rusłan wstał i odsunął się o dwa kroki, jakby się bał, że go Gniewka oparzy. – Co ty wygadujesz?

Dziewczyna również podniosła się z ziemi. Opończa zsunęła jej się z ramion, nie zważała jednak na to. Stała w samej koszuli, z poczerwieniałymi policzkami i rękami wspartymi na biodrach, i czuła się duża, i silna, i gniewna.

– Wygnali cię na śmierć, prawda? – wyrzuciła z siebie. – Sądziłeś, że nie przetrwasz zimy.

– W starym gródku są ziemianki... Torf do palenia...

– Nieważne. Polny człek ma marne szanse przetrzymać mrozy w lesie. Czarnuszkę zamierzali zostawić na śmierć i ciebie tak samo. Mylę się? Nie chcesz, żeby spotkała ich kara? Żeby ktoś się na nich pomścił, za ciebie? Nie dlatego mnie dopytywałeś o ojca? Ale ojciec nie żyje, nie pomoże nam. Musimy się pomścić sami. Możemy się pomścić sami. Chyba że się ich boisz.

– Nie boję się ich. Boję się... – Rusłan urwał.

– Czego? – ponagliła go Gniewka. – Gadać na swoich krajan? Tych, którzy przegnali cię na śmierć, żeby zamknąć ci gębę? Co takiego zrobił Radosz? Co takiego zrobił, że aż przepłoszył bobry, choć gony miały daleko od wioski?

Twarz młodzieńca pociemniała. Na chwilę zagościł na niej wyraz, którego Gniewka nie potrafiła odczytać. Uznała jednak, że przycisnęła go dosyć, że jej ostatnie słowa pchną go w prawo albo w lewo, że albo przepędzi ją precz, albo ulęknie się jak krowa i da poprowadzić, gdzie się dziewczynie będzie podobało.

Rusłan tymczasem pokręcił tylko głową, spuścił wzrok.

– Przecież to z bobrami nie ma nic wspólnego – rzekł cicho. – Jak starego wezwiesz na sąd, to całe opole stanie za nim. A wówczas wszyscy będą musieli zapłacić karę. I mnie będą winić, że przeciw nim zeznałem.

– Jeśli to nie ma nic wspólnego z bobrami, to czemu chciałeś, żebym tu ściągnęła ojca?

– Pan Grzmibor jest ktoś. Znaczy... był. Stary drzał przed nim jak przed bogami. A ty... nie obraż się, ale ty jesteś tylko...

Gniewka poczuła, jak schodzi z niej powietrze. Usiadła z powrotem przy ogniu, zapatrzyła się w ziemię.

Milczała.

*

Wiedziała, że nic z tego nie będzie, ale spróbować musiała. Gniew siedział jej na żołądku jak coś zimnego i oślizłego. Czasami robiło się jej od niego mdło. Wywiedli ją w pole. Ukradli ojcowy topór. Próbowali zabić Czarnuszkę.

Co najgorsze jednak, wzbudzili w niej strach. Sprawili, że bała się jak dziecko. Chociaż po prawdzie w dzieciństwie nigdy czegoś podobnego nie

zaznała. Chronił ją tatko. Zapragnęła ten swój strach wymazać; i wiedziała, że mogłaby wziąć z domu włócznię i łuk, zakraść się nocą do Kuroseków i zarznąć tych, co ją pokrzywdzili. Ale nie tak ją wychował ojciec.

W dwa dni po rozstaniu z Ruslanem była więc w Tyńcu, czekała w sali bawialnej dworu – w którym, powiadali, za młodu mieszkał sam Wielki Bolesław – aż grododzierzca, pan Ciesław, zejdzie z piętra, ze swej prywatnej komory, i udzieli jej posłuchania.

Poszło mniej więcej tak, jak się spodziewała.

– Powiadasz – podsumował wielmoża, wysłuchawszy opowieści Gniewki – że mieszkańcy Kuroseków wypłoszyli dużą rodzinę bobrów, piętnaście sztuk i wszystkie czarne. Jednocześnie przyznajesz, że żeremie wyglądało, jak gdyby rozbił je dziki zwierz, nie człowiek, a starosta opolny Radosz, w imieniu całego opola, zarzekł się, że nic o wypłoszeniu bobrów nie wie. Co więcej, choć niechętnie... ale nie nam sądzić ludzkie chęci... mieszkańcy Kuroseków udzielili ci stanu i przewozu, zaś tenże sam Radosz zawiódł cię w miejsce, w które udała się zwierzyna, czyniąc zadość kniaziowskiemu prawu. I bobrów nic nie brakowało, ani jednego, dobrze mówię? Gon znalazłaś i wszystkie je zliczyłaś, nim przyjechałaś tutaj, zgadza się?

Gniewka potaknęła.

– Nie zrozum mnie źle, dziewczyno, ze względu na przywilej bobrowy, który twój ojciec otrzymał z rąk kniazia, ja tego człeka mogę pod sąd grodzki wezwać. Przyznasz chyba jednak sama, że wyrok musiałbym wydać na korzyść Kuroseków. Inaczej wszyscy kmiecie w okręgu wyrzucaliby mi niesprawiedliwość.

Młódka bąknęła coś niewyraźnie. Gapiła się na futra wyściełające ławę, na której zasiadał grododzierzca, i niespokojnymi ruchami przekładała dłonie z lewego kolana na prawe i z powrotem.

Ciesław odchrząknął.

– Drugi zarzut, jaki stawiasz staroście Radoszowi, jest dużo poważniejszy – podjął. – Za napaść na kniaziowskiego człeka można nawet dać gardło. Muszę jednak powiedzieć... wybacz, jeśli zabrzmi to nieco szorstko... ale muszę powiedzieć, że wielce mnie cała ta sprawa dziwuje. Trudno mi w nią wszystek zawierzyć. Jaki powód mieli ci ludzie, by na ciebie napadać, skoro, jakeśmy ustalili, wskazali ci dopiero co miejsce bytowania bobrów i w związku z tym nie musieli się lękać prawa ni sądu? Czy nastawali na twą cześć?

Gniewka zeszywniała. Zrobiło jej się gorąco, a własne dłonie wydały jej się nagle ciężkie i obce, jakby jej kto uwiązał do ramion dwa worki kamieni.

W sali bawialnej było duszno, ciemnawo. Pachniało w niej piwem, łojem, wilgotną sierścią szub i skórą kabatów. Pachniało mężczyznami. Bo i nie brakło na ławach pod ścianami wojów z załogi grodu, pacholek, sąsiadów grododzierzcy. Wszyscy oni zdawali się nadstawiać uszu.

Gniewka po raz pierwszy w życiu poczuła się w towarzystwie chłopów nieswojo. Jak coś obce.

– Co to ma do rzeczy? – mruknęła.

– Jesteś wszak dziewczyną – stwierdził Ciesław. Jego głos brzmiał jednak niepewnie, jakby wielmoża nie do końca wierzył w prawdziwość własnych słów. – Staroście Radoszowi towarzyszyło, jak rozumiem, dwóch młodych byczków, jego synów. Chłopcy bywają... szorstcy w zalotach. Może dojdź do nieporozumień.

Oczy Gniewki błysnęły w kierunku grododzierzcy, by zaraz umknąć ku podłodze, po której – jak teraz zauważyła – walało się kilka ogryzionych kości.

– Jestem panem bobrowym – wycedziła.

Ciesław wyglądał na zmieszanego. Przysłonił wąsy ręką; być może skrył za nią uśmiech.

– W każdym razie – rzekł – żadnego poważniejszego uszczerbku w wyniku swej przygody nie poniosłaś. A świadek zajścia, jak powiadasz, był tylko jeden i zeznawać nie chce. Radziłbym ci więc sprawę odpuścić. Nie sądzić się. Ostatecznie nie ma tego złego, nieprawdaż?

– Ukradli mi topór.

– Topór? – Grododzierzca uniósł brwi.

– Tak. Zza morza. Przywieziony przez wojów kniazia Jarosława.

Ciesław uśmiechał się już teraz otwarcie, z pobłażaniem. Machnięciem ręki przyzwał jednego z pacholek i szepnął mu coś na ucho. Sługa się oddalił i wrócił po chwili, niosąc topór solidnej śląskiej roboty, o grubym stylisku i żelźcu z długą brodą, nie tak szerokim i ciężkim jak w orężu Grzmibora, lecz bez wątpienia zabójczym.

– Taki? – zapytał grododzierzca.

Gniewka wstała. Cofnęła się niezgrabnie, splatając dłonie za plecami.

– Nie taki. Zupełnie nie taki – powiedziała, po czym ukloniła się pospiesznie i wyszła z sali.

*

Dom powitał ją ciszą i zatęchłym powietrzem, i leniwym szuraniem łykowych chodaków starego Gedejki, ojcowego sługi, oraz żony jego Tepichy. W sieni, na źle obmiecionej polepie, widać było stosy mysich bobków; Gedejko niedowidział.

Gniewka zajrzała na prawo, do kuchni.

– Wróciłam – powiedziała. – Nie musicie wychodzić.

Gdzieś za stołem, za kurtyną zwieszonych z powały suszonych ziół, przekolebała się powoli, jak we śnie, przygarbiona postać.

– Pan Grzmibor wrócił? – zapytał Gedejko.

– Nie. Tylko ja.

W rogu kuchni stał duży, kopulasto zwieńczony gliniany piec. Za nim, na przypiecku, coś się zakotłowało. Szur chodaków przerodził się w łomot, któremu wtórował ledwo zrozumiały bełgot. Drobną, szarą kobiecina przemknęła przez pomieszczenie, by ująć Gniewkę za rękę. Trajkotała przy tym bezustannie i szczyrzyła się w bezzębnym uśmiechu.

Pachołkowie z gospodarstwa bali się Tepichy, bo sądzili, że jest wiedźma, szalawiła i mówi w języku biesów. W istocie była po prostu głucha. Mówiła zupełnie po ludzku, choć poza Gniewką mało kto miał dość cierpliwości, by poskładać w słowa jej kwęki, pohukiwania i stęki. Na rozumie zaś miała się znacznie lepiej niż nieborak Gedejko, któremu zwidywali się zmarli.

– Nie, mateczko – powiedziała dziewczyna, ściskając chłodne i zaskakująco delikatne dłonie staruszki. – Nie będę nic jadła.

Tepicha spojrzała na nią bystro, pytająco.

Gniewka wzruszyła tylko ramionami. Musnęła głowę staruszki, jakby ta była dzieckiem, i zawróciła przez sień do drugiego skrzydła chaty. Mieściła się tam izba, którą dzieliła niegdyś z ojcem. Na środku, przy palenisku, znajdowało się ojcowe posłanie i ciężkie dębowe siedzisko, na którym zwykł siadać czasem – rzadko – i pić piwo, i śpiewać do siebie pełnym głosem. Nary, na których sypiała dziewczyna, znajdowały się pod ścianą, za wiklinowym przepierzeniem.

Rzadko tu przebywali. Była to ich gawra, ich zimowe leże. Gniewka czuła w kościach, że na powrót jeszcze zbyt wcześnie.

Chciała się cofnąć i wyjść przed dom, lecz w drzwiach izby wpadła na Gedejkę.

– Pan Grzmibor kazali topór naoliwić – oświadczył stary. – Ten lepszy, na zbója, nie na niedźwiedzia.

– Nie mam – odparła dziewczyna, nieco bardziej szorstko, niż zamierzała, i przecisnęła się obok sługi, aby się wydostać w obejście.

Przed chatą znajdowało się duże otwarte palenisko, wokół którego stały ławy i pniaki. W letnie dni, po udanych odłowach albo innych znacznych wydarzeniach, ojciec ucztował przy nim ze swoimi bobrownikami. Pili wtedy na umór i kładli się pokotem, gdziekolwiek bądź.

Gniewka przysiadła na jednej z ław. Przez chwilę rozważała rozpalenie ognia, ale nie chciało jej się ruszyć. Obojętnie patrzyła na nielicznych pacholków kręcących się pośród zabudowań gospodarczych. Pozostali wciąż byli zajęci pracami w ogrodzie i na polu.

W odróżnieniu od pomniejszych kmieci Grzmibor gospodarzył na własnym żrebie, nie musiał się dzielić plonami i pracą z całym opolem. Tak po prawdzie gospodarstwo stanowiło główne źródło jego dochodu. O ile bowiem za stroje bobrowe i futra można było dostać dobrą cenę na targach w Tyńcu i Krakowie, o tyle najcenniejsze w przywileju bobrowym było zwolnienie z danin kniaziowskich i kościelnych. Ojciec nigdy jednak nie miał do gospodarki serca. Póki żyła matka, to ona trzymała wszystko w ryzach. Grzmibor wiecznie szukał wymówek, by pędzić do lasu.

Gniewka pod tym względem nic się od niego nie różniła. Żałowała już, że wróciła do domu.

Do domu... O, wa!

Puszcza była jej domem.

Rozmyślenia dziewczyny przerwał Gedejko, który wyczłapał przed chatę, niosąc przed sobą wielką misę z parującym jadłem: kaszą ze smalcem, gotowanymi jajami, bobem, tartym burakiem i, sądząc po zapachu, czosnkiem niedźwiedzim.

– Mówiłam Tapisze, że nie będę jadła – mruknęła Gniewka, lecz bez przekonania, bo ślinka napłynęła jej do ust.

Stary sługa zadarł nos, przeszurał obok dziewczyny i postawił misę na największym pniaku przy palenisku.

– To nie dla ciebie, jeno dla pana Grzmibora – rzekł. – Pan głodni, mówią, jak wilk.

I odszedł.

Gniewka patrzyła na puste miejsce przy zagasłym ogniu. I dalej, na falujące w oddali korony buczyny.

– Ty byś nie odpuścił, co, tatku? – odezwała się półgłosem.

Po chwili wstała, obesza palenisko i podniosła misę z jadłem. Nie siadła jednak na pieńku, lecz u jego stóp. W zamyśleniu zamieszała kaszę drewnianą łychą. W dwóch gryzach pożarła większość jajka, resztkę zaś cisnęła w popiół.

– Mogłabym zakraść się pod wioskę. Wyłapać ich po jednym. Zadusić gdzieś w krzakach, po cichu. Ciała cisnąć do bagna. Nikt by się nie dowiedział.

Powiał wiatr, a dziewczynę przeszedł dreszcz.

– Ale tak nie wolno, prawda? Trzeba to załatwić po bożemu. Za bobry ich przed sąd nie postawię. Za napaść też nie, chyba że namówię Rusłana, aby zeznawał. Z tym że to będzie ich słowo przeciw jego słowu. A słowo wygnańca niewiele warte. Pozostaje więc dowiedzieć się, co takiego zrobili, że przepłoszyli bobry. W tym też mógłby mi pomóc Rusłan. Tyle że nie chce albo się boi i trzeba mi się dowiedzieć dlaczego. Tamtym razem dałam się zaskoczyć, bo nie wiedziałam, w jakie świństwo się pakuję. Teraz będę mądrzejsza. Dobrze mówię, tatku?

Buczyna zaszemrała w oddali, lecz kolejny powiew nadszedł od łąki. I był ciepły. Trawy nagrzały się w słońcu. Lato dobiegało końca, ale odrobina ciepła trwała jeszcze w świecie. Gniewka czuła je wyraźnie na karku.

Jak dotyk dużej, spracowanej dłoni.

*

W nadskawińskich lasach ponownie rozległ się grzmot kopyt. Tym razem jednak sławnego w całej okolicy Welesowego rumaka ujrzeli mieszkańcy nie Kuroseków, lecz należącego do tego samego opola Redziszowa. Wylegli zresztą tłumnie, aby zobaczyć to dziwo. Na sam przód wysunął się starosta sołecki, inaczej sołtys: człek wysoki, chudy, o zmierzwionych kudłach barwy zszarzałego siana, opadających na twarz ptasią, ponurą.

– Myślałem, żeście swe sprawy załatwili kilka dni temu ze starostą opolnym – rzekł na powitanie, niezbyt przyjaźnie.

Gniewka, choć zawczasu ułożyła sobie, co powie, w obliczu wytrzeszczonej na nią gromady poczuła się zmieszana. Zastanawiała się, ile kmiecie wiedzą o tym, co zaszło na bagnach. Z ludźmi z Kuroseków z pewnością widywali się często, czy to na polu, które wspólnie uprawiali,

czy to na łąkach, gdzie pasali trzodę, czy wreszcie podczas zwykłych spotkań sąsiedzkich. Niemniej wydawało się wątpliwe, aby Radosz i jego synowie przechwalali się, że napadli na pana bobrowego. Nawet jeśli – przynajmniej na razie – uszło im to na sucho.

– No... z gonami... – wydukała dziewczyna do czubków własnych butów, wspierając się o bok Czarnuszki. – Z gonami tak... Ale bobrów jest za dużo. Przed zimą będzie odłów.

Pośród zgromadzonych poniósł się szmer. Za pomoc przy odłowie bobrów można było nieźle zarobić. A Grzmibor rzadko najmował kmieci, bo miał własnych ludzi.

– Poza tym... – podjęła nieco ośmielona Gniewka. – Poza tym może będę na niedźwiedzia szła. Pan bobrowy ma pozwolenie. Będę potrzebować dwóch, trzech...

Sołtys przyjrzał jej się nieufnie.

– Na niedźwiedzia? – zapytał. – W tych lasach dawno nikt nie widział niedźwiedzi.

– Zwierz jakiś żeremie rozbił. A jak rozbił, to może znowu za bobrami poleżeć. Przepłoszyć.

Sołtys dalej świdrował dziewczynę wzrokiem, lecz po chwili skinął głową.

– Jestem Cieszymir – rzekł, niespodziewanie wyciągając ku Gniewce rękę. – Dam wam stan. O resztę martwcie się sami albo gadajcie ze starostą opolnym. Na długo u nas staniecie?

– Na razie tylko na tę noc. Rozpatrzyć się muszę.

– Dobrze. Chodźcie. Czym chata bogata.

Czarnuszko, podobnie jak w Kurosekach, został umieszczony w szopie, z kozami. Gniewce zaofiarowano miejsce na narach z Miłką, córką Cieszymira, ostatnim z jego dzieci, które dotąd nie wyfrunęło z gniazda. Dziewczyny były w zbliżonym wieku. Gniewka odmówiła jednak, mamrocząc niezgrabnie, że konia musi doglądać i w ogóle, czym śmiertelnie uraziła Cieszymirową żonę.

Zacząła więc znakomicie.

Później sprawy potoczyły się równie dobrze, jeśli nie lepiej. O zmierzchu, który nadciągnął szybko, jak to u progu jesieni, do chaty sołtysa naszło się na wieczerzę mnóstwo ludu. Wszyscy ciekawi byli wieści z wielkiego świata, z grodu, a i niejeden palił się dać nieobrotnego młodszego syna na bobrownika.

Niestety zawiedli się przybyszką. Dziewczyna mamrotała coś w kubek, nikomu nie patrzyła w oczy, a gdy wreszcie wykrztusiła pełne zdanie, w izbie umilkło, jakby makiem zasiał.

– Mówili mi w Kurosekach, że minionej zimy zwierz jaki wam tu człowieka rozszarpał – rzekła. I brnęła zaraz dalej, choć głos cichł jej w miarę, jak tężyły oblicza zebranych. – Stąd myślałam... może ten niedźwiedź... i bobry przepłoszył...

Spojrzenia redziszowskich kmieci zwróciły się ku Cieszyomirowi. Starosta minę miał dziwną, nieczytelną. Upił odrobinę piwa z rogowego kubka.

– Mój syn zginął na łowach – powiedział i popatrzył na Gniewkę nieco zaczepnie, spod oka, jakby spodziewał się, że dziewczyna zechce zadać kłam jego słowom.

W izbie odżył gwar. Kmiecie jedli dalej, pili, trącali się łokciami. Można by pomyśleć, że im ulżyło.

Cieszymir skinął głową – może Gniewce, może sam sobie – i już, już brał się z powrotem do jadła, gdy dziewczyna, poruszona nagłą myślą, zapytała:

– Był na łowach z Rusłanem?

Sołtys odłożył łyżkę, którą dopiero co wziął do ręki.

– Nie ma w naszym opolu nikogo o tym imieniu – rzekł dobitnie. – I nigdy nie było.

– Kiedy...

Gniewka poczuła, że ktoś łapie ją za przedramię. Umilkła, najeżyła się, obróciła... Nie lubiła obcego dotyku.

Udobruchał ją uśmiech Miłki, Cieszyomirowej córki, która położyła przed nią jaglany podpłomyk z odrobiną twarogu i miodu, po czym czmychnęła pospiesznie do matki. A kiedy Gniewka ponownie zwróciła wzrok ku sołtysowi, ten już patrzył gdzie indziej; z czołem wspartym na dłoni tak, że prawie nie było widać jego twarzy, gadał o czymś półgłosem z siedzącym najbliżej kmieciem.

Dziewczynie zrobiło się gorąco. Ze złością – nadąsana – pożarła podpłomyk.

A jednak czegoś się dowiedziała. Mglista postać z głądźby pijanego Chadki nabrała wyrazistości, ubrała się w ciało. Nie bajka, lecz człowiek z krwi i kości, choć nie znała jeszcze nawet jego imienia. Młody mężczyzna. Chłopak. Cieszymir nie mógł sobie liczyć więcej niż

czterdzieści, czterdzieści pięć lat; jego dzieci dopiero co wkroczyły w dorosłość. Tylko jak dowiedzieć się czegokolwiek więcej o okolicznościach śmierci?

Wspomnienie Chadki nasunęło Gniewce pewną myśl. Uzbroidła się w cierpliwość i patrzyła, który z obecnych w izbie kmieci najchętniej zagłąda do dzbana z piwem, najwięcej prawi, najczęściej zaczepia sąsiadów. Był taki jeden: mały, czarny, łysawy. Wcześniej uczeplił się jej, bo koniecznie chciał wiedzieć, ile kunich skórek by dostał, gdyby dwóch synów dał do odłowu bobrów, i czy takim bobrownikom z przypadku nie należą się aby ulgi od grodzkich danin.

Miski z jadem powoli się opróżniły. Miłka i jej matka sprzątnęły ze stołu. Mężczyźni jednak nie wypuszczali jeszcze kubków, z nadzieją popatrywali na sołtysa. Ten kiwnął głową. Otwarto nową beczułkę z piwem; niedawno nastawionym, sądząc po kwaśnym zapachu.

Rozmowy trwały dalej. Senne, kleiste. Goście wychodzili, żeby się wysikać. Wracali, wnosząc ze sobą zapach pierwszej nocnej rosy. W pewnym momencie wyszedł też Cieszymir.

Gniewka skorzystała z okazji i przysiadła się do upatrzonemu kmiecia.

Nie bardzo wiedziała, jak zacząć, zapytała więc po prostu:

– A co to za łowy, że tak się pan sołtys nabzdyczył?

– Nie miejcie mu za złe. Drażliwy w tej sprawie. On, widzicie, jednego jeno miał chłopaka... Nie trzech jak stary Radosz. I tak żał ma... Żenić go myślał. Rozumiecie. Ja, na ten przykład, czterech mam chłopaków, krzepkie konie wszystko, do łowów udatni...

– I co się stało? – przerwała szybko dziewczyna. – Jeśli nie niedźwiedź go poszarpał, to co? Dzik? Stare odyńce często chadzają same po kniei i dusza im się od tego przewraca, szął na nie schodzi.

– A nie, nie, nie...

Kmieć nagle się zasumał. Siadł prosto, objął dłońmi kubek z piwem. Milczał, a Gniewka wysilała wolę, żeby nie zgrzytać zębami.

– Widzicie... – rzekł w końcu mężczyzna. Cicho, prawie szeptem. Nadęty jak ongiś Chadko, tak że Gniewka wiedziała już, co usłyszy, zanim to powiedział. – Tamtego chłopca poszarpał wilkołak.

Myślała, że krew ją zaleje. Kto dorastał w lesie, nie boi się czarów. Boi się wilków, boi się ludzi idących na kłus. Nie boi się wilkołaków.

– Nie ma czegoś takiego – syknęła.

– Jak nie ma? – obruszył się kміć. – Rodzą się tacy, co mają dwie dusze. Odmieńcy. I robią rzeczy, jakich by zwykły człek nigdy nie zrobił. Gdy starzec Chors nocą wytoczy na niebo srebrny wóz, rosna im kły, skóra porasta szczecią. Albo słyszą wołanie Welesa i uciekają na puszcze, jak zwierzęta.

– Weles to tylko tchnienie, co kroczy przez las – powiedziała Gniewka. – Nie ma wilkołaków.

W izbie znowu czegoś przycichło. Goście popatrywali nieprzyjaźnie na dziewczynę, mruzcili coś w wąsy. Potem otwały się drzwi i wrócił Cieszymir.

– Późna pora – oświadczył. – Nie wyganiam was, ale...

– Spać trzeba – rzucił ktoś z izby.

– No – potaknął sołtys. – Spać trzeba.

Zaszugały ławy. Dwóch chłopów pomogło zdjąć stół z kozłów, wynieść go na zewnątrz, oprzeć o ścianę pod strzechą. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Dwie czy trzy gospodynie, które również uczestniczyły w wieczerzy, zamieniały jeszcze ostatnie słowa z panią domu. Mężczyźni dopijali piwo.

Wreszcie obszerna chałupa Cieszymira opustoszała. Żona sołtysa wzięła się za szykowanie posłań: zagarniała słomę, strzepywała zwierzęce futra i wełniane pledy. Sam sołtys rzucił do pieca pecułę torfu – żeby zachować przez noc żar, ale nie trzymać żywego ognia.

Gniewka przyglądała się chwilę tej krzątaniu i zastanawiała, czy nie byłaby to dobra okazja, aby spróbować jeszcze czegoś się dowiedzieć. Cieszymir stał jednak do niej plecami, uznała więc, że rozsądniej będzie czmychnąć cicho do szopy.

W ciemnym obejściu poczuła na twarzy mżawkę. Dreszcz ją chwycił. Przez chwilę zdawało jej się, że jest znów w Kurosekach, że się wszystko zaczyna od nowa. Skryła się w pachnące zwierzętami ciepło, przytuliła czoło do chrapów Czarnuszki.

Wtedy zza jej pleców dobiegło skrzypnięcie uchylanych drzwi.

Dziewczyna zeszywniała. Myślała o broni, którą wzięła z domu. Miała ze sobą łuk i włócznię, i długi nóż z saskiej stali, skryty za połą kabata.

Odwróciła się powoli.

W mroku zamajaczyła drobna sylwetka. Poznała głos Miłki:

– Rusłan był wtedy z Cieszkiem.

– Z kim? – zdziwiła się Gniewka i zaraz zrobiło jej się głupio. Cieszko. Cieszymir, Cieszydar albo jakoś podobnie. Po ojcu. – Aaa.

– Wygnali go.

– Wiem. Nie wiem dlaczego.

Miłka nie odzywała się przez długą chwilę. Tak długą, że Gniewka zapytała:

– Jesteś tam jeszcze?

– Rusłan nikogo by nie zabił. Oni obaj byli odmieńce. Chcieli uciec. Ale Rusłan by Cieszka nie zabił.

– Jak to „nie zabił”? – Gniewka postąpił krok naprzód. Mrok zafalował. – To znaczy, że...

Urwała. Z opóźnieniem dotarło do niej, że Miłki już tam nie ma; umknęła do domu.

Gniewka podeszła do drzwi, uniosła twarz ku czarnemu niebu, pozwalając, aby mżawka osiadła jej na czole.

– Rusłan nikogo by nie zabił – powtórzyła.

*

Chłód zbudził ją tuż przed świtem. A wraz z chłodem zakradł się strach – dziwny jakiś, jakby czyjś inny – strach, że po nią przyjdą. Zebrała więc swoje rzeczy, osiodłała Czarnuszkę i po cichutku wyprowadziła go przed szopę.

Biało tam było i nieprawdziwie. Z lasu, od strony Skawiny i otulających ją mokradeł, nadpłynęła mgła. Toczyła się leniwie, przelewała między czarnymi zarysami chat, które o tej niesamowitej godzinie – Welesowej, jak mawiali starcy – wydały się Gniewce jeno stogami pociemniałej słomy.

Było jej wstyd wymykać się w ten sposób, jak złodziej. Niemniej wskoczyła na grzbiet konia, dała mu łydkę i wnet połknęła ich puszcza.

Jechali ku rzece. Niespiesznie. Gniewka czekała, aż się do reszty rozbudzi, aż słońce rozegna wirujący opar i osobliwe, nieswoje myśli kłębiące jej się w głowie. Dzień jednak nie wstawał; utrzymywała się jednostajna szarota. Może słoneczny powóz świętego Jury ugrzązł gdzieś na drodze z Wyraju, na błoniach przed złotym dworem Jezukrysta.

Nic to, powiedziała sobie w duchu dziewczyna, czasami trzeba się obejść bez słońca.

Znalezienie drogi nie nastęczało im trudności. I ona, i Czarnuszko znali tę ziemię na wylot, zleźli ją tyle razy, że czego nie pamiętali sami, pamiętały ich nogi. Wrychle dotarli nad Skawinę, zostawili za sobą rozbite żeremie i powędrowali w kierunku mokradeł, tą samą – być może – ścieżką, którą obrały bobry, gdy uciekały przed nieznanym niebezpieczeństwem, szerokim łukiem okrążając Kuroseki.

Musiało być jeszcze przed południem, kiedy wjechali w olszynkę, na wąski pas suchej ziemi między rozlewiskami. Mgła wciąż się nie podniosła; zszarzała tylko odrobinę, nabiegła błękitem jak gdyby na przypomnienie, że gdzieś w górze wciąż trwa kopała nieba.

Czarnuszko się najeżył. Kładł uszy, chrapał, pokazywał zęby i od czasu do czasu gniewnie tłukł przednimi kopytami o rozmiękłą ziemię. Widać rzucał bagnetu wyzwanie.

Gniewka pokręciła głową.

– Ciii, głupi – mruknęła. – Węsz za Rusłanem. O, widzisz, tam jest stary gródek, ten, w którym skrył się na zimę.

Koń parsknął wzgardliwie. Z pomgłaci na szczycie wzgórką niby spróchniały ząb wystawał jedynie ułomek poczerniałej palisady.

– Gdzieś tu trzeba odbić ku wschodowi – mruzczała dalej dziewczyna, pochylając się nisko nad szyją wierzchowca, aby lepiej widzieć, gdzie ziemia jest sucha, a gdzie podmokła. – Pamiętasz? Tam będzie ścieżka i strumyk.

Coś klasnęło, zaszurało. Gniewka podebrała wodze, uniosła głowę.

W wąskim przesmyku między dwoma lustrami wody siedziały trzy czarne bobry. Przypatrywały się przybyszom bez śladu strachu.

– Tędy – powiedziała cicho Gniewka.

Bobry ani drgnęły. Nie próbowały uciekać, choć przejechali nie więcej niż łokieć od nich. Obróciły tylko powoli głowy, aby odprowadzić wzrokiem dziewczynę i jej wierzchowca.

Jechali jeszcze dłuższą chwilę, stopniowo oddalając się od mokradeł. W pewnym momencie uszu Gniewki dobiegł bełkot potoku. Potem jej oczom ukazała się polana, na której stał Rusłanowy szałas. Samego Rusłana nie było jednak widać.

Dziewczyna zeskoczyła na ziemię, ściągnęła Czarnuszce siodło i puściła go, by pojadł trawy. Następnie wpełzła pod sosnowo-jałowcową strzechę szałas. Kiedy tylko rozsiadła się na posłaniu z wyświechtanych futer,

ogarnęła ją senność. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła rękami i pozwoliła głowie opaść na ramię.

Dam tylko chwilę odpocząć oczom, pomyślała. Czuła piasek pod powiekami.

W następnej chwili już spała. I śnili jej się mężczyźni o plecach porośniętych gęstą szczecią, nadzy, tańczący wokół ognia. Z kłów ciekła im ślina.

*

– Wróciłaś!

Gniewka drgnęła, uniosła głowę. Oczy wciąż miała zalepione snem, na prawym policzku czerwonymi pręgami odcisnął jej się materiał spodni. W nastroju była niezbyt łaskawym.

– A czego cię to cieszy? – burknęła.

Rusłan cofnął się nieco od wejścia do szałas. Rozjaśniający mu twarz uśmiech przygasł, choć nie zniknął całkowicie.

– Nie to, że cieszy – powiedział młodzieniec. – Po prostu... No.

– Przyjechałam, żebyś powiedział mi, co zaszło między tobą i synem Cieszymira z Redziszowa.

Oblicze Rusłana w okamgnieniu ogołociło się z wszelkiego wyrazu.

– Co miało zajść? Nic nie zaszło – wymamrotał, po czym kucnął przy zewnętrznym palenisku i zaczął w nim grzebać patykiem. – Głodna jesteś? Mam trochę kaszy... z samosiejek za starym gródkiem. I grzybów trochę.

Gniewka się otrząsnęła, przeciągnęła zeszywniałe nogi. Wyszła przed szałas.

– Byliście razem na łowach? – zapytała. – Kiedy zginął.

– Nie byliśmy.

– W Redziszowie myślą, że ty go zabiłaś.

Usta Rusłana wygiął gwałtowny skurcz. Łypnął na dziewczynę spłoszonym wzrokiem, odwrócił oczy. Pokręcił głową – szybko, z przejęciem.

– Kto myśli? – wydusił z siebie.

– Nie wiem. Miłka.

– Nie. Nie Miłka. Miłka by...

Gniewka wzruszyła ramionami.

– No dobra, nie Miłka. Nie wiem dokładnie kto. Ktoś. Miłka mi o tym powiedziała. Może sołtys. Może inni kmiecie. Byliście razem na polowaniu, ale on, syn Cieszymira, nie wrócił.

Rusłan ponownie pokręcił głową.

– Nie byliśmy. Mieliśmy się spotkać tego dnia... no, tej nocy, ale...

– Ale co?

– Nic.

– Chcieliście uciec? Miłka powiedziała mi, że chcieliście uciec. Dlaczego?

– A dlaczego w całym świecie chłopcy chcą uciekać z domów?

Gniewce wydało się, że w głosie młodzieńca zabrzmiała nuta rozdrażnienia. Ucieszyło ją to; nie miała pojęcia dlaczego. Wiedziała tylko, że nie zniesie dłużej jego tępego, cielecego spokoju. Wścieknij się, chciała krzyknąć. Wścieknij się. Ktoś chce twojej krzywdy.

Ale Rusłan rozgrzebał tylko popiół, odsłaniając odszczypek bierwiona, którego trzymały się jeszcze resztki żaru. Rozdmuchał zarzewie, sypnął na nie trochę suchych igieł, zaczął układać drobne patyczki. Westchnął.

– Uciekają – podjął – bo dość mają nudy, pracy i ciężkich pięści ojców, braci... innych chłopców. Marzą im się przygody. Gdzieś będzie lepiej, gdzieś zawsze jest lepiej. Po mnie może nikt by nie płakał, lecz Cieszko był jedynym synem. Zresztą nie traktowaliśmy tego poważnie... Gdzie byśmy poszli w środku zimy? Na wiosnę... na wiosnę, na wiosnę, na wiosnę... No, tak sobie powtarzaliśmy. Ale na wiosnę... na wiosnę nic by nie było. Nie sądzę...

Młodzieniec umilkł. A potem wyrzucił z siebie nagle:

– Bogi, ależ głupie kłamstwo!

Ożywił się, zaczął krzątać. Zbierał chrust. Drwa podsuwał, żeby schły. Wyciągnął skądś bukłak z wodą, garniec na polewkę przystawił do pełgającego jeszcze słabo ognia – widać zamierzał coś gotować, może tę kaszę z samosiejek. Gniewka przyglądała mu się w milczeniu. Nie było w tym wszystkim złości, a jedynie... coś... coś, czego nie umiała nazwać. Widziała kiedyś psiaka, który wdepnął we wnyki i kręcił się tak nad swoją zmiądzoną, straconą łapą.

– Rusłan – powiedziała twardziej, niż zamierzała. Jej głos osadził go w miejscu. – Twierdzisz, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią Cieszymirowego syna. I że wiesz o czymś, czego dopuścił się starosta Radosz. Czy to właśnie masz na myśli? Radosz zamordował Cieszka?

Kłęczący nad ogniem młodzieniec wsparł umazane popiołem dłonie na udach, skulił ramiona i wydał z siebie przeciągły odgłos przypominający nieco śmiech:

– Ha-aaa... ha-aaa... – Przygryzał chwilę wargę, jakby zmagał się sam z sobą, aż wreszcie rzekł: – Szał na niego opadł. Zabił go. Ale nie dość mu było. Porąbał ciało. Rzucił... na żer... na żer... wilkom. Wywabił go z wioski, daleko, nad rzekę, tam, gdzie bobry... By nie było słycać krzyku. I zabił.

– A ty to wszystko widziałeś?

– Widziałem. Wymknąłem się. Poszedłem za nimi.

– I synowie Radosza też tam byli?

– Byli. Trzymali... Bożyn trzymał Cieszka, Jarosz mnie.

Na długi, długi czas zapadła cisza. Płomień przygasł. Z wilgotnawego drewna uniosła się wstęga białego dymu, zatańczyła na wietrze.

– Nie powinno im to ująć na sucho – odezwała się wreszcie Gniewka.

– Wiem – odparł kwaśno Rusłan.

– Posłuchaj mnie... posłuchaj... – zaczęła dziewczyna. Czowała się zmęczona rozmową i niełatwo było jej się zmusić, by patrzeć młodzieńcowi w twarz. – Możemy ich postawić przed sądem grodzkim. Może nawet kniaziowskim; słyszałam, że książę Kazimierz ma zjechać do Krakowa na zimowisko.

Rusłan uśmiechnął się niewesoło.

– Na to samo mnie namawiałaś, kiedy się poznaliśmy. A wszak od tego czasu nic się nie zmieniło, chyba że na gorsze. Opole stanie po stronie starego. Tym bardziej jeśli, jak utrzymujesz, gada się teraz, że to ja Cieszka zabiłem.

– Myślałam o tym, kiedy do ciebie jechałam. W jakie dni odbywa się u was wiec opolny?

– W dzień po pełnym miesiącu i w dzień po nowiu. Albo kiedy ktoś skrzyknie wszystkich gospodarzy na majdan w Kurosekach. Czemu pytasz?

– Odniosłam wrażenie, że Radosz i Cieszmir... no... nie lubią się za bardzo – powiedziała Gniewka. – Cieszmir nigdy nie mówił o Radoszu inaczej niż „starosta”. No i stracił jedyne syna, a tamten...

– Owszem – potaknął ostrożnie Rusłan. – Życie u nich wygląda jak w każdym innym opolu. Nikt nikogo za bardzo nie lubi, ale każdy z każdym jakoś żyje. Bo inaczej zostałyby im tylko...

– Las – podchwyciła dziewczyna. Nie dodała już na głos „Jak tobie”. – Tak. Polni ludzie boją się zmiany. Milczenie przychodzi im z łatwością. Będą z cichą zawziętością popierać swojego, nawet jeśli go nie lubią, byle tylko obronić się przed tymi z zewnątrz. Ci z zewnątrz to wróg. Dużi ludzie. Pan bobrowy. Komornik. Grododzierzca. Książ.

– Do czego zmierzasz?

– Skoro cię wygnano, zapadła milcząca zgoda, że też jesteś z zewnątrz. Ale nie jesteś, prawda? Dorastałeś wśród tych ludzi. A to znaczy, że możesz pojawić się na wiecu i przełamać milczenie. Opowiedzieć, jak było naprawdę. Nawet jeśli nie wszyscy ci uwierzą, raz zerwaną ciszę trudno z powrotem zszyć. Wystarczy, aby nabrali wątpliwości. I już inaczej będą gadać przed grododzierzcą czy księciem.

– Wygnaniec nie ma prawa głosu na wiecu – sprzeciwił się młodzieniec. – Zresztą... zresztą... nie podoba mi się to. Jeśli się tam zjawię...

– Ochroń cię – wpadła mu w słowo Gniewka. – Nie wierzysz? Widziałeś, jak Radosz i jego synowie mnie napadli. Gdyby nie spłoszyli Czarnuszki, dałabym im radę bez trudu. Podeszli mnie. Ale drugi raz nie dam się zaskoczyć, a jeśli spróbują cię skrzywdzić... Cóż, panu bobrowemu wolno pozbawić życia nawet wolnego kmięcia, jeśli ten wejdzie mu w drogę.

– Nie! Nie o to mi chodzi! Nie chcę, żeby zginęło więcej ludzi...

– Więc zachowasz się jak tchórz? Pozwolisz im zrobić z siebie kozła ofiarnego? To, co proponuję, to jedyny sposób, abyś pomścił siebie i swojego przyjaciela.

Rusłan z sykiem wypuścił powietrze. Z klęczek opadł na tyłek, do pozycji siedzącej, wywijając w górę kolana.

– Sądziś, że tego właśnie pragnę, pomsty? – zapytał. – Czy pomsta przywróci Cieszka do życia? Czy uczyni mnie tym, kim byłem, zanim zginął? Nie jest przypadkiem tak, że w rzeczywistości to ty pragniesz pomsty dla siebie? Za to, że cię pobili i poniżyli, że próbowali zabić Czarnuszkę? Powiadasz, że użyli mnie za kozła ofiarnego. A ty za co chciałabyś mnie użyć?

Gniewkę zapiekły uszy. Spuściła wzrok. Próbowwała odpysknąć, ale słowa zaplątały jej się na języku, tak że wyszedł z tego jedynie niewyraźny pomruk. Złość szarpała ją za trzewia. Złość pomieszana ze wstydem, bo Rusłan oczywiście się nie mylił. Dziewczyna chwyciła garść ściółki

i cisnęła nią w przygasłe ognisko. Bała się, że nie zapanuje nad swoimi ciężkimi pięściami, splotła więc palce i ścisnęła obie dłonie między udami, jak dziecko.

– Nie chcę cię użyć – wymamrotała w końcu. – Mówię, że jesteś tchórz, bo nie chcesz stawać za sprawiedliwością. Ale liczyłeś na to, że mój tatko przygna tu i starego Radosza pognębi.

Młodzieniec pokiwał głową.

– Masz rację. Jestem tchórzem.

– Więc nie bądź! Mówisz, że nie chcesz, żeby zginęło więcej ludzi. No to... Jaką masz pewność, że Radosz nie uczyni jeszcze komuś krzywdy? Polni ludzie są podli z natury, niegodziwi. Jedynie strach przed karą może ich powstrzymać przed czynieniem zła.

Rusłan westchnął z głębi piersi, zaklął i wziął się za ponowne rozdmuchiwanie ognia. Nie odzywał się przez jakiś czas, w końcu zapytał:

– A zatem twój plan to oskarżyć Radosza na wiecu plemiennym? By następnie wezwać go przed sąd grodzki?

Gniewka potaknęła.

– Jeśli go nie oskarżymy przed jego krajanami, gospodarze pójdą na świadków i będą mówić „Dobry człowiek, prawy, nigdy by nikogo nie skrzywdził” albo co im tam Radosz każe – powiedziała. – Wystarczy jednak, że zasiejemy w ich sercu wątpliwość, a będę mówić „Ja tam nie wiem, widziałem tylko, jak wyszedł o takiej albo takiej porze”. Widziałam to tysiąc razy, kiedy tatko się sądził. Rozumiesz?

– Rozumiem. Jeżeli nie zrobimy nic, będą chronić starego. Ale jeśli wyrzemy na nich odpowiednie wrażenie, strach o własną skórę sprawi, że będą chronić tylko siebie, a on niech sam sobie radzi.

– Właśnie!

– I sądzisz, że mamy szansę wygrać? – W głosie Rusłana słychać było powątpiewanie.

Dziewczyna się zawahała.

– Szansę mamy – odparła. – A nawet jeśli... nawet jeśli nam się nie uda... – Wzruszenie ramion. – Naszym obowiązkiem jest zabrać głos. Prawo krzyku tak działa. Jeśli usłyszysz krzyk mordowanego, ale będziesz udawał, że jesteś głuchy, to tak jakbyś sam przykładał rękę do mordu.

Rusłan poruszył się niespokojnie.

– Wiesz, o co mnie prosisz, prawda? Ułożyłem tu sobie jakoś życie. To moja ziemia, spoczywają w niej prochy moich przodków. Są jeszcze

w opolu ludzie mi przychylni, widuję się z nimi czasem. Lecz jeśli pójdę z tobą na wiec... Nie wiem, co będzie, jeśli z tobą pójdę.

– A pójdziesz?

Młodzieniec ponownie westchnął. Wiercił się chwilę. Rzucił trochę igieł do ogniska i jego twarz oświetlił chybotliwy płomyk.

– Nie wiem! – rzekł z jakąś gwałtownością. – Do pełni jeszcze trzy dni. Pomyślę.

– Pomyśl – powiedziała Gniewka.

Złość chwilowo z niej uszła. Była zgrzana, zarumieniona, osobliwie poruszona. Jakby miała za sobą długi bieg. Odchyliła się do tyłu, skrzyżowała nogi, ciasniej owinęła ramiona płaszczem. Patrzyła w ziemię, zakłopotana. I wtem przyszło jej coś do głowy. Coś, o czym może powinna była pomyśleć wcześniej.

– Co właściwie Radosz miał do tego chłopaka? – zapytała. – Aż tak się z Cieszymirem nienawidzą, żeby...

Rusłan posłał jej osobliwe spojrzenie.

– Stary uwierzył w te brednie, które sobie powtarzaliśmy. W tę naszą czczą gadaninę. Że uciekniemy. Wydaje mi się, że zamierzał Cieszka jedynie nastraszyć. A potem go poniosło. Zawsze coś takie w nim siedziało, jak obca dusza. Gniew zmieniał go w potwora.

– Nie rozumiem. – Gniewka pokręciła głową. – Co mu za różnica, że uciekniecie?

– Aaa... – Usta młodzieńca rozciągnął smętny uśmiezek. – Myślałem, że ktoś ci już powiedział. Bo widzisz... Radosz jest mój ojciec.

*

W noc pełni Gniewka źle spała. Księżyc stał wysoko na bezchmurnym niebie, a jego srebrzystobłękitna poświata wypełniała las, jakby dniało. Ten fałszywy świt co rusz budził dziewczynę. Gdy zaś próbowała zasnąć, jej wyobraźnię zaludniały rozmaite osoby, z którymi niedawno rozmawiała lub zamierzała dopiero rozmawiać: starosta Radosz, tyniecki grodzierzca Ciesław, redziszowski sołtys Cieszymir, Rusłan. Gadała z nimi we własnej głowie, układała długie tyrady dla siebie i dla nich. Potoki słów przelewały się z jawy do snów i z powrotem.

Kiedy wreszcie nadszedł dzień, usiadła na wyłożonym skórami posłaniu z poczuciem, że nie zmrużyła oka ani na chwilę. Spojrzała na swego

kompana. Rusłan najwyraźniej nie spał już od jakiegoś czasu; siedział skulony w kącie. Wydawał się jeszcze kruchszy i jakby mniej prawdziwy niż tego dnia, kiedy się poznali. Same oczy.

– Nie jadę – oświadczył.

Gniewka uznała, że najłatwiej będzie nie przyjmować tego do wiadomości. Spróbowała przyczesać niesforne włosy, zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Słyszałaś? Nie jadę.

Nie odpowiedziała.

Wciągnęła buty, wyszła przed szalas, aby obmyć twarz w garncu z deszczówką, a następnie zabrała się za siodłanie Czarnuszki.

– Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy? – zapytał Rusłan, wyglądając na polanę.

– Prawda musi wyjść na jaw – odparła po prostu dziewczyna.

Młodzieniec ubrał się i stanął u jej boku.

– To się źle skończy... – mruknął.

Kto inny może splunąłby przez ramię, aby odczynić zły urok, lecz Gniewka posłała Rusłanowi przelotne, zacięte spojrzenie.

– Jedziesz?

Cisza. Potem:

– Jadę.

Wsiedli więc oboje na grzbiet Czarnuszki i pojechali.

Podczas długich chwil nocnego czuwania wielokrotnie wyobrażała sobie, jak będzie wyglądał powrót do Kuroseków. Roilo jej się, że wpadnie na majdan z hukiem kopyt i grzmotem nawałnicy za plecami, a kmiecie rzucają się wnet z cepami i widłami, aby wydrzeć jej Rusłana. Rzeczywistość okazała się jednak dużo bardziej przyziemna. Przynajmniej z początku.

Dzień był ciepły, słoneczny, lekko tylko podbity jesienną mgiełką. Kmiecie, głównie starsi mężczyźni z okolicznych siół, stali luźną kupą na placu i znudzeni rozglądali się na boki. Jakiś niewysoki, łysawy chłop – bodaj ten sam, którego Gniewka próbowała pociągnąć za język w Redziszowie – gadał coś do nich, stojąc na ustawionym pośrodku majdanu pniaku. U jego boku stał Radosz; prawdopodobnie, jak przystało na starostę opolnego, prowadził obrady.

Usłyszawszy dudnienie kopyt, zebrani zaczęli obracać się leniwie, mrużyć coś między sobą – aż się wściekł ten, co spoglądał na nich z pieńka. Gdy Czarnuszko się zbliżył, rozstąpili się nieporadnie.

Gniewka zatrzymała wierzchowca w odległości jakichś pięciu kroków od Radosza. Starosta łypnął na nią, objął wzrokiem Rusłana i poczerwieniał na twarzy, lecz nie odezwał się ani słowem. Inni najwyraźniej również poznali młodzieńca, bo tręcali się łokciami i kiwali ku niemu głowami.

– Przyjechaliśmy na wiec – wyburczała dziewczyna w grzywę Czarnuszki.

– Co? – zawołał ktoś.

– Głośniej!

– Przyjechaliśmy na wiec!

Spośród gromady kmieci wyłonił się sołtys Cieszymir. Z początku wyglądało, jakby miał stanąć obok Radosza, ale ostatecznie zatrzymał się w pewnym oddaleniu.

– Wygnaniec nie ma prawa głosu na wiecu – powiedział starosta, wskazując palcem swego syna.

Gniewka postanowiła sobie, że będzie patrzeć Radoszowi w twarz, lecz rozpraszała ją obecność Cieszymira; błędziła wzrokiem od jednego do drugiego. Niemniej zamierzała się trzymać wcześniej ułożonego planu.

– Czy wiecie, co jest prawo krzyku? – zapytała, puszczając mimo uszu słowa starosty.

– Masz się teraz za kniaziowskiego komornika, dziewczyno? – warknął Radosz. – Nie twoja to rzecz. Zresztą w ostatnich latach żadna zbrodnia nie została popełniona w zasięgu krzyku od naszego opola.

– A czy wiecie, co jest prawo śladu?

– Przyjechałaś nas pouczać? Tak, wiemy, co jest prawo śladu.

Gniewka pokiwała głową, ale i tak zaczęła wyjaśniać. Tak to sobie ułożyła.

– Kiedy podróżny stanie się świadkiem zbrodni, ma obowiązek ścigać zbrodniarza do najbliższego opola. Później obowiązek pościgu bądź ujęcia zbrodniarza spada na mieszkańców tegoż opola. Rusłan przybył na wiec nie aby zabrać głos, ale właśnie by wypełnić prawo śladu. Bo macie pośród siebie zbrodniarza. Jeśli nie pomożecie go postawić przed sąd grodzki, całe opole stanie się współwinne zbrodni. Tak głosi prawo kniaziowskie i obyczaj starszy od prawa.

Pośród kmieciów poniósł się szmer, kilku starców z uznaniem pokiwało głowami. Wyliczanie praw i obyczajów zawsze robiło na polnych ludziach wrażenie.

Radosz zdawał się chwilowo zbity z tropu.

– A jakież to zbrodni był świadkiem ten młodzian? – zapytał człowieczek stojący na pniaku.

Starosta gniewnym ruchem zgonił go na dół i dalej, w ciżbę. Następnie wpatrzył się w Rusłana.

– Radosz i jego synowie – zaczęła Gniewka – napadli na pana bobrowego, próbując przeszkodzić mu w wykonywaniu jego obowiązków. Przemocą i krzykiem wypłoszyli bobry z ich pierwotnego gonu. Wreszcie... dopuścili się morderstwa. A ciało zamordowanego zostawili wilkom na pożarcie, aby jego duch błąkał się wiecznie po Jawii.

Na majdanie zapadła cisza. Starosta dalej wpatrywał się w syna. Cieszymir tymczasem spojrzął najpierw na Radosza, potem na Rusłana. Na jego twarzy odmalował się wyraz, który Gniewce trudno było odczytać. Wygiął usta w podkowę, rozdał nozdrza i oczy mu błyszczały spod brwi wzniesionych jakby w zadziwieniu.

Zacisnął pięści.

– Ścierwo – powiedział do młodzieńca, wyraźnie, ale nie podnosząc głosu.

Gniewka ujęła drzewce włóczni tkwiącej na sztorc w pętłach przy siodle.

– Ostrzegam cię, sołtysie. Rusłan jest pod moją ochroną. Nie będzie tu dziś rozlewu krwi.

Cieszymir jakby nie usłyszał. Obrócił się ku Radoszowi.

– To zmiję sobie wyhodowałeś. To zmiję. Należało go zabić. Jego krew za moją krew. Takiego syna sobie...

– To nie jest mój syn – uciął ostro starosta. – Wyrzekłem się go za tchórza. – Oczy starego mignęły ku dziewczynie. – Tak ci powiedział? Że ja zabiłem Cieszka? Choć sam go namówił na nocną wyprawę, zimą, gdy wygłodzone wilki podchodzą pod sioła? Choć go porzucił...

– Dość! – warknął Cieszymir. – Ostaw!

Słowa sołtysa smagnęły Gniewkę niczym bicz. Czy możliwe, że się omyliła? Że Rusłan ją oszukał? Przyznał sam, że jest tchórzem... Czy naprawdę zostawił swego przyjaciela na pastwę wilków, a winą za jego śmierć próbował obarczyć ojca?

Nie chciała w to wierzyć. Czowała obecność młodzieńca tuż za sobą, jego ciepło, zapach jego ciała – leśny, dziki.

Chwila rozterki wystarczyła jednak, aby Radosz odzyskał grunt pod nogami. Stary znał dobrze swoje opole, swoich sąsiadów. Kiedy odezwał się znowu, mówił niby do Gniewki, ale spoglądał na nich.

– Nie masz czego tutaj szukać, dziewczyno. Roi ci się może, że jesteś grodzkim komornikiem? Nie jesteś. Mienisz się panem bobrowym, więc jedź ganiać za bobrami. Do naszych spraw się nie mieszaj. Jaki mogłem mieć powód, aby zabić syna mego sąsiada? Żadnego. A jednak przyjeżdżasz na nasz wiec, burzysz mir naszego opola, przywodzisz nam tu człeka, którego wygnaliśmy zgodnie z najstarszym obyczajem... Czego jeszcze chcesz? Daliśmy ci stan i przewóz, jak każe prawo. Nic ci do naszego nieszczęścia! Poradziliśmy z nim sobie sami, choć nie było to łatwe. Posłuchaj rady starszych i mądrzejszych od siebie. Odejdź stąd. Nie mąć więcej, nie podżegaj, nie siej niepokoju w sercach dobrych ludzi. Bo kto wie, jaki plon z tego zbierzesz.

Gniewka potoczyła wzrokiem po twarzach zebranych wokół kmieci. Nie była pewna, jakie wrażenie wywarły na nich słowa starosty. Gapili się na nią. A pod wpływem ich spojrzeń robiło jej się jakoś źle, jakoś duszno. Ogarnęła ją szalona ochota, żeby uciekać.

Zrozumiała, że niezależnie od tego, co sobie myślą zgromadzeni na majdanie ludzie, Radosz zyskał w słownej utarczce przewagę. Ucieczka oznaczałaby poddanie się. Ona zaś nie zamierzała pozwolić mu wygrać. Nie bez walki.

Zdecydowała się więc na atak nieco rozpaczliwy, w ciemno.

– Mir, starosto? – rzuciła, mimowolnie obracając w miejscu Czarnuszkę, który zdawał się wyczuwać niepokój swej pani, bo tańczył i przestępował z nogi na nogę. – Nie ma miru w waszym opolu.

Z ciżby podniosły się jakieś okrzyki. Dziewczyna starała się ich nie słyszeć.

– Mówisz, że sami poradziliście sobie z nieszczęściem? – podjęła głośniejszym głosem, tak że własne słowa kłuły ją w uszy. Donośna mowa zawsze ją drażniła, napełniała niepokojem jak brzęczenie osy. – A co z wilkołakiem?

Spośród kmieci ponownie wyłonił się łysawy człowieczek z Redziszowa.

– Sama mówiłaś, że nie ma wilkołaków! – zawołał.

– Bo nie ma. Kiedy ktoś, kogo znamy, dopuszcza się czegoś potwornego, wymyślamy wilkołaki. Bo nie sposób uwierzyć, że w naszym znajomym, człowieku z krwi i kości, nie z bajęd, mogła taka druga dusza zamieszkać.

– Cisza! – Radosz łypnął gniewnie na gadatliwego sąsiada. – Starczy już tego. Trzeba nam omówić sprawy na jesień, przygotowania do Dziadów. Jeśli zamierzasz trwonić nasz czas głązbami o wilkołakach, których nie ma, dziewczyno...

– Nie chodzi mi o wilkołaki! – przerwała Gniewka z wypiekami na twarzy. – Chodzi mi o strach przed tym, że to może się powtórzyć.

– Wypadki w lesie się zdarzają – odparł starosta. I dopiero po chwili, jakby się zapomniał, ułożył palce w rogi Welesa, aby odczynić zły urok. – A teraz odejść wreszcie i zabierz ze sobą tego wygnańca. Inaczej wiece rozpuszczę i zwołam gospodarzy pod broń. Ciebie przepędzić mi nie wolno, ale jego już tak.

– Chwileczkę – wtrącił się Cieszymir, który dotąd przygryzał wąsy i wodził wzrokiem za tańczącym pośrodku majdanu Czarnuszką. – Nie bądź tak prędki rozpuszczać wiec, starosto. Dziewczyna może mieć rację.

Oświadczenie redziszowskiego sołtysa zaskoczyło Gniewkę dużo bardziej niż Radosza, który zwrócił się ku sąsiadowi z kamiennym obliczem.

– Co prawisz, kumie? – zapytał, ruchem z pozoru niefrasobliwym odgarniając z czoła strąki tłustych włosów.

– Może rzeczywiście mamy pośród siebie zbrodniarza. Należałoby go postawić przed sądem, nie grodzkim, lecz naszym, opolnym. Poprzednio tego nie uczyniliśmy. Zawierzaliśmy wyrokowi, który orzekłeś sam, bez naszego udziału.

– Nie ma tu nad czym sądzić.

– Przeciwnie. – Cieszymir z ponurym wyrazem twarzy skinął Gniewce głową. – Dziewczyna słusznie gada. Czasami trudno nam uwierzyć, że ktoś, kogo znamy, mógłby się dopuścić zbrodni. Więc wymyślamy bajki. O wilkołakach... albo o wilkach.

Wśród kmieci zapanowało poruszenie, a Gniewka nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest świadkiem sceny, która w takiej bądź nieco zmienionej postaci rozegrała się już wcześniej, i to nieraz. Cieszymir i Radosz stali teraz naprzeciw siebie, jeden ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, drugi z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Za plecami redziszowskiego sołtysa pojawiło się dwóch mężczyzn, jeden tak podobny do niego, że mogli być braćmi. Jednocześnie dziewczyna spostrzegła umykającego ku własnej chałupie Chadkę, a chwilę później – Bożyna i Jarosza, Radoszowych synów, którzy przepchnęli się do pierwszego rzędu, choć nie wychodzili na majdan. Jarosz, urodziwszy z braci, trzymał spuszczonego wzdłuż uda topór Grzmibora.

– Co sugerujesz? – zapytał lodowatym tonem Radosz.

– Sugeruję, że twój syn popełnił dokładnie tę zbrodnię, o którą oskarża ciebie. Wywabił mego syna do lasu, zamordował i pozostawił jego ciało na zer wilkom. Jak zwierzę.

Starosta zmienił się na twarzy. Wyszczrzył zęby, purpurowe żyłki wystąpiły mu na policzki. Wyglądało, że rzuci się Cieszymirowi do gardła. Zamiast tego okręcił się ku Gniewce.

– Dość! – szczeptał. – Nie będzie żadnego sądu. Zabieraj go stąd. Słyszysz? Zabieraj, dziewczko przeklęta!

Cieszymir postąpił krok ku Radoszowi. W tej samej chwili Bożyn i Jarosz wyszli przed resztę gawiedzi; ten drugi uniósł na pokaz topór. Gniewka zakłęła w duchu; obiecała, że nie będzie rozlewu krwi. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Rusłan zeskoczył na ziemię.

– Nie! – krzyknął. – Nie! Niech będzie sąd. Cieszymirze, wiesz dobrze, że ja bym Cieszkowi nigdy... nic...

Głos zawiódł młodzieńca, a Gniewka pomyślała z przekąsem, że wybrał sobie wyjątkowo kiepską chwilę, by się wreszcie odezwać. Wyszarpnąwszy włócznię z pęteli, zsunęła się z siodła i wylądowała tuż przy Rusłanie, pomiędzy nim a kipiącym wściekłością Radoszem.

Starosta jednak – ku jej zaskoczeniu – patrzył na syna jakby z obawą. Zamiast przypaść do niego z pięściami, czego się spodziewała, cofnął się o krok, spuścił głowę. Dyszał ciężko.

– Wiem jeno – rzekł tymczasem Cieszymir – że nie można wierzyć w nic, co mówisz. W tobie dwie dusze mieszkają, Rusłanie Radoszowicu. Kładłeś memu synowi do głowy rzeczy, jakich sam by nie wymyślił. Zaraziłeś go swoją nieprawością. A potem... Powiedz. Zabiłeś go, bo nie chciał we wszystkim być ci uległy?

Młodzieniec pochylił głowę – i nagle Gniewka ujrzała w nim młodszą, piękniejszą kopię jego ojca.

– Proszę... Cieszymirze, proszę... – sapnął.

Dziewczynie w pierwszej chwili zdało się, że Rusłan walczy ze łzami. Potem przyszło jej do głowy, że może... może tak naprawdę próbuje pohamować wściekłość. Coś się w nim zmieniło. Wydawał się... większy. Nie. Był większy.

Redziszowski sołtys wydał pogardliwie wargi.

– Nie jesteś człowiekiem takim jak my, Rusłanie – oświadczył. – Jesteś odmieniec.

Młodzieniec drgnął. Gwałtownym ruchem zdarł z siebie połatany z futer i płócien płaszcz, zaraz po nim koszulę. Zrzucił łykowe chodaki, wziął się za ściąganie spodni. Cieszymir na ten widok wykrzywił się z wyraźną odrazą. Radosz postąpił kolejny krok w tył.

– Nie rób widowiska – wymamrotał. Patrzył gdzieś w bok.

Rusłan wnet stanął pośrodku majdanu zupełnie nagi. I wcale nie był drobny i kruchy, jakim widziała go wcześniej Gniewka. Był wielki. Piękny. Piękna była nawet gęsta złota szczecina porastająca mu barki i łopatki, biegnąca wzdłuż kręgosłupa, przez szerokie plecy, ku kształnym, sprężystym pośladkom. Wyglądał jak bóstwo. Jak młody Leszy albo i sam Weles, gdy zalecał się do gładkolicy Jutrzenki.

I tylko głos jego stał się brzydki. Łamał się i grzął gdzieś w gardle, pośród gęstych pomruków, jakby próbowało mówić zwierzę.

– Tak, jestem odmieniec – wydusił. – Tak, mieszkają we mnie dwie dusze. Ale nie zabiłem Cieszka. Uczynił to mój ojciec.

Cieszymir dalej patrzył na młodzieńca niewzruszony, ze skrzyżowanymi rękami. Gniewka pomyślała, że ani on, ani nikt inny na całym majdanie, nie widzi tego co ona. Że Rusłan nadal wydaje im się mały, niegroźny, taki sam jak zawsze. Gapili się na niego bezmyślnie, ze szklistą łuską na oczach. Ślepi.

– Radosz nie kłamał – odezwał się sołtys. – Nie miał powodu, aby zabić mego syna. Musiałby oszaleć.

– Miał powód...

– Dosyć. Dosyć – powiedział Radosz. I dodał niezbyt przytomnie: – Nie będzie żadnego sądu.

Rusłan popatrzył na niego.

– Miałeś powód, żeby zabić Cieszka, i jest to ten sam powód, dla którego ja go zabić nie mogłem. Kochałem go. Kochałem go tak, jak kobieta kocha mężczyznę. Albo bardziej.

Na majdanie na chwilę zapadła cisza. Potem stało się najgorsze, co się mogło stać. Ktoś wybuchnął śmiechem.

Gniewka wykręciła głowę, żeby zobaczyć kto to, i ujrzała Jarosza. Stał zgięty w pół, wsparty na Grzmiborowym toporze, i śmiał się, aż dostał czkawki. Ślina pociekła mu na ubitą ziemię.

Ruszył w stronę Cieszymira, wyciągając przed siebie rękę, jakby chciał go objąć ramieniem.

– Co ty, sąsiedzie, babę chcesz sądzić? Za to, że wystawiła swojego gacha do wiatru? Przecież nas grodowi obśmieją.

Kilku spośród kmieci zachichotało. Ktoś parsknął, ktoś zarżał.

Cieszymir odchylił się niezgrabnie, żeby uniknąć dotyku młodszego mężczyzny. Jarosz tylko wzruszył ramionami.

Starosta tymczasem obrócił się do niego i wycedził:

– Trzymaj pysk, synek!

– Czemu? – Jarosz wędrował dalej, zbliżał się powolutku do Rusłana, obracając toporem niby brzoźową witką. – Czego go bronisz, ojciec? Przyszedł tu i kłamie. My nic z tym nie mamy wspólnego. Dwie baby umówiły się w lesie na schadzkę, pożarły o byle co... Kto wie, co mogło się zdarzyć?

W Cieszymirze coś pękło. Przyskoczył do Radoszowego syna. Jedną ręką chwycił go za ramię, drugą wycelował w Rusłana.

– Mój syn nie był jak... jak... – zaczął, lecz w gniewie tak się nadał, że nie mógł skończyć zdania. – Ten odmieniec go...

– Tak, tak. – Jarosz niedbałym ruchem odtrącił dłoń sołtysa. – Wszyscy wiemy, jak takie rzeczy się odbywają. Synuś twój nieszczęśliwie się potknął, dupsko wypiął, a tak się złożyło, że tuż za nim...

– Trzymaj pysk! – ryknął Radosz i trzasnął młokosa otwartą dłonią w twarz.

– Rety, ojciec... – burknął tylko Jarosz.

Przez majdan przetoczył się pomruk. Rubaszny, niefrasobliwy. Buchającą z kmieciów wesołość Gniewka odczuła niczym żar. Na myśl przyszedł jej pożar lasu. Pojedyncze śmiechy – pierwsze płomienie. Szmer głosów – wiatr. A potem już tylko ryk, ryk żywiołu, ogłuszający tak, że w głowie się kręciło.

Czego się śmieją? – pomyślała. Czego się śmieją?

– Won! – wrzasnął Radosz, tocząc wkoło wytrzeszczonymi oczyma.

W tej samej chwili Cieszymir zostawił Jarosza i przypadł do Rusłana.

– Ścierwo! – krzyczał. – Z mojego syna! Z mojego syna chciałeś kurwę zrobić!

Gniewka spróbowała wejść między nich, ale w tym zgiełku, w tym huku, źle wyczuła moment. Rusłan, odruchowo się cofając, pchnął ją na Czarnuszkę. Koń się spłoszył, zatańczył. Jarosz ustąpił na bok. Radosz rzucił się do przodu.

Nie widziała, co się stało. Coś trzasnęło, ktoś charknął. Gdy odzyskała równowagę i mogła się rozejrzeć, Cieszymir leżał już w pyłe. Dławił się, kopał ziemię nogami; dłońmi próbował powstrzymać krew buchającą z gardła, które wyglądało, jakby rozorały je pazury niedźwiedzia.

A tłum dalej ryczał śmiechem. Takiego śmiechu nie da się powstrzymać.

– Ostaw, synek! – darł się Radosz, zawieszony na ramieniu Rusłana.

Młodzieniec pchnął starostę tak, że ten zwałił się na dupę, grzmotnął o pieńek pośrodku majdanu, fiknął kozła i nakrył się niegodnie nogami.

– Dosyć tego – powiedział Jarosz z niesamowitym jakimś spokojem. I uniósł topór.

Rusłan chwycił stylisko w połowie ciosu. Szarpnął. Wyrwał bratu broń. Uderzył najpierw od lewej, obuchem, potem od prawej. Szerokie żeleźce rozplatało szyję, zgruchotało obojczyk i wgrzyzło się w ciało aż po kark. Jarosz nawet nie kwęknął. Zwałił się na ubity piach.

Do Rusłana podbiegło dwóch towarzyszy Cieszymira. Pierwszemu z nich młodzieniec zgruchotał żuchwę. Drugiego rąbnął toporem w brzuch.

Śmiech nadal nie cichł, zaczął się jednak przepoczwarzać. W rzeczy samej bardzo cienka jest granica pomiędzy śmiechem a wyciem. Ci z tyłu myśleli jeszcze może, że to wszystko żarty, jakieś widowisko, bójka. Tym z przodu jednak – Gniewka była tego pewna – łuski opadły wreszcie z oczu i dostrzegli pośród siebie przepięknego potwora, który się z tego ich śmiechu podłego, głupiego, pustego narodził. Zaczęły się przepychanki. Jedni chcieli uciekać, drudzy parli naprzód.

Sama dziewczyna zastygła w niepewności. Nie wiedziała, czy powinna bronić Rusłana przed innymi, czy też innych przed nim. Mięśnie zadecydowały za nią: ani tak, ani tak. Z niejakim wstydem, zamiast ruszyć naprzód, z całych sił uczepiła się spłoszonego Czarnuszki. Śmiertelnie się bała, że mógłby znowu jej uciec.

Rusłan tymczasem podszedł do drugiego ze swych braci, przygłupka Bożyna. Zawahał się na mgnienie oka. Potem uderzył niedbale toporem – rzekłby ktoś: odganiał muchę. Bożyn upadł. Chwilę gapił się na kość wystającą z rozciętego rękawa koszuli. Potem zaczął krzyczeć. Jego prawe ramię wisiało przed nim jak coś obce, przytrzymane jedynie płatem skrwawionego lnu.

Ludzie rzucili się do ucieczki. A Gniewka myślała: Jezukryście, co robicie? Biegnijcie do lasu!

Bo zamykali się w chatach.

– Rusłan! – zawołała ile sił w płucach, aż ją w gardle szarpnęło.

Nawet się nie obejrzał. Drzwi do domu Chadki obalił dwoma, trzema kopniakami. Zniknął na chwilę. Wrócił ubabrany krwią.

– Rusłan! – krzyknęła ponownie Gniewka. Czarnuszko o mało nie wyrwał się z jej uścisku. – Stój, głupi. Stój. Stój.

Dziewczyna zawahała się na jedno uderzenie serca. Potem rzuciła na bok włócznię, puściła wodze, wyszarpnęła spod siodła łuk i parę strzał z tuła przy jukach.

Odbiegła na kilka kroków od konia.

– Rusłan!

Młodzieniec się nie obrócił.

Gniewka nałożyła strzałę na cięciwę, przymierzyła. Strzelała niechybnie. Grot uderzył dokładnie tam, gdzie chciała: w sam środek łopatki, w grubą kość oplecioną mocnymi mięśniami. Chciała zranić, nie zabić.

Rusłan się potknął. Odwrócił. I już pędził ku niej. Szybciej niż jakikolwiek człowiek.

Dziewczyna jednym płynnym ruchem przyklęła, odłożyła łuk, uniosła porzuconą wcześniej włócznię. Szykowała się na uderzenie. Jakby szarżował na nią dzik.

Rusłan zahamował gwałtownie. Coś wyjrzało na chwilę zza jego oczu. Gniewka mogłaby przysiąc, że młodzieniec się kurczy, by zaraz znowu urosnąć.

Zaskamlał całkiem jak ranny pies, przeschorował kolanami po ziemi, zakręcił, wybił się z rąk i nóg... i pognał w las.

*

Było z tego mnóstwo płaczu i mnóstwo strachu. Ktoś stratował dziecko. Mówili, że zabił je wilkołak, ale Gniewka widziała, że Rusłan nawet się do niego nie zbliżył.

Nie żeby robiło to wielką różnicę. Zamordował Chadkę, jego żonę i trójkę dzieciaków. Zamordował swego rodzonego brata. Drugi stracił ramię i leżał teraz w gorączce, majaczył, płakał i wołał zmarłą matkę. Nie żyli Cieszymir i jeden z jego krewniaków. Rannych było dużo – głównie ofiar bezmyślnej ucieczki.

Gniewka została, aby pomóc się nimi zająć. Żyjąc w lesie, chadzając z ojcem na łowy, widziała różne rany.

Gdybym mu nie przerwała, pozabijałby ich wszystkich, myślała, chodząc od chałupy do chałupy, od sioła do sioła. Nie była pewna, czy współczuje kmiociom; pamiętała ten śmiech na majdanie. Ale wiedziała, że tak nie można. I że to ona jest winna przelanej krwi. Bo chciała się pomścić na Radoszu – jak trafnie odgadł Rusłan – a także dlatego, że uparła się za wszelką cenę odkryć prawdę.

Której zresztą nadal nie знаła.

Dostrzegła za to przewrotność losu wplecioną w wydarzenia minionych dni i tygodni. Radosz, obawiając się, że ktoś z zewnątrz, obcy, zacznie węszyć wkoło opola, wyprowadził ją na bagna, próbował zastraszyć – i nieświadomie zawiódł wprost do syna, którego istnienie najchętniej skryłby przed całym światem.

Próbowała wycisnąć ze starosty, co tak naprawdę się stało z Cieszkim. Podeszła do niego, nim jeszcze opadł pył, tuż po tym, jak Rusłan uciekł w las. Starzec leżał wsparty jedną ręką o pniak, drugą trzymał się za pierś. Zipał ciężko, był czerwony na twarzy i pot wystąpił mu gęsto na czoło.

– Co takiego zdarzyło się nad Skawiną, starosto? – wyrzuciła z siebie dziewczyna, szarpiąc Radosza za przód kabata. – Coście mu zrobili?

– Boli... – wycharczał tylko. – Bardzo boli... w piersi gniecie...

Odwiedziła go następnego dnia. Siedział na narach blady, zapadnięty w sobie, okutany futrami, jakby był środek zimy. Kaszłał ciężko i nie mógł złapać tchu.

– Co się stało nad Skawiną? – zapytała ponownie Gniewka. – Czy Rusłan naprawdę zamordował Cieszka?

– Cieszka... zagryźli... wilcy... – odparł z ponurą zaciętością Radosz.

Dziewczyna nie dawała za wygraną. Przyszła do niego ponownie wieczorem. Starosta majaczył, trawiła go gorączka.

Nie poznał jej. Powiedział:

– Zawołaj mi Jarosza, Bożyna, Rusłana... moich chłopców...

A potem:

– Cieszy... Cieszymir... dostał za swoje, ha... Było... było pchać nos...

I gadał jeszcze różne rzeczy, oderwane od siebie, nieskładne. Bełkotał i majaczył, przeklinał, chichotał, wyrzekał na zepsucie świata.

– Cieszko zawsze był odmieniec... Mojego chłopca... mojego chłopca... Ale Rusłan jest twardy. Jak ja. Jak jego tatko.

Po tym ostatnim zdaniu zamilkł na długo; wyglądało, że zasnął. Później jednak odezwał się jeszcze, po raz ostatni:

– W moim chłopcu... w moim chłopcu to jest tamtego dusza. Cieszka. Musiałem go chronić. Cieszko... by go zepsuł. Wiesz, synek, musiałem cię chronić.

Gniewka patrzyła na umierającego starca z odrazą. Kłamstwa, myślała. Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. Więcej kłamstw. Wobec siebie, wobec wszystkich. Same kłamstwa. Nie można tak żyć.

Wyszła. Noc spędziła w szopie, z Czarnuszką. A rano powiedzieli jej, że Radosz umarł.

*

Przez całą drogę myślała o ojcu. A dokładniej o tym, że prawie nigdy nie widziała go smutnym. I nie chodziło bynajmniej o to, że był wielkim, silnym chłopem, któremu smutnym być nie wypada. Nie wstydził się jej tatko swej czulszej strony; miał wiele zrozumienia dla różnych stworzeń świata. Potrafił się z żebrakiem na ławie przed dworem tynieckiego grodzierzcy albo pod krakowską katedrą i gadać jak ze starym druhem. Nie twarde serce chroniło go więc przed smutkiem, lecz przekonanie, że trzeba przyjmować wszystko, co da Dola, i nie tracić czasu na narzekania i żale.

„Jest, jak jest” – powiadał czasem, może niezbyt odkrywczco, ale z przekonaniem.

I tylko raz, może dwa razy w życiu Gniewka zauważyła, że kiedy wypowiadał te słowa, jego oczy mówiły: „Jest, jak nie powinno być”.

Mieli kiedyś psa. Nie za dużego, lecz bardzo dzielnego, z grzywą, spod której ledwo wyzierały oczy, i pyskiem jak siwy wąsacz. Pewnego dnia starł się z lisami, które próbowały się zakraść do kurnika. Jednego zadusił, dwa pozostałe pokąsały go i czmychnęły. Przyszedł do domu skrwawiony i bardzo z siebie dumny.

Ojciec przez kilka dni przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem, radził o czymś ze starą Tepichą. Aż wreszcie wziął psa i wyszedł z nim do lasu; Gniewce nie pozwolił iść. Wrócił sam, a biedna Tepicha przez trzy dni nie mogła przestać ryczeć.

– Jest, jak jest – powiedział córce.

Gniewka, zagłębiając się w nadskawińskie mokradła opodal Kuroseków, doszła do wniosku, że czuje się teraz tak, jak on musiał się czuć wtedy. Łudziła się jeszcze, że może nie wróci z wyprawy sama, choć nie miała

pojęcia, jak niby sprawy miałyby się potoczyć później. Przywiezie ze sobą Rusłana, mordercę dzieci... i co?

– Co mam zrobić, Czarnuszko, co? – zapytała na głos.

Koń prychnął, przystanął. Nie prowadziła go już od jakiegoś czasu; wodze trzymała luźno, nie dawała łydki. Uniosła głowę, rozejrzała się. Znajdowali się już niedaleko ścieżynki prowadzącej do Rusłanowego szałasu, a Czarnuszko najwyraźniej nie palił się, by iść dalej.

– Może i słusznie. Zostań tutaj.

Gniewka ześliznęła się na ziemię, wzięła łuk, włócznię. Następnie zabezpieczyła wodze wierzchowca i ruszyła między rozlewiska. Po kilku krokach coś trzasnęło jej pod stopami – patyk. Jednocześnie uszu dziewczyny dobiegł jęk. Jeden, drugi, trzeci, coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywe, aż przeszły w płaczliwe okrzyki jakby zagniewanego dziecka.

Znała ten głos. Wypatrzyła pośród zarośli czarny łebek bobra – dokładnie w chwili, kiedy zwierzątko, odkrzyczawszy trwogę, plasnęło do wody.

Boi się ludzi, pomyślała.

W zadumie podeszła na skraj rozlewiska i chwilę patrzyła za niewyraźną strzałką mknącą ku szuwarom przy przeciwnym brzegu. Oczywiście nie było nic dziwnego w tym, że bobry bały się ludzi. Niezwykłe było raczej to, że nie bały się Rusłana. I, przez krótką chwilę, także jej samej, Gniewki.

– Wy wiecie, kto zabił Cieszka, prawda? – odezwała się szeptem, prawie bezgłośnie.

Zmarszczyła brwi. Przez głowę przebiegł jej ciąg myśli – nieco bezładnych. Wilki. Bobry boją się wilków. Wyczuwają ich zapach bezbłędnie, bo wilki obsikują dolne części pni, te same, które bobry mają w zwyczaju obgryzać.

„Watahę wilków trudno przegapić – pouczał kiedyś tatko. – Patrz po korze. Widzisz? Uschnięty mech. Tak wysoko, jak wilk zdoła zadrzeć nogę. Zaszczany na śmierć”.

„Zaszczany na śmierć” – rozchichotała się wówczas mała, może siedmioletnia Gniewka.

Przy starym żeremiu mech na drzewach był zdrowy. Sprawdziła to w pierwszej kolejności, bo musiała ustalić, czy bobry zostały przepłoszone przez ludzi, czy przez dzikie zwierzęta. A zatem Radosz kłamał. Gdy zginął Cieszko, w pobliżu nie było wilków. Trupa musiały poobgryzać mniejsze

zwierzęta – lisy i kuny – zbyt małe, aby rozedrzeć ciało na strzępy, choć ślady ich zębów wystarczyłyby, aby ukryć ciosy topora.

Chyba że młodzika rzeczywiście rozszarpał wilkołak. Który rozbił też żeremie? Po co? Nie dość mu było mięsa? Ale przecież żadnego bobra nie upolował, zliczyła je osobiście.

Ni z tego, ni z owego dziewczynie przypomniał się Chadko. Jak czmychał z majdanu. A stwór, w którego przemienił się Rusłan, poszedł za nim. To Chadko sprzedał jej bajkę o wilkołaku. Czy możliwe, że wiedział coś o sprawie – coś, ale nie wszystko? I rozbił żeremie, aby inni kmiecie łatwiej uwierzyli jego głędźbie?

Bobry uciekły od zapachu przemocy i ludzkiej krwi, pomyślała dziewczyna. Tak jak teraz. Śmierdzą wciąż krwią rannych, zaduchem zamkniętych izb. A Rusłan śmierdzi krwią zabitych. Więc bobry nie czują się już bezpieczne. Uciekają. Ale po tym, jak zginął Cieszko, przyszedł tutaj. Przyszedł do Rusłana.

– Wy wiecie, że to nie on go zabił – szepnęła Gniewka.

Obróciła się i ruszyła ścieżką ku szałasowi. Po kilkudziesięciu krokach wzrok dziewczyny przyciągnął błysk żelaza pośród zdeptanych paproci. Gdy podeszła bliżej, ujrzała wgnieciony w błoto topór Grzmibora. Na ostrzu widniały już pierwsze plamki rdzy.

Przez chwilę się wahała, czy podnieść broń; sądziła, że na nią zasługuje. Wtem powiał wiatr i, tak jak w domu, poczuła na sobie jego ciepło niby dotyk dłoni.

Ojciec był blisko.

– Jestem z tobą – powiedziała sobie, za niego. – Idź, zrób, co musisz. To twoja odpowiedzialność, choć nie twoja wina.

Podniosła więc topór, zatknęła go za pas i pomaszerowała dalej. A gdy tak szła, przyszło jej do głowy, że Rusłan nie ma wcale dwóch dusz, lecz całe mrowie, pogrupowane parami: duszę leśnego stworzenia i polnego człowieka, kobiety i mężczyzny, swoją i ojca.

Tylko czy nie jest aby tak, że takie mrowie dusz to ma każdy człowiek? – zapytała w myślach. Która więc czyni go odmieńcem?

Droga do szałasu wydała jej się o wiele krótsza, niż zapamiętała. Ani się obejrzała, a już rzedły drzewa, otwierała się polana. Lada moment ujrzy palenisko. Może wciąż jeszcze wisi ta płachta, pod którą przed deszczem chronił się Czarnuszko.

I nagle uświadomiła sobie, że jeśli zobaczy Rusłana i usłyszy jego głos, nie zdoła spełnić tego, co zamierzyła. Potwora mogłaby zabić. Chłopca o wielkich oczach, tak kruchego, że prawie go nie ma – nie.

Ale może Rusłan wiedział, że tak będzie. Może na nią czekał.

Bo nie dał jej wyboru.

Pośród krzaków coś trzasnęło, furknęło gwałtownie. Na Gniewkę runęła ogromna muskularna postać. Bez ryku, choć coś ryczało w głowie Gniewki. Zadziałała odruchowo. Tatko dobrze ją wyuczył, jak się zachować w razie ataku niedźwiedzia. I nieważne, że jej rozum wiedział, że to skoczył na nią człowiek. Ciało zrobiło swoje. Nogi zaparły się w rozkroku, miękkie w kolanach, twarde w stopach. Dłonie ujęły mocno drzewce włóczni. Ramiona się podkurczyły, lewe podane lekko do przodu, prawe, silniejsze, odrobinę cofnięte; łokcie nie za sztywno, inaczej niedźwiedź połamie ci rękę.

Grot ugodził Rusłana pod lewą pierś, minął serce, rozdarł płuco i zatrzymał się przy łopacie. Dobrze. Nie może przejść na wylot, inaczej niedźwiedź cię dosięgnie.

Gniewka wsparła koniec włóczni o ziemię – nie za mocno, bo mogłoby pęknąć drzewce. Przytrzymała broń lewą ręką, a prawą sięgnęła po topór. Wyciągnęła go płynnie, bez szarpania. Wzięła staranny zamach i spuściła żeleźce na kark młodzieńca. Celnie. Odrobinę za mocno, bo pod wpływem wstrząsu włócznia ułamała się tuż przy grocie.

Rusłan upadł. Drżał jeszcze, ale tak naprawdę już nie żył, choć nie pojęło tego jego ciało.

Zabiłam go, pomyślała Gniewka ze spokojem, od którego zrobiło jej się niedobrze.

Cofnęła się o dwa kroki i usiadła ciężko na wilgotnej ziemi. Wtedy jej uszu dobiegł przeciągły syk. Rusłan znieruchomiał, a z jego bezwładnych członków uniosła się para. Gniewka potrzebowała chwili, żeby uświadomić sobie, co to był za odgłos. Ostatnie tchnienie. Ostatnie tchnienie, wraz z którym uszła z niego dusza. Jedna? Dwie? Wszystkie jego dusze?

Ta, która czyniła go odmieńcem?

A może odmieńcem wcale nie był? Czy którakolwiek z jego wielu dusz czyniła go innym od niej?

KONIEC

Grzegorz Gajek, 5.10. A.D. 2022, o godz. 13:53:06



Grzegorz Gajek – życie dla Grega Gajka zaczyna się latem 1987 roku. I jest proste. Co warto? Warto czasem wypalić fajkę na balkonie, warto napić się wina z przyjaciółmi, warto poopowiadać głupoty przy ognisku, warto wleźć na jakąś górę i zgubić się w lesie, i pętać po uliczkach w obcym mieście. Warto też mieć książki. Czytać je, pisać, tłumaczyć. Tym właśnie Greg zajmuje się od dziesięciu lat. Pisze horrory (*Szaleństwo przychodzi nocą*, *Malowidło*, *Ziemia nieświęta*) i powieści słowiańskie (*Biała wieża*, *Miecz Lelka*). Tłumaczy m.in. reportaże i opowiadania dla „Nowej Fantastyki”. Czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce.

Tomasz Żak

Osobliwy przypadek Anny Nowak

Anna Nowak wyglądała na najbardziej pospolitą osobę na świecie. Wszystko w niej było pospolite, zaczynając do imienia i nazwiska. Jej twarz miała tak powszechne rysy, że każdy, kto mijał Annę Nowak na ulicy, po kilku chwilach zapominał o jej istnieniu. Kobieta ubierała się w najpopularniejszych i najtańszych sieciówkach, nosiła najzwyczajniejsze w świecie okulary, a tatuaże na jej rękach wyglądały jak tysiące innych wzorów noszonych na skórze przez miliony innych ludzi. Annę można było zarejestrować tylko wtedy, kiedy się zapomniała i uśmiechając się, pokazała zęby. Zepsute, z brzydkim, żółtobrazowym nalotem. Wtedy i tylko wtedy można było myśleć o Annie Nowak dłużej niż przez kilka sekund.

Jej rodzice, Jan i Maria, byli beneficjentami zmian ustrojowych w Polsce, zaczęli od handlu pirackimi kasetami magnetofonowymi na pospolitym straganie na pospolitym targowisku w pospolitym powiatowym mieście. Po kasetach przyszedł czas pirackich gier na pegasusa, potem gier na płytach kompaktowych, aż w końcu zarobione pieniądze zainwestowali w dwie budki z kebabami i zaczęli sukcesywnie rozwijać swój biznes.

Rodzice zawsze chcieli, żeby Anna kiedyś przejęła kebabowe imperium. Już od małego wybijali jej z głowy różne typowo dziecięce pomysły o zostaniu policjantką, piosenkarką czy księżniczką. Marzyła o pięknych balowych sukniach, przystojnym księciu w niesamowicie wielkim zamku o setkach komnat, w których mieszkają nie tylko oni, lecz także służba.

– Córciu kochana, musisz zacząć twardo stąpać po ziemi – tłumaczyła jej zatroskana matka. – Księżniczki istnieją tylko w bajkach. Ty, Aneczko, zostaniesz królową!

– Królową, mamusiu? – zapytała podekscytowana dziewczynka. – Taką prawdziwą?

– Tak, moja najpiękniejsza. Prawdziwą królową kebabu! Odziedziczysz po nas wszystko, cośmy zbudowali tymi rękami! – powiedziała Maria, pokazując jej dłonie, miękkie i różowe jak kocie poduszeczki.

Anna Nowak była zdziwiona. Nigdy w swoim krótkim życiu nie widziała, żeby matka splamiła wypielegnowane dłonie jakąkolwiek pracą, a co dopiero budowaniem! Rodzicielka brzydziła się brudu, kurzu, smrodu i bałaganu, a dziewczynka widziała przecież, że kiedy robotnicy budowali ich dom, zawsze byli cali umorusani.

Matka zarażała Annę pedantyzmem już od momentu, kiedy mała zaczęła stawiać pierwsze kroki. „Nie!”, „Zostaw!”, „Odłóż to na miejsce!” – te słowa najczęściej słyszała Anna Nowak w wieku dwóch lat. Później miało to zostać jej przekleństwem.

*

Anna Nowak edukację zaczęła dopiero od zerówki, jej matka nie chciała nawet słyszeć o przedszkolu. Dziewczynka z kolei nie miała ochoty opuszczać domu i spędzać czasu z jakimiś obcymi dziećmi. W wieku sześciu lat nie miała więc żadnych znajomych. Nie była to do końca jej wina. Ojciec zajęty był wówczas franczyzowaniem kebabowych budek i nie miał dla Anny dość czasu, Maria Nowak natomiast od zawsze wmawiała córce, że jest lepsza od innych dzieci, najpierw tych z osiedla bloków, później z domków jednorodzinnych. Inne dzieci nie były przecież tak ładne, inne dzieci nie były tak mądre, inne dzieci nie miały takich ekstrarodziców. Inne dzieci nie dostawały tak dużego kieszonkowego. Inne dzieci były po prostu uszyte z materiału dużo gorszej jakości niż Anna Nowak. One były z targowej jakości sztruksu, Anna Nowak z jedwabiu morskiego.

Zerówka szybko zweryfikowała różnice między dziewczynką a jej rówieśnikami. Przez to, że zadzierała nosa i zachowywała się jak rozwydrzona dama, po kilku dniach nikt nie chciał z nią rozmawiać, bawić się ani nawet siedzieć przy jednym stoliku. Nauczycielka musiała przekupywać wychowanków cukierkami, by chociaż czasem się do Anny odezwały. Było jej żal małej Ani. Do czasu, aż mała Ania nie pokazała swojego zepsutego do szpiku kości charakteru. W domu powiedziała, że to właśnie nauczycielka namawia innych zerówkowiczów, żeby stronili od Ani.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Maria. – Ale dlaczego to robi?!

– Bo ty, mamusiu, masz ładniejsze sukienki. I futro z lisa! Słyszałam, jak mówiła, że ci zazdrości.

Maria Nowak, wściekła jak osa, zrobiła w przedszkolu olbrzymią aferę. Ponieważ dyrektorka nie do końca chciała uwierzyć, że jej najlepsza pracownica mogłaby zrobić coś takiego, tego samego dnia Maria pojechała na skargę do burmistrza. Włodarz miasta, kolega Marii z liceum, żeby nie mieć z tym więcej nic wspólnego, od razu zadzwonił po odpowiednich urzędników. Naczelniczka wydziału edukacji doprowadziła do żenującej konfrontacji Marii i nauczycielki i wymusiła na tej drugiej przeprosiny. Do końca roku przedszkolnego wychowawczynie odzywała się do Anny Nowak tylko wtedy, kiedy naprawdę musiała.

*

Po ukończeniu zerówki dziewczynka była już więcej niż pewna – wszyscy zazdrozczą jej wszystkiego. Dzieci od niej stroniły, bo to ona miała markowe rzeczy, a nie chińszczyznę z lokalnego targowiska. To jej mama wyglądała jak prawdziwa dama, nie ich zapuszczone matki-wieśniaczki. To jej tata był prawdziwym mężczyzną z nowym samochodem, podczas gdy ich ojcowie jeździli maluchami po dziadkach. Do podstawówki poszła przekonana o większej mądrości swoich przyszłych kolegów. Chciała, żeby zobaczyli, jaka jest naprawdę. I zobaczyli, tylko nie to, na co liczyła.

Anna Nowak zasiadła w pierwszej ławce, w rzędzie pod oknem, tak żeby mogła ją ubóstwiać nie tylko cała klasa, lecz także jej nowa nauczycielka. Ania uwielbiała mówić, jako jedyna ze wszystkich dzieci nie czuła żadnej tremy, wychodząc na środek sali lekcyjnej. Problemem było jednak to, że chciała mówić tylko o sobie. Komunikat był jasny i prosty: ja. Ja jestem. Ja jestem najważniejsza. Szybko zyskała łątkę klasowej, a niedługo również szkolnej, chwalipięty. Nikt nie chciał z nią pracować w grupie, nikt nie zapraszał jej do siebie, nikt nie chciał mieć z nią zbyt wiele wspólnego. A im bardziej ją ostracyzowano, tym bardziej rosło w niej wyspane z mlekiem matki przekonanie o własnej wielkości.

Drogi Pamiętniczku,

Dziś Kaśka powiedziała mi, że na pewno nikt mnie nie zaprosi na szkolną dyskotekę, bo jestem wstrętna i zarozumiała. Chyba sama jest, głupia mała. To jej nikt nie zaprosi, bo ma za długą szyję i mówi za szybko. Żaden chłopiec by jej nie chciał nawet znać. Mnie na pewno zaprosi Robert, jest najfajniejszy i najładniejszy w całej szkole. Dzisiaj się do niego uśmiechnęłam, ale chyba nie zauważył. Pójdę z nim na dyskotekę

i będziemy tańczyć wolne tańce, a Kaśka niech siedzi z mamą w domu i ogląda Klan.

Tak brzmiał jeden z wpisów Anny Nowak do pierwszego z wielu jej pamiętników. Skreśliła go w czwartej klasie, używając czerwonego długopisu, a imię chłopca swoich marzeń podkreśliła odblaskowym pisakiem. Na dyskotekę ostatecznie nie poszła, wstydziła się, a żaden chłopak jej nie zaprosił. Boski Robert tańczył wolne tańce z długoszyją i mówiącą za szybko Kaśką, a Anna Nowak siedziała w domu z matką i zajadając się keczupowymi maczugami, oglądała nowy odcinek *Klanu*. Było jej przykro, że Robert okazał się takim samym ignorantem jak cała reszta bachorów ze szkoły. Wszyscy byli ślepi na jej blask, nie widzieli, jaka jest wyjątkowa.

Prawda była jednak taka, że Anna Nowak absolutnie niczym się nie wyróżniała. Uczyła się nieźle, ale daleko jej było do klasowych prymusów. Na wychowaniu fizycznym radziła sobie nieźle, nigdy jednak nie pojechała na jakiegokolwiek zawody, nie zdobyła żadnego medalu. Dziewczynka nie miała też absolutnie żadnych zainteresowań ani umiejętności do szlifowania.

*

Przełom w życiu Anny Nowak nastąpił, kiedy poszła do gimnazjum. Jej rocznik był pierwszym, który musiał się zmierzyć z nowym tworem edukacyjnym, a chaos temu towarzyszący w niczym nie pomagał. Anna Nowak trafiła do szkoły, w której większość młodzieży miała zostać przyszlą elitą miasta. Córki burmistrzów, synowie dyrektorów. I ona, dziedziczka kebabowego imperium. Od pierwszego dnia stała się wyrzutkiem, odmieńcem. Koleżanki i koledzy podchodzili do niej i wachając, krzyczeli, że śmierdzi brudnym ciapakiem. Rzucali w nią plasterkami szynki wyciągniętymi z kanapek. Koleżanki z klasy nie były lepsze. W rękawie kurtki Anny Nowak znalazła się kiedyś brudna szczotka do toalety.

To wtedy w dziewczynce zaczęło coś pękać. Nocami zastanawiała się, czy mamusia na pewno miała rację. Może mówiła te wszystkie rzeczy tylko po to, żeby jej jedyna córeczka poczuła się miło? Może Anna wcale nie była tak wyjątkowa? Przecież w klasie praktycznie wszyscy byli od niej

bardziej wybitni i unikatowi. Zdobywali lepsze oceny, a po lekcjach grali na instrumentach albo spełniali się w sporcie. Nie mogąc spać, myślała, co z tym wszystkim zrobić. Teraz była trochę mądrzejsza niż w zerówce i wiedziała, że jeśli wszystko opowie mamie, to w szkole będą ją nękać jeszcze bardziej. Żeby poczuć się ze sobą lepiej, powinna samodzielnie podjąć jakieś działania. W końcu wpadła na pewien pomysł, ale z jego realizacją musiała poczekać, aż dostanie promocję do drugiej klasy.

Na dwa miesiące letniej przerwy pojechała z rodzicami do Stambułu. Jej ojciec spędzał czas na chodzeniu po restauracjach, gdzie łamanym tureckim z kieszonkowych rozmówek próbował podpytywać kebabowych wirtuozów o tajniki ich profesji. Maria wygrzewała się na plaży Florya, podziwiając nagie torsy lokalnych ratowników. Anna Nowak już po tygodniu nudziła się jak mops. Denerwowało ją gorąco, denerwował ten dziwny język, a przede wszystkim denerwowało ją to, jak zakończył się trzeci tom przygód czarodzieja z błyskawicą na czole, który kartkowała już chyba piąty raz. Wieczorami grała z rodzicami w tysiąca, w myślach kreśląc plan, co zrobi, kiedy wakacje dobiegną końca.

*

Pierwszego września, podczas rozpoczęcia roku szkolnego, przystąpiła do polowania. Wzrok miała niczym sokół wypatrujący zdobyczy. W końcu ją ujrzała – małą, drobną i przestraszoną.

Anna Nowak swój plan wdrożyła w życie już następnego dnia.

– Przyjdźcie o jedenastej czterdzieści pięć do toalety na piętrze – powiedziała koleżankom z klasy.

– Ale po co? – zapytała jedna z nich.

– Przyjdźcie! Nie pożałujecie. To będzie lepsze niż *Big Brother*!

Podczas długiej przerwy biegała po boisku i szkolnych korytarzach w poszukiwaniu upatrzonego celu. Pierwszoklasistka, mieszkająca we wsi, tuż pod miastem, w którym znajdowała się szkoła, sprawiała wrażenie przytłoczonej liczbą dzieci w budynku. Nawet nie zauważyła nadciągającej starszej dziewczyny. Anna Nowak złapała ją za plecak i siłą zaciągnęła do toalety. Kiedy upewniła się, że w pomieszczeniu są wszystkie koleżanki z klasy, chwyciła przerażoną pierwszoklasistkę za włosy i wkładając w to całą siłę, wpakowała jej głowę do muszli klozetowej, a następnie szybko nacisnęła spłuczkę. Córki burmistrzów, dyrektorów, prezesów ryknęły

śmiechem, a po chwili dołączyła do nich Anna Nowak. Śmiała się szczerze – poczuła, że właśnie zaliczyła awans. Nie była już na samym końcu łańcucha pokarmowego.

Anna Nowak przez całe gimnazjum wykazywała się niezwykłą kreatywnością w wymyślaniu kolejnych sposobów na to, żeby zamienić życie Żaby w prawdziwe piekło. Żaba, bo takie przezwisko dostała młodsza dziewczyna z uwagi na szeroko rozstawione oczy, opuszczała tyle dni szkolnych, ile tylko mogła. Anna Nowak jawiła jej się jako demon, południca, która wyrwała się z konwencji i polowała na nią, nie zważając, jaka jest pora dnia. Była jej oprawcą na pełny etat, prezentującym nierzadko brutalne sceny swojemu audytorium. Przyszła elita miasta może i nie była wybredna, ale potrzebowała stałego dopływu rozrywki. Krótkich pętli sprzężenia zwrotnego napędzanych dopaminą. Dopóki Anna Nowak dostarczała igrzysk, dopóty była bezpieczna, a przynajmniej tak się czuła.

Po napisaniu testów gimnazjalnych – była pewna, że uda jej się osiągnąć wynik co najmniej osiemdziesięciu pięciu procent – przyszedł czas na jej *coup de grâce*. Żaba miała piękne, długie włosy sięgające aż do pasa, często związane w koński ogon. Ostatniego dnia szkoły Anna Nowak wzięła ze sobą nożyczki oraz maszynkę do włosów ojca. Upolowała Żabę, a elitarna gawieź po raz pierwszy aktywnie uczestniczyła w torturach. Córka burmistrza, która w przyszłości miała zostać dyrektorką w chińskiej fabryce, przytrzymała wymachującą rękoma Żabę, a kiedy zaszczała dziewczyna ją uderzyła, napastniczka walnęła dwa razy mocniej.

– Proszę, nie – powiedziała skulona Żaba, patrząc na swoje oprawczynie z resztkami nadziei w oczach.

Wtedy Anna Nowak poczuła żal i smutek. Przez skrawek chwili, nienazywalną jednostkę czasu, widziała w tych oczach siebie. I chyba właśnie to sprawiło, że ruszyła na Żabę z jeszcze większą wściekłością niż zwykle. Brutalnie złapała ją za kucyk i kilkoma ruchami nożyczek pozbawiła jedyne powody do dumy. Maszynka do włosów zagłuszała szlochanie dziewczyny, a kiedy Anna Nowak skończyła fryzjerskie popisy, wpadła na pomysł na jeszcze jedną, ostatnią katuszę.

– Jedz.

– Co? – zapytała Żaba przez łyzy.

– Włosy. Zjedz je. Popijesz sobie wodą z kibla.

Żaba miała zapamiętać dźwięk ich śmiechów już do końca życia.

*

Plan Anny Nowak wykoleił się, kiedy otrzymała wyniki testu gimnazjalnego. Sześćdziesiąt punktów jej nie zadowalało, szczególnie że była pewna swoich – jak się okazało nędznych – umiejętności. W połączeniu z miernymi ocenami nie udało jej się dostać do liceum ogólnokształcącego, którego oboje rodzice byli dumnymi absolwentami. Matka wpadła w furję, ale cała moc jej gniewu wcale nie spadła na córkę, ale na komisję egzaminacyjną. Przecież jej idealny, mądry i piękny aniołek nie mógłby tego tak zepsuć! Kazała córce wystąpić do komisji o wgląd do swojej pracy, ale okazało się, że egzaminatorzy wszystkie punkty podliczyli prawidłowo. Skoro nic nie dało się już z tym zrobić, należało uruchomić plan B.

Rodzice nie chcieli słyszeć o żadnych technikach, w grę wchodziło wyłącznie liceum ogólnokształcące. Skoro Anna Nowak nie mogła uczęszczać do niego w rodzinnym mieście, to będzie jeździć do stolicy najbliższego powiatu. Tam również był ogólniak, na szczęście dla niej, z dużo niższym progiem wejścia. Anna Nowak dostała się do klasy o profilu biologiczno-chemicznym i przez kolejne trzy lata pięć dni w tygodniu wysłuchiwała narzekań matki, jak to musi się teraz dla niej poświęcać i jeździć ponad dwadzieścia kilometrów w jedną stronę. Dziewczynie ten czas minął na nauce. W nowej szkole, w innym mieście, była niczym duch. Wchodziła na lekcje, robiła wszystko, o co prosili nauczyciele, a przerwy spędzała sama, ze słuchawkami na uszach. Poza tym nie chciała zawieść rodziców – miała zamiar dobrze napisać maturę. Owszem, los zesłał jej przyszłość kebabowej dziedziczki, ale to nie znaczy, że nie mogła mieć wykształcenia!

Podczas weekendów Anna Nowak nie wiedziała, co ze sobą zrobić – w liceum nie miała znajomych, a córki burmistrzów i synowie dyrektorów jakoś nie bardzo chcieli mieć z nią cokolwiek wspólnego. Aż nieoczekiwanie, kilka dni przed egzaminami maturalnymi, na Gadu-Gadu napisała do niej przyszła dyrektorka chińskiej fabryki. Jej rodzice, jak co roku, wyjeżdżają na długi majowy weekend, a ona robi imprezę, jakiej jeszcze nie przeżył nikt. Serce Anny Nowak zabiło mocniej. Pomyślała, że może po trzech latach infamii wróci do łask elity, może kiedy wszyscy zaczną studiować, będą spotykać się w knajpach. Rodzice Anny pozwolili

jej pójść pod jednym, jedynym warunkiem. Żadnego alkoholu. Przyrzekła i nie miała zamiaru tego przyrzeczenia złamać.

Gdy zawitała do olbrzymiego domu na przedmieściach, nie знаła większości osób. Przyszła dyrektorka chińskiej fabryki przedstawiła ją znajomym jako „świrniętą sukę, co lubiła wkładać łby do kibla”. Mało kto był tym zachwycony. Po jakiejś godzinie usiadła na kanapie w salonie i już myślała o powrocie, kiedy obok niej zwałił się jakiś chłopak. Cuchnął alkoholem i potem. Już miała zamiar wstać i wrócić do domu, kiedy niesprecyzowana myśl kazała jej na niego spojrzeć. Rozpoznała w nim Roberta.

Robert. Ten, który w podstawówce wybrał długoszyją i mówiącą za szybko Kaśkę. Ten, który wciąż był bardzo przystojny. Patrzył na nią maślanymi oczami, zaczął prawić komplementy. Pierwszy raz w życiu ktoś inny niż rodzice powiedział jej, że jest bardzo ładna. Jego spocone, lepkie ręce zaczęły dotykać ciała dziewczyny. Anna Nowak czuła, jak jej organizm szaleje. Było jej zimno i gorąco jednocześnie, serce waliło coraz mocniej, a oddechy były coraz krótsze i płytsze.

– Na górze jest duże łóżko jej starych – powiedział chłopak. – Z lustrem na suficie, czaisz? Będiesz mogła widzieć, jak cię... – Ostatnie słowo wyszeptał jej do ucha, dotykając małżowiny językiem.

Uśmiechnął się szeroko, wziął ją za rękę i poprowadził, a ona, oszołomiona, ani myślała się opierać. W sypialni całowały się jakieś dwie dziewczyny, ale chłopak szybko się ich pozbył, choć przez chwilę liczył na to, że wszystko może potoczyć się jeszcze lepiej. Rzucił Annę Nowak na łóżko i zaczął się rozbierać. Zostawił na sobie tylko białe, dziurawe skarpetki.

– Pierwszy raz?

Potwierdziła kiwnięciem głowy, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Masz... masz gumkę? – zapytała Anna Nowak. Miała nadzieję, że jej pytanie zabrzmiało odpowiednio poważnie.

– Pogrzało cię? Od tego ma się uczulenie. Zdążę wyciągnąć.

Nie zdążył.

*

Anna Nowak nie potrafiła się skupić na egzaminie. Zamiast zastanawiać się nad tym, jaki obraz siedemnastowiecznych Polaków wyłania się z *Potopu*

Henryka Sienkiewicza, myślami nadal była w tamtej sypialni. Tylko dlaczego Robert nie odpowiadał na jej SMS-y? Dlaczego nie odpisywał na internetowych komunikatorach? Tłumaczyła to sobie tym, że chłopak na pewno jest ambitny (nie był) i mocno przykłada się do egzaminu dojrzałości (miał go w nosie). Po dwóch tygodniach milczenia dziewczyna zdała sobie sprawę, że Robert ją wykorzystał. Nie zezłościło jej to; było jej po prostu bardzo, bardzo przykro.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się w dniu ogłoszenia wyników matur. Anna Nowak ledwo zdała podstawowy polski i angielski. Z biologii uzyskała dwadzieścia trzy procent i może nawet by ją to załamało, ale tego dnia wydarzyło się coś dużo, dużo gorszego. Idąc rano do szkoły, wstąpiła do apteki po pewien przedmiot.

– I co? – zapytała zaniepokojona matka, kiedy siedziały już we dwie w samochodzie. – Zdałaś wszystko? Jakie wyniki?

– Pozytywny – powiedziała wyprana z emocji dziewczyna.

– Ale ile procent?

– Nie wiem. Chyba na sto.

– Córciu, co ty mówisz?! Mój mały geniuszu! No, pokaż, pokaż. Muszę wysłać ciotce Klaudii, jej teta Ewka to pewnie ledwo zdała.

Anna Nowak pokazała matce pozytywny wynik testu ciążowego. Wiedziała, że plan zostania imprezującą nocami studentką w wielkim mieście rozbił się w drobny mak. Wtedy też matka po raz pierwszy i ostatni uderzyła córkę. Przyniosło jej to jakąś perwersyjną przyjemność. Dziwne, tym bardziej że kilka godzin później, kiedy Jan Nowak rzucił się na dziewczynę z pięściami, matka zagroziła mu drogę. Początkowo Anna zaklinała się, że nie powie, za żadne skarby nie powie, kto jej to zrobił. Bo przecież to był gwałt. Musiał być. Ich kochana, mądra, piękna córeczka nie była aż tak nieodpowiedzialna. Dużo szmat chodzi po tym świecie, ale ona nią nie jest. Kiedy ojciec zaczął wykręcać numer na policję, Anna Nowak pękła. Po trzydziestu sekundach od momentu, gdy z ust dziewczyny padło „Robert Kaczmarek”, cała trójka była już w nowym, leasingowanym hyundaiu tucson. Jan dwa razy przejechał na czerwonych światłach i trąbił na wszystkich przechodniów próbujących wejść na pasy. Każde wypowiedane przez żonę „spokojnie” sprawiało, że jego noga stawała się cięższa.

Roberta nie było w domu, grał z kolegami w koszykówkę. Jego rodzice, bardzo zdziwieni wizytą ludzi, których widzieli po raz pierwszy w życiu,

mimo wszystko zaprosili ich do środka. Emocje wzrastały i opadały, pomiędzy mężczyznami doszło prawie do rękoczynów. Obie rodziny były bogobojne i głęboko wierzyły w Jezusowe nauki. Piąte, nie zabijaj. O usunięciu cudu życia nie było nawet mowy. Ani Nowakowie, ani Kaczmarkowie nie chcieli, żeby ich dzieci ciągały się po sądach, żeby ich wnuk skończył z trwałą skazą na psychice spowodowaną wiecznymi zmianami miejsca zamieszkania i prowadzonymi przez rodziców wojnami psychologicznymi. Ostatecznie ojcowie podali sobie dłonie, Kaczmarek wyciągnął szkło i alkohol na specjalne okazje. Kiedy Robert wrócił do domu, wszystko było już ustalone.

*

Anna Nowak nigdy nie przyjęła nazwiska męża, matka jej zakazała. Kaczmarków jak mrówek, mawiała. Anna nienawidziła swojego życia. Miała być wyjątkową personą, a skończyła, zamieszkawszy w pospolitym mieście, w mieszkaniu w pospolitym bloku z wielkiej płyty, jako ekspedientka w pospolitym butiku z chińskimi ciuchami.

Po trzech latach od narodzin swojej wnuczki Anieli Jan Nowak postanowił zmienić swoje życie. Sprzedał cały kebabowy biznes, rozwiódł się z żoną i wyjechał do Meksyku z młodszą o dwadzieścia lat kochanką. Wybranką Jana Nowaka okazała się długoszyja, mówiąca za szybko Kaśka. Maria nie mogła sobie pozwolić na smutek, bo wiedziała, że gdy zacznie o tym wszystkim zbyt dużo myśleć, to się rozpadnie. Za pieniądze, które dostała przy podziale majątku, kupiła córce mieszkanie w bloku, żeby razem z mężem i Anielką wreszcie mogli wyprowadzić się na swoje. Resztę zainwestowała w butik Modna Mewa. Pytana o genezę tej dość absurdalnej nazwy odpowiadała zawsze: „Bo tak”. Nie chciała mówić prawdy, wówczas na pewno by się rozkleiła. Mewa to przydomek, który lata temu nadał jej mąż. Poznali się nad morzem, w Mrzeżynie. W nią trafiły mewie odchody, on podał jej chusteczkę. Zarządzanie sklepem z modą wątpliwej jakości Maria zostawiła córce, a sama zaczęła uprawiać seksturystykę.

Rozwód najbardziej zirytował Roberta. Najlepsze, co widział w swoim zaaranżowanym małżeństwie, to kebabowe złotówki, które miały wpaść mu do kieszeni. Sam był strażakiem, jak wcześniej ojciec i dziadek. Nie lubił tej roboty, ale pieniądze były niezłe, a w ich mieście rzadko kiedy zdarzały się niebezpieczne incydenty.

*

Anna Nowak rozwinęła swoje odpychające cechy przez internet, bo dzięki niemu mogła wylewać swoje frustracje i obrażać innych ludzi właściwie bezkarnie. Miała sporą wprawę w zakładaniu fałszywych kont na portalach społecznościowych. Butikową nudę (w dobie tanich sieciówek mało kto do Modnej Mewy zaglądał) zabijała, pisząc pełne jadu komentarze. Dopiekanie ludziom, do których na co dzień uśmiechała się na ulicy, przynosiło Annie Nowak o wiele większą satysfakcję niż życzenia śmierci dla celebrytów, których nie lubiła. Zresztą nie lubiła praktycznie nikogo, najbardziej samej siebie. Zamiast jednak zainwestować w dobrą terapię i zmierzyć się z wewnętrznymi demonami, swoje negatywne cechy, takie jak mściwość czy zawistność, zaczęła uważać za składowe charakteru pozwalające przetrwać w brutalnym świecie. Tak bardzo była zajęta swoimi fałszywymi internetowymi alter ego, że nie zauważyła, jak mąż zaczął ją zdradzać. Nie dostrzegła też, że jej córka cierpi w szkole dokładnie tak jak kiedyś ona.

Prawdziwy ból, taki rozrywający serce, miał dopiero nadejść.

*

– No nie wierzę! – krzyknęła Anna Nowak, patrząc na zdjęcie kobiety o zielonych włosach. – Kurwa, zaraz mnie coś strzeli!

Mogła sobie na to pozwolić, bo Modna Mewa znów świeciła pustkami. Zielonowłosa kobieta była wokalistką, która wygrała kolejny sezon popularnego, telewizyjnego show. Właśnie ukazał się jej pierwszy singiel i już podbijał rekordy odsłuchań na Spotify. Nawet popularni raperzy zostali w tyle. Anna Nowak wszędzie poznałaby tę twarz i szeroki rozstaw oczu. Wokalistką była Żaba, ta sama, której głowę wielokrotnie splukiwała w toalecie, której na pożegnanie obcięła włosy. Wściekła Anna Nowak szybko przelogowała się na fałszywe konto i zaczęła uprawiać jedyną dyscyplinę, w której była naprawdę dobra. „Wygląda jak gówno chrabąszcza”. „Po włosach widać, że lesba i ćpunka. Wypad z Polski!”. „Na pewno nie goli pach i śmierdzi jakimś zaszczanym skłotem. Kto ją wpuścił na scenę?”. Została hejterką Żaby – nagrywającej pod pseudonimem Diana – na pełny etat. Przychodziła rano do Modnej Mewy, robiła sobie herbatę i rozgrzewała palce, które następnie tańczyły po klawiaturze

wysłużonego laptopa, a każde naciśnięcie guzika wypluwało kolejne krople jadu. Mijały miesiące, media trąbiły o tym, że debiutancka płyta Diany jest najbardziej wyczekiwany albumem roku w Polsce, a Anna Nowak dostawała białej gorączki. Szczytem wszystkiego było, kiedy usłyszała to jej wycie we własnym mieszkaniu! Nigdy wcześniej nie otworzyła tak szybko drzwi od pokoju córki. Rzuciła jej głośnikiem bluetooth o ścianę i zakazała słuchać Diany.

– To antypolska satanistka i ja tego nie chcę w moim domu! Marsz do spania!

*

Tymczasem do Anny Nowak uśmiechnął się los. Razem z mężem dostali kredyt i mogli kupić wymarzonego bliźniaka pod miastem. Na trochę oderwało to jej myśli od sukcesów piosenkarki. Urządzenie nowego gniazdka sprawiło, że jej życie choć na chwilę nabrało kolorów.

Nowakowie byli do tego stopnia nielubiani, że gdy się wyprowadzali, sąsiedzi z klatki urządzili z tej okazji imprezę. Świętowanie trwało do rana, nawet pan Kazik, wdowiec z parteru, nie odmówił kieliszeczka wódki. Alkoholu nie miał w ustach od dziesięciu lat, kiedy to zmarła jego żona. Każdy jeden mieszkaniec radował się, że to wredne babsko spod czwórki, czepiające się o każde ziarenko piasku i każdy zostawiony na klatce rowerek, wreszcie się wyniesie. Anna Nowak miała zostać zapamiętana jako pedantyczna psychopatka zamiatająca kurz pod wycieraczki innych i wrzucająca kiepy sprzed klatki schodowej do skrzynek na listy. Sąsiedzi nadali jej pseudonim Wiedźma, bo stale widzieli ją z miotłą.

W nowym domu z kawałkiem ogródka, po którym w przyszłości miał biegać pies, Anna Nowak chciała stworzyć sobie mały raj. Życie jednak po raz kolejny pokazało jej, ile warte są jakiekolwiek plany. Aniela podczas porannego mycia zębów coraz częściej miewała nudności. Rodzice ignorowali to, dopóki dziewczynka nie zaczęła wymiotować w ciągu dnia, skarżąc się na silne bóle głowy. Lekarka w przychodni stwierdziła, że być może to stres, ale zleciła badania krwi i na obecność pasożytów. Wyniki morfologii Anieli były idealne, a w jej układzie pokarmowym nie grasował żaden tasiemiec. Tymczasem wymioty zdarzały się coraz częściej, aż w środę – akurat leciał finałowy odcinek *Top Model*, w którym gością była Diana – dziewczynka zaczęła krztusić się krwią.

– Halo, pogotowie?! Moja córka pluje krwią! Potrzebuję karetkę na ulicę Leśną pięćdziesiąt jeden!

– Może ugryzła się w język?

– Słucham? Niech pan nie kpi, ja widzę, że dzieje się coś poważnego!

– Wszystkie nasze karetki są teraz zajęte poważnymi wypadkami. Proszę przywieźć córkę na SOR.

– Słucham?! Pan raczy żartować?!

– Nie. Jeśli to coś poważnego, szanowna pani, proszę nie tracić czasu na dyskusje.

Anna Nowak wpadła w furję, tym większą, że Robert spał w fotelu, przed nim stały cztery puste puszki tatry, a ona bardzo chciała się dowiedzieć, kto zwycięży. Sama kiedyś chciała się zgłosić do tego programu, ale uważała, że jest zbyt inteligentna, by zostać pustakiem, na którym można jedynie wieszać ciuchy. Zapakowała córkę do fiata 500 (dostała go, kiedy Maria zmieniała samochód) i ruszyła do szpitala. Aniela trafiła na oddział gastroenterologiczny, a pierwszą diagnozą było krwawienie z żołądka. Dziewczynkę zostawili na badania, a Anna pognęła do domu, przejeżdżając po drodze kota sąsiadów. Trzeba było nie łązić po nocy. Bardzo tego kota nie lubiła, bo sama chciała mieć dwa, ale Robert nawet nie chciał o tym słyszeć. Kiedy rano sąsiedzi rozpaczali nad ukochanym zwierzakiem, zrobiła smutną minę, udając współczucie. W udawaniu uczuć wyższych była prawie tak samo dobra jak w internetowej jędzowatości.

*

– Proszę usiąść – powiedziała bardzo ładna lekarka, która już samą urodą irytowała Annę Nowak. Robotę pewnie w łóżku sobie załatwiła, pomyślała. – Mam złe wieści. Musimy Anielę operować.

– Coś z żołądkiem?

– Nie. Zrobiliśmy jej bandanie tomografem i... Pani córka ma nowotwór. Rdzeniaka zarodkowego.

Anna Nowak zbladła, a wszystkie inwektywy, którymi chciała uraczyć panią doktor na portalu Znany Lekarz, od razu wyparowały jej z głowy.

– Konieczna będzie operacja, pani Nowak. Poważna. Guz jest już bardzo duży. Zabieramy ją do Warszawy. Chce pani jeszcze chwilę porozmawiać z córką?

Nie chciała. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

Operacja usunięcia guza nie do końca się udała. Rdzeniak był już zbyt duży i umiejscowiony za blisko mózdzku. Odkąd wybudziła się z narkozy, Aniela Nowak praktycznie nie mówiła ani nie chodziła. Nowakowie musieli przyzwyczać się do pchania wózka inwalidzkiego. Chemia niewiele pomagała na pozostałości rdzeniaka. Jedynym ratunkiem dla dziewczynki była protonoterapia. W Polsce sprzęt do jej wykonywania był dostępny, ale przez niedopatrzenia urzędników nie można było jej przeprowadzać u dzieci. Pozostawał ośrodek w niemieckim Essen. Anna Nowak dzwoniła, prosiła, błagała, ale jedyne, co udało jej się uzyskać, to wycenę. Pół miliona złotych. Do tego należało doliczyć kosztowną rehabilitację, niezbędną, żeby dziewczynka odzyskała sprawność motoryczną.

Kiedy Anna patrzyła na swoją ciężko chorą córkę, chciało jej się jedynie płakać. Jej serce pękało, kiedy widziała, jak z ręki Anieli wypada łyżeczka i jak ta błagalnym wzrokiem prosi o pomoc. Anna przygotowywała dziewczynce papki wyglądające niczym błoto, a kiedy jedzenie wypływało z ust córki, wpadała w coraz większą rozpacz. Wiedziała jednak, że nie może załamać rąk. Iskrą do podjęcia działania był emitowany w *Faktach* reportaż o małym Igorcu, na którego leczenie zbierała cała Polska. Jakieś papudroki wyżebrały dziewięć baniek, to ja nie dam rady? – myślała. Zmotywowana Anna zaczęła szeroko zakrojoną kampanię pozyskania środków. Zadzwoiła do córki burmistrza, która została dyrektorką chińskiej fabryki. Ta obiecała, że porozmawia ze swoim działem PR. Anna wyprosiła, żeby szkoła zorganizowała festyn dla córki z licytacjami i sprzedażą rękodzieła. Wreszcie odpaliła zbiórkę w internecie, choć nigdy sama na żadną nie wpłaciła nawet złotówki; nigdy też żadnej nie udostępniła, pomimo obietnic, że to zrobi. Trzeba było nie chorować, myślała wtedy. Niby co roku przyklejała sobie na kurtkę czerwone serduszko (wrzucała do puszek zaledwie kilka groszy), ale później, już jako Irena Kania, pomstowała, jakim to Owsiak jest złodziejem i komuchem.

Mijały tygodnie, a na koncie zbiórki było zaledwie kilka tysięcy złotych. Anna Nowak płakała po nocach, a gdy następował dzień obmyślała, jak jeszcze można szybko pozyskać tak cenne złotówki. Przez chwilę się zastanawiała, czyby nie założyć konta na OnlyFans, ale gdyby Robert się o tym dowiedział, nie chciałaby wtedy być we własnej skórze. Zabiłby ją, gdyby się dowiedział, że paradytuje nago w internecie albo sprzedaje swoje

stare majtki. Prawda jednak była taka, że jej mąż miałby to w głębokim poważaniu, bo przez ostatnie dwa lata myślał tylko o rozwodzie. Choroba córki pokrzyżowała mu plany.

Tymczasem Anna wpadła na inny pomysł. Stopy! Czytała, że w internecie bardzo łatwo – i z dużym zyskiem – można sprzedać zdjęcia stóp! Założyła więc konto na FeetFinderze, pomalowała paznokcie na kolor o nazwie Red Fury i zrobiła serię pozowanych fotografii. O dziwo, długo nie musiała czekać na odpowiedź. *Hey pretty mama*, pisał przystojny, czarnoskóry Amerykanin. *Do you want to be my sugar mommy?* – pytał. Anna Nowak wrzucała wszystko w tłumacza Google i z wypiekami na policzkach odpisywała *Yes, yes, yes!* Amerykanin obiecywał 1500 dolarów. Tygodniowo! Jedyne, czego chciał, to stały dopływ zdjęć jej *sweet little sexy feet*. Zgodnie z jego instrukcjami założyła kryptowalutowe konto i za dwieście złotych kupiła 0,038 ethereum. *Are you real, sugar baby?* No jasne, że jest prawdziwa! *You won't cheat me? Will you send me the pics?* No jasne, że wyśle! Co jej szkodzi, to przecież tylko stopy. Amerykanin bał się, że zostanie oszukany, więc poprosił, żeby przelała mu zakupioną kryptowalutę na znak, że naprawdę istnieje i jest zainteresowana. Nie wiedziała, jak to zrobić, ale wszystko jej wytłumaczył. Był miły, sympatyczny i pomocny. Szkoda tylko, że kiedy przelała pieniądze, zniknął jak kamfora. Zanim się zorientowała, że to standardowe oszustwo w tym miejscu, Anna Nowak straciła tysiąc złotych.

Oswajała się z myślą, że córka nigdy nie będzie w pełni zdrowa. Już nawet zaczęła wyobrażać sobie jej pogrzeb, kiedy pewnego pięknego dnia suma pieniędzy na internetowej zbiorce osiągnęła tak potrzebną kwotę pół miliona złotych.

*

Diana, niegdyś zwana Żabą, rzadko wracała w rodzinne strony. Kojarzyły się jej z ogromem bólu i cierpienia. Nie miała łatwego życia – rodzice byli alkoholikami i razem z siostrą marzyły tylko o tym, żeby wyrwać się z tego zakrapianego koszmaru. Właśnie dla młodszej siostry przyjeżdżała do swojej małej wsi. Próbowała ją ściągnąć do siebie, do Warszawy, ale siostra wciąż miała opory.

Podczas ostatniej wizyty oglądały razem program na lokalnym kanale telewizyjnym i wtedy Diana ją zobaczyła. Anna Nowak, demon, południca, jej

najgorszy wróg. Słuchała, jak jej była oprawczyni – o której przez lata nie mogła zapomnieć, która śniła jej się latami i przez którą ręce miała całe w bliznach – ze łzami w oczach prosi, błaga wręcz o pomoc ludzi dobrej woli.

Nadszedł czas zemsty, suko, pomyślała.

Miała ochotę napisać post do wszystkich obserwujących jej profil, kim tak naprawdę jest Anna Nowak. Co jej w życiu zrobiła i pewnie nie tylko jej. I że to, co Annę teraz spotkało, jest niczym innym jak karmą. Bardzo chciała to wszystko napisać i zniszczyć jej życie. Pisała post prawie dwie godziny, nie chcąc ominąć żadnego szczegółu. Następnie przeczytała go dwa razy, po czym wszystko skasowała i zadzwoniła do swojego księgowego.

*

Anna Nowak nigdy się nie dowiedziała, kto był tajemniczym dobroczyńcą.

W drodze do Essen cały czas pisała coś w zeszycie córki. Robiła ambitne plany. Chciała zmienić swoje życie, zacząć pomagać dzieciom, angażować się w akcje charytatywne. Wyprowadzać pieski ze schroniska. Już nigdy nikogo nie obrazi w internecie, a sąsiadom przyzna się, że przejechała ich kota. Spróbuje się pogodzić z tatą. Wszystko to wypisała w zeszycie z jednorożcem na okładce. Anielka, ukochana i tak ważna, uwielbiała te baśniowe stworzenia. Anna Nowak obiecała sobie, że zapisze córkę na lekcje jazdy konnej, kiedy ta w końcu wydobrzeje.

Na wszystkie te plany było już jednak za późno.

Kierowca karetki wiozącej Annę i Anielę stanął w korku pod Hanowerem i włączył światła awaryjne. Zawsze tak robił, na wszelki wypadek.

– Mamo – odezwała się Anielka, poprawiając czapkę na głowie. Było jej bardzo zimno. – Czy wszystko będzie dobrze?

Anna Nowak się uśmiechnęła i pocałowała córkę w czoło. Nie zdążyła jednak odpowiedzieć na jej pytanie.

Pędzący autostradą, znudzony kierowca ciężarówki lubił zabijać czas, zerkając na klipy na YouTubie. Kiedy tuż przed sobą zauważył karetkę, nie miał żadnych szans, żeby wyhamować. Z głośnika jego telefonu wydobywał się głos Diany:

Jeśli zemsta jest słodka, wolę być keto,

niż czekać, aż karma mnie spotka



Tomasz Żak – zajmował się wieloma rzeczami: był dziennikarzem telewizyjnym, zarządcą nieruchomości, handlowcem, wokalistą w kapeli hardcore punk oraz radnym miejskim. Obecnie razem z narzeczoną prowadzi firmę, a większość wolnego czasu spędza na wprowadzaniu się w stan euforii za pomocą butów do biegania i kilogramów żelastwa do przerzucenia. Jak nie śpi, to czyta, a jak nie czyta, to gra na konsoli: zdecydowanie za długo.

Autor świetnie przyjętej debiutanckiej *Trzydziestki* oraz *Dwudziestki*. W 2023 roku Wydawnictwo SQN wyda trzecią książkę autora, zatytułowaną *Ataraksja*.

Paweł Radziszewski

Zagraniczna

Stanisława Zagraniczna siedzi na tarasie pałacu i patrzy na świat jak hrabina. Pamięta hrabiego, do którego kiedyś ten pałac należał. Hrabiny nie, bo umarła młodo, zanim Stasia przysłała na świat. Ludzie mówili, że była piękna jak z obrazka, a gdy zmarła, hrabia przestał się uśmiechać. W pokoju, na piętrze pałacu, wisi obraz pięknej kobiety. Sąsiadka Stasi z łóżka obok codziennie się do niego modli. Stasia, patrząc na obraz, przypomina sobie hrabiego, którego nieraz widziała na własne, chociaż niedorośle jeszcze, oczy.

Nigdy się nie uśmiechał, ale też nie rozpaczał, nawet kiedy przyszli ruscy, wyciągnęli go z pałacu w samym szlafroku i wywieźli na Syberię, skąd już nie wrócił. Bóg tak chciał, jak mawiał mąż Stasi. On też nie wrócił, a daleko nie miał. Niewiele dalej niż Stasia ma teraz do domu, a przecież wie, że i ona już nigdy tam nie wróci. Nie tylko dlatego, że drogę przecina granica.

Miejscowość nazywa się Lichosielce i może się poszczycić odrestaurowanym pałacem. Po wojnie zorganizowano w nim szkołę, a pod koniec dwudziestego wieku jej miejsce zajął Dom Spokojnej Starości dla Repatriantów z Kresów Wschodnich, finansowany przez niemiecką fundację Keine Grenzen.

Stojące po drugiej stronie parku czworaki też przeszły remont, ale na odtworzenie oryginalnego stanu budynków zabrakło środków, więc na dachu lśni blachodachówka. Wygląda, jakby cały czas była mokra, a Stasia nie pamięta, kiedy ostatnio padało. Ma kłopoty z pamięcią. Czasami rano nie potrafi sobie przypomnieć, co jadła na kolację. Natomiast świetnie pamięta, że przed wojną wszystkie budynki folwarczne miały czerwoną glinianą dachówkę, w odróżnieniu od krytych strzechą chat we wsi.

Ta wieś to też Lichosielce, tyle że pisane innym alfabetem. Tam Stasia przysłała na świat w czasach, kiedy nikt się nie zastanawiał, jakimi literami pisze się nazwę wsi, bo niewielu umiało pisać. Ludzie mówili po swojemu

i mimo że dogadywali się świetnie, często nie potrafili się dogadać dokładnie tak samo jak dziś. Ludzie niewiele się zmienili. Domy bardziej, bo dziś na niskich, drewnianych chałupach – po obu stronach granicy – szary, falisty eternit porasta mchem.

Przez pół wieku granica zarosła krzakami tak, że trudno z polskiej strony dojrzeć białoruskie Lichosielce, no chyba że się mieszka w pałacu, który stoi na górze, a do tego jest piętrowy, z tarasem, z którego hrabia obserwował swoje włości, a teraz Stasia mogłaby zobaczyć swój dom za granicą. Mogłaby, gdyby nie stare oczy w starym ciele, które boli tak, że nie da się nawet leżeć. Wytrzymać można tylko na wózku inwalidzkim. Tylko na tarasie, bo w pokoju Stasi brakuje powietrza. Coraz częściej myśli, że tylko po to na starość przyszło jej zamieszkać po drugiej stronie granicy, żeby się na tamtą stronę przenieść.

Stasia urodziła się w Lichosielcach i tutaj umrze. Nie obchodzi ją, jakim alfabetem będzie zapisana nazwa wsi w urzędowych papierach, które zostaną z tej okazji wypełnione, bo wie, że do granic nie warto się przywiązywać. Były tu już Polska, Rosja, Niemcy, Związek Radziecki, a to za dużo jak na jedno życie, które właśnie przelatuje Stasi przed oczami.

Siedzi na tarasie hrabiowskiego pałacu w Lichosielcach, ale widzi dom z ciemnego drewna, wkoło domu jabłunki, porzeczki i kolczaste śliwki, a wzdłuż drogi drewniany płot. Za domem gumno, po jednej stronie obora, tak samo stara jak dom, a naprzeciwko stodoła, nowsza, bo Stasia pamięta czasy, kiedy jej nie było. Jest jeszcze studnia z drewnianym żurawiem, na którego dłuższym, zwężającym się ramieniu wisi wiadro, a trochę dalej, po lewej, psia buda, zrobiona ze starej beczki do kiszenia kapusty. Te kształty Stasia zna lepiej niż własną twarz. Czuje pod palcami każdy sęk, wie, gdzie wystaje zdradliwy gwóźdź, o który nieraz zaczepiła spódnicą, słyszy skrzypienie wrót, czuje ciepło kaflowego pieca, który grzeje tak, że aż pieką plecy, ale nos już marznie, bo jest styczeń i przez szpary pcha się do domu zimny wiatr. Zaraz ojciec wróci z obrządku, już słyhać skrzypienie furtki, otrzepywanie butów na schodach. Matka kroi chleb na kolację i każe córce wstawić miód do duchówki, żeby się trochę rozgrzał, bo baćka lubi płynny, ale nie lubi, jak się na niego mówi baćka, woli tatko, bo baćka to po rusku.

Ojciec nie był stąd i gadać po tutejszemu się nie nauczył. Niby każdy mu się odklonił, a jego dzieci biegały po wsi razem z rówieśnikami, ale gdy się pojawiał w towarzystwie, ludzie zmieniali temat.

Hrabia przywiózł go zza granicy, żeby zbudował przy pałacu lodownię. Od wiosny do jesieni kopał głęboką piwnicę, lepił jej ściany z gliny, dach uszczelniał mchem, a potem co roku, pod koniec lutego, wycinał z pańskiego stawu zamarzniete bryły, zwoził je tam i opatulał słomą. Wiosną wracał na zachód, w rodzinne strony, dopóki nie ożenił się z jedną z pałacowych służących. Żaden kawaler ze wsi nie wziąłby dworskiej dziewczki, chyba że z kilkoma morgami pańskiego pola, które trafiły do Mazura, więc miejscowi trochę mu zazdrościli, ale żeby nie dać tego po sobie poznać, powtarzali, że jego żona kurwiła się u hrabiego. Pierwszy urodził im się syn, któremu dali na imię Franciszek, a za rok na świat przyszła Stasia.

Ojca Stasi we wsi nazywali Mazurem, a jak nie słyszał, Prusakiem. Stasia dowiedziała się o tym, jeszcze zanim urodził się jej młodszy brat Kazio. Mogła mieć sześć, może siedem lat, kiedy bawiła się z koleżanką Nadią w stodole u sąsiadów. Stały tam krosna, na których kobiety tkwały lniane płótna, wełniane pasiaki i chodniki ze szmat pociętych w różnokolorowe paski. Dziewczynki chciały się bawić w dorosłość, wzięły się więc do roboty i tak poplątały wątki i osnowy, że maszyna znieruchomiała w pozycji przypominającej pajaka, uwięzionego we własnej sieci. Kiedy babcia Nadi zobaczyła tę tkacką katastrofę, zaczęła krzyczeć, przeplatając przekleństwa imionami prawosławnych świętych, a na koniec spojrzała na córkę sąsiadki, splunęła i nazwała ją bajstrukiem pruskoho karakana. W domu dziewczynka spytała baćki, co to znaczy. Dostała w twarz, a potem ojciec powiedział, że ma mówić po polsku.

Stasia dobrze wie, że przekroczenie granicy może zboleć, zwłaszcza gdy nie wiadomo, gdzie ona jest, a granice są podstępne i przesuwiają się niepostrzeżenie, najczęściej w nocy.

Była już prawie panienką, a przynajmniej sama o sobie tak myślała, gdy nad ranem obudził ją hałas. Przez okno zobaczyła ojca, hrabiego i kilku fornali, którzy nosili do piwnicy ciężkie skrzynie. Tydzień później we wsi pojawił się pierwszy czołg z czerwoną gwiazdą i przez zamkniętą bramę wjechał na pałacowy dziedziniec. Żołnierze wyprowadzili hrabiego w szlafroku, wsadzili na ciężarówkę i wywieźli, nikt nie wiedział dokąd. Trochę później okazało się, że na Sybir, o którym opowiadali ci, którym udało się wrócić.

Do pałacu wprowadził się naczelnik, który ogłosił, że od teraz w Lichosielcach nie będzie hrabiego ani żadnych innych panów, nawet

Pana Boga, i jeśli ktoś chce się modlić, to tylko do Józefa Stalina. Zamiast panów byli towarzysze.

Najważniejsi przyjechali razem z naczelnikiem wojskowymi samochodami, ale kilku miejscowych kacapów też dostało czapki z czerwoną gwiazdą. Prawosławni stali się Białorusinami i żeby udowodnić, że z tymi, którzy mówią po polsku, nie mają nic wspólnego, zaczęli chodzić do pałacu i opowiadać towarzyszom, w której piwnicy hrabia ukrył kosztowności.

Czerwoni, wyposażeni w szpadle i łopaty, udali się prosto do piwnicy, którą Stasia widziała z okna, i wynieśli stamtąd cztery skrzynie. W pierwszej była porcelana, w drugiej futra, w trzeciej srebra, a w czwartej książki. Razem z odkopanym hrabiowskim skarbem zabrali na ciężarówkę ojca. Następnego dnia naczelnik Lichosielców ogłosił, że Mazur jest hrabiowskim pachołkiem i zdrajcą ludu pracującego, w związku z czym cały jego majątek zostaje skonfiskowany i podzielony pomiędzy towarzyszy.

Tatko Stasi siedział w więzieniu całą zimę, ale na wiosnę wrócił. Był wychudzony, zarośnięty, brudny i zawszony tak, że jego ubrania trzeba było spalić. Matka kazała Frankowi przynieść blaszaną balię ze strychu, zagrzała wody na piecu i umyła męża tak, jak myje się dziecko. Ojciec spał przez trzy dni, a kiedy wstał i się najadł, poszedł na już nieswoje pole, gdzie jego sąsiad sadził ziemniaki. Usiadł na miedzy i patrzył. Na pytanie, co się tak gapi, odpowiedział, że dogląda roboty. Tego roku ziemniaki zebrał towarzysz, ale ojciec nadal pilnował pracy na polu za stodołą, a następnej jesieni to on robił wykopki.

Stasia pamięta, jak we wsi, pod kasztanem, zatrzymał się czarny samochód, a w nim *lojtnant*. Żołnierze ciągle mówili do niego: *ja wol her lojtnant*, więc miejscowi też zaczęli go tak nazywać. Miał wysokie błyszczące buty i laskę ze srebrną rękojeścią w kształcie gruszki. Żołnierze przyprowadzili chłopów z najbliższych domów, oficer powiedział coś po swojemu, a ojciec, ku zdziwieniu całej reszty, odpowiedział mu w tym samym chropowatym języku i wskazał ręką pałac. Niemcy wsadzili go do samochodu, który ruszył w kierunku rezydencji, opuszczonej w pośpiechu przez towarzyszy.

Gdy oficer uporządkował pałac i jego otoczenie, poczuł się jak gospodarz. Pańskie pola ktoś musiał obrobić, więc *lojtnant* wymyślił sprawiedliwą zasadę, że każda rodzina będzie pracowała w folwarku raz

w tygodniu. Poleciał jednemu człowiekowi ze wsi, z którym mógł się dogadać, żeby powiadomił o tym pozostałych mieszkańców. Okazało się jednak, że nie wszyscy w Lichosielcach rozumieją po polsku, bo wielu nie stawiało się do pracy, a wtedy laska lojtnanta ładowała na plecach ojca Stasi.

Po kilku takich razach oficer zaczął codziennie rano wysyłać do wsi jednego ze swoich podwładnych. Stasię skoro świt budził łomot kolby karabinu uderzającej w drzwi drewnianej chałupy, a potem jej tatko chodził od domu do domu z uzbrojonym gestapowcem i pokazywał palcem, kto ma iść do pracy. Nie musiał nic mówić.

Jeśli ktoś ojca spotkał, zdejmował czapkę i kłaniał się w pas, natomiast rówieśnicy Stasi zaczęli jej unikać, wymawiając się tym, że mają dużo pracy. Początkowo śmiało zaglądała na kolejne podwórka i wchodziła do domów jak zwykle, bez pukania, ale wtedy u sąsiadów robiło się cicho i nikt jej nie odpowiadał nawet na „Niech będzie pochwalony”.

Stasia dobrze wie, co to strach. Boi się, gdy do jej pokoju w Domu Spokojnej Starości dla Repatriantów z Kresów Wschodnich wchodzi młodzi ludzie w ciężkich butach oraz mundurach polowych, siadają naprzeciwko i zwracają się do niej „pani Stanisłavo”. Jeden z nich mówi, że w starej dębini na wzgórku stanie krzyż, na którym będzie nazwisko jej brata Franciszka i że ona, jako siostra żołnierza wyklętego, mogłaby wziąć udział w uroczystym odsłonięciu.

Stasia próbuje im wyjaśnić, że to nie była jego wina. To wszystko przez nią, ale ona nie chciała. Nie spodziewała się, że ojciec Franka wyklnie. Młodzieńcowi w mundurze głos zaczyna drzeć, gdy widzi, że po policzkach staruszki płyną łzy.

Była niewiele młodsza od chłopców w mundurach, kiedy nakryła brata, gdy pod pazuchą niósł do stodoły ćwierć bochenka chleba. Powiedział, że jak wygada ojcu, to ją zabije. Tylko o czym, zastanawiała się Stasia. Nie przestraszyła się, bo dlaczego miałyby się bać własnego brata. Ale odtąd miała go na oku i gdy którejś nocy usłyszała, że zakrada się do spizarki, odczekała chwilę i poszła za nim. Boso, w dzianej kamizelce narzuconej na nocną koszulę, weszła do stodoły i usłyszała dobiegające z góry jęki i sapanie, jakby ktoś miał kolkę albo się dusił. Wspięła się po drabinie na sasek z sianem i zobaczyła gołą dupę brata unoszącą się rytmicznie między czymiś nogami. Była młoda, ale nie była już dzieckiem.

Wróciła tam za dnia, kiedy brat naprawiał ogrodzenie na pastwisku, i znalazła Chaję, trzy lata starszą od niej Żydówkę, która mieszkała na drugim końcu Lichosielców. We wsi mówiono, że jej rodzina wyjechała z ruską armią na wschód, bo wszyscy wiedzieli, co Niemcy robią z Żydami. Wiedziała to również Stasia, ale nie myślała o tym, obserwując czarnowłosą dziewczynę, która w kącie stodoły próbowała zagrzebać się w sianie, jakby się młodszej koleżanki bała.

Stasia patrzyła na nią z zazdrością. Widziała w Chai kobietę, w przeciwieństwie do siebie, smarkuli, na którą nikt nie zwracał uwagi. Żaden chłopak ze wsi nie chciał z nią rozmawiać. Rodzice i starszy brat nigdy nie traktowali jej poważnie, jakby nie miała nic do gadania. Tym razem miała, ale do młodej Żydówki nie odezwała się słowem. Zeszła na dół, a w domu powiedziała ojcu, że Franek chowa dziewczynę w sąsiedku. Tatko nie chciał jej uwierzyć. „Lepiej, żeby to była prawda” – powiedział, a potem splunął na podłogę.

Jak tylko Franek przyszedł na podwieczorek, ojciec kazał mu jeść migiem, a potem zaprzęgać konia i jechać do kuzynów matki, kilka kilometrów w stronę Grodna, żeby pożyczyć worek owsa. Było już późno, więc brat spytał, czy nie można by odłożyć tego do jutra, bo jest wojna i niebezpiecznie jeździć po nocy, ale ojciec powiedział, że ma wyruszyć jak najszybciej i zanoć u wujostwa.

Chaja błagała, przysięgała, że nikomu nie powie. „Ojczulku – tak mówiła do ojca Stasi – nie mam już nikogo na świecie, daruj mi życie”.

„Ja twojej śmierci nie chcę” – mówił ojciec – ani twojej, ani swojej, ani mojego syna”.

Franek jednak wrócił w nocy, ale ojciec zdążył uporządkować stodołę, jakby dziewczyny nigdy tam nie było. Matka zamknęła się ze Stasią i małym Kaziem w izbie, uklękła przed świętym obrazem, na którym Jezus pokazywał swoje serce, i zaczęła się modlić. Z kuchni dochodziły odgłosy szarpaniny. Krzyk rozpacz brata, która szybko zmieniła się we wściekłość, a potem głos ojca, który mówił: „Nie jesteś już moim synem, to nie jest twój dom, przeklinam cię na wieki wieków, obyś zdechł”. Mały Kazio ryczał, a matka coraz szybciej szeptała pacierze, jakby modliła się, żeby przestał. W końcu Stasia wzięła braciszka na ręce. „Nie bój się”, szeptała mu do ucha i sama bała się trochę mniej.

Kazio był dzieckiem ślicznym, jak aniołek: jasne włosy, niebieskie oczy, buzia jak z porcelany. Nawet *lojtnant* zachwycał się chłopczykiem,

przynosił mu kostki czekolady, a na Boże Narodzenie podarował figurkę dziadka do orzechów w czerwonym mundurze. Kiedy do pałacu przyjechała jego żona, również ona przychodziła do młodszego brata Stasi. Czasami zabierała go do ogrodu, częściej na spacer do pałacu. Gdy robiło się ciemno, a Kazia jeszcze nie było, matka nie mogła usiedzieć w jednym miejscu, a ojciec powtarzał, że to dobrzy ludzie i krzywdy dziecku nie robią, ale zawsze w końcu tam szedł. Rzadko jednak wracał ze swoim synem. Zwykle słyszał, że chłopczyk już śpi. Stasia słyszała, jak jej mama płacze i wypomina mężowi, że te wszystkie nieszczęścia spadły na ich dom przez to, że szczeka jak „germaniec”, zamiast trzymać język za zębami.

O starszym bracie ojciec zabronił w domu wspominać. A poza domem nikt nie był pewien, z kim i o czym można mówić, więc Stasia nie miała pojęcia, co się z Frankiem stało.

Wiatr jednak ponownie się odwrócił, a mieszkańcy Lichosielców zadzierali głowy, zastanawiając się, czy to jeszcze niemieckie samoloty przelatują nad ich wsią, czy już radzieckie. Do pałacu przyjechały ciężarówki, do których *lojtnant* spakował tyle, ile się zmieściło, a na koniec udał się z żoną do domu Stasi. Niemka dała Kazikowi lizak i wzięła go do samochodu, a żołnierze pokazali lufami karabinów ojcu, matce i Stasi, żeby ustawili się przed domem. *Lojtnant* wycelował w nich aparatem fotograficznym, potem jego żona szepnęła coś Kazikowi na ucho i chłopczyk z uśmiechem pomachał rodzinie na pożegnanie.

Granica przesuwiała się tak szybko, że nie wszyscy za nią nadążali. Kartofle jesienią wykopała Armia Czerwona, bo front zatrzymał się na zimę właśnie w Lichosielcach. Żołnierze zjedli ziemniaki i zaczęli kopać ziemianki. Kiedy siedzieli pod ziemią, było spokojnie, gorzej, jak wychodzili, więc miejscowi przynosili im tyle bimbru, żeby nie mieli po co i nie dali rady.

Ojca już nie było. Jak tylko Niemcy uciekli, z lasu wyszli partyzanci i kazali całej wsi zebrać się pod kasztanem. Stasia z matką też patrzyły, jak wyciągają ojca z domu, wiążą mu ręce na plecach i zakładają pętlę. Ktoś powiedział, że tamten to Franek, ale mężczyzna z brodą trzymał się z boku, a na koniec matka zasłoniła Stasi oczy.

Wczesną wiosną żołnierze wyszli spod ziemi, żeby wyzwalać kolejne wsie. Armia Czerwona ruszała powoli. Jedni żołnierze wychodzili z ziemianek, a ich miejsce zajmowali kolejni, równie brudni i zmęczeni. Stopniowo było ich coraz mniej. Zostawiali jedynie chorzy i martwi. Ludzie

w Lichosielcach głodowali w chałupach splądrowanych przez bandy partyzantów różnych wyznań oraz armię wyzwolicieli. Odważniejsi szukali szczęścia w opuszczonych ziemiankach. W większości z nich nie było żywego ducha, za to trafiały się buty na martwych stopach, szynele przyklejone do ciał, które nie zdążyły rozmarznąć, menażki, a czasami nawet konserwy i broń.

Sąsiedzi wychodzili nocami na poszukiwania. Stasia się bała, ale jeszcze bardziej chciało jej się jeść, a matka potrafiła tylko płakać po mężu i dwóch synach. I tak z głodu nie mogła spać, więc poszła, sama, tak jak wszyscy, żeby nie musieć się z nikim dzielić. W połowie drabiny zorientowała się, że ziemianka jest jeszcze zamieszkana, ale już nie zdążyła wydostać się na powierzchnię. Było ich trzech i bardzo długo nie widzieli kobiety. Gdy skończyli, wyszli na górę, zapalili i wolnym krokiem podążyli na zachód, zdobywać Berlin.

Ktoś ją znalazł, zanim zamarzała na śmierć. Miała gorączkę i wydawało jej się, że ktoś w pokoju obok odprawia mszę. Nie miała pojęcia, jak długo spała ani gdzie się obudziła. Dopiero matka, która przyszła następnego dnia, powiedziała jej, że jest na kolonii u Polaków. Gdy Stasia przestała krwawić, gospodarz odwiózł je do wsi. Jechał z nimi jeszcze jeden mężczyzna, okazało się, że to ksiądz, który uciekł z transportu na Syberię i ukrywał się przed nową władzą.

„Bóg tak chciał, córko”, powiedział do Stasi, która leżała przy piecu jeszcze bardzo słaba i wcale nie czuła się córką tego człowieka. Ksiądz to nawet nie mężczyzna, myślała, bo jakiś taki za bardzo gładki, miękki, a do tego gada jak panienka. On do niej „córko”, do matki „siostró”, matka do niego „ojcze”, jak w rodzinie, gdyby nie to, że Stasia uparcie zwracała się do obcego mężczyzny „proszę księdza”. Gdy byli sami, bo przy ludziach nazywała go „stryjecznym kuzynem”, tak jak kazała matka, która powiedziała sąsiadom, że to daleka rodzina ojca z centralnej Polski i Bogu dzięki, że się odnaleźli w tej wojennej zawierusze.

Widocznie nie wszyscy jej uwierzyli, bo nowa władza w postaci politruka z uzbrojoną obstawą przyjechała sprawdzić, co to za kuzyn. Spytałi księdza, czy jest księdzem, a ten, że nie. Radzili, żeby się przyznał i nie wystawiał na pośmiewisko, bo i tak wszyscy wiedzą, ale ksiądz szedł w zaparte. Mówił, że absolutnie żadnym księdzem nie jest, a wręcz przeciwnie, w Stalina tylko wierzy i na dowód tego zdjął znad drzwi krzyż i wrzucił do pieca. Matka się przeżegnała. „To co z ciebie za chłop, jak

w tym wieku żonki nie masz?” – spytał politruk, któremu to przedstawienie coraz bardziej się podobało. Usiadł za stołem i spytał: „A ta dziewczyna się tobie podoba?” i wskazał palcem Stasię. Ksiądz odpowiedział, że owszem.

Stasi nikt o zdanie nie spytał. Ślub odbył się w kuchni, udzielił go politruk, jako lokalny urzędnik państwowy, spisano odpowiednie dokumenty. Nawet obrączka się znalazła w kieszeni jednego z żołnierzy, który niechętnie oddał ją księdzu, a ten bez oporu wepchnął ją dziewczynie na palec. Czerwoni przynieśli z samochodu flaszkę, wypili zdrowie młodej pary, a nocą ksiądz przyszedł do Stasi łóżka. Broniła się, krzyczała, że to przecież na niby, wołała matkę na pomoc. A on dyszał jej do ucha: „Bóg tak chciał”.

Odtąd żyli jak pan Bóg przykazał. Zaszła w ciążę i urodziła córeczkę, której dali na imię Basia. Zasiali kawałek ziemi, coś tam urosło, mieli kury. Wojna się niby skończyła, ale przez Lichosielce ciągle przechodziło jakieś wojsko. Czasami Polacy nosili ruskie mundury, innym razem ruscy polskie, z lasu wychodziły bandy w mundurach przedwojennych, a nawet niemieckich. Mówiło się, że będzie granica, ale kiedy i gdzie dokładnie ma przebiegać, tego nikt nie wiedział. Zresztą ludzie mieli ważniejsze sprawy na głowie, bo żyć jakoś trzeba, po tej czy po tamtej stronie.

Był czerwiec i mąż Stasi wybrał się do Lipska na targ, bo udało się uzbierać trochę jajek na sprzedaż. Wyszedł przed świtem, żeby być jak najwcześniej w mieście, bo kto zajmie lepsze miejsce, ten więcej zarobi. W południe przyjechali do Lichosielców żołnierze i w poprzek drogi prowadzącej ze wsi do pałacu powbijali kolorowe słupki i rozciągnęli drut kolczasty. Mąż Stasi został po drugiej stronie granicy.

Minęły dwa tygodnie, a jego wciąż nie było. Urzędnicy pytali ją, czy chce się przenieść do Polski, ale nie wiedziała, gdzie miałyby się podziąć z dzieckiem i starą matką. Poza tym miała nadzieję, że jej mąż wróci, bo wszyscy zapewniali ją, że bez problemu może przekroczyć granicę, skoro ma tu dom, żonę i córkę.

W końcu ktoś przyniósł Stasi do domu dobrą nowinę, że jej ksiądz żyje i odprawia msze w Lipsku. Nie mogła uwierzyć, ale potem usłyszała to samo od kogoś innego, więc wystarała się o pozwolenie i wybrała do kościoła. Była niedziela i jeszcze przed mszą zobaczyła go pierwszy raz w sutannie.

Podeszła do konfesjonału, uklękła przy zakratowanym okienku i powiedziała: „To ja, Stasia”. Długo milczał, a potem odpowiedział:

„Słucham cię, córko”. Cały kościół zawirował jej przed oczami, zaczęła krzyczeć, że jego córka czeka w domu pod opieką niedołążnej babci, więc ma natychmiast wracać do domu, zamiast pajacować w tej czarnej sukience. Zabrał ją do zakrystii i powiedział, że on jest sługą bożym, a ślubu kościelnego nie było, więc wobec Boga on nie jest Stasi mężem. Splunęła mu w twarz.

Wróciła do domu z niczym, a gdy opowiedziała matce, że jej mąż znów jest księdzem, mówi do niej „córko”, natomiast w dupie ma własną córkę, staruszka umarła. Nie mieściło jej się to w głowie. Stasi, prawdę mówiąc, też nie, ale miała dla kogo żyć, więc postanowiła zapomnieć. Gdy Basia pierwszy raz spytała o *baćkę*, dostała lanie. To ją oduczyciło pytać, do osiemnastych urodzin. Wtedy zażądała od matki wyjaśnień i je otrzymała.

Znalazła ojca, który wciąż był księdzem. Napisała list, odpisał. Pojechała do niego najpierw w odwiedzin, a potem przeniosła się do Polski na stałe. Ojciec kupił jej mieszkanie i pomógł się dostać na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Została nauczycielką rosyjskiego, a do Stasi przyjeżdżała dwa razy do roku, na święta. Niby wszystko było między nimi w porządku, rozmawiały o chorobach matki, pracy córki, pogodzie i przepisach na ciasta, ale Stasia bała się zapytać własną córkę o jej ojca.

Tak było od święta, natomiast na co dzień bała się, że ktoś zapyta, gdzie się podział jej mąż, więc unikała ludzi. Wstyd, gniew, strach, wszystko to kręciło się w jej coraz starszej głowie, tak że zaczęła podpierać się laską, żeby się nie przewrócić. Raz na tydzień wychodziła do sklepu, żeby wydać część skromnej renty, poza tym siedziała w domu, a najczęściej przed nim, na ławeczce, z kotem na podołku, kurami pod nogami i psem na łańcuchu, przy budzie zrobionej ze starej beczki do kiszenia ogórków. Ludzie nazywali ją wiedźmą i straszili nią dzieci, gdy nie chciały iść spać. Starsi, którzy wiedzieli, co przeszła, nie mówili nic.

W Lichosielcach rzadko pojawiali się nieznajomi, więc zagranicznych turystów, którzy przyjechali na rowerach, chcieli zobaczyć wszyscy. Dorośli wiedzieli, że nie wypada, więc wysłali dzieci, które przyglądały się obcym przez szczerbaty płot. Stasia usłyszała chropowate słowa pod oknem. Widziała, że też byli starzy, a nosili tak obcisłe ubrania, że jej było wstyd, że im nie jest. Jeden wszedł do chałupy, przyglądał się, dotykał. Miał włosy białe jak mleko i niebieskie oczy. Coś do niej mówił po swojemu, pokazał fotografię, na której przed drewnianym domkiem stali przestraszeni ludzie: ojciec, matka i dziewczynka, która podniosła rękę do

góry. Powiedziała, że nastawi na herbatę, a potem zobaczyła przez okno, że pozostali rowerzyści włązą do jej stodoły.

Dziarsko wyszła na dwór, wzięła kij, który zawsze stał pod schodami, i zaczęła okładać te piękne niemieckie rowery. Przybiegli. Ten z domu też. Stasia usiadła na schodach i schowała twarz w dłoniach, żeby nikt nie widział, że po jej policzkach płyną łzy. Była wściekła na siebie – za to, że się rozplakała, na Niemców, którzy chodzili po jej podwórku z prawie gołymi dupami, na ojca, matkę, męża, braci, nawet na Basię, na wszystkich, którzy ją opuścili.

Coś się w niej złamało i jak się w końcu wyplakała i wstała ze schodów, to nie mogła się już wyprostować. Poszła do lekarza, ten jej kazał jechać do specjalisty do Mińska. „Gdzież mnie jechać samej, starej, garbatej”, powiedziała do siebie, na co lekarz odparł, że jej nie rozumie.

Córka znalazła lekarza w Warszawie. Wyrobiła Stasi paszport i zabrała ją samochodem za granicę, gdzie doktor też jej nie rozumiał. Kazał Basi tłumaczyć, ale musiała coś źle powiedzieć, bo polskie tabletki nie pomogły.

Wróciła do Lichosielców i wybrała się do lokalnej szeptuchy. Ta ją rozumiała świetnie. Splunęła w dłoń, zagniotła chleba z popiołem, wymamrotała jakieś modlitwy, a na koniec powiedziała, że to i tak nic nie pomoże, bo kobieta *takaja staraja* jak Stasia już się w życiu nachodziła.

Od kiedy trafiła do Domu Spokojnej Starości dla Repatriantów z Kresów Wschodnich, Stasia nigdzie chodzić nie musi. Są tutaj ludzie, którzy ją myją, ubierają, karmią i przywożą w fotelu na kółkach na pałacowy taras. Stasia patrzy na kresy, które zaczynają się gdzieś tam, za krzakami, i na swoje życie, którego kres widzi coraz wyraźniej. Została jej do przekroczenia jeszcze jedna granica i jest już gotowa do drogi.



Paweł Radziszewski – z wykształcenia slawista i rolnik. Mieszka w Gdańsku. Laureat trzeciej nagrody w Gdańskim Konkursie Prozatorskim za opowiadanie „Chłopska 34” (2011) oraz zdobywca wyróżnienia w Konkursie na Najlepsze Polskie Opowiadanie roku 2016 w ramach 12. Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania za utwór „Najważniejsza rzecz w życiu”, opublikowany w książce „2018 Antologia opowiadań”.

Jakub Ćwiek

A wasza nagroda wielką będzie

Zatoczył się, potknął i wyrznął głową o ścianę. Łupnęło, całkiem głośno, ale nie poczuł bólu, tylko mrowienie jak przy znieczuleniu. Mimo to przywarł pulsującym miejscem do chłodnych cegieł i stał tak chwilę, dysząc ciężko.

Tylko spokojnie, myślał, uspokajając przyspieszony oddech. Próbował usłyszeć cokolwiek ponad ten nieznośny, jednostajny, wysoki dźwięk brzącający mu w uszach. Pod powiekami miał obraz respiratora i ciągnącej się przez cały ekran białej linii. Śmierć...

Ale nie umarł, żył, dyszał i śmierdział tym samym potem co przed minutą. Jego lewa dłoń wciąż ścisnęła ten sam mały przedmiot – prostokątne pudełeczko z niewielkim czerwonym guzikiem.

Czyli się nie udało, dotarło do niego. I natychmiast poczuł wstydliwą falę ulgi, która rozlała się po całym jego ciele, by wreszcie ująć ciepłym strumieniem przez nogawkę postrzępionych jeansów. W powietrzu rozszedł się smród uryny, który zawsze kojarzył mu się z wonią pszenicznych płatków śniadaniowych.

A potem otworzył oczy. I zadrżał.

Nie było to centrum handlowe, w którym znajdował się jeszcze przed minutą. Zniknęła gdzieś kiczowata fontanna, wypuszczająca kolorowe strumienie aż po sam szklany sufit, zniknęły stoliki starbucksowego ogródka i wystawy snobistycznych butików z tymi wszystkimi pozbawionymi twarzy manekinami stojącymi na straży pańienek z billboardów. W powietrzu nie rozchodził się zapach cinnabons, nie było też tandetnych przebojów ze źle rozmieszczonych głośników ani dzieci popiskujących podczas wyławiania monet z nienaturalnie przejrzystej wody.

Zamiast w galerii stał teraz w wąskim, bliżej niesprecyzowanym zaułku, widząc przed sobą szereg metalowych kubłów na śmieci, a po obu stronach

sięgające chmur ceglane ściany bez jednego choćby okna, porzewiałego haka czy źle przytwierdzonego przewodu.

W oddali majaczyła skąpana we mgle ulica, dalej ciemne oko sklepowej witryny. Brew wygiętej markizy unosiła się nad nim w zdumieniu. Co ty tu, chłopie, robisz?

– Sam chciałbym wiedzieć – powiedział na głos i to był błąd, bo skrzek, jaki wyrwał się z jego gardła, wywołał zaraz falę kaszlu, która zgięła go w pół i przypomniała, czym może być ból.

Charczał tak i pluł dobre parę minut. Łzy napłynęły mu do oczu, żołądek kurczył się i rozkurczał jak drugie serce, a drżące kolana powiedziały dość. Runął na ziemię, roztrzaskując przy okazji trzymane w ręce pudełeczko.

Proszę, powtarzał w myślach, zupełnie jakby czuł się winny ulgi, jaką poczuł wcześniej. Proszę, niech teraz wybuchnie. Niech się dopełni!

Ale los był głuchy na jego prośby. Po przewodach nie przeskoczyła nawet jedna iskra, a do tego kilka plastikowych odłamków wbiło się w jego dłoni.

Wrzasnął, czując, jak ostry plastikowy szpikulec sięga nerwu. Wrzasnął i poderwał się z czworaka do klęczek. I wtedy ją zobaczył.

Miała na sobie czarny habit katolickiej zakonnicy, z oderwanymi rękawami, odsłaniający umięśnione ramiona. Dół szaty był rozcięty i łopotał teraz, to odsłaniając, to znów zakrywając udo i łydkę godne biegaczki maratonów. Na głowie miała niegdyś biały kaptur okrywający szczelnie czoło i podbródek, ale z welonu pozostał tylko strzęp łopoczący jak chorągiewka.

Przechylając głowę na bok, jak zaciekawiona sroka, zakonnica przyglądała mu się z uwagą.

Czyli jednak coś się stało, pomyślał, przypatrując się jej ubraniu. Być może nastąpił wybuch, a ich po prostu wyrzuciło gdzieś daleko, podmuch cisnął nimi niczym szmacianymi lalkami i poniósł do następnej dzielnicy, nie robiąc im większej krzywdy? Nie było wszak rzeczy niemożliwych dla tego, kto prowadził jego rękę, a i o dziwniejszych rzeczach mówili nie raz w telewizji. Na przykład o tym facecie, którego dwa razy uderzył piorun.

Powoli, zaciskając zęby, zebrał się w sobie na tyle, by wstać i utrzymać w pionie. Rękę oparł o ceglany mur, odetchnął głęboko i spróbował uśmiechnąć. Co z tego, że była zakonnica. Jeżeli i ona ocalała, to znaczy, że musiała być częścią większego planu, a wtedy...

Nie zdążył dokończyć myśli, bo w tym samym momencie siostra wyszczerzyła zakrwawione zęby i z dzikim wrzaskiem, przewracając metalowe kubły, rzuciła się w jego kierunku.

Zamarł. Jego umysł krzyczał, że powinien się ruszyć, wykonać jakikolwiek gest, ale cokolwiek mówiła głowa, najwyraźniej nie docierało ani do rąk, ani nóg. Mógł tylko patrzeć, jak rozwścieczona zakonnica, krzycząc i wywijając umięśnionymi rękami – utyłanymi we krwi, jak mógł tego wcześniej nie dostrzec?! – pędzi w jego stronę.

Z różowych zębów ślina skapywała niczym jad, długi, pobieleły jęzor majtał się to w lewo, to w prawo, oczy zmieniły się w maleńkie szparki.

I gdy już, już była przy nim, gdy niemal sięgnęła go swymi smukłymi palcami pianistki, a może organistki raczej, nagły świst przeciął powietrze i zakonnica z piskiem poleciała do tyłu. W jej piersi drgała teraz gruba jak palec strzała.

Wpatrywał się w nią przez chwilę wciąż niezdolny do ruchu – mógł tylko patrzeć, jak pręt z włókna drży, a palce zakonnicy zaplatają się na nim jak na gromnicy. Wściekła twarz kobiety wyrażała wszystko prócz chrześcijańskiego miłosierdzia. Cholerna Linda Blair z **Egzorcysty** zrzygałaby się na sam widok.

Nagle ktoś wyskoczył zza jego pleców – szczupły, ubrany na czarno mężczyzna o śniadej twarzy, po nos okutany arafatką. Do uda miał przypięty kołczan pełen wielkich strzał. W ręku trzymał ogromny łuk bloczkowy.

Oparł go teraz o ścianę, a następnie położył zakonnicy nogę na piersi, złapał oburącz za strzałę i szarpnął. Dźwiękowi wyciągania korka z butelki towarzyszył pełen bólu wrzask siostry. Precyzyjnym kopnięciem w szczękę nieznajomy zmienił go w obrzydliwe charczenie, a następnie przykucnął, odwrócił kobietę na brzuch i bez ceregieli zadarł jej habit najwyżej, jak się dało.

Dopiero wtedy się obejrzał. Zmarszczył brwi.

– Nie wyglądasz na... któregoś z naszych. Jak masz na imię? – zapytał. Jego angielski brzmiał szorstko, chrapliwie, jakby potrzebował odkaslnąć.

– Mike. Mike Tarkowski. – Zdawał sobie sprawę, że powinien zapytać, o co chodzi z tym „jednym z naszych”, ale na razie nie mógł oderwać wzroku od nagich pośladków zakonnicy. Wbrew sobie poczuł podniecenie.

– No to znaczy, że twoja. – Nieznajomy postukał w tatuaż na wysokości krzyża siostry, gdzie napisane było „Mike Tarkowski”. Opuścił kobiecie

habit, wstał i wziął łuk. – Dobra, to teraz zrób z nią, co uważasz. Jeśli to twój pierwszy raz, pewnie nie wyjdzie, ale zawsze możesz spróbować.

– Czekaj, nie rozumiem. Co mogę spróbować?

– Jakoś się jej ostatecznie pozbyć – odpowiedział z westchnieniem nieznajomy. – Bo jak umrze, to się odrodzi gdzieś indziej i stracisz szansę.

Mike przejechał ręką po twarzy. To wszystko było jakieś chore! Wściekła zakonnica, arabski Robin Hood, a teraz to?! Co to znaczy ostatecznie pozbyć? Co to znaczy, że się odrodzi, gdy umrze?!

Gdy tak rozmyślał, zakonnica się szarpnęła, spróbowała przewrócić na plecy, po czym wierzgnąwszy po raz ostatni, zamarła.

Nieznajomy splunął.

– No to dupa, odliczanie od nowa – mruknął. – Następnym razem musisz się szybciej decydować. Znaczą jak przyjdą inne.

– Jest ich więcej? – zapytał Mike.

– No oczywiście – odparł nieznajomy takim tonem, jakby pytanie go zdziwiło. Zaraz jednak w jego oczach błysnęło zrozumienie.

Rozejrzał się, rozwinął arafatkę i odsłonił twarz.

Oczom Mike'a ukazało się przystojne, ozdobione kilkudniowym zarostem oblicze, którego nie powstydziliby się książę Persji.

– Nazywam się Faruq – powiedział, wyciągając rękę. – I jestem tu już chwilę, więc mogę cię wprowadzić, ale potem radzisz sobie sam, jak każdy. W obecnej chwili mogę ci powiedzieć tyle, że nieźle się z tym wszystkim wpierdoliliśmy.

– Z czym? – Mike wciąż nie rozumiał. – Co to za miejsce? I kto to... – trącił nogą zwłoki zakonnicy – ...jest?

Faruq uśmiechnął się smutno.

– To niebo, przyjacielu. A to jedna z twoich ślicznych siedemdziesięciu dwóch dziewczec.

Przemykali zgięci w pół od samochodu do samochodu, od śmietnika do telefonicznej budki, obok tych wszystkich nieruchomych elementów krajobrazu bardziej przypominających rekwizyty niż użytkowe przedmioty. Jak w grze komputerowej, gdzie wszystko to bryły pokryte teksturą.

Biegli przed siebie, proste, krótkie odcinki i pauza na oddech przy każdej osłonie. A potem wymiana spojrzeń, skinienie Faruqa i dalej.

Mgła, którą w pierwszej chwili Mike wziął za sojusznika, bawiła się z nimi i kokietowała niczym pijana imprezowiczka – czasem otulała ich ciasno, muskając szyje, wślizgując się do uszu, by zaraz potem rozwiać się w jednej chwili i zostawić z uczuciem konsternacji.

W jednym z takich momentów Faruq wykonał gest, jakby chciał otwartą dłonią uderzyć w ziemię i zaraz potem padł płasko na glebę. Mike zrobił to samo, a po chwili, gdy podniósł wzrok, dostrzegł grupkę dziewczyn, cztery albo pięć wychudzonych, anorektycznych nastolatek, zgarbionych niczym ghule. Prowadziła je mała dziewczynka z wielkimi kucykami, uzbrojonej w mały nóż. Poruszały się zrywami, kilka kroków razem, przystanek, rozpięzchnięcie się i sprawdzenie pobliskich koszy na śmieci, witryn z rozbitymi szybami, skrzynek pocztowych. Dziewczynka wymachiwała nożem to w jedną, to w drugą stronę, wskazując kolejne miejsca do zbadania, a chichoczące i porykujące nastolatki skrupulatnie je sprawdzały. Gdy szły, poruszały rękami niczym małpy, jakby w każdej chwili gotowe paść na czworaka i tak zdublować swoją prędkość.

– Znam gościa, któremu przypadła ta mała – wyszeptał Faruq. – Na ziemi wziął ją za żonę, on miał cztery dychy, a ona jak widzisz. Nie stanął mu, więc ją ukamieniował, a sam poszedł na marine. Zarobił kulkę od snajpera, zanim dziewczyna na dobre ostygła i teraz się tu szukają. To dopiero miłość, nie?

Mike spojrzał na towarzysza, zastanawiając się, na ile ten kpi, a na ile mówi poważnie. Przy szepcie to zawsze trudno wyczuć.

Patrol zebrał się znowu w jedno miejsce i dziewice ruszyły dalej, by po chwili zniknąć za rogiem. Faruq odczekał jeszcze dwa oddechy, zanim wstał i podniósł łuk.

– Dobra, to już blisko – powiedział. – Widzisz tamte drzwi? Musimy do nich dobiec, zanim mgła zgęstnieje. Tam ci wszystko wyjaśnię.

Ta ostatnia obietnica sprawiła, że Mike – któremu całkiem dobrze było na tym zimnym, wilgotnym asfalcie – się zerwał, otrzepał i rzucił biegiem w stronę wskazanego budynku.

Wpadł na drzwi, pociągnął za klamkę. Zamknięte. Rozejrzał się; miał wrażenie, że zza pobliskiego rogu wyłania się kobieca sylwetka. Znajome uczucie przerażenia ścisnęło go jednocześnie za tył głowy i jądra. Ale nie, to jednak tylko złudzenie...

Faruq również dopadł drzwi, bezceremonialnie odepchnął Mike'a i sięgnął do kieszeni po klucze. Otworzył drzwi i wciągnął kompana

do środka. Tam, zanim pozwolił sobie na głęboki oddech, dopilnował, by wszystkie cztery zamki, łańcuch i sztaba znalazły się na swoich miejscach.

Dopiero wtedy odłożył łuk, odpiął kołczan i opadł na wielki, wiklinowy fotel.

– Rozgość się – powiedział.

Mike rozejrzył się wokoło. Cztery albo pięć niewielkich lampek rozjaśniało pozbawione okien pomieszczenie ledwie do półmroku, ale już to wystarczało, by dało się dostrzec aneks kuchenny, łazienkę, materac i spory składzik różnorakiej broni. Za stół robiła stolnica ustawiona na skrzynce; na niej poszczerbiona szklanka powstrzymywała pustą butelkę przed ostatecznym stoczeniem się poza krawędź.

– No więc? – zapytał Faruq.

– No więc co? – nie zrozumiał Mike. Miał wrażenie, że to on powinien być tym, który zadaje pytania.

– Cóż akurat ciebie, białasa z teksaskim akcentem, pchnęło w objęcia śmierci męczeńskiej w imię świętej wojny?

Mike wzruszył ramionami, jakby to teraz nie było ważne, ale zaraz potem uciekł wzrokiem w bok, w stronę nagromadzonych w kącie puszek. Bo w sumie jak się zastanowić, głupio wyszło.

– Ojciec mnie wkurzył – wyjaśnił. – Był żołnierzem... Powinienem powiedzieć „był” czy „jest”, skoro on żyje, a ja...

Faruq machnął ręką na znak, że rozumie i że nie ma co się nad tym teraz zastanawiać. Mike podrapał się po potylicy.

– Wkurzało mnie, że taki dumny chodzi, że zabija ludzi w jakimś tam kraju trzeciego świata, to się zaciągnąłem do jednej takiej organizacji pomagającej i pojechałem do Iraku. Tam mnie aresztowali, a potem stwierdzili...

– ...że jesteś jednym z nas, że On widzi w tobie moc i potencjał i że staniesz się jego narzędziem – dokończył Faruq. – I co, wróciłeś do siebie i poszedłeś w publiczne miejsce zrobić z siebie idiotę?

Mike skinął głową. Jak się teraz zastanowić, to faktycznie wyglądało to trochę głupio.

– No to teraz jesteś w niebie, stary. Witamy – Faruq rozłożył ręce. – Jesteśmy tu sami, znaczy my i nasze słodkie, krwiożercze dziewice, które dopadają nas jednego po drugim, by wykończyć. Każda z nich ma na plecach wytatuowane nazwisko jednego z nas i ta właśnie do niego należy. Czy też on należy do niej. Podasz mi piwo?

Mike uniósł brew.

– Wolno ci?

– A co? Trafię do piekła?

No tak, pomyślał Mike. Coś w tym było. Wstał, przeszedł do aneksu kuchennego i z lodówki wyciągnął dwie zimne puszki. Jedną z nich cisnął gospodarzowi.

– Mówiłeś wcześniej o jakimś ostatecznym pozbywaniu się – przypomniał. – Co to właściwie znaczyło?

Faruq wzruszył ramionami. Powoli, z namaszczeniem podważył kluczyk puszki paznokciem, a usłyszawszy syknięcie, uśmiechnął się błogo. Upił łyk, westchnął i dopiero wtedy odpowiedział:

– Podobno jest teoria, że da się te swoje dziewice wykasować i wtedy wyjść stąd i trafić do prawdziwego nieba. Tylko trzeba znaleźć jakiś klucz, jak się ich wszystkich pozbyć.

– Komuś się udało?

– Kompletu nie, ale część z tych, których spotkałem, twierdzą, że pozbyli się części. Że goni ich już mniej.

– O – zaciekał się Mike. – I jak tego dokonali?

Faruq uśmiechnął się smutno.

– No był taki, co twierdził, że nie mogą umrzeć jako dziewice. Jeżeli jakaś umrze w ten sposób, to się odrodzi i licznik stoi w miejscu.

– To znaczy, że jeśli bym ją, no wiesz, przeleciał, to wtedy zniknie już na zawsze?

– Nie wiem – odparł Faruq i upił kolejny łyk. – Ale tak słyszałem. Chłopaki próbują różnych rzeczy.

– Gwałtów na świętych dziewicach?! – nie wytrzymał Mike.

Faruq machnął gwałtownie ręką, by ten się uciszył. Podeszedł do drzwi, wyjrzał za nie, wrócił.

– Słuchaj, ja wiem, że jesteś tu krótko, ale generalnie powinieneś się już zorientować, że kiedy mówię o sobie czy reszcie chłopaków, to nie mam na myśli za dobrych ludzi, nie? Nie oczekuj wzorowych postaw moralnych.

Mike nie wiedział, co odpowiedzieć. Jego myśli wróciły teraz do zaułka, do leżącej na ziemi umięsnionej zakonnicy. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie swoją wuefistkę, była żołnierką, wiecznie rozżaloną, że odpadła w trakcie szkolenia BUD/S, który uczyniłby ją SEALsem, a nie trenerką szkolnej drużyny żeńskiej koszykówki. Kiedyś z dwoma kolegami widzieli ją przez uchylone drzwi, jak brała prysznic.

Potrząsnął głową, odganiając te wszystkie grzeszne myśli.

– Czy gdy one... – Przerwał na chwilę, by zebrać myśli. Znów czuł ucisk w spodniach i strasznie go to rozpraszało. – Czy gdyby mnie dopadła, to na pewno...

– Czy by cię rozszarpała? A co, myślisz, że spieszyła się tak, by ci obciągnąć? Oj, wtedy faktycznie dziurawienie jej strzałą byłoby nietaktem.

– Nie czas na takie żarty

– Że w sensie z kobiet? Czy z zabijania? Stary, ktoś ci chyba wyciął kilka fragmentów ze świętej księgi.

– Ale to naprawdę religia pokoju! – zawołał Mike. Właściwie sam nie wiedział czemu; zupełnie jakby zadziałał program, zakodowana myśl wbita do głowy i wywoływana na hasło.

Faruq pokiwał smutno głową.

– Widzisz, stary, oczywiście, że tak. Problem w tym, że dla niektórych, jak ja czy ty, ten pokój okazuje się za ciasny i myślisz sobie: a gdybym wyjechał tych hałaśliwych katolików, to czy mój pokój nie byłby większy? Urządziłbym sobie tam, w kąciku, pracownię. A ci Żydzi, co międlą o czynsz? Z ich mieszkankiem mój pokój miałby balkon. I oczywiście że jak już wyburzę te ściany, to potem ich wszystkich do siebie zaproszę, ale teraz... gdzie jest, kurwa, ten dynamit?

Dopił resztkę piwa i cisnął puszką w kąt, a potem zamarł, gdy w odpowiedzi na ten dźwięk coś zachrobotło przy drzwiach. Kilka dźwięków, a potem cichy pisk i coś jakby głos mówiący w niezrozumiałym języku.

– Światła – syknął Faruq i sam podszedł do najbliższej lampy. Wyszarpnął kabel z gniazdka i w pomieszczeniu zrobiło się nieco ciemniej.

Mike wyłączył w ten sam sposób kolejną i ruszył w stronę trzeciej, ale w połowie drogi zaplątał się w kabel i wyrznął jak długi. Butelka poleciała ze stolnicy na podłogę. Rozległ się brzdęk, a zaraz potem zapadła cisza. Ale patrzący na siebie w niemym przerażeniu Faruq i Mike wiedzieli, że to się zaraz zmieni. I rzeczywiście.

Coś łupnęło w drzwi, aż zadrżały ściany. Musi być wyjątkowo wielka, pomyślał Mike.

Kolejne uderzenie sprawiło, że na drzwiach pojawiło się pęknięcie. Na ten widok Faruq rzucił się do składziku z bronią i złapał za dwa karabiny M16. Jeden podał Mike'owi, drugi odbezpieczył i przyjął pozę, która

potwierdziła dopiero co zrodzoną w myśli obawę Teksańczyka – te drzwi to było jedyne wyjście.

Łupnęło po raz kolejny i po chwili drzwi ustąpiły z trzaskiem, ukazując stojącą w progu dziewczynę, która mogłaby brać udział w zawodach sumo. Za nią wykrzywiało się wściekle kilka cheerleaderek z pierścieniami wstrzemięźliwości połyskującymi na rozczapierzonych palcach.

– Dziewice!!! – wrzasnął Faruq i posłał w ich stronę serię ogniem ciągłym.

Galaretowate ciało olbrzymki zatrzęsło się, ale ta wciąż stała dzielnie, podtrzymywana przez pozostałe. W końcu, nie bacząc na wdzierające się w nią kule, odrywające strzępy skóry i odpryskujące kości, ruszyła przed siebie z rykiem, robiąc za pancerną osłonę.

Za nią wbiegły do mieszkania cheerleaderki. Pierwsza padła na ziemię i wygięła się w mostek, tworząc odskocznnię dla pozostałych, które wybijając się ze sprężystego brzucha, poszybowały w rozlicznych saltach pod sufitem.

Mike przymierzył i zdjął jedną z nich krótką serią, ale inna wylądowała tuż obok niego i natychmiast okręciła się długimi nogami wokół jego bioder. Odchyliła się, by podnieść z ziemi pustą butelkę, po czym uniósłszy się, walnęła nią w jego głowę. Po raz kolejny tego dnia zrobiło mu się ciemno przed oczami. Wiedząc, że walczy o życie – a może po-życie, bo jak nazwać stan życia po śmierci? – nie poddał się jednak otumanieniu. Wręcz przeciwnie, szarpnął się, zerwał dziewczynę z siebie, kopnął ją w głowę i odskoczył. Złapał za karabin i oddał serię najpierw pod nogi, a potem na oślep, przed siebie. Dziewic wciąż przybywało, coraz więcej kobiet gromadziło się w progu i zaraz za nim, więc wystarczyło tylko strzelać w tamtym kierunku do końca magazynka. Albo dziewczic.

Mike zerknął ukradkiem w stronę Faruqa. Ten cofał się przerażony przed wielką kobietą; już nie strzelał, już tylko się rozglądał niepewnie na boki. Gdy spojrzenia mężczyzn się spotkały, powiedział tylko:

– Znajdź sposób. Musi jakiś być.

Zaraz potem skoczył, a jedna z dziewczyn rzuciła się do jego szyi niczym wściekły pies i jednym szarpnięciem wyrwała mu krtań.

I wtedy Mike dostrzegł znajomy przedmiot. Leżał w rogu salonu i tylko czekał, by po niego sięgnąć. Pas Szahida. Skoczył ku niemu i łapczywie, gwałtownie, jak nastolatek mocujący się z zapięciem stanika koleżanki, zaczął szukać detonatora.

Wielka dziewczica dostrzegła jego gorączkowe zachowanie i domyślając się, co się święci, runęła niczym wielka szafa, by go przygnieść.

Ale było już za późno.

Mike zacisnął palce na detonatorze, kciuk powędrował na czerwony przycisk.

– Al... A jebać! – wrzasnął i wcisnął guzik.

Światło rozlało się falą, za którą podążył dźwięk, a gdy ten ucichł, budynek był już tylko stosem zakrwawionych cegieł, nad którym unosił się obłok przywodzący na myśl pozbawiony reszty oblicza drwiący uśmiech.



Jakub Ćwiek – człowiek, który nie potrafi usiedzieć w miejscu. Pisarz, komik stand-upowy, publicysta, podróżnik. Autor ponad dwudziestu książek, a także licznych opowiadań, słuchowisk, artykułów, sztuk teatralnych i scenariuszy.

Milena Wójtowicz

Psi urok

– Czy ty się kołyszysz? – spytał szeptem sierżant Paweł Królewski podkomisarza Mateusza Witczaka.

Podkomisarz, w istocie falujący cieleśnie do wtóru muzyki pogrzebowej, znieruchomiał i rozejrzał się nerwowo, czy ktoś poza kolegami to zauważył.

– Co ja poradzę, muzykalny jestem! Piętnaście lat tańczyłem!

– Ale na pogrzebie?

– Nie czepiaj się, to nie wina Chopina, że mu zawłaszczyli etiudę na podkład żałobny.

Witczak, wyraźnie urażony, wsadził ręce do kieszeni, żeby w ten sposób powstrzymać się od dalszych płasów. I faktycznie mu się udało. Kiedy tak stał na baczność, chudy, wysoki, nienaturalnie sztywny, wyraźnie poirytowany i ze zmierzwionymi ciemnymi włosami na samym czubku zaskakująco długiej, owalnej głowy, wyglądał jak wkurzona zapałka.

Albo poirytowany chart. Komisarz Stefanek uznał w duchu, że jeśli ma już do czegoś porównywać swoich podwładnych, to do psów, wszak policja była niczym psiarnia, zbieraniną wielu różnych stworzeń połączonych lojalnością wobec rodzaju ludzkiego i pragnieniem ochrony ludzików, niekiedy niewdzięcznych i wręcz godnych pogardy, przed całym złem, które zresztą sami na siebie...

– Szefie? – Sierżant Pazurek, dla kolegów Pazu, wychylił się lekko, żeby zajrzeć mu w twarz. Sierżant przypominał bassetta albo boksera. Taki właśnie był, przysadzisty, masywny, pełen siły, a jednocześnie z twarzy nieco passé, z wąsem i czupryną podrośniętą i zmierzwioną, jakby się urwał z lat dziewięćdziesiątych. Garnitury też miał takie... najntisowe, zawsze trochę niedopasowane i czasem nawet lekko błyszczące. – Szefie! Monolog wewnętrzny sobie poprowadzisz potem. Na razie trzeba się z tym bajzlem uporać.

Komisarz westchnął ciężko. Pazurek miał rację, niestety. Zamyślać mógł się później, faktycznie należało podjąć się śledztwa, choć oczywiście ofierze było już wszystko jedno, czy odkryją sprawcę teraz, zaraz, czy za tydzień... Tyle że komendantowi wojewódzkiemu i zastępcy prokuratora regionalnego wszystko jedno nie było.

Komendant wojewódzki był jak mastif – budzący respekt, potężny, twardy jak kamień. Za to zastępca prokuratora... komisarz wahał się, czy przydzielić mu Jack Russell teriera, zwierzątko zacięte i energiczne, czy jednak szczekliwego, a może wręcz przerasowanego shih tzu.

– Od czego zaczynamy? – zapytał Królewicz, zwany powszechnie wśród kolegów Królewiczem ze względu na aparycję niewinnej sarenki, kulturalne maniery i całkiem niezły zestaw foszków i kaprysów. Królewicz byłby chyba pomeranianem...

Stefanek otrząsnął się z rozmyślań i rozejrzał się dokoła, chłonąc terażniejszość i rzeczywistość, żeby nie ulegać melancholii, którą ostatnio czuł w sobie coraz częściej, ale by działać, działać i tropić, działać, tropić i wykrywać!

Kiedy on tak spoglądał, zgromadzeni wokół ludzie patrzyli z kolei na niego i jego współpracowników w mieszaninę ciekawości, zdegustowania, strachu, a nawet oburzenia, jakby to obecność policjantów zakłóciła uroczystość.

A przecież tak mało brakowało, żeby był to naprawdę piękny pogrzeb.

Zmarły spoczywał w dębowej trumnie wypolerowanej na błysk. W domu pogrzebowym rozłożono czerwony dywan, jakby spodziewano się gwiazdy filmowej, a nie nieboszczyka. Czerwone były też wyściełane krzesła. Ogromny portret zmarłego spoglądał na żałobników z życzliwą przenikliwością, której próżno było u Wiesława Konopki szukać za życia, a wokół niego pyszniły się wysmakowane kompozycje kwiatowe. Śmietanka towarzyska, polityczna i kulturalna podwrocławskiego Zebrzydówka, przyodziana w funeralną czerń, zebrała się, by ostentacyjnie oddać cześć zmarłemu i przy okazji pokazać się komu trzeba.

I to wszystko zepsuł jeden nadprogramowy trup.

Chociaż może „zepsuł” to nie było właściwe słowo. Na pewno pogrzebu Wiesława Konopki prędko nie zapomni nikt z obecnych, a nawet nieobecni będą go wspominać latami.

– Dlaczego ci ludzie mają kieliszki? – zapytał z rezygnacją Stefanek.

– Zastępca burmistrza kazał tu przenieść stypę. Dla ukojenia szoku czy jakoś tak – skrzywił się Witczak.

Komisarz westchnął głęboko. Nie lubił polityki. Nie lubił spraw politycznych. A już najbardziej, ze wszystkich sił i z głębi trzewi, nie znosił małomiasteczkowych spraw politycznych. Lokalni bonzowie byli jeszcze na tyle nisko w porządku dziobania, że mogli osobiście dyszeć śledczym w karki, ale już na tyle wysoko, żeby w razie czego móc zadzwonić do komendanta wojewódzkiego. Albo zastępcy prokuratora.

I co gorsza, zadzwonić i zostać wysłuchanym! Teraz zaś on, Roman Stefanek, i jego sfera wiernych poszukiwaczy sprawiedliwości spadli na tę małą miejscinę niczym narzędzie pomsty z jasną misją – ustalić, czy można wznowić pogrzeb.

– No dobra. Pazu...

– Wezmę lokalsów – zgłosił od razu sierżant Pazurek.

Był dobry w brataniu się z ludźmi, może dlatego, że wyglądał jak służbista bez wyobraźni, wycucia stylu i wyrafinowania umysłowego. Nikt nie uważał go za zagrożenie, wyglądał na znudzonego urzędasza, który szuka pierwszej okazji, żeby zejść z oczu zwierzchnika i się poobijać, najchętniej w towarzystwie. Przy kimś takim nikt się nie pilnował. Ale Stefanek dobrze wiedział, że pod tą zwodniczą powierzchownością Pazurka krył się prawdziwy, niestrudzony łowca i tropiciel.

– Łypią na nas koso od samego początku... – dodał sierżant.

– Nic dziwnego, w końcu im wleźliśmy w kompetencje – mruknął z niechęcią Witczak. – Też bym koso łypał.

– Ano. Wezmę ich na fajkę, gdzieś tu obok kebsa widziałem...

– Idź – zgodził się komisarz. – Mateusz...

– Pójde na grób zobaczyć, czy coś ustalili – zaoferował od razu Witczak.

Całkiem niedawno doszedł do wniosku, że nie lubi pracować z ludźmi, i przeniósł się z dochodzeniówki do kryminalnego, błędnie uznawszy, że martwi będą mu mniej działać na nerwy niż żywi. Niestety nie wziął pod uwagę, że za każdym nieboszczykiem, którym policja musiała się zainteresować, podążało całe grono świadków, podejrzanych i przypadkowych osób, żywych i niesamowicie denerwujących. Jego cichym marzeniem było śledztwo w sprawie zgonu jakiegoś odludka i pustelnika, jednak żaden zbrodniarz nie chciał mu pójść na rękę – dotąd wszystkie ofiary, którymi zajmował się Witczak, miały nader bogate powiązania rodzinno-towarzyskie. W związku z tym podkomisarz złożył

już podanie o przeniesienie do wydziału gospodarczego, w nadziei, że tam sobie posiedzi w aktach.

– A my, Królewicz, krążymy.

– Krążymy?

– Idziemy bratać się z tłumem. Spotykamy się tu za godzinę i wymieniamy informacje.

*

Minęły dokładnie sześćdziesiąt dwie minuty. Pazurek pachniał kebabem i samozadowoleniem. Witczak, spędziwszy godzinkę na świeżym powietrzu w towarzystwie nieboszczyka i w otoczeniu cichych grobów, wyraźnie odzyskał rezon, a Królewicz ścisnął swój czarny notes niczym tarczę. Dołączył też do nich prokurator Domski, który, wyrwany z imienin własnej matki, dojechał wreszcie spod Wrocławia.

– Ostro jest – ocenił fachowo komisarz.

Pozostali pokiwali głowami. Tłum żałobników przypominał harpie, z jednej strony łaknące plotek, z drugiej strony pałające chęcią wsypania swoich wrogów.

– Gadałem z regionalnym – westchnął prokurator. – Któraś z tych lokalnych eminencji jest fanem gier kryminalnych czy tam escape roomów. I myśli sobie, rozumiecie, że my teraz metodą „lokaj w bibliotece młotkiem” dojdziemy, czy w ogóle było morderstwo, a jeśli tak, to od razu będziemy wiedzieli, kto zabił. Dlatego wszyscy tu siedzą, ten świr ich nakręcił, nie wiem, czy bardziej na atrakcję w postaci śledztwa, czy na to, że kto pierwszy wyjdzie, ten winny...

Stefanek zaklął w duchu, siarczyście, z głębi trzewi, czując na ramionach niewdzięczny ciężar tej roboty, tak potrzebnej, ale i tak niedocenianej, takiej, w której jednego dnia czuł się jak król świata, drugiego jak bezpański kundel, a trzeciego, tak jak dziś – jak cyrkowy piesek zmuszony do wykonywania sztuczek ku uciesze żadnej rozrywki gawiedzi...

– Szefie. – Witczak szturchnął go łokciem. – Rzeczywistość ssie, ale wracamy do niej.

– Spokojnie – pocieszył ich prokurator. – Eminencja jest pociotkiem większej eminencji, więc będziemy szczerzyć ząbki i robić za małpki w cyrku...

– Pieski – poprawił ponuro Stefanek. – Pieski w cyrku.

– Mogą być pieski – zgodził się Dowski. – I skoro chcą gry towarzyskiej, to będą mieli grę towarzyską. Tyle mi zeszło, bo po drodze Zacharczyka zgarnąłem. Wysłałem go na wdowy, niech się dyskretnie wywie co i jak.

Rzeczywiście podkomisarz Tomasz Zacharczyk, jak zwykle odziany w czarny garnitur, krążył wśród zebrzydówkowej elity. Skądś już miał w ręku kieliszek z białym winem i w ogóle nie wyglądał na policjanta prowadzącego śledztwo, bardziej na lokalną szarą eminencję, promieniującą pewnością siebie i czarem osobistym.

– Skubany psi urok ma – powiedział niechętnie Witczak. – Ja nie wiem, co jest nie tak z normalną policyjną robotą, psy to są od węszenia, a nie od czarowania! Weźmiesz charta gończego, to będzie ci tropił zwierza, a nie mrugał oczkiem i szturchał noskiem i tak kręcił ogonkiem, że zwierzyna sama przyjdzie! Żony tak nie wyrywałem, jak Tomek rwie świadków!

– Tym gorzej dla Malwinki, przekaż pozdrowienia. – Przechodzący właśnie obok Zacharczyk mrugnął do niego okiem. Nie zwolnił nawet kroku i już po chwili witał się serdecznie z zastępcą burmistrza, z całego serca zapewniając go, że podziwia, jak prawdziwy mąż stanu zachowuje spokój ducha w takiej sytuacji! Zastępca burmistrza widział co prawda tego faceta pierwszy raz w życiu, ale od razu zaczął mu dziękować za wsparcie w tej trudnej chwili i wzdychać, że „nie uwierzy pan, co to ja dziś mam!”.

– Malwinka odpozdrawia – odpowiedział odruchowo Witczak, chociaż Zacharczyk nie mógł go już usłyszeć. – No co – prychnął do kolegów. – Ona go lubi, mówi, że to mój jedyny normalny znajomy z pracy.

– To co Malwinka mówi o mnie? – zainteresował się ostrożnie Pazurek.

– Że powinieneś iść do stylisty. Tłumaczyłem jej, że to specjalnie taki imidż, ale nie zakumała. Ona myśli, że my wszyscy możemy wyglądać jak Tomek, jakbyśmy się z jakiejś okładki urwali, a jeśli nie wyglądamy, to tylko dlatego, że nam się nie chce!

– Nie płakusiał, Witczak – polecił surowo prokurator. – Posłuchaj żony, kup sobie porządny garnitur...

– A dostanę na ten cel podwyżkę? – zainteresował się od razu podkomisarz. – Bo garnitury drogie, inflacja skacze...

Dowski już-już mrużył oczy i przymierzał się do odpowiedzi, kiedy sierżant Pazurek wykazał się refleksem.

– Patrzcie, szturmuje wdowę.

Odwrócili się wszyscy, żeby popatrzeć. Faktycznie Zacharczyk niczym kula bilardowa odbijał się od kolejnych, mniej ważnych osobistości, by

w końcu trafić do pani Konopko. Składał jej kondolencje rozwlekłe i z dużym uczuciem, a nieutulona w żalu wdowa najwyraźniej miała kłopot z rozumieniem treści, gdyż skupiała się na formie, a konkretnie na kształtnych wargach podkomisarza.

– Jak ona się na niego rzuci, to dopiero się telefony u komendanta rozdzwonią... – mruknął pod nosem Witczak.

– Która to wdowa? Ta po oryginalnym nieboszczyku czy po tym świeżym? – zainteresował się prokurator.

– Ta jest po oryginalnym – powiedział Pazurek. – Konopko Maria. Po podrzuconym jest Konopko Sylwia.

– A Tomek wie, że ma jeszcze drugą oczarować?

– Chciałbym podkreślić, że praca z podkomisarzem Zacharczykiem wywołuje u mnie znaczący dyskomfort etyczno-moralny – wtrącił Paweł Królewski, przestępując z nogi na nogę. – Tak się nie powinno prowadzić śledztwa ...

Prokurator łypnął na niego nieprzychylnie.

– Nie komplikujcie, Królewski. Przypominam, że... – odchrząknął i zaczął recytować tonem monotonnym jak ktoś, kto po raz setny wygłasza tę samą przemowę – podkomisarz Zacharczyk cechuje się nienaganną etyką pracy, co zostało stwierdzone w toku licznych postępowań wewnętrznych wszczętych z powodu nieuzasadnionych skarg, nigdy nie udowodniono mu utrzymywania kontaktów seksualnych z podejrzanymi ani świadkami w trakcie śledztwa, a ponadto, jak stwierdziły trzy niezależne komisje, jego zachowania nie noszą znamion molestowania seksualnego, zastraszania lub też dyskryminacji.

– W ogóle nie dyskryminuje – zgodził się Witczak. – Ze dwa tygodnie temu widziałem, jak pojechał tym swoim... urokiem osobistym po zapitym gościu, którego ściągnęliśmy z meliny. Takim wiecie, nieogolonym, śmierdzącym, co ostatnio był trzeźwy w zeszłym tysiącleciu. Typek zaczyna się drzeć, jak to nam wszystkim wpierdoli i kogo on tu nie zna, a Tomek jakby, kurde, węchu nie miał, pochyla się do niego i mruczy to swoje „niech pan mi jeszcze opowie, jak i z kim by mi pan spuścił łomot”, jakby to Angelina Jolie tam siedziała prosto z kąpieli z bąbelkami, a nie Zezowaty Zenek. I cholercia, pięć minut nie minęło, jak ten Zenon wszystko mu wyśpiewał, z kim, kiedy, kogo zna, co widział, a Tomek tylko „fascynujące”, „mów do mnie jeszcze”, jakby był na randce z napaloną encyklopedią!

– I co pan czuł, obserwując tę sytuację? – zapytał prokurator.

– Głęboki dyskomfort – przyznał Witczak.

Królewicz wyciągnął do niego uniesioną rękę i przybili sobie pionę.

– Błąd, Witczak! – skarcił go prokurator. – Bo powinniście byli czuć głęboką satysfakcję, że sprawiedliwości staje się zadość, a podkomisarz Zacharczyk jest jej wiernym i skutecznym narzędziem!

– Niech sobie będzie, ale ja z nim biuro dzielę. Dwie godziny po Zenku wietrzyliśmy. Mógł sobie do niego mrużyć gdzie indziej, nie wiem, na świeżym powietrzu? Poszliby sobie na ławeczkę do parku, słońeczko świeci, ptaszki śpiewają, wietrzyk świeżym powietrzem zawiewa. Nawet proponowałem, że skoczę z nimi i będę robił za protokolanta, ale Tomek mnie spławił, powiedział, że bym nie przeszkadzał, bo on jest teraz zajęty z panem Zenonem. A wiecie, jak Zenek wtedy na mnie spojrzał? Z takim triumfem, jakby mi co najmniej Tomka odbił na stałe!

– Bezczelny. – Pazurek pokręcił głową z potępieniem.

– Całkiem bezczelny. Ale mógł sobie mieć tę godzinkę triumfu, potem i tak trafił do celi, a my z Tomkiem razem wietrzyliśmy biuro! I kto się śmiał ostatni, kto?

– Chłopaki z odzyskiwania mienia, bo Zenek wsypał trzech paserów – przypomniał Stefanek. – Niech Zacharczyk robi swoje, a wy lepiej mówcie, czego się dowiedzieliście.

– Niczego – oznajmił ponuro Królewiak. – Albo bardzo dużo, zależy jak na to patrzeć.

Witczak i Pazurek spojrzeli po sobie, a potem pokiwali głowami, by dać znać zwierzchnikowi, że w pełni zgadzają się z oceną najmłodszego stażem.

– Referujcie – polecił komisarz Stefanek, pogodziwszy się z tym, że przypadła mu niewdzięczna rola najstarszego stopniem w tym cyrku... pardon, na tej smutnej uroczystości. – Tylko skrótowo, to, co najważniejsze – dodał zaraz.

Na wstrzemięźliwość Witczaka i Pazurka mógł liczyć, ale Królewicz był świeży w wydziale i komisarz uważał, że jego obowiązkiem jest wyprowadzić tego rokującego i zdolnego młodego człowieka na ludzi... a raczej na śledczych.

– To ja zacznę. Patolog potwierdza, że Alojzy wpadł do otwartego grobu przygotowanego dla Wiesława i skrzył sobie kark – zreferował Witczak. – Nie jest w stanie na tym etapie powiedzieć, czy ktoś mu pomógł. Grabarze

twierdzą, że nic nie widzieli. Przygotowali miejsce pod pochówek, odeszli na chwilę, a jak wrócili, to w grobie już ktoś leżał. Jeden wskoczył się upewnić, czy gość był już nieżywy, i tak się potem zestresował, że go nie nadążali na górę wyciągać. Ale podobno nowy, to nerwowy.

Królewiak otworzył notes w lśniącej, skórzanej okładce, odchrząknął i zaczął mówić.

– Zmarły numer jeden, ten oryginalny, to Wiesław Konopka, to wiecie. Jego ojciec i ojciec drugiego zmarłego, tego nadprogramowego, Alojzego, również Konopki, byli braćmi. Jeśli chodzi o stosunki między kuzynami, to w zależności od tego, kogo spytać, były: normalne, jak to w rodzinie, napięte, jak to w rodzinie, cud, że się przed śmiercią nie pozabijali, Alojzy chciał się ze zwłokami pojednać, Alojzy był nieutulony w żalu, Wiesław by się drugi raz przekręcił, jakby zobaczył kuzyna na swoim pogrzebie, a poza tym to kochali się bardzo – wyliczył bezlitośnie. – Część mówiła do mnie, część ludzie gadali między sobą, to notowałem.

– Niech to szlag – jęknął boleśnie Witczak, którego aż mdliło na myśl o telenowelowych układach rodzinnych.

– Szlag to już trafił nieutulonego w żalu Alojzego – przypomniał nietaktownie Królewicz. – A skoro o wilku mowa, to świadkowie mają swoje teorie. Liczne, dodam.

– Dawaj – polecił Stefanek, zacierając energicznie ręce. Lubiał teorie świadków. Świadkowie zawsze wiedzieli dużo więcej, niż chcieli powiedzieć wprost, i przy takich abstrakcyjnych ćwiczeniach umysłowych często im się ta wiedza przypadkiem wymykała.

Królewicz odchrząknął.

– Wersja pierwsza: kuzyn Alojzy, nieutulony w żalu, rzucił się żegnać zmarłego, z rozpaczony trochę się pospieszył i zamiast do domu pogrzebowego, trafił od razu na grób i z rozpędu głupim wypadkiem do grobu. Wersja druga: kuzyn Alojzy ukradł zmarłemu zaraz po śmierci zabytkowy zegarek typu cebula, pamiątkę po pradziadku obu denatów, a zginął tragicznie wskutek pozagrobowej interwencji świętej pamięci Wiesława. Wersja trzecia: zegarek ukradł kto inny, a nad pustym grobem doszło do konfrontacji i złodziej wepchnął Alojzego do wykopu. Wersja czwarta: rodzina Konopków została przeklęta zaraz po tym, jak przyjechali na Ziemię Odzyskane, i klątwa właśnie zaczęła się objawiać. Wersja piąta: to wszystko spiszek wrogów zmarłego, który zapewne widział za dużo, wiedział za dużo albo po prostu miał za dużo kasy. Ci wrogowie

wykończyli Wiesława albo zjechali się na pogrzeb, upewnić się, że on na pewno nie żyje, a wtedy Alojzy wszedł im w paradę. Albo dlatego, że też miał coś na sumieniu, albo dlatego, że bohatersko chciał ujawnić prawdę o nich. Pewne jest tylko, że Wiesław zmarł trzy dni temu z przyczyn naturalnych, Alojzy dziś, a zegarka typu cebula nie ma przy sobie żaden z nich.

Przez chwilę milczeli, próbując sobie poukładać informacje.

– Nie chcemy ukrytych wrogów – orzekł w końcu stanowczo sierżant Pazurek. – W ogóle żadnych przyjezdnych, tu w ogóle są jacyś przyjezdni?

Stefanek pokręcił głową.

– Poza nami chyba nie, sprawdziłem listę żałobników. Któryś z miejscowych rozsądnie ich od razu wszystkich spisał razem z adresami.

– To sio z przyjezdnymi wrogami – zdecydował Pazu. – Miejscowi mają focha, bo im ta szara eminencja zrobiła afront i uparła się nas ściągnąć. Chociaż im dłużej na ten cyrk patrzą, tym mniej są obrażeni, a bardziej szczęśliwi, że mogą sobie stać z boku. Ale o tym zegarku też słyszałem. Chłopaki nie dostali oficjalnego zgłoszenia, ale nieoficjalnie wiedzą, że zegarek zaginął zaraz po śmierci Wiesława. Nieboszyk numer jeden życzył sobie być z nim pochowany i to naprawdę sobie życzył, podobno co i raz o tym nawijał, a jak przyszło co do czego, to okazało się, że amba wzięła.

– Jaka Amba? – zapytał nieufnie Królewicz.

– Amba fatima było i ni ma – rozwinął Pazurek. – Wdowa szukała, ale nie na tyle gorliwie, żeby zgłosić kradzież. Tutejsi sądzą, że sama schowała, żeby nie musieć majątku do trumny wsadzać. Wiecie, znajdzie się po pogrzebie i och, jak przykro, przecież nie będziemy ekshumacji robić, żeby zabytek dołożyć do trumny. Ta cebula mi śmierdzi, tyle wam powiem.

Przez chwilę wszyscy milczeli ponuro. Byli po cywilnemu i gdy tak stali, kontemplując posępnie nadmiar teorii i absurdów nagromadzonych na jednym pogrzebie, prawie wyglądali na przeciętnych żałobników.

– Ten zegarek... – zaczął Stefanek. – Instynkt mi mówi...

– Instynkt ci może krzyczeć – westchnął prokurator. – Ale jak ci fantu nie wywacha, to co z tego?

– Może Tomek coś z ludzi wyciągnął – pocieszył ich Witczak. – A gdzie on w ogóle jest?

– Tam, z zaplecza wychodzi.

Wszyscy spojrzeli na drzwi, przez które wierne i skuteczne narzędzie sprawiedliwości wchodziło z nonszalancją właściwą aktorom stąpającym po czerwonym dywanie, do tego z szerokim, hollywódkim uśmiechem kogoś, kto całe życie marzył, żeby znaleźć się właśnie tu, w domu pogrzebowym Rzeki Hadesu, w towarzystwie głęboko rozstrojonej nerwowo rodziny Konopków wraz z jej wpływowymi przyległościami towarzyskimi.

Zacharczyk przemaszerował przez całą salę, odprowadzany pełnymi ciekawości spojrzeniami żałobników, i stanął obok kolegów.

– Dowiedzieliście się czegoś o cebuli? – zapytał.

– Ha! – Pazurek triumfalnie uderzył pięścią w dłoń. – Mówiłem, że mi śmierdzi! Amba fatima!

Tomek pociągnął nosem i powęszył.

– Tylko kadzidło czuję – oznajmił. – Cebuli w ogóle.

– Zegarek typu cebula – wyjaśnił Witczak.

– Aaaa! To teraz rozumiem. Wdowa po tym dzisiejszym nieboszczyku, Alojzym, twierdzi, że jej mąż poszedł wrzucić kuzynowi cebulę do grobu i go Wiesław pokarał za to, że ją w ogóle zabrał. Jest rozhisteryzowana i nie udało mi się nic więcej z niej wyciągnąć, tylko cebula, przeklęta cebula, i gdyby nie ta cebula... I zaczynałem się już zastanawiać, czy to jakiś tutejszy zwyczaj, żeby warzywa do trumny dokładać.

– W grobie nie było zegarka – przypomniał Witczak. – Sprawdziłem kieszenie denata, też nie miał.

– Grabarze? – podsunął Pazu. – Bierzemy ich na komendę na przesłuchanie?

Stefanek pokręcił głową.

– Nie będziemy robić przedstawienia. Te wszystkie sępy tylko patrzą i chłoną. Jeśli kogoś teraz zabierzemy, nawet w charakterze świadka, to do rana całe miasto będzie wiedziało, że zabił. Albo ukradł.

– Weź, zeszlibyśmy ze świecznika... – jęknął prokurator.

– Zejdziemy – uspokoił go Stefanek. – Musimy być cierpliwi jak psy tropiące. Skupieni na celu, niedający się rozproszyć, czujni i nieustępliwi...

– Zawsze bardziej utożsamiałem się z kotami... – Tomek uśmiechnął się szelmowsko.

– Zacharczyk – zadudnił złowrogo komisarz. – Jak mówię, że jesteśmy psy, to wszyscy jesteśmy psy! I nie będziesz żaden kot, będziesz...

będziesz... tajski ridgeback! – oznajmił triumfalnie, gdy w końcu spłynęło na niego olśnienie. Tak, to pasowało!

Policjanci milczeli. Witczak szturchnął Zacharczyka łokciem i podsunął mu swoją komórkę z otwartym ekranem wyszukiwania. Tomek przyjrzał się zdjęciom. Wzruszył ramionami.

– Może być – zgodził się.

– No ja myślę – nastroszył się Stefanek. – Mateusz, streść mu wszystko raz-dwa i wypisz nazwiska grabarzy.

Witczak bez wahania i w tempie karabinu maszynowego wyrzucił z siebie podsumowanie marnych, bo marnych, ale jednak ustaleń.

– Wszystko już wiesz? To idź i czaruj tych trzech, może coś więcej z nich wyciągniesz. Tylko tak wiesz, ekspresowo.

Zacharczyk zmarszczył brwi, po czym nagle zajrzał Królewiczowi prosto w twarz, skracając dystans między nimi do może dziesięciu centymetrów i znacząco naruszając przestrzeń osobistą kolegi. Paweł spłonął rumieńcem oburzenia i cofnął się o krok.

– Świetnie – orzekł Zacharczyk. – Chodź.

Sierżant w ogóle się nie ruszył, więc podkomisarz stanowczo ujął go pod ramię.

– Pożyczę go na chwilę. We dwóch będzie szybciej – poinformował zwierzchników. – No chodź. Raz dwa rozwiążemy sprawę, wszystko będzie cacy i wrócisz sobie cały i zdrowy do komisarza.

– A mogę nie? – kwiknął sierżant.

– Nie możecie, Królewicz – uciął Stefanek. – Pójdziecie i będziecie się uczyć od starszego kolegi! Na chwałę ojczyzny i sprawiedliwości.

Prokuratora odblokowało.

– Królewicz! Pójdziecie z podkomisarzem i rozwiążecie tę sprawę, używając wszelkich technik, jakie macie do dyspozycji! Pamiętajcie, Temida na was liczy!

Królewiak spojrzął w oczy Domskiego, w których gorzał fanatyczny żar, a jego blask zdawał się docierać aż do znaczka z krzyżowcem, który prokurator zawsze nosił w klapie, i pomyślał, że bycie narzędziem sprawiedliwości oznacza przede wszystkim, że ma się przewalone.

– Chodź. – Zacharczyk pociągnął go w stronę wyjścia z domu pogrzebowego.

Sierżantowi nie pozostało nic innego, jak dać się prowadzić.

– Ja mam etykę pracy! – poinformował Zacharczyka, ledwie wyszli przed budynek, możliwe, że trochę płaczkliwie.

– To nieistotne. Ważne, że masz oczka jak sarenka – odpowiedział uprzejmie Tomek. – Taki Bambi z mamusią zastrzeloną przez złych myśliwych, sierotka z lasu.

– Mam mocne podejrzenia, że coś mi naruszasz. – Królewicak odsunął się od podkomisarza. – Przestrzeń osobistą albo godność, albo coś. Widziałem, jak traktujesz podejrzanych. I świadków! To nie jest policyjna robota...

Zacharczyk uśmiechnął się szeroko. Wciąż patrzył sierżantowi prosto w twarz.

– Nie patrz na mnie – zażądał Królewicz. – Śledztwo mamy prowadzić, a nie się na siebie ślepić. To jest nienaturalne tak się... skupiać.

– Niespotykane – skorygował Tomek.

– Co?

– Nie nienaturalne, tylko niespotykane. Zwykle nikt ani tobie, ani nikomu nie poświęca stuprocentowej uwagi. A ludzie lubią, gdy się ich słucha. Ludzie chcą być najważniejsi. Każdy chce grać główną rolę nie tylko w swoim życiu, lecz także w życiu innych. Bycie statystą to bycie przegranym. Pierwszy plan, drugi ostatecznie, to jest to, czego ludzie chcą. Chcą być ważni, chcą być zauważani. A ja im to daję. Najpierw się krygują, tak jak ty, a potem rozkwitają i zaczynają mówić o wszystkim. Bo chcą tej uwagi, chcą, żebyśmy się na nich skupiali. Nawet jeśli zadaję im bezczelne pytania, wytrącam ich z równowagi i naruszam im to wszystko, co przed chwilą naruszyłem tobie.

– I ja mam tak robić?

– Za parę lat może – stwierdził rzeczowo Zacharczyk. – Jak się nauczysz i przestaniesz rumienić. Albo możesz znaleźć to coś, co pozwoli ci stworzyć swój styl, swoją metodę. Ale na razie, to skup się na tym. – Wycelował dwoma palcami w oczy Królewicza.

– To znaczy?

– Widziałeś u Stefanka zdjęcia jego spaniela?

Królewicz pokiwał głową. Trudno było nie widzieć. Komisarz miał całe biuro wytapetowane portretami czempionki Applepie Royal Valley, zwanej w domu Apcią. Znalazło się nawet gdzieś w tej kolekcji zdjęcie żony i dzieci Stefanka, rzecz jasna z psem na pierwszym planie.

– Widziałeś, jak Apcia się patrzy?

– Tak, że bym jej śniadanie oddał – przyznał sierżant.

– To teraz ty się tak patrz. Masz warunki. Bądź zagubionym jelonkiem, bądź głodnym spanielem, ja będę pytał, a ty się patrz... o, z taką urazą jak na mnie teraz ślepisz. Zapamiętaj sobie ten wyraz twarzy i chodź.

Sierżant się zawahał. Nie był pewien, czy w ogóle rozumie, czego kolega od niego oczekuje. „Głodny spaniel” to była fatalna nazwa dla techniki śledczej, ale skoro zwierzchnicy kazali mu iść i być narzędziem sprawiedliwości w postaci smutnego pieska, to cóż mu zostawało – musiał się dostosować.

Zacharczyk zdążył już znaleźć trzech grabarzy. Siedzieli na schodkach z tyłu domu pogrzebowego. Jeden palił zwykłego papierosa, drugi zaciągał się dymem z elektronicznego, a trzeci, najmłodszy, z poluzowanym krawatem, wyglądał, jakby potrzebował nie tyle papierosa, ile kielicha albo terapii.

– Właśnie panów szukałem! – wykrzyknął radośnie podkomisarz. – Podkomisarz Zacharczyk, a to sierżant Królewski. Marzymy po prostu o rozmowie z panami.

Ten z papierosem, wysoki, chudy blondyn, spojrzał na nich podejrzliwie.

– Już rozmawialiśmy z tym ciemnym, chudym...

– Wiem, panie Marczak, ale to taka strata czasu. – Zacharczyk machnął ręką. – Kolega ciemny i chudy nie lubi ludzi, nie to co my.

Bez wahania przysiadł na schodku, przysuwając się do bladego chłopaka. Dla Królewskiego nie było już miejsca, stanął więc naprzeciw grabarzy i przybrał zalecony wyraz twarzy.

– Porozmawiajmy o tym, co panowie widzieli – zaproponował entuzjastycznie podkomisarz.

– Nic żeśmy nie widzieli – oznajmił vapujący łysy. – Przygotowaliśmy wszystko, poszliśmy się przebrać na ceremonię, wróciliśmy i w dole był trup.

– Panowie natychmiast rozpoznali, prawda? – ucieszył się Zacharczyk. – Od razu widać fachowców.

– Głowę miał tak, że głupi by rozpoznał – parsknął Marczak. – Czegoś takiego, to jeszcze nie mieliśmy...

– Proszę mi o tym opowiedzieć!

Najmłodszy grabarz odsunął się od podkomisarza, najwyraźniej nie dzieląc jego entuzjastycznego zainteresowania sytuacją. Spróbował uciec wzrokiem i trafił prosto na Królewskiego, który pracowicie ćwiczył technikę głodnego spaniela. Młody się wzdrygnął i spuścił oczy.

– Co tu do gadania jest? Zawsze jest jeden nieboszczyk, taki już przyszykowany. Czasem się ktoś z rodziny rzuca na trumnę, ale żeby tak wcześniej, do grobu, śmiertelnie... To pierwszy raz.

– Myślą panowie, że się rzucił?

Vapujący wzruszył ramionami.

– A to wiadomo, co ludziom strzeli do głowy? Ale jak by chciał ze sobą skończyć, to do grobu słabo, za małą wysokość.

Blondyn pokiwał głową.

– Spadł może.

– Ale po co by tam wcześniej przychodził? – zdziwił się niewinnie Zacharczyk. – Przecież wszyscy byli w domu pogrzebowym.

– Cholera go wie, może na kontrol? Ci Konopkowie to bardzo tacy pilnujący, swoich biznesów też mocno doglądali. Ta żona to się cały czas kręciła wokół, wszystkiego musiała sama dopatrzyć, kwiatów, szarfy, baldachimu... Może ten też chciał sprawdzić, czy wszystkośmy dobrze zrobili. – W głosie łysego słycać było urazę.

Zacharczyk ostentacyjnie wywrócił oczami.

– We wszystko się musieli wtrącać? – zapytał współczująco. – Znam ten typ. Zresztą co mam ściemniać, w śledztwo też nam się próbują wtrącać.

Miejscowi od razu się zainteresowali.

– Taa?

– No jasne. Myślą panowie, że byśmy tu z Wrocławia przyjeżdżali, gdyby KTOS się nie uparł? W ogóle nie wiem, po co my tu, wchodzimy waszej policji na teren i nikomu nie jest fajnie. A Konopkowie... – Machnął ręką, opędzając się od wyimaginowanych hord krewnych obu nieboszczyków.

– Cisną was?

– Cisną, cisną. I nie wiadomo od której strony bardziej – westchnął Zacharczyk. – Mogę się poczęstować? – zapytał blondyna. – Już niby rzuciłem, ale tak mnie dziś zdrzaźnili...

– Bierz pan.

– Dziękuję. – Zacharczyk przyjął papierosa i podsunął zapalniczkę, zapalił i zaciągnął się dymem w sposób obsceniczny. – Jak mi tego było trzeba!

Łysy spoglądał na niego niepewnie, nie bardzo chyba wiedząc, co począć z taką reakcją. Marczak, sam palacz, tylko kiwał głową ze zrozumieniem.

Królewiak, który przypadkiem wiedział, że podkomisarz nigdy nie palił, wbijał pracowicie smętne spojrzenie w młodego.

– Coś nie tak, panie Adamski? – zapytał Zacharczyk, gdy wydmuchał powoli z ust chmurkę papierosowego dymu.

– Dlaczego on się tak cały czas patrzy?

– Sierżant Królewiak cierpi, gdy sprawiedliwości nie staje się zadość – powiedział z pełną powagą podkomisarz. – Boli go to wewnętrznie. A tu, sami wiecie, nie wiadomo jeszcze, czy to był wypadek, czy mamy morderstwo...

Adamski wzdrygnął się nerwowo.

– Będziemy musieli wzywać wszystkich na komendę, przesłuchać, ustalić najdrobniejsze szczegóły... – ciągnął posepnie Zacharczyk. – Będziemy grali w dobrego i złego glinę, będziemy szperać w życiorysach, poznamy wasze najgłębsze sekrety – dodał, spoglądając młodemu prosto w oczy.

– Nasze? – przestraszył się Adamski.

– Wasze, oczywiście, że wasze – westchnął podkomisarz. – Przecież byliście pierwsi na miejscu, to oczywiste, że zaczniemy od was. Teraz możemy sobie siedzieć i razem palić, ale panowie, wybaczcie mi, kiedy znajdziemy się po obu stronach stołu w pokoju przesłuchań... Wtedy ta chwila nie będzie już nic znaczyła.

Blondyn gapił się na Zacharczyka, jakby powątpiewał w jego zdrowie umysłowe. Królewicz całkowicie go rozumiał, to była normalna reakcja na cyrki, które zwykle wyprawiał Tomek. Łysy wiercił się trochę niespokojnie, jakby niepewny, czy podkomisarz ściemnia, czy zaraz faktycznie odpali im śledztwo jak z telewizji. A Adamski, ten najmłodszy, był coraz bledszy i już niemal dosłownie zalewał go pot.

– A jakby mało było tego morderstwa... – ciągnął zamyślony Zacharczyk. – To mogło dojść też do kradzieży... W takich okolicznościach...

Królewiak postarał się wyglądać na jeszcze bardziej przybitego. Odpuścił sobie blondyna i łysego, cały ciężar głodnego spaniela skoncentrował na młodym.

– I nie muszę chyba dodawać, że rodzina naciska, żeby znaleźć podejrzanych, już, teraz, zaraz, wdowę trzeba ukoić, jedną i drugą, nawet nie wiecie, pod jaką jesteśmy presją...

Wstał, zgasił papierosa.

– Chciałem, żebyście to wiedzieli. Bo kiedy wrócimy z sierżantem do domu pogrzebowego, kiedy wszystkie trybiki maszyny zaczną się kręcić, wtedy przypomnę sobie o tym papierosie i o tym, że przez chwilę byliśmy po prostu ludźmi...

– To nie tak... to nie my – wypalił najmłodszy.

– Ależ oczywiście, że nie wy – zapewnił go Zacharczyk i przysunął się bliżej. – Wierzę wam, ale sam rozumiesz, musimy robić swoje. Popatrz na sierżanta, jeśli nie powiesz, będzie go bolało wszystko, już zawsze...

– Ale to naprawdę nie my! To był wypadek! I pani Konopko wie, ona wszystko widziała!

Podkomisarz opadł na schodek, ujął młodego za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

– Co widziała pani Konopko? – zapytał. – I tak dla jasności, która pani Konopko?

Blondyn i łysy gapili się na swojego kolegę dosłownie z rozdziawionymi gębami i Królewicz wydedukował, że nie mieli o niczym pojęcia. Za to Adamski, przyszpilony ciężarem całkowitej uwagi podkomisarza, nawijał jak najęty.

– Pierwszy tam byłem, ale nie szedłem jeszcze nic robić, bo po co sobie roboty na siłę szukać. A nad grób poszedł ten drugi Konopko, ten, co jeszcze dzisiaj żył. Wyciągnął z kieszeni zegarek, taki stary, i tak się na niego patrzył, a potem na grób się patrzył, potem na zegarek i tak wyglądało, jakby go chciał wrzucić do środka, ale się nie mógł zdecydować. I na to przyleciała pani Konopko, ta pierwsza owdowiała, żona Wiesława. Zobaczyła gościa z zegarkiem i coś do niego zawołała. Ten się wystraszył i zleciał do grobu. Przybiegliśmy tam oboje zaraz, ja i ta pani, i wskoczyłem do środka, ale nie było co ratować. Leżał gość martwy, a obok niego zegarek. I ona, pani Konopko, kazała mi sobie ten zegarek dać. I nikomu nic nie mówić, bo to był wypadek i po co robić aferę.

– Faktycznie, w ogóle nie ma afery. – Łysy popukał się w czoło.

Młody wzruszył ramionami.

– Ona tak mówiła... I taka była stanowcza i to pani Konopko, no, głupi nie jestem, wiem, kogo w mieście słuchać...

– Panie Adamski, w tej chwili to w mieście będą słuchać pana – zapewnił go podkomisarz. – Zabierzemy pana do kolegi Pazurka, wszystko mu pan opowie do protokołu.

Pomógł młodemu wstać i pokierował nim w stronę głównego wejścia do domu pogrzebowego.

– Możesz już wyłączyć Apcię. – Mrugnął porozumiewawczo do Królewicza.

*

Przed domem pogrzebowym Adamskiego przejął Pazurek, ostentacyjnie zniechęcony tym, że musi cokolwiek robić, i lokalsi, chętni do przejęcia sprawy z jego znudzonych rąk. Zacharczyk zostawił ich i wszedł do sali pogrzebowej, uśmiechnięty i triumfujący.

– Już? – zapytał prokurator, przełykając pośpiesznie tartinkę z cateringu stypowego.

– Już – potwierdził podkomisarz. – Nieszczęśliwy wypadek, mamy świadka.

– A zegarek? – zainteresował się Stefanek.

Zacharczyk uniósł w górę wyprostowany palec.

– Właśnie, jeszcze bym zapomniał. – Uśmiechnął się szeroko. – Pani Mario! Pani Mario! – wykrzyknął radośnie.

Wszyscy, żałobnicy i policjanci, odwrócili się do niego zszokowani takim zachowaniem na nietypowym, ale jednak pogrzebie.

– Pani Mario, jaka to cudowna wiadomość!

– Co...? – wyrwało się zaskoczonej wdowie.

– Właśnie słyszałem, że zegarek się znalazł! Cebula! Ma ją pani!

Wobec nagłej deklaracji podkomisarza, do tego wygłoszonej tak entuzjastycznie i jeszcze w takich okolicznościach, Maria Konopko straciła głowę.

– Taaak...?

– Cudownie! Cudownie! I teraz może go pani włożyć do trumny męża!

– Taaaak...? – przestraszyła się wdowa.

– Tak! Wspaniale, prawda? Może pani spełnić ostatnią wolę zmarłego, na pewno jest pani zachwycona. Chodźmy, proszę państwa, zakończmy ten tragiczny dzień czymś pozytywnym!

Ujął pod rękę zszokowaną wdowę i poprowadził ją oraz korowód żałobników do wystawionej w drugiej sali trumny.

– Co... – wyrwało się prokuratorowi.

– Była świadkiem wypadku, nic nie powiedziała, tylko zabrała cebulę – wyjaśnił Królewicz. – Gdyby nie postanowiła siedzieć cicho, to tej całej hecy by w ogóle nie było... A ten zegarek to chyba Alojzy faktycznie ukradł? Bo skąd by go miał? Teraz to już nam nie powie...

– Dobra robota, Królewicz – pochwalił Stefanek. – Widać, że się uczysz i rozwijasz...

– Czekaj – wtrącił się nagle prokurator. – Jego trzeba przydzielić do Zacharczyka. Niech się uczy! Będziemy mieli takich dwóch.

Sierżant najpierw osłupiał, potem się uszczypnął, aż wreszcie odwrócił się ku zwierzchnikowi, przytłoczony poczuciem zdrady. I to tu, wśród swoich, niczym nożem w plecy...

– O ja cię – jęknął komisarz. – Królewicz, nie patrzcie tak na mnie, bo mi sumienie spać nie da! Jeśli tak bardzo nie chcecie...

Prokurator szarpnął go za ramię.

– Działa, zobacz, działa, chwila z Zacharczykiem i już się tyle nauczył!

Komisarz zamrugał nieprzytomnie, jakby wyrwany z transu. Ledwie doszedł do siebie, a rozpromienił się niczym słońce, jeśli nie narodu, to przynajmniej władzy wykonawczej.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że to jest dobry pomysł zrobić z nich zespół! Jak zaprzęgam... To spojrzenie, jak moja Apcia normalnie, nic jej odmówić nie można... Wiedziałem! Dać Zacharczykowi szansę...

– Mentoringu – podsunął Domski.

– Mentoringu!

– Nie chcę – zaprotestował Królewicz.

– Nikt cię, synu, nie pyta – wytłumaczył cierpliwie prokurator. – Oto zrzędzeniem losu sprawiedliwość dała nam szansę na wykucie kolejnego narzędzia, którego użyjemy w służbie sprawiedliwości! Idę zadzwonić do regionalnego i możemy wracać do Wrocławia.

Komisarz pokiwał głową.

– Zgarnijcie Tomka, zadzwonię do zastępcy komendanta i możemy się zbierać.

– Mam przewalone – jęknął Królewicz w stronę oddalających się zwierzchników.

Witczak współczująco poklepał go po ramieniu.

– No masz, masz. Ale pomyśl, jaką będziesz miał wykrywalność, jak już odpalisz ten swój psi urok...



Milena Wójtowicz – kadrowa, behapówka, pisarka, niegdyś także tłumaczka literatury. Lubi rozśmieszać ludzi. Autorka sześciu powieści (*Podatek, Wrota, Wrota 2, Post Scriptum, Vice Versa, Zaplanuj sobie śmierć*) i kilkudziesięciu opowiadań (m.in. zbiór *Załatwiaczka*). Członkini grupy literackiej Harda Horda.

Opowiadanie *Exegi monumentum* należy do cyklu o brzeskich nienormatywnych, który zapoczątkowało *Post Scriptum*.

Danuta Awolusi

Ostatni pocałunek Lary

MIA

Wiedziała, że coś się wydarzy, i bardzo ją to stresowało.

Kościół, choć ogromny, pękał w szwach. Żałobnicy wypełniali go po brzegi, mącąc ciszę oddechami i siąkaniem.

Ku niezadowoleniu całej rodziny usiadła w pierwszej ławce. Nie obchodziło jej, co sobie pomyśla, nigdy nie brała tego do siebie. Jako dziecko ulicy nauczyła się, jak żyć z łatką, jak sobie radzić z napiętnowaniem.

Jej wzrok ślizgał się po lakierowanej białej trumnie. Za ledwie kilka kroków dalej ustawiono czarny, także lakierowany, fortepian. Miała wrażenie, jakby instrument wykonano z tego samego materiału, co drewnianą skrzynię, która za mniej więcej dwie godziny spocznie pod ziemią, już na zawsze.

Fortepian był wielki i wspaniały. Czekał na muzyka. Na tym pogrzebie ktoś musiał zagrać. Chowano przecież Larę, wybitną pianistkę, prawdziwą geniuszkę, laureatkę wszystkich liczących się konkursów europejskich i światowych.

Trumnę zamknięto, tak zdecydowali bliscy. Jej nie pozwolili się na ten temat wypowiedzieć, nie interesowało ich nic, co miała do powiedzenia. Odbijali sobie ostatnie lata, kiedy ona i Lara należały tylko do siebie. Zazdrościli im tego.

Lara była godna chwały, była najlepsza, stworzona tylko po to, by przesuwać palcami po klawiaturze – tak myśleli wszyscy na świecie. Aż do dnia, w którym poznała ją. Wtedy musieli przyjąć, że Lara jest również powołana do miłości. Przełknęli to z trudem, jakby ktoś kazał im zjeść zgniły owoc. Niestrawność utrzymywała się przez kolejne lata.

Mia i Lara poznały się, bo tak chciał los. I zakochały się w sobie szybko, jakby czując, że nie mają wiele czasu. A było to tak, że Mia wzięła nocną

zmianę na stacji benzynowej. Pracowała tam od kilku miesięcy, bo coś trzeba w życiu robić, a ona nie miała ani wykształcenia, ani kwalifikacji, ani w ogóle niczego. Może poza twardym tyłkiem i wulgarnym językiem.

To, co Mia lubiła w tej robocie, to zamontowany na ścianie telewizor. W domu żadnego nie było, bo zostały przehandlowane przez któregoś z braci. A tu mogła oglądać stację z newsami i uczestniczyć dzięki temu w społecznym życiu.

To w telewizji zobaczyła ją po raz pierwszy. Lara wygrała konkurs chopinowski i cała Polska oszalała na jej punkcie. Wszyscy nadawali o niej non stop, a kamera robiła zbliżenia na jej bladą, wątlą twarz bez śladu makijażu. Mia wpatrywała się w nią z fascynacją. Uwielbiała słuchać, jak gra.

I nagle, około pierwszej w nocy, Lara pojawiła się na stacji. Była z kimś, pewnie z kierowcą, wracali z kolejnego koncertu. On kupił kanapkę i wodę, ona skorzystała z toalety, po czym wyszli. Mia patrzyła na monitoring, nie wierząc, że spotkało ją takie szczęście. Po chwili na ekranie pojawiło się jeszcze dwóch facetów. Zmarszczyła brwi. Jeden przyłożył kierowcy, drugi zbliżał się do Lary.

Mia wystrzeżiła jak z procy. Jeden z mężczyzn właśnie złapał Larę za rękę i mocno szarpnął.

– Zostaw ją, kurwa! Policję już wezwałam, spierdalajcie stąd! – ostrzegła. Jeszcze nie zdążyła nikogo zawiadomić, ale potrafiła się obchodzić z takimi jak tych dwóch.

– Sama spierdalaj! – ryknął jeden.

– Ona jest gwiazdą, debilu! Jak jej coś zrobisz, będzie cię szukała cała Polska.

– Że co? Nie znam jej!

– Ty, ja ją kojarzę – sapnął drugi.

– Jebie mnie to!

– Słyszycie psy? Jada po was! – zablefowała Mia.

Typek nadstawił ucha, a ona już była przy nim. Chwyciła go za fraki i odciągnęła od Lary. Tamten, zaskoczony, zamiast zaatakować, rzucił się do ucieczki. Jego kolega podobnie, z portfelem kierowcy w rękę.

Mia przyszła do mieszkania Lary kilka tygodni później i już tam została. Nie złożyła oficjalnego wypowiedzenia w pracy, po prostu przestała do niej

przychodzić. Nie musiały tego ustalać, wszystko czuły. Czuły więcej niż kiedykolwiek do kogokolwiek. Lara kochała mocniej tylko fortepian.

Nie było mowy o zazdrości. Mia zakochała się w instrumencie tak samo jak w pianistce. Ustąpiła mu miejsca na podium bez żalu, bo Lara i muzyka stanowiły jedność. Pianistka poświęcała dźwiękom wiele godzin każdego dnia. Mia patrzyła na smukłe palce, na plecy, które wyginały się pod różnymi kątami, na jej nucące wargi. To, co działo się z Larą podczas grania na fortepianie, było intymne. Mia czuła się trochę tak, jakby podglądała ją w sypialni w trakcie miłosnych uniesień. Nie mogła jednak narzekać: wobec niej Lara była tak samo namiętna.

– Żyjemy w trójkącie – powiedziała kiedyś Lara w łóżku.

– Mnie tam się podoba.

Lara chwyciła ją za rękę.

– Polecisz ze mną do Japonii?

– No pewnie! Trzeba mieć paszport? Muszę wyrobić.

– Trzeba, wyrobimy. Stresuję się tym koncertem. Zawsze się stresuję.

– Weź, kurwa. Jesteś najlepsza. Mogłabyś zagrać *Wlazł kotek na płotek*, a ryczeliby z zachwyty.

Paszport przydawał się często. Po kilku latach Lara powiedziała jednak, że chce zrobić rok przerwy od grania dla publiczności. Jej rodzina była tak bardzo niezadowolona z tej decyzji, że Mia musiała zainterweniować w trakcie świątecznego obiadu – co zrobiła nie bez przyjemności. Nie przepadała za rodzicami ukochanej. Zawsze odnosili się do niej z wyższością.

– Możecie się odwalić od jej wyboru? Aż w dupie szczypie, jak się widzi te wasze niezadowolone miny.

Przez rok siedziały w domu i to było wspaniałe. Ale żyły w niewiedzy, ponieważ w sercu Lary, oprócz ukochanej, mieszkała również niewykryta wada – śmiertelne zagrożenie, cichy zabójca. Aż pewnego dnia serce Lary się zatrzymało, świat też się zatrzymał i Mia znalazła się w kościele na mszy pogrzebowej.

Od dnia śmierci Lary wypełniała ją muzyka. Grała w niej bezustannie, jakby mięśnie zamieniły się w struny, a serce w mały młoteczek. Nuty przebiegały po jej skórze jak dreszcze, kipiała od dźwięków. I płakała, tak trudno było to znieść. W głowie łupało podniosłe, bardzo przejmujące requiem.

MATKA

Na jej widok ogarnia mnie gniew. Nie powinna siadać z przodu, będzie tylko drażnić innych. Co za dziewczysko, pasożyt, darmozjad, cholerna utrzymanka bez wstydu! I co ona ma na sobie? Sukienka na ramiączkach. Jak to zobaczą inni, tylko o tym będą mówić. I prasa to podłapie.

Ściągam marynarkę, pod spodem i tak mam sukienkę z długim rękawem. Wiem przecież, jak powinna wyglądać kobieta w średnim wieku. Trącam jej ramię. Obraca się i patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem. No oczywiście, ona pograżyła się w żalobie, a my musieliśmy się wszystkim zająć. Mała kurewka bez grosza przy duszy, nawet na wieniec jej nie stać. Kupiła jedną czerwoną różę.

– Załóż go – syczę.

– Co?

– Załóż ten żakiet. W kościele nie wolno mieć odsłoniętych ramion. To pogrzeb mojej córki. Czy choć raz możesz zachować się przyzwoicie?

Robi, o co proszę. Dziś nie jest tak bezczelna i pewna siebie jak zawsze.

Lara nigdy nie interesowała się chłopakami. W ogóle nie interesowało jej nic, co doczesne – liczyła się tylko muzyka. To był jej wybór. A my wiedzieliśmy, że taki talent rodzi się raz na sto lat. Pielęgowaliśmy go, chroniliśmy ją, bo Lara była kruchutka, oderwana od rzeczywistości. Rodzina trzymała ją przy ziemi, dawała oparcie. Aż poznała tę dziewczynę.

Dobry Boże, jaki to był dla nas wszystkich szok. Po tym, jak zaatakowano Larę na stacji benzynowej, wszystko się zmieniło. Mia przypominała jakieś dzikie pnącze, które raz zakorzenione, już nigdy nie odpuści. Rozumiem, dziewczyna z patologicznej rodziny. Ojciec w kryminale, matka przepadła, bracia w konflikcie z prawem. Żadne dziecko nie powinno dorastać w takich warunkach. To oczywiście bardzo przykre, ja jednak patrzę na sprawę jako matka, która chce chronić bliskich.

Nie to, że próbuję społecznie segregować, ale takie osoby po prostu nie odnajdują się wśród normalnych rodzin. To żadne uprzedzenie! Mam oczy i widziałam, co się dzieje. Mia – dziewczyna bez matury i stałej pracy – wprowadziła się do mojej córki bardzo szybko. Nie musiała nawet brać walizki, jej ubrania zmieściły się w reklamówce. I co? I została jej utrzymanką. Rzuciła pracę, nawet nie próbowała znaleźć innej, grosza nie

dołożyła do wspólnego życia. Wiem, że Lara dorobiła się dużego majątku, nie o to chodzi. Mówię o godności, której Mia po prostu nie ma.

Nie mogliśmy nic zrobić, Lara oślepla z miłości i odsunęła się od nas. Widywaliśmy ją rzadziej. Wyglądała na szczęśliwą, ale na początku każdy myśli, że miłość wszystko wyprostuje, wyrówna braki i zatrze różnice. A to nieprawda.

– Mia pojedzie ze mną na koncert – usłyszałam od córki pewnego dnia. A przecież zawsze to ja jej towarzyszyłam w trasach!

– Ona nie czyta nut, nie umie grać, nie pomoże ci w niczym. Chyba nie mówisz poważnie! – oburzyłam się, by zamaskować, że zrobiło mi się po prostu przykro. Poczulałam się odsunięta.

– Mamo, ale ja nie potrzebuję, żeby ktoś grał za mnie, prawda?

– Muzyk najlepiej zrozumie muzyka. Wiesz to.

– Kocham Mię. Daje mi tyle szczęścia... I może ze mną wszędzie pojechać. Dziękuję, że tyle lat mnie wspierałaś, ale teraz mam kogoś, kto się mną opiekuje.

Kto tu się kim opiekował?! Nie mogłam zaakceptować tego, jak żyły. Nie jak partnerki, ale kochanki. Jak wynajęta na wyłączność prostytutka i jej pani. Gdzie ambicja?

Ktoś, kto nigdy nie był na naszym miejscu, być może uzna, że mówię okropne rzeczy. Ale my musieliśmy pokazywać się z Mią publicznie. A to kosztowało nas masę wstydu.

Na niejedną elegancką kolację Mia przysłała w dresach. Wyglądała jak nastolatka, która naśladuje amerykańskie gwiazdy muzyki. Żadnej elegancji, taktu, obycia. I do tego mówienie wszystkiego, co ślina na język przyniesie. Najgorszy był jednak brak wiedzy – o muzyce, sztuce, literaturze, czymkolwiek, o czym rozmawiano na salonach.

– Czy ona musi przychodzić na Wigilię? Może lepiej wpadłaby na świąteczny obiad. – Co roku usiłowałam przekonać Larę, żeby dała spokój.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak bardzo ją kocham?

– Lara... Tak, miłość, wiem, jaki to stan.

– Jesteśmy razem już cztery lata. Ona mnie słucha i rozumie. I rozśmiesza. Masz pojęcie, jaka wcześniej byłam poważna?

– Bycie poważnym to nie wada.

– Czuję się przy niej bezpieczna – powiedziała czule.

– Bo obroniła cię wtedy przed napaścią?!

– Nie, nie o takie bezpieczeństwo mi chodzi. Ona po prostu potrafi pokazać, że mnie kocha.

Pogodziłam się z tym, że nie wybiję jej tej dziewczuchy z głowy. Tylko czas mógł zadziałać, choć nie chciałam, żeby cierpiała z powodu rozstania. Chyba tego się właśnie bałam: dziecka w kryzysie.

Ale Lara umarła, zanim ich związek zdążył się zepsuć. A Mia została. Obawiam się jej roszczeń. Czego od nas zażąda? Mieszkania? Pieniędzy? Rzeczy osobistych Lary? Jestem gotowa na wojnę, z góry wygraną.

Ten gniew nawet mi służy. Bardziej skupiam się na tym, co robi Mia, niż na bólu, na wielkiej dziurze w sercu. Moja Lara odeszła. Tak nagle, tak młodo. Ja straciłam jedyną córkę, świat wybitną pianistkę. Gdzie sprawiedliwość?!

Do rozpoczęcia mszy pozostaje pięć minut. Wiem, że uroczystość będzie bardzo długa. Pewnie miną ze trzy godziny, zanim wszyscy przemówią, a zaproszony przez nas profesor zagra kilka utworów skomponowanych przez Larę.

Wszyscy zajęli już miejsca, ławki wypełniły się szczerlnie, palca nie da się włożyć. Pomyślałam, że ceremonia będzie piękna i spokojna... I w tym samym momencie Mia wstaje, poprawiając wiszący na niej żakiet.

Podchodzi do trumny i gładzi ją dłonią. A później spogląda na fortepian.

OJCIEC

Czy wstydzilem się, że córka zadaje się z kimś takim? Tak, choć trudno się do tego przyznać publicznie. W artystycznym światku mojej żony wiele rzeczy uchodzi płazem. Ja muszę stawiać czoła innej rzeczywistości. Od kilku lat konserwatywne środowisko katolickiej uczelni patrzyło na mnie z politowaniem. Nie rozmawialiśmy o tym, ale oni czytali gazety i oglądali telewizję. Gdy Lara grała kolejny ważny koncert, wszyscy rozpisywali się o jej związku.

Cóż za mezalians. I jaka piękna miłość! W moje ręce wpadł kiedyś felieton, napisany przez kogoś, kto dobrze znał Larę i Mię. Opowiadał o spotkaniu dwóch dusz, które były sobie pisane. „One mają siebie. Na zawsze. Mogą pochodzić z różnych światów, ale w tym wypadku to nie ma znaczenia, bo stworzyły nowy, własny”.

Ładnie napisane. Szkoda tylko, że Mia tak do nas nie pasowała. Gdyby chociaż pochodziła ze świata muzyków, gdyby nie wyglądało to jak przygarnięcie bezdomnej przez zamożną artystkę.

Nie mogę zaprzeczyć, że ta sytuacja miała swoje plusy. Lara ożyła przy niej, stała się bardziej samodzielna. No i dalej nie widziała świata poza muzyką. Miłość nie zmieniła jej priorytetów, ale nadała życiu większego sensu. To dlatego starałem się aż tak nie wtrącać, namawiając do tego samego żonę.

Lara nigdy nie usłyszała ode mnie, że się cieszę z jej związku. Fakt, nie próbowałem jej pouczać ani odciągać od tej dziewczyny – ale to wszystko, na co było mnie stać. Zaczynam tego żałować. I chyba zbyt często zastanawiam się, co będzie z Mią. Czy zniknie z naszego życia? Czy Lara chciałaby, abyśmy się nią zajęli?

Nie wiem, co moglibyśmy jej dać, poza pieniędzmi. Ta dziewczyna nic nie umie, nie wykazuje żadnych talentów, nie wydaje się pracowita. Zapewne się stoczy, jak jej rodzina. Myślę, że nie zdołamy jej ocalić, to obca kobieta, przez lata jej unikaliśmy, było nam wstyd.

Moja żona podaje Mii swój żakiet. Nie wiem po co; czy dziewczynie jest zimno? Mia wygląda okropnie. Jest przygarbiona, włosy w nieładzie, błędny wzrok. Gdy zmierzała do pierwszej ławki, nasze spojrzenia się spotkały, ale mnie nie zauważyła. Była gdzieś indziej, ból oddzielił ją od rzeczywistości. A więc aż tak mocno ją kochała... Kocha.

Nie wiem, co się dzieje – Mia podrywa się z ławki. Robi to gwałtownie, jakby ktoś ją uszczypnął. Oczy wszystkich śledzą każdy jej ruch. Mia podchodzi najpierw do trumny, a później do fortepianu. Sam pokazywałem, gdzie go ustawić.

Siada przy instrumencie. To niedorzeczność, ktoś musi ją stamtąd zabrać! Co planuje? Zacznie bez ładu walić w klawisze?! A może chce zniszczyć fortepian?

Wstaję, by położyć kres tej sytuacji. Jednak zanim dobiegam do celu, dzieje się coś niezwykłego. Nagle Lara znów jest wśród nas, żywa. Nie widzę jej, ale ją słyszę.

MIA

Mia musiała się w końcu poddać. Dźwięki w głowie robiły się coraz głośniejsze, nieznośne crescendo mało nie rozsadziło jej od środka.

Usiadła przy fortepianie, przyjęła wygodną pozycję i zamknęła oczy. Tak, jak robiła to Lara. Jej dłonie stały się obce, jakby pochodziły z innego ciała. Palce uderzały łagodnie w klawiaturę, muskając to białe, to czarne klawisze. Muzyka nareszcie znalazła ujście i wylewała się na zewnątrz. Płynęła swobodnie, a Mia z ulgi zaczęła płakać.

Jak to możliwe? Jeszcze nigdy nie grała, a tu nagle słyszy, jakby to Lara naciskała klawisze fortepianu. Mistrzowska forma, popis godny wirtuoza. Nawet nie spojrzała wokół, by przekonać się, jak reagują inni. Sama popadła w osłupienie.

Ile to trwało? Dziesięć minut? Godzinę? Kilkanaście sekund? Skończyła równie niespodziewanie, jak zaczęła. A gdy rozchyliła powieki, dostrzegła ich dwoje. Stali blisko, zapłakani. Właściwie cały kościół łkał. Dziennikarze nawet nie śmieli robić zdjęć.

Matka Lary wyciągnęła ku Mii ramiona.

– Usłyszałam Larę. Przywróciłaś Larę! – wyszeptała.

Mia pozwoliła się przytulić. Ogarnął ją spokój. Wiedziała, że już nigdy tak nie zagra, to był pierwszy i ostatni raz.

Ostatni pocałunek Lary.



Danuta Awolusi – pisarka, autorka powieści obyczajowych i reportaży. Nauczycielka w szkole Pasja Pisania. Niezależna copywriterka i dziennikarka. Wraz z przyjaciółką Arletą prowadzi kanał recenzencki na YouTube (Książki Zbójce). Można znaleźć ją na Instagramie (@danutaawolusi) oraz Facebooku (@danutaawolusipisarka).

Marcin Mortka

Babski wieczór

Zanim Kociołek spakował wszystkie potrzebne rzeczy, minęło już południe i Sara zaczynała dochodzić do wniosku, że zaraz trafi ją szlag.

– Tu masz ich ciuchy na zmianę. – Wskazała sakwę przypiętą po lewej stronie siodła. – A tu – obeszła cierpliwie czekającego wierzchowca – masz własne. W tym worku jest ulubiona poduszka Salii, miś Nuuta oraz kocyk Edvina. Tu są ich zapasowe buty, tu pieluszki Nuuta, a tu sztucce. Koce są tu, a ciepłe piżamy tu. Przeciwdeszczowe peleryny tam. Namiot i jedzenie osobiście przytroczyłeś do jucznego kuca. Czegoś nie rozumiesz?

– Nie, nie – bełkotał Edmund, kręcąc pospiesznie głową. – Wszystko... wszystko rozumiem!

Sara dmuchnięciem odrzuciła rudy lok z czoła, czym wymownie dała do zrozumienia, jak mocno wierzy w tego typu zapewnienia, a potem klepnęła w zadek kucyka, na którym siedziała Salia.

– Miłej zabawy, dzieciaki! – zawołała. – I opiekujcie się tatą!

Edvin i Nuut parsknęli głośno śmiechem, ale Salia, najstarsza z ich grona, z powagą pokiwała głową. Edmund zaś, już z jedną nogą w strzemieniu, spojrział na żonę z oburzeniem.

– Mogłabyś nie wygadywać takich rzeczy przy dzieciach! – prychnął.

– Mogłabym – zgodziła się Sara. – Ale życie zdecydowało inaczej. No, ruszajcie już! Widzimy się jutro na kolacji!

– Pa, pa, mamó! – zawołały dzieci i każde z nich z entuzjazmem popędziło własnego kucyka w stronę bramy.

Kociołek mruknął coś pod nosem i rozsiadł się w siodle. Przygryzał dolną wargę, co oznaczało, że nadal rozważa, czy powinien się na żonę obrazić, czy też nie.

Niezły masz dylemat, pomyślała z rozbawieniem Sara, zerkając na męża. Trochę ci dogryzłam, ale z drugiej strony chyba jeszcze nigdy nie potrzebowałeś mojej pomocy bardziej niż teraz. Cóż, Edmund. Twoje niedoczekanie.

Kociołek raz jeszcze prychnął i pokręcił głową, jakby niewieście wymysły kompletnie mu się w niej nie mieściły, a potem wyprostował się w siodle i spojrzął w ślad za dziećmi. Ewidentnie szykował się do tego, by wyjechać z hardą, zawziętą miną, co w jego wydaniu wychodziło wręcz żałościwie.

Sara nie mogła na to patrzeć.

– Edmund – powiedziała miękko.

– Co takiego? – Kociołek odwrócił się pospiesznie, jakby odżyła w nim nadzieja, że żona w ostatniej chwili zmieniła zdanie i postanowiła pojechać wraz z nimi.

– Wieczera. Jutro – powiedziała kobieta, dotykając jego kolana. – Nie wieczera dziś. Nie śniadanie jutro. Wieczera. Jutro.

– Tak, wiem – burknął Edmund, który znów spoglądał w dal.

– Nie bocz się. Kupiłeś kucyki po to, by zabierać dzieciaki na wycieczki. Planowałeś pikniki, łowienie ryb i śpiewanie przy ognisku. Wreszcie masz sposobność, by wybrać się z nimi samotnie, bez przyjaciół. Urgo wybrał się na rycerską wyprawę, Zwierzak chechła po bagnach, Gramm pojechał z wizytą do swoich w Gwiżdżących Górach, Żychłon urwał się gdzieś z Człekoniem, a Eliaha szlag trafił. Trudno o lepszą okazję.

– Ale ja...

– Jedź, bo zaraz dzieciaki ci uciekną.

– Wywalasz nas z taką energią, że zaczynam mieć podejrzenia. – Edmund wciągnął powietrze w płuca. – Nie planujesz ty aby jakiejś imprezy?

– Nie – odparła Sara, szybciej niż zwykle, na co Kociołek, przejęty własnym dramatem, nie zwrócił uwagi. – Do zobaczenia jutro.

Klepnęła jego konia po zadzie, a Edmund z hardą miną trącił go piętami i odjechał, manifestacyjnie spoglądając przed siebie.

Nad rozległym, brukowanym, opromienionym blaskiem wiosennego słońca dziedzińcem zapadła wreszcie błogosławiona cisza, przerywana jedynie świergotem ptaków. Sara odetchnęła pełną piersią. Ale nie dała się zwieść. Oparła pięści na biodrach i czekała.

Nim zdążyła policzyć w myślach do dwudziestu, rozległ się tętent kopyt i na dziedzińcu wtargnął Edmund. Osadził konia i zawołał:

– Słuchaj, a smoczek Nuuta gdzie jest?

– W czerwonej sakwie.

– A jego miś?

- W zielonej. Pokazywałam ci.
- Zapakowałaś kubek Salii? Ten z kwiatkami?
- Ty zapakowałaś. Przy mnie.
- Tak? Nie pamiętam. Eee... – Edmund pokręcił głową, najwyraźniej próbując sobie przypomnieć, o co jeszcze chciał zapytać żonę, aż jego wzrok padł na bramę. – Nie zamykasz?
- Zamykam. Za moment.
- Eee... To pa!
- Pa.

Sara spoglądała za odjeżdżającym mężem, który znów patrzył przed siebie, ewidentnie usiłując rozbudzić w sobie gniew na cały świat, a potem, gdy zniknął wśród drzew, odczekała jeszcze dobrą minutę. Następnie westchnęła ciężko, pokręciła głową i spojrzała na słońce.

- Ale już późno – mruknęła. – A ja mam jeszcze tyle przygotowań...

*

Ponowny stukot końskich kopyt rozległ się po południu, gdy nabrzmiałe czerwienią słońce wędrowało już nad koronami drzew. Sara zamarła nad blatem, na którym przygotowywała racuszki.

- Jeśli to Edmund... – warknęła, pospiesznie wycierając dłonie w fartuch. – Jeśli ten łamaga wrócił do domu, bo Nuut się posmarkał, a Edvin wlaź w pokrzywy, na kolejny biwak pošlę go z moją matką!

Z bojową miną wypadła z kuchni, ale na widok nowo przybyłych złość jej odeszła.

- Wasze książęce moście! – zawołała i zamarkowała dworski ukłon, co wywołało chichot jednej z nowo przybyłych.

– Proszę, proszę! – odezwała się księżna Yanna, zeskakując z konia. – Ja na balangę przyjeżdżam, a tu wredna wiedźma wyskakuje zniecka i o mojej pozycji przypomina. Czyli, jak rozumiem, mam się obyczajnie zachowywać?

- Obyczajnie – potwierdziła Sara. – Wedle obyczajów panujących w karczmie, rzecz jasna.

– No to skończ już z tymi tytułami – stęknęła Yanna, masując sobie siedzenie.

- Tylko się drocę.

Obie kobiety zbliżyły się do siebie, ujęły za dłonie i ucałowały serdecznie, po czym księżna odwróciła się do swej towarzyszki.

– Złaz już, Matyllda, i przywitaj się jak należy.

Księżniczka Matyllda zmarszczyła perkaty nosok i rozejrzała się po obejściu z przesadną dezaprobatą, na co Sara przechyliła lekko głowę.

– Mojego męża nie ma – powiedziała. – Ani żadnego z jego kompanów. Wiem, że masz z nimi na pieńku, księżniczko, ale pragnę rozwiać twe obawy: możesz się tu czuć swobodnie.

Matyllda prychnęła i z gracją zeskoczyła na bruk.

– W porządku – burknęła, po czym podeszła bliżej, a Sara objęła ją i pocałowała w czoło, co roztopiło resztę skrzepowania księżniczki. – Fajnie, że... No, że nas zaprosiłaś. Te rozmowy o sprawach państwowych są strasznie nudne i dobrze choć na chwilę się od nich oderwać.

– Mamy czas do jutra! – Sara uśmiechnęła się szeroko. – Edmund z dziećmiakami ma wrócić na wieczerzę, a reszta jego drużyny rozjechała się po świecie.

– Naprawdę? – Yanna spojrzała na nią uważnie, mrużąc oczy. – Jesteś pewna, że nie ma tu tej człekokształtnej ropuchy?

– Ani... – Matyllda odkaszlnęła i odgarnęła nerwowo kosmyk włosów. – Ani tego elfa?

– Nie ma nikogo – powiedziała stanowczo Sara. – Karczma jest dziś wyjątkowo zamknięta, o czym powiadomiłam wczoraj wszystkich stałych bywalców. Robimy babski wieczór, jakiego świat nie widział.

– Brzmi doskonale! – Yanna zachichotała i z rozmachem klepnęła Sarę w tyłek, po czym nagle spoważniała i odwróciła się w stronę księżniczki. – Matyllda, zdejmij moją sakwę, co?

– Jasne, ciociu – mruknięła tamta i zaczęła się szarpać ze sprzączkami.

Tymczasem Yanna doskoczyła do Sary, ujęła ją pod ramię i pchnęła lekko, choć stanowczo, ku otwartym szeroko drzwiom karczmy.

– A przemyślałaś sobie może – szepnęła jej do ucha niskim, nieco ochrypłym głosem – moją propozycję, którą ci szeroko rozpisałam w liście?

– Bardzo szeroko, fakt – powiedziała Sara, patrząc przed siebie. – I nie, dziękuję. Nie skorzystam.

– Szkoda – westchnęła ciężko Yanna. – Wiesz, mam za sobą dwa dni ciężkich rozmów z moimi braćmi-idiotami i nie pogardziłabym chwilą prawdziwego relaksu...

– Proponuję gorącą kąpiel, mnóstwo ciasta, sagan cydru i dwie butelki wina – oznajmiła Sara. – W każdym razie to relaks, o którym ja marzę. Wystarczy?

– W zupełności. – Yanna się uśmiechnęła. – Dwie butelki wina, tak?

– Tak.

– Dla siebie też coś odłożyłaś?

*

Sara nie była z księżną całkowicie szczerą. Gdyby miała wybrać relaks, o którym marzyła, wyciągnęłaby się na łóżku małżeńskim i spała do momentu powrotu Edmunda z dziećmi, mimo że jako doświadczona matka i gospodyni niewyspanie od dawna uważała za normę. Zresztą z chwilą przybycia Matyldy i Yanny pracy tylko jej przybyło. Mimo że wciąż miała sporo do zrobienia w kuchni, musiała pomóc księżniczce w odpinaniu sakw, bo ta najwyraźniej nigdy tego sama nie robiła; rozsiodłanie koni również księżniczkę przerosło. W końcu rozeźlona Sara, umiejętnie powstrzymując się od jakichkolwiek komentarzy dotyczących spraw wychowawczych, kazała Matyldzie nanieść wody do wielkiej balii, którą osobiście ustawiła na samym środku głównej izby. Okazało się wówczas, że nosić wodę też trzeba umieć, i po kilku rozlanych wiadrach i jednym utopionym w studni Sara uznała, że jednak sama się wszystkim zajmie. Matylda zaś, w obawie przed kolejnymi zadaniami, schowała się gdzieś na terenie karczmy.

Godzinę później Sara skończyła przygotowania. Balia była pełna, z kuchni dobiegały przepyszne zapachy gorących ciast, a na stole stały przekąski, butelki, kieliszki i puchary. Gospodyni otarła pot z czoła.

– Zapraszam wasze książęce moście do stołu! – zawołała.

Z góry dobiegł jakiś trzask, przypominający odgłos zamykanej pośpiesznie szafy, po czym na schodach ukazała się spłoszona Matylda.

– Ja tylko... – wybełkotała, zbiegając na dół. – Ja niczego... Chciałam pomóc, ale... ale...

– Dobra, dobra. Gdzie Yanna?

– Ciociu?! – wrzasnęła Matylda, rada ze zmiany tematu.

– Idę, idę! – odezwała się Yanna, a po krótkiej chwili nadeszła, nieco przykurzona i rozczochrana, z miotłą w dłoni.

Sara wsparła pięści o biodra i przechyliła nieco głowę.

– Jakież uwagi co do czystości? – spytała zaczepnie.

– Nie, gdzie tam... – bąknęła Yanna, odstawiając miotłę do kąta, po czym poprawiła włosy. – Ja i czystość? Dobre sobie. Nie, ja tylko sprawdzałam, czy ten twój ropuch gdzieś się nie czai. Zimno mi się robi, jak sobie go przypomnę!

Sara westchnęła ciężko.

– Zwierzak to najbardziej pocziwy z kumpli mojego męża!

– Charcha, pluje, smarka, dłubie między paluchami i w ogóle jest obrzydliwy – powiedziała zdecydowanie Yanna. – Już wolę swoich dworaków. Niektórych przynajmniej. No, Sara! – zawołała z uniesieniem na widok zastawionego stołu. – To mi się podoba! Ale się będziemy obżerać! Siadaj, młoda!

– Ja muszę dbać o linię – jęknęła Matylda, wodząc wzrokiem po półmiskach i tacach.

– Nie dzisiaj – zarządziła Yanna i rozsiadła się za stołem. – O, zrobiłaś moje ulubione czosnkowe kiełbaski! Ostatnim razem przez trzy dni mi się po nich bekało.

– To nie jedz – powiedziała Sara, siadając. – Zostaną dla chłopaków.

– Coś ty, dziewczyno! Uwielbiam, jak mi się czymś sensownym odbija – oświadczyła księżna i złapała butelkę wina. – Albo nie! Od cydru zaczniemy!

Wnet się okazało, że wstrzemięźliwość Matyldy była mocno na pokaz i trzy kobiety zajadały, aż im się uszy trzęsły. Po kartoflance z grzankami przyszła kolej na kiełbaski, po nich na jeszcze ciepły chleb ze smalcem i serem pleśniowym, a na końcu, gdy Yanna z wprawą odepchnęła talerze na bok, na stole pojawił deser.

– Ciasto morelowe! – jęknęła Matylda z niedowierzaniem graniczącym z ekstazą.

– Poczekajcie – burknęła Sara, nieco już zarumieniona. – Wyniosę talerze do...

– Siedź! – Yanna złapała ją za nadgarstek. – Jutro posprzątam. Albo twój stary to zrobi.

– Nie powiedziałam mu, że urządzam imprezę i...

– Gównu go to obchodzi. Siedź i jedz. I pij. Właśnie, o picu nie zapomnij – oznajmiła księżna i napełniła kieliszek gospodyni cydrem. – A więc, szanowne panie, wypijmy za... – zawahała się. – Za chłopów! Oby się nam nie wpieprzali w życie!

Matylda uniosła kieliszek i skwapliwie wychyliła jego zawartość, a Sara poszła w jej ślady. Nie czuła już zmęczenia, wręcz przeciwnie. Była rozluźniona jak rzadko, a przecież impreza jeszcze nawet się nie rozpoczęła na dobre.

Już miała chwycić za butelkę, nalać towarzyszkom i wznieść toast, gdy rozległ się dźwięk, który zmroził jej krew w żyłach.

Pukanie.

Sara warknęła jak rozsierdzony wilk, odwracając się w stronę zaryglowanych drzwi. W jej ręku momentalnie znalazła się wciąż ociekająca tłuszczem patelnia po kiełbaskach czosnkowych.

– Jeśli to Edmund, którego przerósł piknik z dziećmiakami – wycedziła w drodze do drzwi – zaraz ujrzycie bardzo przykre sceny.

Cofnęła dłoń z patelnią, by w razie potrzeby wziąć większy zamach i jednym gwałtownym ruchem odsunęła rygiel, a potem łokciem pchnęła drzwi.

– Hej, a to co? – rozległ się zaskoczony kobiecy głos.

– Dislai? – zawołała zaskoczona Sara i czym prędzej odłożyła patelnię. – Co ty tu robisz?

Na progu stała młoda kapłanka Doli w tradycyjnej, jasnoszarej sukni i w wianku na głowie. Jej długie kasztanowe włosy były nieco przykurzone, podobnie jak ubiór i trzewiki, a na policzkach malowały się rumieńce. Oddychała szybko, jakby biegła.

– Eee... – bąknęła, nieco zaskoczona tym, co ujrzała za plecami gospodyni. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... Sara, jest może Żychłoń?

– Nie – odparła gospodyni. – A po co ci Żychłoń?

– Po nic – obruszyła się kapłanka. – Ale po lesie coś łązi i ryczy, a Żychłoń lubi sobie w ten sposób czas umilać. To on czy nie on?

– Nie wiem. – Sara wzruszyła ramionami. – Wszyscy, jak widzisz, wyjechali, a ja urządziłam małą imprezkę. Nie wiem, co się teraz dzieje w okolicy.

– W porządku – powiedziała Dislai. – Bawcie się dobrze, a ja wracam do siostr. Powiem im, żeby się nie niepokoiły.

Chciała pociągnąć za klamkę, ale w tym samym momencie do drzwi przypadła księżna.

– Zaraz, zaraz – oświadczyła. – Jak to tak? Tak sobie wpadasz, a za chwilę wychodzisz? Bez poczęstunku chcesz się zerwać? Mamy się

obrazić?

Kapłanka usiłowała protestować, ale Yanna nie miała najmniejszego zamiaru odpuścić. Bezceremonialnie złapała Dislai za nadgarstek, a drugą ręką zatrzasnęła drzwi i przesunęła zasuwę.

– Nie masz pojęcia, jaka paskudna się robię, gdy strzelę focha! – mówiła, holując protestującą kapłankę w stronę stołu.

– Ale... ale ja się zajmuję sierocińcem! – zawołała Dislai. – Razem z siostrą Elisą i siostrą Morganą! Na Dolę, mam trzydzieści osiem dzieciaków pod opieką, a zbliża się pora kolacji i...

– Nie omieszkać więc zostawić wam jakiegoś datku! – Yanna posadziła kapłankę przy stole. – Matyldzia też. Siostra Melisa i siostra Orga... he, he, he! – zaśmiała się gardłowo. – No, twoje koleżanki na pewno dadzą sobie radę bez ciebie, tym bardziej że wypijesz za nie kilka toastów! I za mnie też. I za Dolę. A potem cię odprowadzimy! Sara, dałabyś może radę skołować jakieś naczynia dla naszej nowej biesiadniczki?

Sara przyglądała się rozwojowi wydarzeń z narastającym rozbawieniem. Lubiała Dislai i doceniała wysiłek, jaki ta wkładała w prowadzenie sierocińca. Jednocześnie wypięła zbyt wiele, by oburzenie kapłanki wydało jej się przekonujące. Z chichotem zawróciła w stronę kuchni.

Znalezienie naczyń dla Dislai okazało się sporym problemem, bo Edmund, szykując dzieciaki na wyprawę, zapomniał wyszorować talerze z poprzedniego dnia. Naprędce umyła parę talerzy i puchar. Postanowiła też podgrzać kielbaski, co zajęło jej dobrą chwilę.

Gdy ponownie weszła do głównej izby, lekki rumieniec na policzkach Dislai zdradzał, że kapłanka zarzuciła już wszelkie protesty i na jakiś czas zapomniała o swej misji. Stawiając z rozmachem talerze przed kapłanką, Sara odkryła, że znalazła się w samym środku nader ciekawej rozmowy.

– Żychłóń? – Dislai odstawiła kieliszek, smakując wino. – Nie, raczej nie. Nigdy nie rozpatrywałam ich w takich akurat kategoriach, choć gdybym miała wybrać...

– To Eliaha? – podsunęła zarumieniona Matylda. – Znaczy się, nie żebym ci podsuwała pomysł czy coś...

– Daj spokój. – Yanna się wzdrygnęła. – Przecież to jakiś psychopata jest. Nie wiadomo, czy przypadkiem pokroić cię nie ma zamiaru.

– Nie sądzę, żeby chciał kogokolwiek akurat kroić – bąknęła zamyślona Matylda. – Miałam na myśli czasownik o zbliżonym znaczeniu. A ciocia? Ciocia którego by sobie wybrała?

– Czy wy – Sara oparła dłonie o blat stołu i wbiła wzrok w księżną – właśnie dzielicie się drużyną mojego męża?

– Kreślimy linie podziału – oznajmiła Yanna. – Czysto teoretyczne linie, zaznaczę. Sara moje upodobania zna, bo przedstawiłam je na piśmie...

– Tak, tak – mruknęła pospiesznie gospodyni, ujmując butelkę. – Doskonale pamiętam.

– Chodzi mi jednak o jeden z wcześniejszych listów – ciągnęła niewzruszenie Yanna. – Podtrzymuję to, co tam napisałam, a skoro kultura osobista wymaga, bym na pytanie odpowiedziała, oświadczam uroczyście, że gdybym miała wybrać, zawlekłabym na siano Edmunda. Najlepiej razem z tobą.

Sara zakrztusiła się winem i spojrzała na księżną wielkimi oczami.

– O, proszę – mruknęła Yanna. – Tak czytasz moje listy. Spokojnie, Sara, nie ruszę ci go. Gdyby nasza bieda, w ostateczności zgodziłabym się na Żychłonia.

– A ten krasnolud? – Matyllda wpatrywała się w Sarę. – Nada się do czegoś?

Przez długie lata życia wśród Edmundowych kompanów Sara poznała dziesiątki anegdot na ich temat, w tym wiele pikantnych. Nie uważała, by należało się z nimi ukrywać, skoro większość z nich i tak stanowiła temat rozmów klienteli karczmy. Rozsiadła się więc wygodnie, dołała sobie wina i uraczyła wszystkim opowieścią o tym, jak to Gramm umówił się kiedyś na schadzkę, ale pomylił chaty, na skutek czego przez trzy dni kompani nosili mu jedzenie do lasu. Dislai zrewanżowała się opowieścią o luźnym związku Żychłonia i jej poprzedniczki, Gwonn, którego żadna ze stron nie próbowała przesadnie ukrywać, a Matyllda ze zgrozą opowiedziała o tym, jak to kiedyś przez przypadek natknęła się na rodziców podczas ich comiesięcznego zbliżenia. W momencie, gdy Yanna nabrała powietrza, by przedstawić własne przeżycia, Sara klasnęła w dłonie i zawołała:

– Kąpiel! Wskakujemy do balii!

– Ale ja... – Dislai nagle wytrzeźwiała. – Ale ja nie jestem przygotowana! Nie mogę tak po prostu!

– Matyllda ci pomoże. – Sara zachichotała. – Skarbie, oddasz jej jedną z koszul Eliaha, które próbujesz doprowadzić?

Nie czekając na reakcję, wbiegła do kuchni i zdjęła sagan z wrzątkiem znad ognia. Przytaszczyła go do izby gościnnej i wlała zawartość do balii. Ku powale buchnęły kłęby pary, a w ślad za nimi pofrunęły kiecki.

Uczestniczki przyjęcia, w halkach lub męskich koszulach, jedna po drugiej wskakiwały do wody, by się śmiać, przeklinać i świntuszyć.

– Wypijmy za...! – wrzasnęła nagle Sara, unosząc kieliszek. – Za... Yanna, weź mi tę stopę z... Za facetów! Za facetów, których... których kochamy!

Spełniwszy toast, księżna zachichotała.

– Oho! – zawołała. – Sarze się cknęła za starym!

– Wcale nie! – Gospodyni spąsowiała. – Ja tylko...

– Dobra, dobra! – Yanna się poderwała. – Nie masz się czego wstydić, dziewczyno, choć zrozumienia u nas nie znajdziesz. Matyllda jest na ożenek zbyt wybredna, ja jestem na to za mądra... A ty, Dislai?

– Za bardzo zawałona robotą! – burknęła kapłanka, sięgając za balię po butelkę.

– No. To co? Pośpiewamy? – Yanna wzięła się pod boki, tupnęła, ochlapując towarzyszki, i zaśpiewała:

*Po ciemku nad ranem
Staremu się zebrano
Zrobił chłop, co mógł
A mnie ciagle mało!*

Odpowiedziały jej dzikie chichoty, po czym Matyllda podjęła:

*Za twarda ta podłoga
Tylek mi odgniecie
Będzie ciut wygodniej
Na tym parapecie*

Sara doskonale знаła kolejne zwrotki, gdyż słyszała je nieraz podczas karczemnych biesiad, i z ochotą dołączyła do śpiewu, a po chwili, po króciutkiej chwili ociągania to samo zrobiła Dislai. Cztery kobiety śpiewały wniebogłosy i tańczyły, rozchlapując wodę w balii, a następnie znów rzuciły się na jedzenie. Po posiłku urządziły sobie konkurs w bekaniu, zainicjowany przez Yannę, ale bezapelacyjnie wygrany przez Matylldę, a potem zajęły się wrózeniem, co nie wyszło najlepiej, bo o skupienie było coraz trudniej, a Yanna uparcie zawęzła interpretację do najprostszych czynności fizjologicznych. Tuż po tym, jak w trzeciej butelce wina pojawiło się dno, Dislai potknęła się i przewróciła na podłogę. Wstając, wyciągnęła

spod ławy zapomniany hełm rycerski, po czym głośno się rozplakała. Sara, Yanna i Matylda przypadły do kapłanki, próbując się dowiedzieć, co ją tak poruszyło, ale ta kręciła jedynie głową do czasu, aż jej rozpacz ucichła.

Wtedy spojrzała w okno.

– Na Dolę – wymamrotała, ocierając oczy. – Powinnam być już w sierocińcu. Będą się martwić.

W istocie, na dworze zrobiło się już całkiem ciemno.

– Nieźle żeśmy zabalowały – westchnęła Sara, co wywołało zdziwione spojrzenie Yanny.

– Takie rzeczy to się mówi, gdy na dworze zacznie się robić jasno – oświadczyła księżna. – No, dziewczyny, ubierać się. Golniemy sobie jeszcze po jednym i odprowadzimy Dislai do sierocińca!

*

Oczywiście Dislai znała drogę najlepiej z nich wszystkich, ale ostatni kieliszek wina okazał się dla niej decydujący i mocno odepchnął ją od rzeczywistości. Wsparta na ramionach Yanny i Matyldy, śpiewała wraz z nimi bełkotliwym głosem pieśń o twardej poduszce i słomie wbijającej się w tyłek. Na czele szła więc Sara, która, choć sama miała problem z zachowaniem równowagi, poprowadziła rozśpiewany i rozchwiany orszak mniej więcej w kierunku sierocińca.

Wieczór był ciepły, powietrze wręcz upajało zapachami, a pieśń, składająca się z wielu pełnych napięcia zwrotek, niosła cztery kobiety naprzód. Działo się tak do chwili, gdy latający chrząszcz wpadł Matyldzie tam, gdzie zdecydowanie nie powinien. Dziarski marsz zamienił się w kilkuminutową bieganinę połączoną z dzikimi wrzaskami i wymachiwaniem ramionami, a gdy wszystko pomyślnie się zakończyło i oszołomiony chrząszcz podjął lot, rozległ się potężny, przeciągły ryk.

Kobiety zamarły.

Ryk się powtórzył, głuchy, długi, a co gorsza – nieodległy.

– To... nie jest Żychłoń – wyjąkała Dislai.

– No to... – Matylda spojrzała z przerażeniem na Yannę, a potem na Sarę. – No to co to jest?

Sara otworzyła usta, by uspokoić przerażone towarzyszkę, ale wtedy pobliskie krzaki zaszeleściły i wynurzyło się z nich coś wielkiego, obłego i rogatego, coś, co zamrugało parą wąskich oczu i ponownie zaryczało.

– W nogi! – wrzasnęła Yanna. – Zwiewamy!

Dislai pędziła już z dzikim wrzaskiem w stronę karczmy, a za nią gnała Matylda. Yanna, która ewidentnie wypięła więcej od pozostałych, zatoczyła się i padła na kolana. Z przerażeniem spojrzała za siebie. Rozległ się suchy trzask miażdżonych zarośli.

– To wyłazi! – zawyła, próbując się podnieść. – Wyłazi! Dolo, obiecuję, że się poprawię! Przeszanę chlać i palić, wyjdę za mąż i w ogóle! Sara!

Sara bez zwłoki przypadła do księżnej i jednym zdecydowanym szarpnięciem pomogła jej się podnieść. Trzymając się za ręce, popędziły przed siebie, w ślad za wrzeszczącymi w niebogłoso Matyldą i Dislai. Ścigał je dziki ryk nieznannej istoty, której po chwili zawtórował kolejny, dobiegający z oddali.

*

Powrót do karczmy trwał zaskakująco krótko, co oznaczało, że pomimo dobrych chęci Sara, Matylda, Yanna i Dislai nie dotarły zbyt daleko albo wręcz pobłądziły.

Grzmotnęły zatraskiwane wrota, zadudniła wsuwana na miejsce kłoda, a cała czwórka, zdyszana jak rzadko, oparła się plecami o bramę.

– Jesteśmy bezpieczne – wymamrotała Yanna. – Ale się bałam... Słuchajcie, istnieje możliwość, że pod wpływem emocji złożyłam jakiś ślub czy coś. Umówmy się, że nie będziecie mi tego wywlekać, bo...

– Później – odezwała się Matylda. – Później, ciociu. Najpierw ustalmy, czy rzeczywiście jesteśmy tu bezpiecznie. – Rozejrzała się. – Mury wyglądają na mocne. Czy to bydłę miało skrzydła?

– Nie – powiedziała Dislai. – Dostrzegłam szeroki pysk, mocno rozstawione łapy, przymrużone oczy, ale skrzydeł nie. Pierwszy raz coś takiego widziałam.

– Ja też – stęknęła Yanna. – A widziałam niejedno. Sara, masz jakieś pojęcie, co oprócz Żychłonia ryczy w tym twoim lesie?

Sara wydawała się zamyślona.

– Nie wiem – powiedziała. – To znaczy, chyba nie wiem. Bo mam teorię, ale... Cholera, nie przyjrzałam się. Szeroki pysk, zmrużone ślepia... A kolor?

– Szary – odparła Dislai.

– Nie do końca – odezwała się Yanna. – Widziałam białe plamki z boku łba. Spore przy ślepiach, a potem coraz mniejsze.

– Naprawdę? – Sara odwróciła się ku niej, zaskoczona.

– Całkowicie – odparła Yanna. – Widziałam, gdy się wywaliłam.

– Aha – Sara zacisnęła powieki i oparła potylicę o chłodne drewno bramy. – Białe plamki.

Z oddali dobiegł kolejny ryk, który wydawał się wręcz błagalny. Następnie rozległ się ów dalszy, z niejasnych względów sprawiający wrażenie groźnego.

– Białe plamki zmieniają sprawę – powiedziała.

– Co? – Matylda wytrzeszczyła oczy, a Dislai zasłoniła dłonią usta. – To bydlę umie latać?

– Nie. – Sara pokręciła głową z zawziętą miną. – Nie o to chodzi. Zapraszam, dziewczyny. Pokażę wam, gdzie mój stary i chłopaki trzymają broń.

– Broń? – Dislai wpatrywała się w gospodynię z niedowierzaniem. – Możesz nam przynajmniej powiedzieć, co tu się wyprawia?

– Nie mamy czasu! – oznajmiła Sara. – Wyjaśnię wam po drodze!

*

Do momentu, gdy wrota karczmy rozchyliły się znowu, by wypuścić cztery uzbrojone po zęby wojowniczkę, potwór zdołał już całkowicie wypełznąć z krzaków. Umościł swój rozdęty brzuch w pyłę drogi i sapnął przez szerokie nozdrza, jakby miał ochotę na odpoczynek, ale chwilę później rozchylił ślepia i groźnie najeżył kostne wypustki, ciągnące się wzdłuż grzbietu. Na widok biegnących ku niemu kobiet spróbował się dźwignąć, ale nie podołał. Zaległ więc i bezradnie wpatrywał się w przybyszki, porykując od czasu do czasu. Kobiety nie wykazywały wrogości. Obiegly stworzenie szerokim łukiem i wniknęły w las.

– Na pewno nic nam nie grozi? – zadudniła Dislai z głębi rycerskiego hełmu.

– Na pewno – oświadczyła Sara i poprawiła tarczę na ramieniu. – Teraz pozostaje nam zaczekać.

– Nieźle się zabawimy! – warknęła Matylda, od góry do dołu przebrana w rzeczy Eliaha.

– Żebyś, młoda, wiedziała! – Yanna, wsparta na toporze Gramma, sapała ze świstem. – Nie ma przyjęcia bez porządnego mordobicia. Sara, ty to umiesz urządzać imprezy!

– Cicho! – szepnęła Sara, wsłuchana w ciszę lasu. – Idzie! Gotujcie się!

Uniosła tarczę i miecz męża, Yanna splunęła z wprawą i mocniej chwyciła topór, Matylda wyszarpnęła dwa sztylety zza pasa, a Dislai ściągnęła hełm z cichym przekleństwem, wyrzuciła go i nastawiła włócznię. Odruchowo stanęły w szeregu, skupione i wpatrzone w las, z którego dobiegały coraz głośniejszy trzask łamanych gałęzi oraz chrapliwie posapywanie.

A potem ciszę rozerwał potężny, ogłuszający wprost ryk. Dislai odruchowo zrobiła krok w tył, a Matylda pisnęła ze strachu.

– Ani kroku w tył! – huknęła Sara. – Wiecie, jak to jest z samcami, co głośno ryczą?

Matylda parsknęła.

– Na ogół nie mają czym sikać! – odparła głośno, nieco zła na siebie za chwilę słabości.

I to właśnie ona jako pierwsza rzuciła się do ataku.

W chwili, gdy krzaki leszczyny rozgarnął szeroki pysk, podobny do tego, który przeraził je wcześniej, ale o wiele masywniejszy, ze sterczącymi ku górze kłami, księżniczka już biegła. Gdy znalazła się blisko potwora, podskoczyła i z rozpędu wbiła mu oba ostrza w pysk. Nie zdołała ich jednak uwolnić, a bestia, zaskoczona, cofnęła się gwałtownie, pozbawiając dziewczynę równowagi, i rozwarła szeroko paszczę. W tym samym momencie nad Matyldą stanęła Dislai, która celnie pchnęła włócznię. Wbiła ostrze prosto w gardziel ryczącego potwora, który opadł z głuchym rykiem na ściółkę. Plując krwią, potrząsał wściekle łbem. Ryknął raz jeszcze, tym razem z wyczuwalną rozpaczą, a wtedy przypadły doń Yanna z jednej strony, a Sara z drugiej.

Uderzyły jednocześnie. Edmundowy miecz pozostawił głęboką rysę w boku potwora, wolnym od jakichkolwiek białych plamek, a topór Gramma odrąbał mu kilka pazurów. Bestia odskoczyła z przeraźliwym piskiem i niezgrabnie rzuciła się do panicznej ucieczki.

– I nie wracaj! – wrzasnęła Matylda. – Ty krótkochujcu jeden!

Zrobiła krok, jakby chciała pobiec za nim i dobić go kurczowo ścisłymi sztyletami, ale Dislai złapała ją za rękę. Potem kapłanka przeniosła wzrok na Sarę.

– Nie wróci? – spytała.

– Nie wiem – odparła zapytana. – Chyba nie.

– Chyba. – Yanna pokiwała głową. – Nie, dziewczyny. Po tym, co zrobiliśmy, nie możemy pozwolić sobie na ryzyko.

Zarzuciła sobie topór na ramię i podeszła do drugiego z potworów, który nadal leżał na drodze, ciężko sapiąc i łypiąc podejrzliwie na kobiety. Księżna bez lęku poklepała go po łbie, a następnie podrapała po białych plamkach.

– Ten pizduch może tu wrócić – oznajmiła, wskazując kciukiem las, w którym odbyła się walka. – Chodź lepiej do nas, co? Koleżanka zorganizowała niezłą imprezę.

Bestia zaryczała i podniosła się ciężko.

*

Świtało. Z nieodległej wsi dobiegało pianie pierwszych kogutów, gdzieś szczekał pies. Na dziedzińcu powolutku wpełzały smużki porannej mgły. Matylda, przewieszona przez łapę potwora, chrapała głośno, przyciskając obronnym gestem butelkę do brzucha. Odpowiadało jej nieco niższe pochrapywanie Yanny, która butelki nie miała, bo obiema rękami obejmowała ogon bestii. Ta pomrukiwała cicho przez sen i od czasu do czasu wydmuchiwała powietrze przez nozdrza.

Wydawała się całkowicie odprężona.

– Nie wiem, jak ja to wytłumaczę Edmundowi – wychrypiała Sara i pociągnęła tęgiego łyka, a następnie przez długą chwilę wpatrywała się w pobojuwisko na dziedzińcu, gdzie impreza przeniosła się spontanicznie po tym, jak się okazało, że bestii nie sposób wciągnąć do karczmy. Wszędzie walały się talerze, kieliszki, pucharki, butelki, kilka porzrzucanych sztuk broni oraz szczątki krzesła, porąbanego przez porwaną uniesieniem bitewnym Matyldę.

– Jest facetem. – Dislai odkaszlnęła i wzięła od gospodyni butelkę, by osuszyć ją do dna. – Zrozumie. Może nawet pozazdrości. Pytanie brzmi, jak ja się wytłumaczę przed Elisą i Morganą?

– Powiesz im – Sara czknęła – że działałaś z inspi... inspiracji Doli. I uratowałaś żywe stworzenie.

– A potem się uchlałam?

– Żeby sobie dać pre... pretekst do porządnej pokuty.

– No tak. – Kapłanka pokiwała głową. – Racja. Będę pokutować. Od jutra.

Bestia zamruczała i poruszyła nieco ogonem. Sara poklepała ją po łapie, na co zamruczała raz jeszcze.

– Jak ona się nazywa? – zapytała Dislai, przyglądając się łuskom na skórze istoty.

– Już mówiłam – westchnęła Sara. – To gmurlaki. Gatunek na wymarcu, głównie przez własne u... uwarunkowania. Samce zapładniają samice, a potem im odbija. Mają ochotę je pożreć. Samica musi uciekać do chwili, gdy złoży jaja, bo... – znów czknęła – bo wtedy samcowi mija apetyt.

– To porąbane – stwierdziła kapłanka i zajrzała do butelki. – Myślałam, że mężczyźni mają coś z głową, ale te gmurlaki biją ich na łeb.

– Dobrze, że da się je od siebie o... odróżnić – wymamrotała Sara. – A samce nietrudno odpędzić.

Samica mruknęła raz jeszcze, na co gospodyni poklepała ją po grzbiecie, tuż obok miejsca, gdzie Yanna wyrysowała szminką wielkie serce.

– Nie martw się, mała. Znajdziemy ci miejsce na wyląg – oświadczyła, po czym dzwignęła się z trudem i zachwiała. – Cholera, trzeźwieję. Dislai, chlapniemy sobie jeszcze?

– No – stęknęła kapłanka. – Chlapniemy. Sara? A skąd ty to wszystko wiesz?

– Co?

– O tych gmurlakach. – Dislai zatoczyła ręką niewielki łuk. – I w ogóle.

Sara uśmiechnęła się tajemniczo.

– Wiem i tyle – odpowiedziała.

– Opowiesz mi kiedyś?

– Opowiem. Chodź, poszukamy jeszcze wina. I zrobimy jajecznicę, co?

– W myślach mi czytasz.

Objęły się i ruszyły w stronę karczmy. Gmurlanna pożegnała je cichym, wdzięcznym sapnięciem.



Marcin Mortka – autor wielu powieści fantasy i jeszcze większej liczby książek dla dzieci, tłumacz, lektor języków obcych i poszukiwacz świętego spokoju. Niepoprawny optymista, zawzięty domator, niepowstrzymany gawędziarz i wielbiciel historii oraz ostrej muzyki. Sercem i duszą oddany rodzinie oraz książkom w każdej postaci. Od wielu lat próbuje zostać prawdziwym hobbitem.

Czego dusza zapragnie

Copyright © by Danuta Awolusi, Przemek Corso, Jakub Ćwiek, Grzegorz Gajek, Joanna Gajzler, Aneta Jadowska, Magdalena Kubasiewicz, Jacek Łukawski, Jakub Małecki, Marcin Mortka, Paweł Radziszewski, Magdalena Świerczek-Gryboś, Milena Wójtowicz, Tomasz Żak 2023
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja i korekta – Paulina Stoparek, Piotr Chojnacki, Magdalena Stonawska, Kornelia Dąbrowska, Anna Strożek
Skład i łamanie – Joanna Pelc
Przygotowanie e-booka – Natalia Patorska
Okładka – Paweł Szczepanik
Grafika na okładce – Shutterstock

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,
niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.
Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.
Dziękujemy!
Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023
ISBN wersji epub: 9788383300672
ISBN wersji mobi: 9788383300665



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:
Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia
Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda
Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska
Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga
E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz
Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka
Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaż

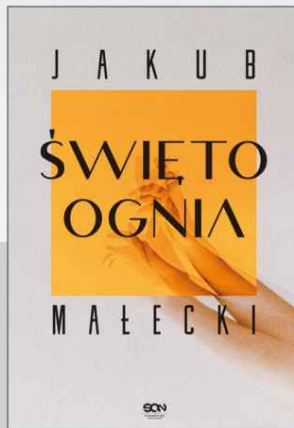
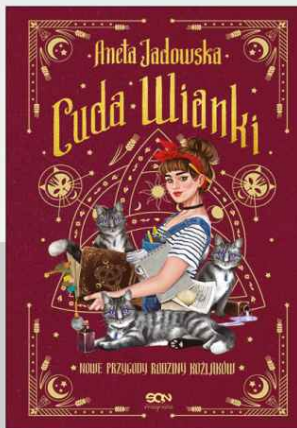
www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labortiga.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekpa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL labotiga.pl